

---

***MROCZNY TANIEC***

---

---

***Przełożyli:***  
***MAGDALENA NIEMCZUK***  
***CEZARY FRAC***

---

— *Nie chciałabym mieć do czynienia z szaleńcami — powiedziała Alicja.*

— *Nic na to nie mogę poradzić — odparł Kot. — Wszyscy tu jesteśmy szaleni. Ja jestem szalony, ty jesteś szalona.*

— *Skąd pan wie, że jestem szalona? — zapytała Alicja.*

— *Musisz być. Inaczej nie przyszłabyś tutaj.*

LEWIS CARROL  
„Alicja w Krainie Czarów”

scandalous

Kobieta we mgle.

Zamknięta wśród ścian żółtego oparu. Szła jakby w przenośnym więzieniu. Co kilkanaście kroków słup latarni wynurzał się niczym wielkie, smukłe drzewo; sterczał występ w murze. Ponad jej głową, mętne jak światło starej lampy, jaśniały podejrzliwe okna. Znała drogę na pamięć.

Mgła pachniała przytłaczająco smutkiem i melancholią. Z każdej strony mógł czyhać prześladowca.

Kobieta szła dalej. Wyglądała jak chuchro w ciemnym płaszczu. Jej włosy były gęste, rozpuszczone, bardzo czarne, jak grube liście na krzewach. Miała szczupłą, jasną twarz i przejrzyste oczy. Jedną dłonią podtrzymywała kołnierz.

Skręciła w Lizard Street, minęła ogromny budynek z lwami i weszła do księgarni.

- Spóźniłaś się, Rachaelo.
- Tak — przyznała ze spokojem.
- Dwadzieścia minut!

Przeszła obok pana Gerarda i weszła na zaplecze. W małym pokoju stał na kuchence czajnik i leżały stosy gazet. Regały pełne były książek. Plastikowe okładki niektórych lśniły nowością, inne zaś przypominały stare, umierające, postrzępione ćmy. Powiesiła płaszcz.

Miała na sobie czarną spódnicę, ciemną bluzę i solidne buty. W sklepie nigdy nie było ciepło poza upalnym latem, kiedy dawało się wytrzymać jedynie w cienkiej koszuli, ale nawet wówczas pan Gerard snuł się w przepoconej marynarce i krawacie. Dziś miał na sobie pulower w żywych kolorach, zbyt jaskrawy w zestawieniu z jego tłustą twarzą, wyglądającą jak zepsuty owoc. Zrobił jej miejsce za ladą.

— Masz tu wykaz książek do wyceny. Rachaela skinęła głową. Płacił bardzo mało. Do jej obowiązków — poza obsługiwaniem klientów — należało też robienie herbaty, przyrządzanie kanapek, zmiatanie i odkurzanie regałów, co zresztą robiła rzadko. Nigdy nie kłóciła się ani nie uskarżała, nie przeproszała też za swoje niedbalstwo, za nieustanne spóźnienia. Nie bała się pana Gerarda. Nie kradła, nie pyskowała. Kiedy się na nią denerwował, patrzyła gdzieś w odległą przestrzeń, a potem wydawała się o tym zapominać. Pan Gerard nic właściwie o niej nie wiedział. Kobieta — zagadka. Dla nielicznych klientów była uprzejma jak manekin.

Kiedy pan Gerard wycofał się na tyły swojej obskurnej, dusznej nory, jakiś mężczyzna zapytał o książkę. Wraz z nim do środka napłynęła skłębiona mgła, obejmując tysiące woluminów.

— Podły dzień — powiedział. — Kiedy to się wreszcie skończy. Cholerna pogoda.

Rachaela włożyła książkę do torby i wybiła cenę na staromodnej sklepowej kasie. Kasa była jednym z powodów, dla których zaczęła rok temu ubiegać się o tę pracę. Nie znosiła komputerów, przerażały ją. Lubiła starocie. W sklepie przynajmniej nie czuła się nieswojo.

Mężczyzna wziął książkę i wręczył jej pieniądze. Rachaela powoli przeliczyła resztę, zanim mu ją wydała. Liczby także ją niepokoiły. Czuła się dobrze tylko ze słowem pisanym.

— Przepraszam — powiedział. Rachaela popatrzyła na niego, wyglądała na przerażoną. Czyżby się pomyliła?

— Panna Day, prawda?

Zawahała się. Wreszcie, jak gdyby powierzała niebezpieczny sekret, szepnęła:

— Tak.

— Tak myślałem. Miałem to pani oddać.

Wręczył jej jasnożółtą kopertę. Wzięła ją jak konspirator. Niezapytała go o nic, ale jej smukła dłoń o długich, nie pomalowanych paznokciach zawahała się, zawisła w powietrzu między nimi.

— Chyba powinienem wyjaśnić — powiedział przyjaznym tonem. — Jestem sąsiadem. Firma „Lane i Soames”. Szef poprosił, żebym to pani przyniósł. Szukali pani.

— Kto? — zapytała.

— Lane i Soames. Szukali, a pani tu była cały czas. A więc tropili ją. Rachaela mocno przycisnęła kopertę do piersi. Czowała prześladowcę, przyczajonego we mgle.

„Day” nie było jej prawdziwym nazwiskiem, ale używała go od lat. Sądziła, że teraz już stało się legalne; widniało na jej legitymacji ubezpieczeniowej. Pod tym nazwiskiem płaciła też podatki.

A może jednak popełniła jakiś błąd?

— Jest pan pewien, że to o mnie chodzi?

— Proszę mnie nie pytać. Jestem tylko gońcem. Powiedzieli, że bym to pani podrzucił.

Jego oczy były zupełnie pozbawione wyrazu. Nie podobała mu się jej niepewność ani swoiste, łatwe do przeoczenia piękno, nie krzykliwe, nie przerysowane makijażem ani ubiorem.

— No, dobra — powiedział. — Pora wracać w mgłę.

Wyszedł od razu. Drzwi zatrzasnęły się, mgła zawirowała. Zgęstniała teraz w sklepie i Rachaela przypomniała sobie „Alicję po drugiej stronie lustra”, owce i wirującą wodę...

Na zapleczu pan Gerard rozmawiał przez telefon.

— Ale powiedziałem mu, Mac, staruszkule, po prostu nie możesz — będzie zajęty przez godzinę.

Za oknami rozpościerała się miękka, szarżółta ściana. Za nią mogło czaić się wszystko, pluton egzekucyjny, głodne bestie, które uciekły z zoo. Czy to lampart ścigał ją przez ten przeklęty opar?

Rachaela zauważyła, że drżą jej ręce.

Rozdarła kopertę.

„Droga panno Day”.

Nie wiedzą.

„Uprzejmie proszę, aby była pani tak dobra i zjawiała się w moim biurze w dogodnym dla siebie terminie”.

Ktoś wie, ktoś wie! „Moi klienci, rodzina Simonów, poprosili mnie, abym skontaktował się z panią w sprawie, która może przynieść korzyści obu stronom”.

To nazwisko też nie jest prawdziwe.

Chyba że to coś innego...

Cóż innego mogłoby to być?

Najprościej byłoby zignorować list prawnika. Chociaż, z drugiej strony, są już tak blisko. Lane i Soames, kilka metrów stąd, przez ścianę.

Rachaela zobaczyła umęczoną i zgorzkniałą twarz matki. *Nie mam z nimi nic wspólnego.*

Słyszała bicie swojego serca. Jak werbel we mgle.

— Och daj spokój, daj spokój! — ryknął pan Gerard do kogoś daleko, za górami.

O szóstej Rachaela wyszła na ulicę. Pan Gerard, okutany w wiekowy, bajowy płaszcz i szalik, zamknął sklep.

— Podła noc.

Robiło się późno, mgła spowijała wszystko, prześwietlały ją jasne światła. Rozmazane i niebezpieczne.

— Uważaj na siebie, Rachaelo.

— Tak — powiedziała — dobranoc.

— Pewnie będzie cię trzeba rozgrzać — powiedział pan Gerard głośno i ze złością do zamarzniętego zamka. Przed „Lane i Soames” Rachaela przeszła na drugą stronę ulicy. Ogromne lwy szykowały się do skoku, mokre i czarne. Nikt nie zmusi jej, żeby weszła pomiędzy ich łapy.

Szła na wschód; wmieszała się w niezmiernie ożywiony popołudniowy tłum, zderzając się i przepychając. Czekwała na przystanku w milczeniu, podczas gdy ludzie wokół przeklinali i wściekali się na opóźnienie autobusu. *Nie żyjesz w realnym świecie, jak my wszyscy.* Wymierzyła to oskarżenie na ślepo. Matka wierzyła żarliwie, że świat nie mógł zranić Rachaeli.

Nadjechał autobus.

Mężczyźni i kobiety stłoczyli się przy wejściu. Przepuściła ich. Świat był dla Rachaeli przede wszystkim straszonym miejscem i nie oczekiwała od niego niczego dobrego. Spodziewała się tylko ataków na swoją prywatność, na siebie. Dlatego nie miała przyjaciół anikochanków. Kiedyś została zgwałcona przez znajomego po jakimś nudnym przyjęciu. Gwałt nie przeraził jej. Pozbyła się myśli o nim tak jak wąż pozbywa się skóry.

Po półgodzinie wysiadła z autobusu. Znów była we władaniu mgły.

Musiała teraz przejść szeroki pas zieleni przed blokiem. Znała czające się tu niebezpieczeństwa, nie bała się ich, były oswojone. Bała się czegoś innego.

To mgła przyniosła ten lęk. List także. Siedząc w barze podczas lunchu myślała czy nie zwolnić się z pracy po południu. Ale dotąd nigdy tego nie robiła, nawet gdy złapała grypę. Nie było to zbyt mądre, ale nie chciała sobie psuć opinii. Odkładała wagary, aż zdarzy się cudowny dzień, kiedy wymknie się do jakiegoś malowniczego ogrodu czy do kina.

Poza tym, list i tak czekałby na nią. Nie mogła przed tym uciec.

Drzewa mijały ją, opatulone i kapiące.

O krok od niej zapaliła się latarnia jak żywy, siny księżyc.

Mężczyzna stanął przed nią niespodziewanie. Był bardzo wysoki, ciemny, pozbawiony twarzy na tle pustki.

Rachaela zamarła, jak gdyby zanurzyła się w wodzie. Wówczas zniknął. To tylko kolejne drzewo?

— Proszę mi wybaczyć — był teraz u jej boku, w czarnym płaszczu i pilśniowym kapeluszu. Myślała, że poprosi ją o pieniądze, ale rzekł:

— Panu Simonowi bardzo zależy, żeby zgłosiła się pani do „Lane i Soames”.

— Kim pan jest? — zapytała.

— Przyjacielem pana Simona.

— Proszę mnie zostawić w spokoju.

— Musi pani tam pójść.

To normalne: ulegać władzy, odpowiedzieć na oficjalny list. Ale Rachaela nigdy nie płaciła rachunków aż do pierwszych grózb, ignorowała wciskane pod drzwi koperty z prośbą o datek dla głodujących dzieci czy chorych.

— Proszę odejść.

Nie biegła. Pas zieleni skończył się i uliczna lampa wypełniła mgłę matowym światłem.

Ciemny mężczyzna przyglądał się jej. Miał twarz obcokrajowca i lodowate oczy. Czy posunie się do przemocy?— Pójdiesz do pana Soamesa — rzekł.

Potem odwrócił się i pochłonęła go mgła.

Rachaela przeszła na skos alejką, jakiś chłopiec na rowerze pojawił

się nagle, jak widmo.

Weszła po schodach i otworzyła drzwi.

Mgła wpłynęła do posępnego holu, zawisała nad kamienną podłogą i zakurzonym stolikiem. Bała się spojrzeć na leżący na nim list, ale był to tylko rachunek telefoniczny. Nie miała powodu do obaw, bo nigdy do nikogo nie dzwoniła, telefon był już, kiedy się tu sprowadziła, w przeciwnym razie nawet by o nim nie pomyślała. .

Rachaela wzięła rachunek i ruszyła w górę wąską klatką schodową.

W zeszłym roku miała kota, tłustego czarnego kota, zbyt leniwego, żeby witał ją w drzwiach. Ale kotka była stara i umarła we śnie. Rachaela znalazła ją pewnego ranka na swoim łóżku. Rozpłakała się w poczuciu osamotnienia, ale duch zwierzęcia, który czasem migał jej w którymś z pokojów, nie pozwolił na poszukiwanie następcy.

Dlatego też nikt nie oczekiwał Rachaeli, poza pustymi ścianami, pomalowanymi na kremowo przez właściciela, i podłogą przykrytą bladobeżowym dywanem.

Regał na książki, wypełniony tomami, z których wiele opierało się też o ściany, nie przypominał jej księgarni. Chociaż to właśnie przywiązanie do książek kazało jej wybrać taki a nie inny zawód. Zanim znalazła pracę w antykwariacie, robiła wiele błahych rzeczy: była kelnerką w kawiarni, sprzedawczynią w sklepie tekstylnym, takie właśnie podejmowała prace.

Było zimno. Rachaela włączyła piecyk elektryczny, urządzenie także zainstalowane przez właściciela, brzydkie ale skuteczne. Zaciągnęła beżowe zasłony, odcinając się od mgły. Nawet ten pokój był nią skażony, sączyła się jak pyłek albo gaz przez tysiąc ukrytych szczelin w ścianach domu.

W kuchni otworzyła lodówkę. Wyciągnęła chleb na tosty. Przygotowała sobie kubek kawy, na którą w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty, ale to zajęcie sprawiało jej przyjemność jako część domowego rytuału.

Rzadko przejmowała się jedzeniem. Kiedy żyła matka, obiad był codziennie: tanie kiełbaski i surówka z czerwonej kapusty, wodniste omlety, często przypalone, i ziemniaki w mundurkach ze sterczącymi kielkami.



Matka Rachaeli zmarła nagle na atak serca. Rachaela zniosła współczucie sąsiadów i przyjaciół matki. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat i do tej pory nigdy się nie rozstawał, toteż wszyscy spodziewali się, że po jej śmierci popadnie z rozpacz i rozsypie się na małe kawałeczki.

Rachaela jednak uporowała się z całym chaosem bez jednej łzy. Na cmentarzu, kiedy radosny, młody ksiądz przyrzekł pamięć „drogiej starszej pani” — która za życia nie mówiła o sobie inaczej jak „w średnim wieku” — Rachaela poczuła okropny ból we wszystkich mięśniach poza sercem. To jej ciało odetchnęło z ulgą po raz pierwszy od lat. Była wolna.

Nigdy nie przestała być wdzięczna za tę wolność. Samotność sprawiała jej przyjemność. Tęskniła za kotem, który dawał jej skąpą i prawie niedbałą miłość, który nigdy nie wściekał się, nie wrzeszczał, nie dogadywał jej, nie miał wymagań. Matka była jak żelazne brzemię. Rachaela stała się lekka jak powietrze.

Aż do tej chwili.

Teraz było tak, jak gdyby matka znowu po nią sięgnęła. Klątwa ciężąca nad rodzinną historią, dziedzictwo nieznanego ojca który, zanim odszedł, wyjawiał wystarczająco dużo, aby pozostawić na jej życiu piętno oszustwa i kłamstwa.

Jego rodzina nosiła inne nazwisko, nie Simon. Rachaela nie mogła go zapomnieć. Powtarzane było tak często, że utraciło swoje dziwaczne brzmienie. „Scarabae”. Scarabaidzi. Osobliwe nazwisko pasujące do osobliwego kochanka na jedną noc. *Kochałam go, tę świnię, tego sukinsyna*, powiedziała kiedyś matka Rachaeli. Nie przybrała jego nazwiska. Jej własne brzmiało „Smith”. Było tak banalne, że Rachaela, kiedy została sama, zmieniła je.

Włączyła radio, trzeci program, i usłyszała Szostakowicza. Dysharmonia srebrzystych akordów była łatwa do rozpoznania.

Usiadła przy kominku i zrzuciła buty.

Za pół godziny przygotowuje sobie kolację, tosty z serem. Jutro piątek, a więc kupi trochę sałatki i zimnego mięsa w delikatesach. Może butelkę wina.

Na zewnątrz czaiła się mglista cisza.

List od firmy „Lane i Soames” zmięła i wyrzuciła do kosza jeszcze w

sklepie. Może odziedziczyła jakieś pieniądze.

Czy weźmie je, jeśli pochodzą od niesławnej rodziny ojca?

— Już nie żyje. Nie powinien żyć, tak się prowadził — zadźwięczał jej w głowie głos matki.

Cztery lata od pogrzebu.

— Nie poszła tam pani, tak? — zapytał oskarżycielsko młody człowiek.

Próbowała go zignorować wycierając półki, wyjmowała stare książki pokryte rudymi plamami i delikatnie je odkurzała.

— Czy to pański interes?

Młody człowiek poczuł złość. Ludzie wyobrażają sobie, że będzie się dla nich uprzejmym, podczas gdy oni coraz bardziej starają się ciebie osaczyć. Ale Rachaela nie grała w tę grę.

— Nie, właściwie tak. Dostarczyłem list. A teraz stary Soames myśli, że olałem sprawę i wcale go pani nie dałem.

— Ale dał pan.

— Owszem, cholera, dałem. Dlaczego pani nie poszła?

— Przepraszam — powiedziała Rachaela i prześliznęła się między półkami.

— O co tu chodzi? — zapytał pan Gerard, który właśnie wrócił z zaplecza pogryzając herbatniki. — Coś nie tak?

— Eee, nie, przyniosłem tej młodej damie list z „Lane i Soames”, a ona im nie odpowiedziała. I teraz Soames myśli, że to moja wina.

— Co to za list?

Rachaela nie odezwała się. Odkurzyła reprint „Egipcjanina” i ostrożnie odłożyła go na miejsce.

— To ma coś wspólnego z nieruchomościami. W każdym razie tak mi się wydaje. Robią wokół tego cholernie dużo zamieszania.

Mgła znowu była w sklepie. Nieubłaganie osaczała stolicę.

— Nie musi się przedtem umawiać. Niech po prostu wpadnie, a Soames z nią porozmawia. To nie zajmie dużo czasu...

— Możesz tam pójść w przerwie na lunch, Rachaelo. Mój Boże, nie sądzisz, że powinnaś? Może to warte zachodu?

Rachaela nadal milczała.

Nie powiedziała panu Gerardowi, żeby się nie wtrącał, bo nigdy nie

była wobec niego niegrzeczna. Młody człowiek westchnął.

— Może przy okazji kupię jakąś biografię. Czytanie fikcji to strata czasu.

— Na szczęście nie wszyscy tak myślą — powiedział pan Gerard z niechęcią. Młody człowiek, nagle niemile widziany, spieszenie opuścił sklep.

— Co u diabła wyprawiasz, Rachaelo?

— Odkurzam.

— Nigdy tego nie robisz. Przestań. Nakurzyło się. Pora na lunch. Wyjdź o dziesięć minut wcześniej. Idź zobaczyć się z panem Soamesem.

Był sobotni ranek i ludzie gremialnie ruszyli po zakupy. Nastrój tłumu był znajomy: zgryźliwy i zdesperowany.

Rachaela szła w stronę baru przekąskowego. Jakiś mężczyzna w przejściu przepchnął się obok, niemal ją przewracając. Zobaczyła człowieka z mgły tuż przy swoim ramieniu.

— Panno Day, pozwoli pani sobie towarzyszyć?

Wziął ją pod łokieć i zawrócił. Poruszali się teraz pod prąd kłębiącej się ciżby, która zdawała się wrzeć i przyskać im prosto w twarz.

— Zmusza mnie pan, żebym tam poszła?

— Ależ nie, panno Day. Będzie pani zadowolona. Proszę tędy. Była sobota. Czy Soames będzie w swoim biurze? Najwyraźniej był. Trzech nastolatków w kolorach jakiejś drużyny z Marsa zderzyło

się z nimi. Już nie byli jednością — Rachaela i ten obcy mężczyzna. Rozdzielili się.

Rachaela umknęła w mgłę, w gęsty tłum, poddała się gorączkowemu rytmowi.

Mężczyzna nie zawołał za nią. Jego ręka nie złapała jej za ramię i nie zacisnęła się na nim.

Poszła do muzeum, gdzie spędziła przerwę na lunch wśród błękitnych i różowych kamiennych bóstw w postaci ptaków, i uśmiechniętych faraonów. Zjadła dwa banany kupione na stoisku po drodze. Banany z mgły.

Mężczyzna nie przyszedł do sklepu, młody człowiek też nie wrócił.

Pan Gerard zapytał:— Byłaś?

— Nie.

— Bez sensu. Ależ ty jesteś głupia, dziewczyno. Zrób nam herbaty. Stała w autobusie, wracając do domu. Pojazd był pełen podekscytowanych pasażerów.

W soboty zamykano sklep pół godziny wcześniej, aby pan Gerard i jego pracownica mogli się trochę rozerwać. Wątpiła, czy bawił się lepiej niż ona. Pan Gerard pozostał dla niej taką samą zagadką, jak prowokującą tajemnicą była dla niego Rachaela. Mieszkał razem z żoną niedaleko Kennington. Mogła sobie tylko wyobrazić panią Gerard, żeńską wersję męża, w wełnianej przepoconej sukience i kamizelce, jedzącą krem z mleka i jajek albo czytającą komuś przez telefon urywki z gazet.

W mieszkaniu, kiedy wypiła kieliszek wina z piątkowej butelki, usłyszała dzwonek domofonu.

Nikt nigdy nie odwiedzał Rachaeli.

Przyszło jej do głowy, że to jakiś wypadek. Pewnie coś się stało na ulicy. W burzy dźwięków Beethovena, nie mówiąc już o rockowej muzyce dobiegającej z dołu, mogła nie usłyszeć pisku hamulców.

— Halo?

— Panna Day?

Nie rozpoznała głosu, oddalonego i ledwie słyszalnego w słuchawce.

— Czego pan chce?

— Panno Day, nazywam się Soames. Z „Lane i Soames”. Czy będzie pani tak dobra i mnie wpuści?

— Obawiam się, że nie.

— Ale, panno Day, zaszedłem tu specjalnie w pilnej sprawie. To naprawdę pilna sprawa, panno Day...

— Nie, panie Soames, nie jestem zainteresowana.

— Mój klient, pan Simon, upoważnił mnie do...

— Do widzenia, panie Soames.

Odłożyła słuchawkę. Dzwonek odzywał się jeszcze trzy razy.

Rachaela przeszła przez swój mały pokój. Na górze znajdowała się jeszcze mniejsza sypialenka i spiżarnia przerobiona na łazienkę. Wynajęcie tego mikroskopijnego mieszkanca stało się możliwe dzięki oszczędnościom matki. A kiedy się skończą, co wtedy?

Może pan Soames chciał jej dać pieniądze? Pieniądze były dla

Rachaeli czymś nierealnym. Trochę się ich bała, niosły ze sobą odpowiedzialność, powodowały tyle kłopotów i krzywd. Ale...

Domofon już się nie odezwał.

Pan Soames odszedł.

W niedzielę po południu wzięła długą kąpiel, słuchając radia.

Ogoliła szczupłe nogi i pachy, jak zwykle co trzeci dzień. Umyła włosy, jak robiła to również co trzeci dzień, i pozwoliła im wyschnąć w sztucznej Afryce elektrycznego piecyka. Te obyczaje były jej własne. Kiedy była dzieckiem, matka myła jej włosy co dwa tygodnie.

Na zewnątrz gęsta mżawka przeszywała żółtą mgłę.

Na obiad przygotowała sobie kotlet jagnięcy i jedząc go pomyślała jakim ślicznym, puszystym stworzonkiem był za życia. Nie zrobiło jej się niedobrze, raczej smutno. W pewien sposób mięso smakowało jej bardziej, lubiła zwierzę, którym przedtem było, i żałowała je.

Kiedyś, jako nastolatka, próbowała zostać wegetarianką, ale przeleżała parę tygodni zgięta wół, wymiotując. Poddała się.

Matka naśmiewała się zarówno z jej wysiłków, jak i niepowodzenia. Zaciągnęła Rachaelę do półmiska z przypalonymi paluszkami rybnymi.

— Przestań się wygłupiać, do cholery.

Matka musiała wychowywać ją sama.

Za dużo myślała o zmarłej.

To nie bolało, ale niepokoiło.

Nigdy nie powiedziała matce do widzenia, na tym zapewne polegał problem. Wolność była spontaniczna. Może powinna była pocałować zabalsamowane ciało na pożegnanie, w brew, jak w tych rozczulających, staroświeckich horrorach. Zmumifikowane zwłoki nie przypominały jej matki. Coś się nie udało; dosyć duży brzuch uwydatniał się tak, że wyglądała przysadziście i matronowato, jak nigdy za życia. Róż na jej policzkach był pstrokaty. Nie martwa, tylko uśpiona — a jednak nie: zdecydowanie martwa.

Rachaela tęskniła za kotem, który siadał na brzegu wanny, od czasu do czasu ze zdumieniem bijąc łapą wodę, albo na stole, malowniczo upozowany, kiedy o coś ją prosił.

Może powinna znaleźć lepiej płatną pracę. Gdzie? Kto ją przyjmie bez doświadczenia? Miała dwadzieścia dziewięć lat. Może

powinnapracować w winiarni? Pomyślała o hałasie, o gwarze, stłuczonych kieliszkach i pijakach. Nie, w księgarni była bezpieczna. Miała za co kupić swój kotlet.

Westchnęła.

Przez zasłony widać było ustępującą mgłę. Za pasem zieleni widziała jaskrawy niedzielny autobus, ospale sunący na zachód.

W poniedziałkowy rano Rachaela szła przejrzeć szarą Lizard Street. Minęła czarne lwy. Weszła do budynku i podeszła do recepcji. Trzy minuty później była w szybkiej windzie, która zawiozła ją do samej czasy budynku.

Gdyby nie mgła, widać byłoby z okna księgarnię, przycupniętą pod brudnym dachem, pięć pięter niżej, maleńką z tej perspektywy.

Sekretarka pana Soamesa przywitała ją radośnie i od razu zaprowadziła do biura jak cenną klientkę.

Był to mroczny pokój pod szklaną kopułą, którego okna wychodziły na park. Nad drzewami wisiał ostatni, blady duch mgły. Zasłona zniknęła.

— Jestem — powiedziała Rachaela.

— Tak, w istocie. Cieszę się, że pani to przemyślała.

— Sprawa jest bardzo pilna, nieprawdaż? Pańska wizyta. Ten człowieczek w płaszczu i pilśniowym kapeluszu.

— Obawiam się, że nie wiem, o kim pani mówi — powiedział pan Soames gładko. Wcale nie miał oczu, tylko okulary. Zdominowały całą twarz. — Nie usiądzie pani?

Rachaela usiadła na skórzanym krześle. Nie uspokoiła jej myśl, że kiedyś było bykiem szarżującym przez wyschniętą łąkę. A może to tylko zręczna podróbka.

Usiadła ze splecionymi dłońmi i skrzyżowanymi nogami. Serce biło jej nieprzyjemnie, ale pan Soames wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego.

— Panno Day — przede wszystkim jestem przekonany, że pani nazwisko do niedawna brzmiało inaczej. Mam rację?

— Być może.

— Nie chciałbym tego podkreślać, ale moi klienci, państwo Simon, uważają to za sprawę zasadniczą. Pani matką była niejaka panna Smith.

A pani ojciec — no cóż, to się zdarza. Rachaela czekała.

Pan Soames nerwowo zacisnął ręce.

— Państwo Simon są spokrewnieni z pani ojcem. To kuzyni, jak sędzę.

Rachaela nadal czekała. Matka nigdy nie wspominała żadnych krewnych poza rodziną Scarabaidów, tajemniczą i artystyczną, złowieszczą. Mieszkali gdzieś z dala od miasta, nieosiągalni, wszechwładni. *Nie został ze mną, bo nie chcieli dać mi spokoju.* To oczywiście nieprawda: nie został z nią, ponieważ poczęła Rachaelę. Dziwne, że nigdy nie rzuciła jej tego w twarz. Jakoś nie umiała się na to zdobyć.

— I po tak długim czasie mają nadzieję, że zechce ich pani odwiedzić.

Była innego zdania.

— Odwiedzić? Tych Simonów?

— Właśnie tak. Muszę pani powiedzieć, panno Day, że to bardzo majątna rodzina.

— Czy Simon to prawdziwe nazwisko?

— Tak, panno Day.

— Wobec tego nie rozumiem, co mają ze mną wspólnego.

— Może zgodzi się pani z nimi spotkać. Wówczas się pani dowie. Tak jak mówiłem, gotowi są pokryć koszty podróży.

Nie słuchała i nie wiedziała, dokąd ma jechać.

— Wydaje mi się to bardzo szczególne. Podejrzane. Pan Soames kazał sobie przynieść akta.

— Pokażę pani korespondencję, panno Day.

Nie chciała jej oglądać. Nie była ciekawa. Czuła się zagrożona.

Z pewnością nazywali się inaczej, Bóg wie gdzie mieszkali i dlaczego chcieli ją znaleźć. To bez sensu, ten zbieg okoliczności z firmą prawniczą po sąsiedzku. Chyba że, oczywiście, wytropili ją wcześniej, a potem zawarli umowę z „Lane i Soames”, żeby nadać swoim poczynaniom pozory prawości i odpowiedni charakter. Łatwo ją przydybać, skoro pracuje tuż obok — idealna sytuacja. A ten drugi to ich agent.

Weszła rozpromieniona sekretarka o wiśniowych szponach, niosąc

akta. Kołysała się, jakby była na haju.

— Czy nazwisko — zapytała Rachaela — na pewno nie brzmi Scarabaidzi?

Soames nie drgnął, nie mrugnął okiem. Był nieprzenikniony, odrobinę rozdrażniony.— Nazwisko, które mi podano, to Simon, panno Day. Otworzył przed nią akta i pokazał obfitą korespondencję, mnóstwo długich arkuszy ze starannie zaznaczonymi datami i kilkoma maszynowymi błędami oraz odręczne listy na pozbawionym wszelkich oznaczeń papierze. Rachaela nigdy nie umiała czytać odręcznych listów. Zapewne odrzucała ją intymność. Patrzyła na niemożliwy do rozszyfrowania adres na zapisanych kartkach i uniosła brwi, usiłując przywołać na twarz wyraz rozsądnej koncentracji. Nie reagowała tak, jak tego oczekiwał. Czuła się osaczona. Wyimaginowany lampart krążył po pokoju.

Zawsze bała się tych ludzi, myślała, że pewnego dnia po nią sięgną. Dlaczego ta myśl była tak straszna, tak przerażająca? Matka nieustannie ich oczerniała, ale chyba nic nie wiedziała. Byli cieniami wyglądającymi zza pleców jej kochanka. Wygodnie było obarczyć ich winą za jego odejście. Dziecku musiała opowiadać koszmarnie historie, teraz zbyt głęboko ukryte i zakopane, aby wyjść na światło dzienne, ale wyrte jak czarne freski w podświadomości Rachaeli. Bała się klanu Scarabaidów.

— Nie, panie Soames. Bardzo mi przykro. Nie wydaje mi się aby pańscy klienci byli uczciwi ani wobec pana, ani wobec mnie. Jeśli są krewnymi mojego ojca, nie mają żadnego powodu, żeby się mną interesować. Nigdy go nie znałam. Nie mogę im pomóc. To wszystko, co miałam do powiedzenia. — Rachaela wstała. — Mam nadzieję, że nie będę już niepokoiona.

— Przykro mi, że tak pani na to patrzy, panno Day. Był opanowany, choć poirytowany. Przegrał.

Rachaela wyszła i minęła sekretarkę, która rozplynęła się w przerażająco sztucznym uśmiechu: sama szminka i zęby.

Winda zjechała na dół.

Na zewnątrz padało.

Muszę się z tego otrząsnąć, pomyślała. Ale nie mogła. Lampart, niewidoczny tak w świetle, jak i w mroku, deptał jej po piętach.



— Spóźniłaś się, Rachaelo — powiedział pan Gerard. — Trzy kwadranse. To za wiele. Miałem klientów, dziesięć osób. Gdzie byłaś?

— Poszłam do „Lane i Soames”.

— Coś się urodziło? — zawołał pan Gerard.

Rachaela nie znosiła tego wyrażenia, ale nie spodziewała się po nim niczego lepszego.

— Zaszła jakaś pomyłka — odparła. — Ci ludzie nie mają ze mną nic wspólnego.

— Co za szkoda. Takie już masz szczęście.

W tym tygodniu Rachaela jak zwykle kursowała między księgarnią a mieszkaniem, robiła niewielkie zakupy, jadała w małym barze przekąskowym. Raz poszła do kina, żeby obejrzeć kolorowy, okrutny film, który ją znudził. Kupiła trzy książki, szampon, pastę do zębów, pomarańcze, a mimo wszystko prześladował ją zapach lamparta. Ciągle tu był.

Czuła zaciskającą się pętlę, napiętą jak struna gitary.

Nie mogła skupić się na muzyce. Hałasy dobiegające z sąsiednich mieszkań irytowały ją. Pewnej nocy impreza trwała do czwartej nad ranem, leżała nie mogąc zasnąć ani czytać, wyrazy skakały jej przed oczami, gubiła sens zdania.

W księgarni zaczęło ją złościć każde wejście kolejnego klienta. Spodziewała się mężczyzny w płaszczu, głupca z agencji, albo nawet samego Soamesa osobiście. Z jakiegoś powodu nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo z okropnej rodziny Scarabaidów. Nie, oni prowadzili swoje interesy na odległość. Z tego nieznanego kraju, którego nazwa wypisana była tak nieczytelnie na białym papierze.

Czekam na coś więcej? — zapytała samą siebie.

Ale co? Co mogło się stać? Odmówiła. Sprawa skończona.

W piątek rano znalazła na zakurczonym stoliku list do siebie, jedną z sześciu identycznych kopert od gospodarza. Kiedy go otworzyła, dowiedziała się, że ulica ma być poszerzana czy odnawiana, a może wyrócona do góry nogami w jakiś inny sposób. I że w ciągu sześciu miesięcy musi sobie znaleźć inne mieszkanie.

Nie pomyślała, że to zbieg okoliczności czy też przeznaczenie. Poczwała jak zalewa ją fala strachu. Stała tak, z bladymi dłońmi

splecionymi pod bladą twarzą. Przeraziły ją komplikacje, nie sama strata.

Potem poszła do pracy, jak zwykle spóźniona, bo nie zdążyła na autobus, i pan Gerard wciągnął ją do zatęchłego pokoju na zapleczu.

— Rachaelo, przykro mi, ale będę musiał cię zwolnić. Prawie się roześmiała. Rozśmieszyła ją zbieżność niepowodzeń.— Nie myśl, że ma to coś wspólnego z twoim, no cóż, dosyć nagminnym spóźnianiem. Pracowało nam się razem całkiem nieźle. Problem w tym, że ten sklep nie przynosi zysków. Trochę o tym myślałem. Wczoraj widziałem się ze starym księgowym. Nie mogę zrobić nic innego.

Na pocieszenie poczęstował ją ciasteczkami. Wzięła przez grzeczność.

Wyobraziła sobie jak wysłannik lamparta podchodzi do pana Gerarda, grożąc mu połyskliwym nożem. Pomyślała, że agenci zabrali się też do jej gospodarza.

Ugryzła ciastko i przełknęła je. Było bez smaku.

— Zostań do końca tego miesiąca. Zresztą i tak dam ci miesięczną odprawę. Zdaję sobie sprawę, że to dosyć dużo. Byłaś tu przez rok, prawda? Będzie mi cię brakowało.

Wiedziała, że kłamał, w gruncie rzeczy był szczęśliwy, że przytarł jej nosa. Za wszystkie te razy, kiedy chciał czegoś się o niej dowiedzieć, a ona mu nie pozwalała. Wszystkie jego żarty, z których się nie śmiała, wszystkie zmyślane przez niego fale klientów, z którymi się minęła przez spóźnienia. Za to, że nigdy nie przeproszała.

Cieszył się, że ma ją z głowy.

Ale co ona miała zrobić?

Wiedziała co. To zupełnie oczywiste. Lampart siedział i czekał na nią, jego kontur czarny jak atrament spowijały mrok i mgła.

Wzięła do ręki kruchą, rozsypującą się książkę, martwą czarną ćmę. Otworzyła ją i przeczytała: „Jej serce zabiło mocniej na myśl o rychłym ponownym spotkaniu”. Zadrzała. To było nieuniknione, od samego początku. Będzie musiała się poddać.

Nikt z pozostałych mieszkańców nie porozumiał się z Rachaelą w sprawie rozwiązania umowy o mieszkanie. Może było im wszystko jedno. Dwa z mieszkań regularnie zmieniali właścicieli, nawet entuzjasta rocka rezydował tu tylko kilka miesięcy. Przedtem unikała

kontakty z nimi wszystkimi. Zapewne okażą się bezradni wobec biurokracji nie mniej niż ona.

Przyszła do pracy na czas i nie przeciągała lunchu. Była skrupulatna.

Pan Gerard posadził ją za kasą. Wyszedł z ukrycia, żeby obsłużyć klientów, przywyknąć do tego. Nie telefonował już, ale jadł ogromne ilości herbatników. Kiedy koniec miesiąca przybliżył się o kolejny tydzień, pan Gerard zaczął robić wrażenie zakłopotanego. Opowiadał okropne żarciki i prosił czasem Rachaelę, żeby pozamiatała, czym się dotychczas nie zajmował. Nie wysyłał jej natomiast po kanapki, tylko żuł kawałki chleba i pikli.

Nie lubiła jego bliskości. Rzadko bywała teraz sama w sklepie. Zaczęła tęsknić za tym, żeby wreszcie stąd odejść.

Będzie musiała poszukać nowej pracy. Najlepiej przez którąś z agencji. Byli tacy elegancy i swobodni. Nie znosiła ich.

Lało jak z cebra, kiedy szybkim krokiem szła przez błonia. O mało nie zderzyła się z mężczyzną w płaszczu i pilśniowym kapeluszu.

— Panno Day, poproszono mnie, abym oddał to pani do rąk własnych.

Wzięła kopertę. Była zaadresowana na maszynie. Stali naprzeciw siebie w ulewnym deszczu. Oboje byli zwierzętami dżungli, mogli ignorować ulewę.

- Nie chcę tego.
- Musi pani wziąć ten list. Przeczytać.
- Myślałam, że to się skończyło.
- Proszę, panno Day.
- W porządku. Dobrze.

Odeszła z listem. Deszcz lśnił na jej cudownych włosach jak okruchy potłuczonego szkła.

W holu wzdrygnęła się z cichym pomrukiem irytacji. Zamknięte zewnętrzne drzwi odgradzały ją od świata. Demon został za nimi.

Ktoś z lokatorów tupiąc schodził po schodach. Dziewczyna w czerwonym płaszczu. Rachaela zastanowiła się czy nie zatrzymać jej i nie porozmawiać o upadku ich domu. Ale dziewczyna wyglądała nierealnie, jak gdyby zaledwie istniała. Owalna twarz, gładka, bez żadnej zmarszczki czy wyrazu, który wskazywałby na to, że żyje. Rachaela

zaczekała aż ją minie i otworzyła drzwi mieszkania.

Światło było dziwaczne, zielonkawe i jakby naelektryzowane od deszczu. Ściany zatańczyły. Tęskniła za ciepłym, krągłym ciałem kota, które by ją obudziło z letargu. Za przytuleniem policzka do ciemnoszarego dymnego futra, pachnącego ziołami i życiem. Ale kota nie było, tylko duch, wytwór zmęczonego wzroku został, żeby ją straszyć. Rachaela zdjęła płaszcz i powiesiła go. Ściągnęła buty. Usiadła na brzegu krzesła i rozcięła kopertę brązowym nożem do papieru przypominającym sztylet.

Był to gruby biały papier.

List był napisany na maszynie, jak gdyby wiedzieli, że nie może przeczytać ich pisma, albo nie będzie chciała tego zrobić. Nie było szansy, żeby coś przeoczyć. Był zbyt krótki, aby można go było zignorować.

„Droga panno Smith!

Teraz wie już Pani, że odnaleźliśmy Panią i bardzo zależy nam na spotkaniu. Proszę dać nam tę szansę. Matka Pani wiedziała bardzo niewiele o naszej rodzinie, a Ojciec, o czym jesteśmy doskonale poinformowani, porzucił Panią. Prosimy dać nam szansę i upomnieć się o swoje prawa. Powiązania rodzinne są skomplikowane i nie będziemy ich tu wyjaśniać. Mamy nadzieję przedstawić Pani wszystko osobiście w najbliższej przyszłości.

Nasze nazwisko brzmi oczywiście nie tak, jak podał to prawnik, ale, jak się Pani słusznie domyśliła, Scarabaidzi. Jest to nazwisko, do którego Pani także ma prawa.

Jak poinformuje Panią pan Soames, wszelkie wydatki związane z podróżą albo załatwieniem Pani spraw zostaną poniesione przez nas.

Pozostajemy z nadzieją, że wkrótce Panią zobaczymy".

Pod listem widniał wyraźny podpis: Scarabaidzi. Żadnego inicjału. Dynamiczny, zbiorowy rzeczownik, który nic nie mówił.

Nie było adresu, w nagłówku znajdowało się tylko pojedyncze słowo „Dom” i data.

Rachaela odruchowo spojrzała w stronę wyłączonego elektrycznego kominka. Jej pierwszym impulsem było spalić list.

Zamiast tego siedziała trzymając go w rękach przez trzy kwadransy, w

lodowatym mieszkaniu, podczas gdy deszcz tańczył rozmywając mury i okna.

— Tak, zmieniłam zdanie.

— Jestem doprawdy uszczęśliwiony, panno Day — rozpromienił się Soames. — Jestem przekonany, że podjęła pani mądrą decyzję. Kiedy Rachaela skończyła rozmawiać, zadzwoniła do pana Gerarda.

— Przepraszam, ale nie wrócę już do pracy w tym miesiącu.

— O, to niezbyt fair.

— Zwolnił mnie pan. Co to za różnica?

Pan Gerard zaczął drobiazgowo wyjaśniać różnicę podniesionym głosem. Rachaela odłożyła słuchawkę. Cztery dni później przyszedł czek. Nie zapłacił jej za kolejny miesiąc, nie dał też ani pensa za dni po piątku, kiedy to przerwała pracę. Będzie teraz musiał radzić sobie sam z sobotnimi falami klientów.

Płatała się po pokojach, sprząając je po raz ostatni. Jeśli wróci, domu już nie będzie. Będzie musiała przechować gdzieś meble, Scarabaidzi pokryją koszty.

Z każdym dniem mieszkanie coraz bardziej przypominało jej więzienie. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko zabrać się do pakowania dwóch nowych walizek. Zapakowała niepotrzebne ubrania, żeby je odnieść dla biednych. Jej rośliny poumierały, nie powinna niczego hodować. Kot zdechł. Nie miała przyjaciół. Nikogo, z kim można by się pożegnać. Wysłała nowy adres gospodarzowi, ale pewnie to zlekceważy. Zresztą adres był surrealistyczny, może nawet wymyślony. Adres miejsca, które nie istniało.

Nie dopilnowała wielu spraw, obiecała sobie, że załatwi je po powrocie.

Ale czy powrót miał w ogóle nastąpić? Przeraziła ją cała ta podróż ze wszystkimi niespodziankami i niewiadomymi.

Wydawało jej się, że widziała na błoniach przed domem agenta w pilśniowym kapeluszu, kryjącego się wśród mokrych drzew. Ale mogła to być halucynacja.

Miała nadzieję, że widmo kota zniknie z pokojów po jej wyjeździe. Ta myśl przywodziła ją do płaczu, więc płakała, ale nigdy zbyt długo.

W łóżku, przed snem, opadała w emocjonalno-seksualne fantazje z

dzieciństwa. Wyobrażała sobie nie do końca sprecyzowane przygody i mężczyzn prawie pozbawionych twarzy, wysokich i ciemnowłosych. W rzeczywistości nigdy ich nie spotkała, chociaż od czasu do czasu, przez chwilę, na rogu ulicy czy w drugim końcu pokoju, wychwytywała kątem oka ulotny obraz, który rozmywał się, gdy skupiała na nim wzrok.

Zacząło się to po śmierci matki — kiedy Rachaela miała dwadzieścia pięć lat. — Wydawało jej się, że jest za stara na te sny, mgliste i niewyraźne, powracające i zarazem niepodobne. Spotkania podczas burzy, wśród mgły, na zboczach gór, pod drzewami... Odpychała je od siebie. Od czasu do czasu mogły je przywołać książka lub film, ale starała się do tego nie dopuszczać.

Teraz jej imaginacje dotyczyły miejsca, do którego się wybierała. Myślała o nim z przerażeniem. Było jak bagno i wciągało ją do środka.

---

## 2

---

Po długotrwałej, wielogodzinnej podróży pasażerka była jak zahipnotyzowana. Jej ciało, wciąż jeszcze kołyszące się w rytm huśtania pociągu, ze zdumieniem powitało bezruch. Stała przed maleńką, zapuszczoną stacyjką pośród zimowego ścierniska. Ziemia zlewała się z niebem. Wielkie chmury i zarysy wzgórz przypominały pejzaż Turnera. Ani śladu słońca. Zmierzch zwyciężał.

Asfaltową szosą zbliżała się do niej płowa cortina. W opustoszałym krajobrazie dziewczyna i samochód wyglądali jak przeznaczeni dla siebie.

Cortina zaparkowała przed stacją, na podjeździe porośniętym trawą i chwastami. Szyba odsunęła się.

— Panna Smith?

Kierowca mówił z nieokreślonym obcym akcentem.

— Tak.

Drzwi otworzyły się i szofer wysiadł grzecznie, żeby włożyć do bagażnika dwie walizki. Kosztowało go to trochę wysiłku. Były pełne książek, nie ubrań.

— Na wakacje? — zagadnął.

— Nie — odparła chłodno Rachaela, ucinając rozmowę.

Nie był miejskim kierowcą, więc nie zmuszał impertynencko do Pogawędki. Umilkł, otwierając drzwi od strony pasażera. Rachaela wsiadła. Kiedy samochód ruszył, poczuła ulgę. Jej ciało tak bardzo przywykło do ruchu, że tylko w podróży czuła się komfortowo.

W samochodzie panował zaduch i wilgoć, mimo to zapadła w fotel, marząc o zamknięciu oczu. Obecność obcego szofera oznaczała jednak, że powinna być czujna. Patrzyła na bladooliwkową wiejską zieleń, ciągnącą się wzdłuż drogi. Czasem urozmaicały ją łaty lasu i niecki pól

w kolorze tytoniu, niekiedy kamienny wiejski dom albo wiekowy garaż, od którego odpadł zardzewiały sztyld.

Kierowca nie odzywał się przez dłuższy czas. Wreszcie powiedział łagodnie:

- Nie znam zbyt dobrze tych okolic. Wie pani, gdzie to jest?
- Obawiam się, że nie.
- Zatem będę musiał zaryzykować. Pan Simon przysłał mi mapkę.

Może się przyda.

Wyobraziła sobie, że szofer zostawia ją w tej głuszy i odjeżdża swoim zdezelowanym samochodem. Do elektrycznego kominka, zacisznego domku zaśmieconego przez dziecinne zabawki, do kanapek z wołowiną na kolację, ciepłej żony i dwójki ruchliwych dzieciaków. Martwi się pewnie tylko hipoteką, dodatkowymi godzinami pracy, ale ma troskliwą żonę, do której może wracać, miłość i jej prokreacyjne rezultaty. Przez chwilę była zazdrosna, dziko, wściekle zazdrosna o tę pozbawioną problemów normalność.

*A kim ja jestem? Jak wobec tego widzę siebie?*

Miała wizję ćmy szamocącej się w mroku, jelenia przemykającego między złowrogimi cieniami. Dramatyczną, przerażająco wyraźną. Nie dla niej był ciepły kominek. Dokąd zmierzała? Dokąd wiózł ją ten zmieszany, niepewny kierowca? Bagno rozstąpiło się. Rachaela zdrętwiała i poczuła, że palce ma zaciśnięte na miękkiej, czarnej torbie, dawno już znoszonej. Na tę myśl załała ją lekka fala mdłości, jak nieraz w ciągu ostatnich dni. W końcu to przygoda. Może dobrze, że się boi. Scarabaidzi.

Nad płaszczyznami pól zobaczyła nagle jak słońce, blade i mgliste, opada w zachodnie doliny.

Wyrosły przed nią wzgórza, niektóre w białych kredowych maskach, przypominających głowy upiornych zwierząt uśmiechających się, chichoczących, wykrzywionych, z dziurami zamiast oczu.

Drzewapłożyły się po skale. Bluszcz porastał ziemię i stare, spękane mury. Kiedyś były tu domy. Teraz nic. Wszystko przeminęło.

— Opuszczone miejsce — rzucił szofer, jeszcze raz przerywając milczenie Rachaeli. Wystraszył ją. — Zaraz zobaczymy zatokę.

Ta zapowiedź wyrwała ją z zamyślenia.



Nie wiedziała, że zbliżali się do wybrzeża. Była obojętna na wszystko. Cały świat był dla niej tajemnicą, jak obce nazwy i języki słyszane w radio.

Wkrótce pan Gerard zamknie sklep na Lizard Street. Autobusy przemkną po ulicach. Na innej planecie. Stracone bezpowrotnie.

Kilka mew przecięło niebo.

Droga biegła w górę i opadała; nagle wzgórza rozstały się i ukazała się szara powierzchnia oceanu, migocząca jak rybia łuska. Biały pocisk piany wystrzelił spod powierzchni. Serce Rachaeli uniosło się wraz z nim i opadło, znużone i wylęknione. Morze jej nie uspokoiło.

Jechali nad wodą. Czasem pojawiał się pas pofałdowanej plaży. W pewnej chwili zobaczyła na horyzoncie wielki tankowiec płynący powoli, niczym dinozaur.

— Teraz musimy skręcić w boczną drogę, jeśli dobrze czytam tę mapę.

Po raz kolejny głos kierowcy wprowadził ją w zdenerwowanie.

— Skręcić — powtórzyła bezwiednie. Ale tym razem on nie zdradzał ochoty do rozmowy.

Rzeczywiście po lewej stronie pojawił się zakręt. Droga biegła zakolami wzdłuż szerokiego nasypu porośniętego drzewami. Czarne sosny podobne do bajkowego lasu w miniaturze. Jechali od strony morza i konary drzew tworzyły nad nimi cienisty tunel. Gałęzie zaczepnie smagały boki samochodu. Droga była marna, wyboista, żwir przyskał spod kół niczym łuski z karabinu.

— Zedrę sobie opony — zauważył szofer. Rachaela nie powiedziała, że jej przykro.

— Nikt mnie nie uprzedził, że będzie aż tak źle — odezwał się znowu.

Skręcili w las. Pod drzewami zalegał gęsty mrok. Błysk słońca przedarł się jeszcze na chwilę i zniknął.

Droga skręcała gwałtownie i kończyła się u stóp kamienistego wzgórza. Było ciemno, drzewa zgromadziły się wokół, jakby nasłuchując. Cortina stanęła. W ciszy rozbrzmiał świergot i gwizd ptaków, dziwny, dziewiczy dźwięk.

— Proszę tu spojrzeć.

Rachaela podniosła wzrok i zobaczyła kamienny słupek. Widniało na nim jedno słowo: „Dom”. Nic więcej, nawet strzałki.

— To musi być na samym szczycie skarpy — szofer odwrócił się do niej i wyszczerzył zęby ukazując w końcu, tak jak przeczuwała, nieprzyjazną twarz. — Nie mogę tam wjechać. Nie ma drogi. Będzie pani musiała iść na piechotę.

Poszli do bagażnika i wyciągnął dwie ciężkie walizki.

— Da sobie pani radę? — zapytał niechętnie dla formalności.

— Ile jestem panu winna? — zapytała Rachaela.

— Już o to zadbano. Simonowie mają swój rachunek. Nie wiem dlaczego nigdy, aż do dziś, nie używali samochodu. Po raz pierwszy ktoś z nas tu przyjechał. Niech pani idzie ostrożnie.

Od kamiennego słupka pod górę prowadziło coś na kształt ścieżki, poprzecinanej sterczącymi korzeniami i usianej sosnowymi szpilkami. Zimą, kiedy poszycie było grubsze, robiła się pewnie niewidoczna.

Rachaela w ciemności ruszyła przed siebie. Usłyszała dźwięk uruchamianego silnika i odgłos samochodu zawracającego na kamienistej drodze. Nie obejrzała się.

Walizki były ciężkie jak ołów, ale zawierały wszystko, co jej było niezbędne. Dźwignęła je z wysiłkiem.

Była znużona, a strach pogłębiał wyczerpanie. Może dom nie istniał, jak w połowie jej snów na jawie?

Zostawiła w dole sosny, cedry i potężne dęby o omszałych, oliwkowo lśniących pniach, przypominających masywne filary podtrzymujące koronę podobną do okna o nieprzezroczystych szybach. Światło było zbyt wątłe, by stawić czoło ciemności.

W miejscu takim jak to pomiędzy drzew coś mogło na nią wyskoczyć.

Ścieżka gwałtownym zakrętem wyprowadziła ją z lasu.

Była wysoko. Słyszała szum morza.

Wokół panował półmrok, słońce zapadło w głąb. Niebo zamykało się. Zobaczyła dwie gwiazdy, a w oddali, na otwartej przestrzeni przed sobą, budynek.

Ujrzała wieżę ze stożkowatym dachem, blanki i pochyle mury. Ostatni promień światła rozniecił tajemniczy blask w wąskich oknach.

Dom był ogromny i o zmierzchu wyglądał jak kamienna roślina. Za budynkiem urywało się zbocze. W dole morze biło o skały i krzyczały mewy, a może cisza.

Tutaj? Miała ich spotkać tutaj? Kogo spotkać?

Oslabiona wysiłkiem, postawiła walizki jak dwie sztaby ołowiu.

Musi pokonać nieokreślony dystans między nią a domem. Musi zadzwonić albo zastukać jakąś prymitywną kołatką, a wtedy jedno z nich zapewne przyjdzie, a ona wejdzie do środka i zobaczy ich wreszcie.

Zimno było na tym cyplu. Teraz widziała już siedem, może osiem gwiazd, migoczących lodowatym, bladym, ostrym światłem, jakby były z cynfolii.

Podniosła walizki i ból przeszył jej ramiona. Ruszyła w stronę domu, potykając się trochę na kamieniach i kępach zimowej trawy.

Dom przybliżył się, dryfując poprzez granatowy zmierzch.

Dotarła do ogrodzenia. W murze była wyrwa ze słupkami po obu stronach. Ani śladu furtki. Droga stała otworem, choć niekoniecznie zapraszała do wejścia.

W górze, ponad wysokim tłumem ogrodowych drzew, zabłysło światło.

Rachaela popatrzyła w tamtą stronę. Światło było słabe, ale okno zmieniło się w owoc z barwnego szkła: przejrzyste szkarłaty, intensywne purpury i adamszkową zieleń.

Czego zapowiedzią było to okno? Co obiecywało?

Nie wyglądało to na powitanie.

Od ogrodzenia do domu wiodła prosta droga. Po obu stronach rosły wiekowe cisy, cmentarne drzewa, w których czaiła się ciemność.

Także dom, poza tym jedynym oświetlonym oknem, był pozbawiony wyrazu i mroczny.

Ukazał się ganek. Inkrustowane, hebanowe drewno ponad pięcioma niskimi stopniami o niewyraźnym wzorze. Weszła na schody. Żadnego światła nad drzwiami. Solidna drewniana framuga. Nie było też dzwonka. Rachaela poszukała jakiejś kołatki, czegokolwiek, co pozwoliłoby jej zasygnalizować swoją obecność.

Ale dom stał otworem mimo pustej przestrzeni, nocy i drzew. Jeszcze raz postawiła walizki i, wciąż nie dowierzając, pchnęła drzwi —

ustąpiły.

Dostrzegła w ciemności mglisty wzór pokrywający białą terakotę. Za pierwszymi znajdowały się drugie drzwi. Stopniowo wyłowiła z mroku staroświecką gałkę; klamka przekręciła się, kiedy wzięła ją do ręki. Wewnętrzne wejście także było otwarte. Zarejestrowała tłący się, czerwony blask, tak mglisty, tak nieuchwytny jak błysk gasnącej świecy.

Musi iść w stronę tego wąskiego światła. Albo zostać na dole, w zimnej i rozszepanej ciemności.

Za drugimi drzwiami znajdowała się ogromna, otwarta podłużna przestrzeń — hol albo przedpokój o podłodze z rdzawych i czarnych marmurowych płytek. Był obszerny jak wielka komnata i mnóstwo tu było cieni, które mogły być wszystkim — schodami, przejściami, przyczajonymi niedźwiedziami.

Na mahoniowym stole przyprószonym mechem kurzu płonęła rubinowa lampa oliwna z mocno przykręconym knotem, podczas gdy z sufitu zwieszał się żyrandol podobny do płatka śniegu. Przezroczyste pajęczyny oplatały kryształki żyrandola, który kołysał się łagodnie w przeciągu w tę i z powrotem. Promienie padające z czerwonej lampy załamywały się w nim jak krople czerwonego atramentu.

Rachaela czuła woń domu, jego wilgotnych piwnic, ale wyczuwała też zapach oleju, zwierzęcego futra, ziół i pudru, trudne do odgadnięcia subtelności.

Zaciągnęła swoje walizki do holu i odwróciła się, żeby zamknąć wewnętrzne drzwi.

— Proszę zostawić otwarte — powiedział bezbarwny głos. Szybko spojrzała w jego stronę. Drobną, szczupłą postać; starszy mężczyzna, lekko zgarbiony. Stał z dala od lampy.

— Drzwi zawsze zostają lekko uchylone po zmierzchu.

Ten dziwny zwyczaj zdenerwował Rachaelę, ale nie wyraziła sprzeciwu. Zatrzymała się przy swoich walizkach, czekając na to, co będzie dalej.

— Przyślę kogoś po pani torby. Czy zechce pani zobaczyć pokój?

— Kim pan jest? — zapytała.

Wyglądał jak manekin w znoszonym, wiekowym stroju, miał drobną

bladą twarz z kleksami w miejsce oczu.

- Nazywam się Michael. Służę rodzinie.
- I znasz mnie? Kto jeszcze wynurzy się z mroku?
- Pani jest panną Rachaelą.
- A... rodzina? — zapytała zaciskając dłonie.
- Panna Anna i pan Stephan zaraz zejdą, żeby panią powitać.

Bezbarwny, cichy głos i wypowiedziane nim słowa nie uspokoiły Rachaeli.

Kiedy mężczyzna podniósł migoczącą lampę, cienie uleciały, a ściany zachwiały się z lekka. Światło wydobyło na chwilę wspaniałe zdobienia, które niemal natychmiast zniknęły.

Z prawej strony wyłoniły się schody. Rachaelą popatrzyła na nie zdumiona. Głównego słupka strzegła drewniana nimfa, dzierżąc wysoko w dłoni ozdobną lampę. Schody biegły w górę, wyściełane perskim chodnikiem; światło czyniło jego czerwień jeszcze bardziej nasyconą.

Weszli na górę w magicznej aureoli lampy.

Rachaelą naliczyła dwadzieścia dwa stopnie. Ciemność za jej plecami połykała kolejne schody. Tylko na zyrandolu wśród kurzu połyskiwały czerwone krople.

Było tu wyłożone dywanem półpiętro. Zobaczyła korytarz oświetlony kolejną oliwną lampą na postumencie. Ta była różowawobiała i nagle Rachaelą ujrzała przez sekundę twarz swojego przewodnika niczym kameę, cień na tle płomienia. Jego oczy były utkwione w jednym punkcie. Przysłaniała je charakterystyczna mgiełka, przypominająca pył na stole i innych meblach.

Skręcili w korytarz. Załamał się przy ogromnym oknie o oprawionych w ołów, witrażowych szybkach, z których spelzła farba ukazując ciemność nocy. Na ścianach znajdowały się dziwaczne rysunki.

Służący rodziny otworzył drzwi.

- To będzie pani pokój, panno Rachaelo.

Pokój, tak jak reszta domu, był gotycki. Zielony i błękitny. Lampka o szmaragdowej podstawie i przezroczystym kloszu płonęła na półce nad wykładanym zielonymi płytkami kominkiem. Ogień chciwie trawił stos drewna. Białe świece paliły się w kinkietach. Zauważyła, że było tu niewiele kurzu. Może odkurzyli dla niej, może zrobił to ten zgarbiony

służący.

Po drugiej stronie pokoju stało łóże z baldachimem, osłoniętebutelkowitzielonym aksamitem. Narzuta w kolorze indygo była odrzucona na bok, pod spodem zobaczyła poduszki: białe i bardzo czyste. Czyżby kupili specjalnie dla niej nową pościel?

Wyobraziła sobie te przygotowania. Wszystko zapowiadało się niezwykle i ekscytująco, jakby miała urodzić się na nowo.

Wyczuwała lekką woń wilgoci, ale górował nad nią delikatny swąd ognia z wysuszonego na pieprz drewna, podobny do zapachu pudru.

— Pani torby zostaną tu przyniesione. — Michael wskazał przejście. — Zielona łazienka jest tam. Mamy gorącą wodę.

— Dziękuję. — Oczywiście dom był tak stary, że mogło nie być takich luksusów. Chciała, żeby służący sobie poszedł. Pokój przytłoczył ją, ale na kilka cennych sekund mogła się w nim ukryć. — Kiedy panna...

— Panna Anna i pan Stephan wkrótce zejdą na dół.

— Jak ich znajdě?

— Pokoje na parterze będą oświetlone, panno Rachaelo. Służący wyszedł i drzwi zamknęły się. Opadła na nie kotara podobna do tej, która zasłaniała łóżko.

Za łóżkiem znajdowało się drugie okno — duże, smukłe, odsłonięte; ono także było pociemniałym witrażem. Rachaela przyjrzała się i zobaczyła podobną do pióra sylwetkę drzewa, dwie postaci. Będzie potrzebowała dziennego światła, żeby przekonać się, kto dotrzymywał jej tu towarzystwa.

Podeszła do ognia. Przyciągał ją. W dodatku ciężar podtrzymania go nie spadał na nią. Scarabaidzi mieli służbę.

Rachaela próbowała nacieszyć się ogniem.

Kafle kominka ozdabiały błękitne irysy. Dywan w pokoju był bardzo stary, chyba perski, w niebieskie i różowe rośliny i zielone ptaki.

W jednym czy dwóch miejscach zza świec błysnęło lustro ukryte w kolorowych, szklanych ozdobach. Ogromna stara toaletka podtrzymywała zwierciadło z bocznymi skrzydłami, którego powierzchnia była podobnie przysłonięta. Rachaela popatrzyła na siebie ponad żywopłotem z lilii, w dzikim zachodzie słońca, w promieniach i

łyś-nięciach, pociętą na fragmenty. Jakie to dziwaczne. Nieważne, i tak przywiozła ze sobą zwykle lustro.

Przez chwilę siedziała na łóżku, nasłuchując dalekiego odgłosu morza i tykania pary budzików, czarnego z dwoma aniołami na półce kominka i małej wieżyczki przy łóżku. Większy zegar powiedział jej, że jest siódma trzydzieści, podczas gdy wieżyczka wskazywała dziewiątą.

Rachaela zerknęła na swój zegarek ale, jak zwykle, zapomniała go nakręcić. Stała.

No cóż, musi się przygotować na spotkanie Stephana i Anny.

Nie mogła ich sobie wyobrazić.

Wstała i ruszyła w stronę oświetlonego lampami korytarza. Od razu znalazła łazienkę; była doskonałym tworem epoki, za który ludzie znani i bogaci zapłaciliby w mieście grube tysiące. Kolejna olejowa lampa oświetlała wannę z zielonego marmuru, marmurową umywalkę, wykończony drewnem klozet ozdobiony wieńcem zielonych stokrotek. Gorąca woda, którą tak chełpił się służący, pochodziła z gazowego piecyka. Śnieżnobiałe ręczniki konkurowały z miseczką i słoiczkiem z eau de Nil, i talerzem z suszonymi płatkami. Mydło także było zielone i pachniało kaprifolium. Nowe mydło, nowe ręczniki. Na kafelkach igrały nurkujące syreny.

Rachaela spojrzała w górę. Zobaczyła instalację elektryczną bez żarówki. Elektryczność przyszła tu kiedyś i odeszła.

Umyła twarz i ręce. Poczowała, że drży. W lustrze nad umywalką odbijała się morska scena z trzymasztowym statkiem. Zobaczyła swoje usta, oczy, czerń włosów.

Kiedy wróciła do pokoju, zauważyła, że jej torby pojawiły się bezszelestnie. Zmieniła bluzę, zdjęła botki i włożyła pantofle na wysokim obcasie. W wielkiej szafie ozdobionej mahoniowymi listwami i wieńcami, z których każdy przypieczętowany był grubą warstwą kurzu — widać służba nie była zbyt skrupulatna — powiesi potem swoje rzeczy. Nie lubiła mieć na sobie nic kolorowego, drażniło ją to. Ciekawe, że czarny, szary i kremowy, zwiędły bladozielony i niebieski zawsze pasowałyby do tego pokoju.

Znowu ogarnęło ją poczucie doniosłości jej przyjazdu tutaj, świadomość i c h podniecenia i nieodwołalności tego, co się stanie.

Przerażały ją te uczucia, ale było zbyt późno, żeby się bać. Przyszła do nich. Wpuścili ją do swojego domu.

Upudrowała twarz i obrysowała oczy czarną kredką.

Szczotkując włosy podeszła do drzwi. I zatrzymała się.

Nie słyszała skrzypienia schodów, ale teraz ktoś chodził po korytarzu. Był to szczególny, rytmiczny i nierówny krok. Potem usłyszała głos, wysoki i rozdrażniony:— Wio, wio!

Rachaela wyobraziła sobie dziecko udające, że jedzie konno. Stare dziecko hasające w tę i z powrotem.

Usłyszała ciche szuranie. Potem koń cofnął się.

— Dalej, wio! — oddalił się galopując. Rachaela gwałtownie otworzyła drzwi.

Czarny cień bryknął u wylotu korytarza i zniknął z pola widzenia.

Coś leżało przy drzwiach.

Rachaela pochyliła się i dotknęła palcem futerka ślicznej myszy o długim ogonie. Była martwa. Na jej ciałku ktoś zawiązał różową kokardę ze spłowiałego jedwabiu.

Rachaela podniosła tak opakowany prezent.

Trzymała mysz w dłoni. Nie zdenerwowało jej to. Była mięciutka i żalonna, piękna jak śmiertelna zabawka. Położyła ją na toalecie, wzięła torebkę i wyszła z pokoju.

Na dole wszędzie zakwitły lampy i świece. Zobaczyła drzwi w korytarzu, jedne z czarnymi żelaznymi okuciami, jak drzwi zamku. Płonące refleksy pływały po marmurowej podłodze.

Łukowate wejście prowadziło do salonu, komnaty o olbrzymich rozmiarach, pełnej pięknych, ponurych mebli i koronkowych firanek kurzu. Scarabaidzi żyli na pustyni pełnej pyłu, odkurzając tylko wtedy, gdy było to niezbędne, bo stół lśnił niczym czarne jezioro.

Ogień wypełniał wnętrze białego marmurowego kominka obrzeżonego kolumienkami i herbowymi tarczami.

W pokoju nie było nikogo, był pełen oczekiwania.

Rachaela poczuła jak pokój wchłania ją, zamyka się nad jej głową. Szum morza wydawał się głośniejszy.

Przynajmniej jeden z nich musi być chory umysłowo, tajemniczy jeździec, ofiarodawca zdechłej myszy. To był męski głos. Starczy,



wysoki, ale męski. Czy to pan Stephan przegalopował obok jej drzwi?

Wszedł Michael, służący Scarabaidów, ze srebrną tacą. Połyskiwały na niej butelki i karafki. Postawił ją na odkurzonej jeziorze stołu. Rachaeli przypominała się reklama jakiegoś drogiego trunku. Teraz przez łukowato sklepione wejście wejdzie dwoje eleganckich, dobrze ubranych ludzi.

— Czy mogę coś pani podać, panno Rachaelo?

Poprosiła o wino i kieliszek został napełniony. Kryształ był piękny, wino przezroczyste.

Rachaela wypić z przyjemnością, a trunek poszedł jej do głowy. Zelektryzowała ją czyjaś obecność za plecami.

Przez któreś z drzwi, albo po prostu z powietrza zmaterializowały się dwie postacie.

Stali ramię w ramię.

Byli bardzo starzy, wychudzeni, kobieta i mężczyzna. Mimo iż w tym wieku trudno już odróżnić płeć, oni utrzymali różnicę. Włosy kobiety były szare jak metal, z którego robi się broń, i zebrane na czubku głowy. Podtrzymywały je pozółkłe perłowe spinki. Jej stara czarna suknia, podobna do tych, które można znaleźć w drogich sklepach w mieście, sięgała za kolana. Buty były modne sto lat temu, ale teraz moda na nie wróciła. Mignął cekin. Jeden, drugi. Cała połyskiwała delikatnie, jak posypana cukrem.

Mężczyzna miał na sobie wiekowy smoking i znoszone spodnie. Jego koszula była nakrochmalona. Włosy gęste i białe jak metalowe opłki.

Oboje mieli szczupłe, upierścienione ręce.

Dwie stare kukły. Stali po drugiej stronie pokoju w blasku ognia, a ich oczy lśniły bystro. Oczy inteligentnych szczurów.

— To jest Rachaela — powiedział mężczyzna czystym głosem o nieskazitelnym, aktorskim akcencie, pozbawionym jakichkolwiek naleciałości, nawet tutejszych. To nie był nocny jeździec.

— Rzeczywiście — potwierdziła stara kobieta. — Rzeczywiście. Nie ruszyli się: nie zbliżyli ani nie cofnęli. Byli tak starzy, że absurdalne gesty młodych już ich nie obowiązywały.

— Jesteście zapewne panną Anną i panem Stephanem.

— Anną i Stephanem — poprawiła ją kobieta. Uśmiechnęła się i jej

twarz poruszyła się jak morze, warstwy pofałdowanej skóry zafalowały. Jej uśmiech był tylko maską.

Starzec powiedział:

— Jaka on grzeczna. Proszę, nie bądź z nami taka ceremonialna. Nie uśmiechnął się; rzeźbione, nieruchome zmarszczki na jego twarzy także przypominały maskę.

Wiek rozciągał się między nimi, spoglądali przezeń na wskroś migoczącymi, szurzymi oczami.— Później — dodała kobieta — poznasz wszystkich. Jednego po drugim. To tu, to tam. Nie ma pośpiechu.

— Jadamy razem, wiesz — rzekł starzec. Lubię jeść — dodał. — Mamy swoje godziny.

— Przywykniesz — powiedziała Anna. — Możesz robić to, na co masz ochotę. Teraz to twój dom.

— Nie — odparła Rachaela, zbyt szybko, zbyt gwałtownie. Nie zauważyli tego, albo zignorowali.

— Zaprosiliśmy cię — powiedział Stephan.

— Kto z was napisał do mnie ten list na maszynie?

— Och, nie, to żadne z nas — zaprzeczyła Anna. Rumieniec zalał jej twarz — to nie my.

— Wstrętne maszyny — skrzywił się Stephan i otrzepał ręce z okruchów maszyn do pisania.

— List — powtórzyła Rachaela.

— Nie kłopotz się listem. Teraz jesteś tutaj, wśród nas. Jesteśmy twoją rodziną, Rachaelo.

Wszedł służący i podszedł do tacy. Zostali w milczeniu obsłużeni. W migoczącym blasku ognia podał starcowi wąską szklankę wypełnioną czernią, a kobiecie naparstek płynu o barwie granatu.

— Wkrótce będzie posiłek. Michael skłonił się i wyszedł.

— Mam nadzieję, że będzie ci smakowało — rzekła Anna. — Jedzenie nie jest zbyt wyszukane, żyjemy z ziemi.

Podeszła do krzesła i usiadła. Starzec wciąż stał; nawet kiedy Rachaela usiadła, żeby on też mógł to zrobić, stał nadal. Podeszedł do zakurzonego stołu, gdzie znajdowała się szachownica zastawiona onyksowymi figurami. Przesunął jedną starannie i cofnął się.

— Muszę was zapytać — nalegała Rachaela — dlaczego mnie zaprosiliście? Zadaliście sobie trud, aby mnie odnaleźć. Do czego wam jestem potrzebna?

— Ależ oczywiście, że jesteś nam potrzebna. Nie tylko Stephanowi i mnie. Innym także. To dobrze, że zajmiesz miejsce między nami — powiedziała spokojnie Anna.

— Jest nas wiele — dodał Stephan. — Umówiliśmy się.

— Wszyscy się umówiliście, że muszę... muszę tu przyjechać?

— Oczywiście.

— Czekaliśmy parę lat. Na odpowiedni moment.

— Dlaczego — zapytała Rachaela — teraz jest odpowiedni moment?

— Na wszystko jest właściwa pora. Znać ją to sztuka — odparła Anna leciutko.

— Miriam i Erie, George i Peter, może także Sylvian chcieliby, żebyś przyjechała tu wcześniej — zamyślił się Stephan.

Rachaela wzdygnęła się, słysząc tyle imion. Czy było ich tak wielu, tych Scarabaidów?

— Ale chwila była zawsze nie ta — rzekła Anna. — Teraz w końcu nadeszła.

Przełknęła to, co miała w naparstku, jednym błyskawicznym haustem. Wstała i zaczęła iść przez pokój w stronę kotary przysłaniającej drzwi. Stephan powiedział: „będziemy jeść” i pospieszył za Anną.

Rachaela wstała. Podążyła za nimi jak grzeczne dziecko. Kiedy jeszcze nie było jej na świecie, tych dwoje od dawna rezydowało na ziemi, wiodąc Bóg wie jakie życie.

Rachaela nigdy przedtem nie jadła królika. Powiedzieli że pasztet jest z królika, zapytali czy jej to nie przeszkadza. Najpierw była czysta zupa pomidorowa. Michael i Cheta uprawiali warzywa, jak ją poinformowano. Starali się jak najbardziej uniezależnić od miasta.

Nie przeszkadzał jej królik, był smaczny, dość delikatny. Była ciekawa, kto polował — Michael z tymi dziwnie nieobecnyimi, wyglądającymi jak ślepe oczami?

Obsługiwała ich Cheta. Była żeńską wersją Michaela, ubraną w ciemną sukienkę z broszką przy kołnierzyku i buty na płaskich obcasach.

Jej szare włosy uczesane były w kok nisko na karku, jak gdyby dla podkreślenia podległości. Oczy miała takie same jak Michael.

Michael i Cheta byli starzy jak Stephan i Anna, ale ich starość była zakurzona, jakby rodem ze strychu.

Świece oświetlały długi stół z trzema tylko nakryciami. Nad nimi wisiał zepsuty żyrandol, w którym igrał blask paleniska. Na półce nad kominkiem stał złoty zegar. Nie tykał, zapewne zatrzymał się przed laty.

Jedzenie rzeczywiście było dość proste. Po pasztecie, podanym z marchewką i smażoną kapustą, wniesiono deser i kawałeczki owoców w alkoholu.

Potem przyniesiono tacę z serami i ciastka upieczone przez Chetę i tę drugą, jeszcze nie widzianą — Marię.

Jak spokrewnieni byli ze sobą Anna i Stephan? Czy mieli też coś wspólnego ze służącymi, bo we wszystkich twarzach można się było doszukać podobieństwa? Rachaela uznała ich za niepokojąco znajomych. Czy to oznaczało, że sama była do nich podobna?

Nie chciała zadawać tak intymnych pytań. Już i tak wiele ją kosztowało zadanie poprzednich. A oni nie odpowiedzieli — albo po prostu odpowiedzi nie istniały. Może tylko ich starcze serca tęskniły za jej młodością.

Fascynowała ich. Widziała to.

Te drobne pytania, którymi oni z kolei ją zasypywali — o jedzenie, co lubi, czy życzy sobie soli — wrzucali jak monety do magicznego pudełka, tylko po to żeby wywołać odpowiedź. Sledzili ją płonącymi, okrutnymi oczami, jakby mieli zamiar zjeść ją żywcem. Po to była, żeby ich nakarmić. Pochłaniali królika łakomymi, gwałtownymi kęsami.

Rozmowa nie kleiła się.

Nie byli zbyt gadatliwi. Zeszli tu, żeby się pożywić.

Kiedy Stephan przebierał między serami, najprawdopodobniej kupionymi w mieście, kotara zaszeleściła, drzwi otworzyły się i zjawił się kolejny mężczyzna wniesiony przeciągiem, pozbawiony wagi i pozornie niemy, z książką pod pachą.

Przemierzył dywan i przysunął się do stołu, ale nie po to, aby jeść. Popatrzył łakomie na Rachaelę, lekko przekrzywiając głowę.

— Eriku, poznaj Rachaelę — rzekła Anna.

Eric miał oczy takie jak Anna i Stephan. Jego pomarszczona twarz mumii nie wyrażała nic, cienkie suche usta nie otworzyły się. Wydał cichy dźwięk, podobny do czkawki, i odpłynął przez inne osłonięte zasłoną drzwi, które wydawały się wychodzić na ogród.

— Nie przejmuj się nim — pocieszyła ją Anna. — Nie wszyscy są rozmowni. Eric to myśliciel, miłośnik książek.

Kotara zafalowała znowu i do pokoju weszły dwie stare kobiety w zatęchłych, ozdobionych paciorkami sukniach.

One także podpłynęły do stołu. Też miały takie oczy.

— Rachaela tu jest — powiedziała Anna niepotrzebnie, bo już przeszywały badawczym wzrokiem nowo przybyłą. — Rachaelo, to jest Alice, a to Sasha.

— Dobry wieczór — powiedziała Rachaela, chcąc sprawdzić, jak zareagują.

Alice w ciemnośliwkowej sukni odpowiedziała szybkim ruchem rąk. Sasha w koronkowym kołnierzu rzekła:

— Dobry wieczór, Rachaelo. — Jej wymowa, która tak jak u Anny i Stephana powinna mieć jakiś obcy akcent, była go pozbawiona.

— Miałaś miłą podróż? — zapytała gwałtownie Alice.

— Niezbyt — odparła Rachaela.

— O, tak mi przykro — zmarszczki na twarzy Alice ułożyły się w grymas współczucia. — Podróże są teraz takie nudne. I takie meczące. Ludzie są tacy nieżyczliwi.

— A ty dokąd to ostatnio jeździłaś? — wtrąciła Anna z rozbawieniem.

— Pamiętam — odparła Alice z podnieceniem — wielkie czarne parowozy, całą tę parę i dym. Jeden pociąg był brudny. Pamiętam, że zwiąło mi kapelusz i Peter musiał go łapać.

Rachaela wyobrazila sobie rosyjski krajobraz przysypany śniegiem, antyczne monstrum — pociąg gnający wśród iskier i dymu.

— Lata minęły, odkąd ktokolwiek z nas wyjeżdżał — oświadczył Stephan znad sera. — Teraz nie mamy takiej potrzeby.

— Zostaliśmy wygnani — rzekła Alice do Rachaeli. Jej twarz ciągle była maską, ale pojawiła się na niej ufność. Oczy migotały, chciała zobaczyć jaka będzie reakcja Rachaeli na to słowo: wygnani.

— Pogromy — wtrąciła nagle Sasha.

Rachaela skwapliwie uchwyciła się obcego słowa. Zdradzili się.

— Nasza historia nie zawsze była spokojna — oświadczyła Anna. W jej głosie nie było ostrzeżenia ani nagany. — Ale jest zbyt wcześnie, aby obciążać Rachaelę przeszłością. Nic nie wiedziała o takich rzeczach i prawdopodobnie nigdy się nie dowie.

— Stare rany — rzekł Stephan. Odepchnął od siebie talerz. — Stare czasy. Rodzina wiele wycierpiała.

Gdzieś, pewnie w sąsiednim pokoju, wybił zegar.

— Nie czas o tym mówić — powiedziała Anna, ciągle jeszcze bez nacisku.

Rachaela zadrżała.

Było ich wielu, jak wielu — nie ośmielała się zgadywać. Rój tych Scarabaidów, ciągnących za sobą przeszłość, która nie była jej przeszłością, ale przez pokrewieństwo będzie również jej udziałem.

Czuła to potworne powinowactwo. Wierzyła, że jest z nimi spokrewniona, w jakiś sposób uświadomiła to sobie w ciągu kilku dziwnych godzin, które wśród nich spędziła.

Alice powiedziała:

— Musisz obejrzeć naszą bibliotekę.

Śmiech Anny zabrzmiał jak urwana w pół gama.

— Bibliotekę!

— Sylvian dzisiaj pracował — zauważył Stephan. Westchnęli wszyscy, prawie równocześnie.

Ten ogromny dom roił się od nich, ale byli jednością, wieloma twarzami jednej istoty.

A ona, Rachaela, czy potrafi się do tego przystosować? Czy mieli ją wchłonąć, pożreć?

— Anno — powiedziała, zmuszając się do użycia tego imienia, jak gdyby nazywanie ich miało w sobie coś z magii. — Jestem strasznie zmęczona. Czy wybaczycie mi, jeśli się położę?

— Możesz robić wszystko co chcesz, Rachaelo. W twoim pokoju obok kominka jest dzwonek. Jeżeli będziesz sobie czegoś życzyła, Michael, Maria czy Cheta tego dopilnują. Czy Carlo zabrał na górę twoje torby?

— Ktoś to zrobił.

— Tak, to musiał być Carlo. On jest naszym siłaczem. Rachaela wstała. Była wyższa od nich wszystkich. Anna i Stephan siedzieli przy stole, Cheta i Michael, Alice i Sasha stali po drugiej stronie jego lśniącego blatu. Świece lśniły i grzały. Nad nimi, usiany rozproszonymi błyskami, żyrandol rozsiewał swoje pomnożone piękno.

— Jak dużo was jest? — zapytała Rachaela, powstrzymując przerażenie w głosie. Morze huczało jej w uszach.

Stephan roześmiał się. Jego śmiech był męską wersją śmiechu Anny.

— Wiele, wiele. Anna odparła cicho:

— W tej chwili jest nas dwadzieścia jeden osób.

— Zapomniałaś... — zaczął Stephan.

— Nie — przerwała — nie. Ktoś zabrał zdechłą mysz z toaletki.

Wstążka została, złożona starannie.

Rachaela usiadła szcztokując włosy. Matka często to robiła. Miała ciężką rękę, jak gdyby to, że były takie gęste, wykluczało jakiekolwiek czucie ze strony Rachaeli. Rachaela była wiecznie potarganym dzieckiem. Kiedyś obcięto jej grzywkę dla wygody. Rachaela chodziła wściekła, dopóki włosy nie odrosły.

Ten dom nie zmienił jej wspomnień o matce. Te szorstkie reminiscencje były jej potrzebne raczej jako tarcza przed Scarabaidami.

Kiedy wracała do pokoju, spotkała na schodach kolejnego starca w zielonkawej marynarce. Zajrzał jej w twarz płonącymi oczami.

— Mam na imię Rachaela, a ty?

Ale mężczyzna uciekł, nie tyle przestraszony, ile niechętny rozmowie. Czy to był Peter, George czy Sylvian z biblioteki?

Czy to miało znaczenie? Wszyscy byli tacy sami, w dwudziestu jeden wcieleniach.

W zamku jej drzwi tkwił klucz i po wyjściu z łazienki przekręciła go. Oczywiście pomyślała sobie natychmiast, że zapewne jest wiele kluczy pasujących do tego zamka. Wyobraziła sobie procesję Scarabaidów bezszelestnie wchodzącą do jej pokoju, żeby popatrzeć jak śpi. Cienkie palce dotykające jej rzeczy, szcztoki, grzebienia, pudru i lusterka; zakurzone suknie, muśnięcie męskiego rękawa...

Wyjazd byłby bezsensowny. Nie miała środków. Poza tym pisane jej

było zostać. Nie miała dokąd pójść. W całym wielkim świecie nie było tylu kryjówek, żeby się przed nimi schować.

Wiedziała bowiem, że do nich należy. Kość z ich kości. Cofała się tylko przed pewnością.

W końcu rozebrała się i włożyła jedną z koszul, które trzymała na specjalne okazje — zwykle spała nago. Ale tu musi ją chronić dodatkowa cieniutka skóra z wykonanego przez człowieka jedwabiu.

Koszula była czarna. Zobaczyła swoje odbicie wśród bagiennych lilii i przebłysków słońca w lustrze. Zauważyła dwa czy trzy lustra w pokojach na dole, wszystkie oprawione w kolorowe szkło, zdobione, zasłonięte. Jak gdyby oglądanie siebie trzeba było ograniczyć do minimum.

Pod ścianą stała półka. Już przedtem, żeby ukoić nerwy, rozpakowała swoje rzeczy i ustawiła na niej książki. Popatrzyła na nie. Były jej, jej własne. Jak nikła jest jej własność w domu Scarabaidów! Jaka ona sama jest nikła wśród tych pokojów i korytarzy, drzwi i oficyn, i wewnętrznych komnat tego niezwykłego miejsca.

Dwadzieścia jeden antycznych żuków pełzało i przemykało w swoich mrocznych poszukiwaniach.

A ona była sama, przytłoczona architekturą i osobliwymi kształtami.

Rachaela wsunęła się pod bieluteńką pościel i oparła o czyste białe poduszki, obserwując teraz pokój w ramie z butelkowiezielonego aksamitu.

Ogień dogasał.

Gdzieś daleko, z głębi domu, dobiegało ciche poskrzypywanie drewna; brzmiało jak westchnienia jego steranego, żywego serca. Za oknem przedstawiającym drzewo zamarła zimowa noc. Szum morza był ledwie uchwytny.

Rachaela usłyszała starcze kroki na korytarzu. Zaraz potem kobiece obcasy stukające powoli, regularnie. Nie zatrzymały się.

Jeździec nie powrócił.

Jak ma zasnąć?

Leżała na poduszkach, jej ciało pulsowało zmęczeniem. Żeby zasnąć trzeba zaufać, odprężyć się. W tej kołysce mogła leżeć wiele nocy i nie zmrużyć oka.



Za wieloma ścianami i pokojami zadźwięczało bicie zegara.

Widziała w tym domu wiele zegarów, z których żaden nie wskazywał tego samego czasu, co pozostałe.

Nawet nie mogę czytać, pomyślała. Bała się spuścić z oczu sypialnię, kominek, zamknięte drzwi.

A więc musi czuwać. Czuwać przez całą noc.

W końcu sen kiedyś przyjdzie sam.

Pomyślała o swoim mieszkaniu. Nigdy nie należało do niej. Nigdy nie istniało.

Kotce podobałyby się ten dom. Skradałyby się i cicho drapała w drzwi, żeby ją wpuścić albo wypuścić. Spałyby, zwinięta w kłębek na narzucie w kolorze indygo.

Rachaela zobaczyła kota tropiącego umierający ogień.

Chyba śniła przez chwilę. A więc jednak zasypia. Była bezpieczna. Byli może szaleni, ale ona także, skoro tu przyjechała.

*Nie powinnaś mieć z nimi nic wspólnego*, powiedziała surowo matka Rachaeli w jakimś odległym, nie zapamiętanym pokoju w przeszłości.

— *Tak, mamusiu* — odpowiedziała Rachaela.

Zamknęła oczy i zobaczyła postać mężczyzny pozbawionego twarzy, ciemnowłosego, zawieszoną między sufitem a podłogą. Spała.

---

## 3

---

Niewiarygodna eksplozja koloru.

Kobieta w łóżku otworzyła oczy i poczuła, że płonie żywcem.

Witrażowe okno, podświetlone blaskiem słońca, rzucało wzory na pościel.

Rachaela poruszyła się. Plama krwi i szmaragdu przemknęła wzdłuż jej ciała, farbując narzutę zielenią i szkarłatem, barwiąc jej skórę.

Pokój był zanurzony, zatopiony w kolorach, w szaleństwie zieleni i czerwieni, karmazynu, złota i szafiru.

Rachaela zobaczyła nad sobą witraż, niczym rajski ogród. Okno dzieliło na dwie części drzewo, zwieńczone koroną liści, wśród których błyskały przejrzyste jabłka. Pod drzewem mężczyzna w złotej zbroi ze skrzydłami namawiał nagą kobietę, aby wzięła owoc. Wokół jabłka owinięty był wąż podobny do naszyjnika. Na drugim planie rozpościerało się intensywnej barwy niebo i alejki klasycznego ogrodu, w którym polegiwały zgodnie zwierzęta: gazela, lew, jednorożec. Z nieba spoglądało palące, promieniste słońce.

Ewa we własnej osobie kuszona przez Lucyfera?

Dlaczego uważali kuszenie Ewy za odpowiednie do pokoju gościnnego? A może to bez znaczenia? Takich pokrytych obrazami okien pełno było w całym domu, zauważyła je w salonie i jadalni. Jedno znajdowało się na zakręcie korytarza. Będzie musiała żyć z Ewą i Lucyferem.

Na budziku przy łóżku była dziesiąta. Czarny zegar z półki nad kominkiem wskazywał ósmą trzydzieści. Który czas był właściwy — nie wiedziała. Kiedy się nad tym zastanawiała, gdzieś w domu zegar zaczął wybijać godzinę. Policzyła: pięć uderzeń.

Rachaela wstała ze swojego wielobarwnego łóżka, zostawiając pościel

zalaną kolorami. Twarz Lucyfera odbiła się na poduszce, niesamowita i wyraźna. Upadły anioł nosił bladą i nieskalaną maskę świętego.

W lustrze nad toaletką, wśród lilii i słońca, zobaczyła drzewo za plecami. Była zamknięta w szkle.

Weszła do łazienki. Tu okno wyobrażało morze i muszle. Odkręciła wodę.

Kiedy kąpała się i myła zęby, nie słyszała żadnych dźwięków poza cichymi skrzypnięciami, odgłosem próchniejących belek, pękania tynku i obluźwiających się dachówek. Dom był zapuszczony, w fatalnym stanie.

Tylko jego obłąkane piękno i dwudziestu jeden domowników sprawiało, że się nie rozpadł.

Kiedy wychodziła z łazienki, przemknęła obok niej skulona staruszka w brązowej sukni pamiętającej sześć poprzednich dekad. Nie zwróciła na Rachaelę uwagi. A więc nie wszyscy się nią interesowali. Dla niektórych być może stanowiła zagrożenie, była nową, lakierowaną zabawką, która może skrzywdzić.

Ubrała się i pociągnęła sznur dzwonka, ozdobiony niebieskimi frędzlami, chcąc przywołać Michaela, Chetę, Marię albo Carla. Zjawiała się Cheta w ciemnej sukience, bez broszki.

— Czy mogę w czymś pomóc, panno Rachaelo?

— Jestem głodna — odparła Rachaela. — Co mam zrobić?

— Przyniosę coś pani, panno Rachaelo. Albo też może pani zjeść śniadanie z panem Peterem i panem Dorianem. Zawsze jadają w pokoju porannym.

— Proszę przynieść mi do sypialni.

Zdumiewające, że nie przyszli wszyscy w nocy do jej pokoju z nożami i widelcami.

Tost okazał się osiągalny, kawa nie. Rodzina nie pijała kawy. A więc herbata.

— Skąd macie herbatę? — zapytała Rachaela. — Przecież jej nie uprawiacie?

— Do wsi przyjeżdża ciężarówka z miasta. Kupujemy wtedy z Carlem różne produkty.

— Są w pobliżu jakieś wioski?

Rachaela uchwyciła się wątłego promyczka nadziei. Świat nie był tak daleko. Ale kobieta odparła:

— Jedenaście kilometrów stąd, panno Rachaelo. To długa i męcząca droga, ale jesteście przyzwyczajeni.

Gdyby Rachaela miała jakiegokolwiek wątpliwości, oczy Chety przekonałyby ją, że kobieta jest ślepa. Były ciemne jak oczy wszystkich, których spotkała dotąd w domu, ale nie tak wyraźne i lśniące; utkwione w jednym punkcie, zamglone, prawie nieruchome. Mimo to Cheta poruszała się z idealną precyzją. Bezbłędnie odnalazła drogę wśród kwadratów gęstego jak syrop światła, wpadającego przez okna, i wyszła.

Odgłos morza rozbrzmiewał i przycichał, zanikając w uskokach ścian, za meblami i długimi kotarami. Miejscami ryk wody bijącej o skały w dole stawał się bardzo głośny. Z domu nie było widać morza. Nic nie było widać. Wszystkie okna wykonano z grubego szkła. Szyby zamalowano różnymi wzorami albo martwą naturą: owocami, urnami i płożącymi się kwiatami na tle nieba w kolorze karminowym, szafranowym i łososiowym, szmaragdowozielonym albo fiołkoworóżowym jak trujący bluszcz, błękitnym i ogniście czerwonym. Pokoje były upstrzone ich nakładającymi się odbiciami. Niektóre z dużych okien przedstawiały całe sceny. Rachaela rozpoznała niesamowite i bluźniercze parodie Biblii: Kain zabity przez Abła nad ofiarą z winogron i ziarna, przewieszony przez ramiona Abła-myśliwego martwy jeleń z raną z krwawnika na szyi. I znowu krwawniki w okrągłym oknie nad schodami, gdzie księżę podczas ceremonii zaślubin zamieniał żółte wino w krew.

Rachaela była nieco rozbawiona złym smakiem tych ekscentrycznych obrazów, których celem było zapewne dostarczenie rozrywki rodzinie, gdy sprowadziła się do domu. Tęskniła jednak za choćby skrawkiem przezroczystego szkła, kilkucentymetrowym kwadracikiem szyby, przez który można by wyjrzeć. Odrażające kolory zalewały pokoje, nadając im wątrobiany odcień. Błyski ognia tworzyły tęczowe smugi w powietrzu pełnym kurzu.

Wszędzie królowało rzeźbione drewno.

Staruszka o imieniu Anna zapewniła Rachaelę, że może robić, co jej się podoba. Nie mając lepszego zajęcia, Rachaela ruszyła na zwiedzanie

domu, gubiąc się w korytarzach, natykając na zamknięte drzwi i otwierając te, które ustąpiły.

Zajrzała do zbyt kownych komnat sypialnych i natknęła się w jednej z nich na dwóch mężczyzn grających w szachy pod oknem przedstawiającym anioła w bieli i błękicie. Kiście przezroczystych dłoni zastygły nad szachownicą. Dwie trupie twarze odwróciły się jak poruszone zardzewiałym mechanizmem.

— To ona — powiedziała pierwsza twarz.

— Spójrz na jej włosy — rzekła druga.

Nie była tu intruzem. Raczej eksponatem. Zostawiła ich i zamknęła drzwi.

W innych miejscach też natykała się na Scarabaidów lub ich ślady.

Niektórzy odkłámali się grzecznie, pożerając ją drapieżnymi oczami, jeden czy dwóch zignorowało, przemykając mimo z jakąś szaleńczą misją.

Przywykła do tych spotkań, mijanek. Jedna z nich podkrađła się do niej w mroku korytarza i powiedziała:

— Mam na imię Miranda, a ty jesteś Rachaela.

Skoro byli elementami całości, ich imiona nie miały znaczenia. Scarabaidzi: to wystarczało w zupełności.

Swoją chudością, wyglądem i szybkimi, kościstymi dłońmi przypominali jej teraz insekty.

Czuła się, jakby była w jakimś fantastycznym domu starców, w którym wszyscy byli niezależni i samowystarczalni. Jeden z nich, wyraźnie zainteresowany, chodził za nią krok w krok. Czaił się z tyłu i czmychał do któregoś z pokojów, kiedy zawracała.

Nie lubiła być śledzona, ale czego się mogła spodziewać?

Rozkład domu oszołomił ją. Budynek przypominał kalejdoskop zmieniających się barw i cienia.

Każdy zegar, na który się natknęła lub który usłyszała, wskazywał inną godzinę.

Wszystkie lustra było matowe i zamglone. W jednym z korytarzy, na zwierciadle z białego szkła, ktoś zdolny i drobiazgowy namalował obraz przedstawiający gaje i fontanny, łąki i wzgórza. Obok, pedantycznie ułożone, leżały przybory malarskie: taca z farbami, paleta, Pędzle,

terpentyna i gałganki. Gdzie indziej też widziała obrazy, ale nie przyglądała im się zbyt uważnie. Wydawało się jej, że na jednym z nich z przysłoniętego fartuszkim brzucha kobiety wyglądała koza.

*A więc nie ma tu nic pewnego, ani dnia, ani godziny, ani własnego odbicia.*

Prawdziwy dom wariatów.

Nieświadoma czasu, kierując się tylko niejasnym uczuciem głodu, odnalazła drogę do jadalni. Długi stół nakryto dla dziesięciu osób i tyluż członków klanu było na miejscach.

Podnieśli wzrok, gdy weszła.

Sześć kobiet w sfatygowanych sukniach i czterech mężczyzn w wyświeconych marynarkach. Wszyscy wyglądali jak Anna i Stephan, z gęstymi włosami zaczesanymi w tył albo upiętymi przy pomocy szpilek. Upierścienione szpony pracowały nieustrudzenie nad zimnym pasztetem z królika i sałatką.

Tych, na których natknęła się podczas zwiedzania domu, rozpoznawała po ubraniu i biżuterii — twarze i uczesania były niemożliwe do odróżnienia. Czy za sto lat będzie wyglądała tak samo, jak wszystkie te staruszki?

Czy powinna usiąść i zjeść z nimi resztki?

Nie przygotowano miejsca dla Rachaeli. Kobieta w ciemnej sukni — miała niewidome oczy przysłonięte kataraktą i nosiła koczek upięty nisko na karku, ale nie była to Cheta, a więc Maria — naprawiła to, kładąc nakrycie na honorowym miejscu.

Rachaela usiadła.

Klan patrzył jak nałożyła sobie plaster pasztetu, pomidory, sałatę. Patrzyli na to w milczeniu.

Wówczas jedna ze staruszek, Miranda, powiedziała:

— Nie powinniśmy się tak przyglądać.

Niechętnie zaczęli odrywać od niej wzrok, na powrót zajmując się jedzeniem z drapieżną zwinnością.

Rachaela nie próbowała zaczynać rozmowy. Nie wyobrażała sobie, że może powiedzieć coś, co zainteresowałoby ich w najmniejszym stopniu, a i tak gapiliby się na nią — dziesięć par czarnych oczu. To było jak ponura farsa.

Anna i Stephan musieli tu przewodzić. Obydwoje byli rozsądni, albo prawie, nie porzucili pozorów towarzyskiej ogłady. Reszta to dzikie zwierzęta zamieszkujące witrażowy las. Schodzili do wodopoju żeby się napić, jedli jagody i królika siedząc przy stole, śledzili, rozważali i uciekali albo ścigali. Czy to któryś z nich ją szpiegował?

Nie mogła wymyślić żadnego pytania. Zresztą, czy umieliby dać na nie odpowiedź? *Dlaczego jestem dla was taka ważna? Skarb, którego się obawiacie, pożywka dla wyobraźni?* Powiedzieliby zapewne tylko to, że powinna tu być. Była jedną z nich. To jej przeznaczenie.

Nagle wyobraziła sobie jak roztrząsają jej pytanie, babrzą się w nim, doszukują Bóg wie czego.

Byli tak starzy, że żadne formy nie miały znaczenia. A Rachaela, ze swej strony, też nigdy nie przejmowała się konwenansami.

Poza tym nie była zbyt głodna. Starcy dziobali i żuli, dopóki nie oczyścili talerzy. Podawali sobie teraz owoce. Zauważyła że ich zęby, mimo iż odbarwione, ciągle jeszcze dobrze im służyły.

Słuchała jak ogryzają i mlaszczą, rozłupują skorupki, zdzierają skórki i wysysają miąższ.

Nie rozmawiali ze sobą.

Pozbawione zasłon okno przedstawiało smoka walczącego z jednorożcem, a ryk fal przekonał Rachaelę, że musi wychodzić na ocean.

Michael i Cheta weszli z dwoma dzbankami herbaty i rozstawiono wytworny serwis z chińskiej porcelany.

Rachaela nie została na herbacie, a kiedy wychodziła z pokoju, dziwne istoty podniosły wzrok i odprowadziły ją spojrzeniem.

Po południu, ale nie była tego zupełnie pewna, Rachaela znalazła na górze pokój, w którym znajdował się fortepian i nie nastrojona harfa.

Harfa była duża, piękna i okryta warstwą pyłu, fortepian także. Nikt na nim nie grał od wielu lat. Rachaela zmiotła kurz i dotknęła klawiszy. Dźwięk był zaskakująco czysty. Nie umiała grać. Była słuchaczem, nie twórcą. Zatęskniła za muzyką i pomyślała o radiu, które rano wyjęła z walizki. Miała tylko jedną zapasową baterię. Co będzie, kiedy się wyczerpie? Nie widziała tu nigdzie radia, nie mówiąc już o gramofonie.

Jak daleko stąd jest miasto? Czy można tam jakoś dojechać? Czy pozwolą jej wynająć samochód, czy też jest nie tylko współlokatorką, ale

i więźniem? Tego popołudnia znalazła też bibliotekę, obszerny pokój zastawiony wysokimi regałami; wszystko było przyprószone kurzem, poza okrągłym stołem, wypolerowanym od ciągłego używania. Leżał na nim przygotowany stos książek, hebanowa linijka, kałamarz i pióro.

Rachaela podeszła do półek, wyciągnęła książkę na chybił trafił i strzepnęła kurz.

Otworzyła ją i zobaczyła, że każdy wiersz został starannie wykreślony.

Spróbowała otworzyć inną, z tym samym skutkiem. Jeszcze jedną i jeszcze, z różnych półek. To samo.

Sylvian... zajęty w bibliotece.

Nic jej nie dziwiło. Obróciła raz zniszczony globus i wyszła z biblioteki.

Odnalazła drogę do swego pokoju. Na przecięciu dwóch korytarzy straciła orientację i natknęła się na wysokie okno z wymalowaną na nim sceną przedstawiającą najwyraźniej topienie dziecka w sitowiu. Pod oknem stał wypchany koń, na którym siedział mężczyzna w zbroi. Rycerz potrząsnął mieczem i zaśmiał się sopranem.

Rachaela zatrzymała się.

— Wio! — domagał się jeździec, kopiąc boki wypchanego zwierzęcia i wzbijając obłoki kurzu.

Kiedy minęła go i poszła w swoją stronę, poczuła że przemyka ukradkiem za jej plecami. To zapewne ten sam, który śledził ją i przynosił prezenty w postaci myszy. Może sam je łapał. Wyglądał inaczej niż oni wszyscy, jego włosy były bardzo długie. Zanim poszedł za nią, musiał zdjąć zbroję, inaczej słyszałyby w korytarzu szczękający odgłos.

Kiedy dotarła do pokoju, ogarnęło ją obezwładniające uczucie ulgi. Zamknęła drzwi i położyła się na łóżku. Zasnęła prawie natychmiast, jak gdyby rzucono na nią czar.

Kiedy się obudziła, okno było ciemne, a czarny zegar wskazywał siódmą trzydzieści. Ogień oświetlał pokój tajemniczym blaskiem.

Koło łóżka leżały zapalniczki, na gzymsie kominka stały lampki. Zapaliła świece, potem lampy.

Przygotowała się, tak jak wcześniej, na intymny obiad z Anną i



Stephanem. Chciała im zadać tyle pytań! Miała swoje potrzeby higieniczne, powinna mieć też rzeczy zaspokajające próżność: pastę do zębów, puder. Baterie do radia. Trochę książek, w których nie byłoby powykreślanych linijek... Jeśli chcą, żeby tu została, musi...

W korytarzu, ponad rykiem cofającego się morza, Rachaela usłyszała nowe kroki. Niepodobne do innych, lżejsze, szybsze. Coś otarło się o drzwi.

Wstrzymała oddech. Coś było w korytarzu.

Potem zniknęło.

Przez prawie minutę nie mogła się zmusić, żeby wstać i otworzyć drzwi, a kiedy wreszcie to zrobiła, nie znalazła oczywiście nic, co zasygnalizowałoby, kto albo co to było.

A więc jeszcze jedno pytanie.

W korytarzu unosił się dziwny zapach. Kojarzył się jej z czymś przyjemnym. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, co to mogło być.

— Musisz dać Checie listę tego, co ci potrzeba. Samochód dostawczy, który przyjeżdża do wioski, przywozi większość rzeczy, na ogół w dobrym gatunku — oświadczyła Anna w odpowiedzi na pierwsze pytanie.

— Ale ja wolałabym sama wybrać — odparła Rachaela.

— Och, nie — rzekła Anna — czy to warto, taka długa i trudna droga. Za lasem rozciąga się wrzosowisko. Trzeba iść pod górę. Cheta jest bardzo silna, nieprawdaż, Cheto?

— Tak, pani Anno.

— A ty nie przywykłaś do takich wypraw. Dwanaście kilometrów... Rachaela zauważyła, że dystans się wydłużył, poprzednio była mowa o jedenastu.

— Nie mogłabym wynająć samochodu, który zabrałby mnie do miasta?

— Och, moja droga. To zbyt kosztowne. Do miasta jest jeszcze dalej, ponad sześćdziesiąt kilometrów. — Czy Rachaela powinna w to uwierzyć? — Poza tym to takie kłopotliwe. Nie mamy telefonu w domu.

— Ale przecież wysłaliście po mnie auto na stację.

— W wiosce jest publiczna rozmównica. Carlo zadzwonił stamtąd do przedsiębiorstwa. A i tak trzeba im było dawać wskazówki.

A wiec wprawdzie sprawiało to kłopot, ale nie było niemożliwe. Ponieważ Anna zdecydowanie ją zniechęcała, trzeba tymczasem dać spokój. Cenna ciężarówka dostarczy jej pewnie baterii i innych niezbędnych rzeczy. Tego wieczoru na długim stole położono pięć nakryć. Prócz Anny i Stephana pojawiło się tylko dwóch Scarabaidów. Byli to mężczyźni znad niebieskiej szachownicy, Dorian i Peter. Rzucili się na jedzenie jak wilki, od czasu do czasu spoglądając na Rachaelę, chcąc stracić jak najmniej z jej obecności. Powiedzieli nie więcej niż słowo czy dwa. Cieszyła się, że nie jadła z nimi śniadania.

Trzy stare kobiety weszły do pokoju podczas posiłku, na który składał się suflet i ryba w ostrym sosie. Nazywały się Miriam, Livia i Unice, co jak zwykle niewiele znaczyło. Nie zostały długo, po prostu napatrzyły się do woli na Rachaelę i podreptały dokądś.

— Coś było pod moimi drzwiami — powiedziała Rachaela.

— Pewnie wuj Camillo — rzekł Stephan. — Lubi stroić żarty, pobrykać.

— Tak, wydaje mi się, że widziałam go na wypchanym koniu. Śledzi mnie.

— Camillo jest bardzo stary — stwierdziła Anna całkiem poważnie.

— Bardzo niegrzeczny. Ale nieszkodliwy jak głupiutkie dziecko.

— To nie był Camillo. Anna zawahała się.

— W domu jest wielki kot — powiedziała. — Nocne stworzenie.

Widujemy go rzadko. Żyje własnym życiem.

Rachaela potrząsnęła głową.

— Nie mam na myśli kota... Drzwi otworzyły się.

— Oto i Sylvian — rzekła Anna. — Sylvianie, poznaj Rachaelę.

Pogromca książek zbliżył się powoli, ręce miał przyciśnięte do piersi, głodne oczy wbite w Rachaelę.

— Chciałam cię poznać. Dlaczego wykreślasz wszystkie słowa?

— Słowa — powtórzył Sylvian. Wyglądał jak gdyby był zbyt kruchy na to przesłuchanie, ale to jej nie powstrzymało. Wszyscy wyglądali na kruchych jak chitynowe skrzydła pasikoników i drapieźnych jak szarańcza.

— W bibliotece. A globus miał zadrapania na wszystkich kontynentach.

- Słowa nic nie znaczą — odparł Sylvian — gromadzą się jak kurz.
- Słowa wyrażają pojęcia i sny — odrzekła Rachaela.
- To też nic nie znaczy.
- Dlatego niszczysz książki?
- Poprawiam je — odparł Sylvian swoim skrzeczącym starczym głosem. Otworzył i rozpostarł ręce. — Kiedy skończę, biblioteka będzie uzdrowiona.
- Mam nadzieję, że znajdę kilka, których jeszcze nie zniszczyłeś? — powiedziała Rachaela lodowato.
- Na północnej ścianie — odparł usłużnie. — Muszę tam jeszcze popracować. Czasochłonne zadanie.
- Sylvian robi to, co uważa za konieczne — pouczyła ją Anna. — Przykro mi, jeśli chciałaś przeczytać te książki. Ale pošlę po jakieś nowe do miasta. Pozwól mi zamówić ci takie, jakie będziesz chciała.
- Czy dostarczą je tutaj? — zapytała szybko Rachaela.
- Och, nie. Ciężarówka przywiezie je do wioski, a Carlo ci przyniesie.
- Rozumiem.
- A globus — rzekł Stephan, uśmiechając się dobrodusznie — nie jest dziełem Sylviana. Anna podrapała go szpilką do kapelusza.
- Wszystkie miejsca, skąd wypędzono naszą rodzinę — powiedziała Anna.
- Pogromy — mruknęła Rachaela.
- Och, Sasha używa tego słowa — odparła Anna. — Uważa je za odpowiednie.
- Z tak wielu krajów wypędzono Scarabaidów — globus nagle ożył w pamięci Rachaeli. — Dlaczego?
- Rodzina jest bardzo stara — rzekła Anna.
- I niezbyt popularna — zachichotał Stephan.
- Zabobonne lęki ignorantów — dorzuciła Anna.
- Lęk przed czym?
- Jesteśmy inni — odparła Anna. — Widziałaś. Trzymamy się blisko, żyjemy na swój sposób.
- Te okna tutaj... — rzekła Rachaela na chybił trafił.
- Niektóre pochodzą z naszych starych domów. Tu jesteśmy

bezpieczni.

— Ale te okna — upierała się Rachaela — sceny z piekielnej biblii.

— Właśnie tak — odparła po prostu Anna. — Niektóre zostały powybijane przez motłoch i rzemieślnicy musieli je poskładać. Nie wszystkie są stare. Stworzono kilka nowych.

— I nie podoba wam się widok z okna.— To światło się nam nie podoba — odrzekła Anna. Rachaela przypomniała sobie podwójne drzwi w holu. Zobaczyła

też Chetę i Carla wyruszających do wioski, opatulonych jak gdyby w obawie przed burzą.

A więc nocne stworzenia, lubiące ciemność jak ich kot.

— I spodziewacie się, że będę tak żyła? — zapytała.

— Z czasem uznasz to za wygodne — odparła Anna. Dorian i Peter jednocześnie wybuchnęli gwałtownym śmiechem.

— Nie wolno mi wychodzić? — zapytała Rachaela.

— Oczywiście, że wolno. Oczywiście. W dzień i w nocy. Och, pokażę ci ogród. Chodź.

Stephan pospieszył przed Anną, aby otworzyć drzwi, już lekko uchylone. Prowadziły do cieplarni pełnej gigantycznych roślin. Paprocie wystrzelały pod samo sklepienie; żebrowane i ozdobnie kratkowane było jednak z przezroczystego, nie zamalowanego szkła.

Kamienny lew stał między doniczkami pełnymi kwiatów.

— Tutaj jest wyjście — powiedziała Anna i otworzyła drugie drzwi, prosto w noc.

Rachaela instynktownie odetchnęła z ulgą.

Pachniało liśćmi i mrozem, nocnym oddechem wielkich drzew.

Księżyc zawisł nad ziemią jak okrągły kandelabr. Jego niebiesko-biały blask oświetlał fantastyczny ogród, bujny i rozpasany. Cis, topola, cedr rozpościerający potężne konary i dęby niczym kolumny podpierające niebo. Sklepienie z przejrzystej koronki, które latem zamieni się w parasol liści. Bluszcz oplatał drzewa, a dzika róża pięła się po cedrze.

Morze niestrudzenie nacierało i rozbijało się o mur nocy.

— Na końcu jest mała furтка. Ścieżka wiedzie wzdłuż klifu. Całkiem bezpieczna, jeśli będziesz ostrożna — rzekła Anna. Podniosła pooraną zmarszczkami twarz do balsamicznego światła księżyca. — Czujesz

sosny? — zapytała. — Co za okropne drzewa, wypierają wszystkie inne, jeśli tylko mogą. Carlo tępi je w ogrodzie, a latem ścina trawnik — pomknęła naprzód niczym podstarzała wróżka. Pozostali ruszyli za Rachaela do ogrodu, mrużąc i szemrząc. Stephan precisnął się między krzewami, żeby dokładnie przyjrzeć się różom, Dorian i Peter przybrali groteskowe pozy na nierówno rosnącej trawie, Sylvian stanął w drzwiach.

Ukazała się tarcza księżyca, rożkowata, przypominająca czaszkę? Z tarczy nie dało się odczytać czasu, nie było na niej cyfr.

Rachaela precisnęła się między krzewami w stronę bramy. Pchnęła ją. Nie była zamknięta. Na zewnątrz zobaczyła noc, klif porośnięty kępami dzikich kwiatów, tarasowato rosnące sosny. Morze rozpościerające się za klifem było gładkie jak cynfolia. Ozon, sól, tlen. Świeżość.

Za jej plecami stali starcy, ciesząc się jej radością, patrząc na nią; głodne oczy lśniły w zastygłych twarzach.

Obudziła się i okno ją przeraziło. Zegar z wieżyczką wskazywał punkt dziesiątą.

Przyszło jej do głowy, że z przyzwyczajenia budzi się o siódmej trzydzieści, tak jak wtedy, gdy pracowała w sklepie pana Gerarda. Wobec tego dziesiąta oznaczała siódmą trzydzieści, tak jak i ósma trzydzieści na czarnym zegarze z aniołami.

Logika tego stwierdzenia ucieszyła ją. To był jej triumf nad domem.

Odrzuciła kołdrę i ciało złotego Diabła, które spoczywało na niej cieniem, gdy spała.

Dziś nie musi już zwiedzać korytarzy i pokojów. Przed nią swoboda ogrodu i ścieżka wzdłuż klifu.

Nie będzie się przejmowała śniadaniem, wcześniej też często tego nie robiła. Złościł ją brak kawy. Może Cheta kupi jej słóczek neski z tej legendarnej, odległej o ileś tam kilometrów ciężarówki. Zabawnie będzie posłać Chetę i Carla z listą zakupów, prosić o nabycie rzeczy, których starzy nigdy nie potrzebowali — baterii i tamponów.

Na parterze pewnie jeszcze pusto. Dorian i Peter jadali śniadanie w pokoju porannym — nie wiedziała nawet, gdzie to jest.

Zeszła na dół. Fioletowe urny i szafranowe zachody słońca z dwóch

wysokich okien odbijały się w kratkowanej podłodze. Drewniana nimfa stała na swoim postumencie.

Jakiś impuls kazał jej podejść do okutych metalem drzwi. Spróbowała otworzyć, były zamknięte. Przywołując w pamięci rozkład domu doszła do wniosku, że drzwi mogą prowadzić do wieży. To, że znalazła je zamknięte, było zgodne z kapryśną tajemniczością tego kościoła ślepych luster.

Rachaela przeszła przez salon do jadalni. Stół nie był nakryty, Maria polerowała go delikatnie. Nad jej głową od lat nie odkurzany żyrandol przeglądał się w błyszczącej powierzchni.— Dzień dobry, Mario.

— Dzień dobry, panno Rachaelo.

Maria w dalszym ciągu sennie zataczała koła ściereczką.

Rachaela podeszła do kotary i odciągnęła ją, odsłaniając zamknięte drzwi. Czy cieplarnia ciągle jeszcze była za nimi, czy też zniknęła jak widmo?

Kiedy otwierała drzwi, gwałtowny strumień białego światła chlusnął jej w twarz. Poczowała zawrót głowy, przysłoniła oczy ręką. Światło dnia już było jej obce. Tak szybko ten dom oślepił ją i zatopił w swojej posoce.

Usłyszała, że ktoś wciąga powietrze, i odwracając się zobaczyła, jak Maria po omacku opuszcza pokój.

Rachaela zanurzyła się w kryształowym blasku cieplarni, zmuszając oczy, aby przywykły do tej jasności. Po dwóch czy trzech minutach wróciła jej ostrość widzenia. Stała chłonąc światło.

Rośliny też się nim rozkoszowały, bo dzień był słoneczny i szklane pomieszczenie zdążyło się już nagrzać.

Rachaela torowała sobie drogę między cylindrycznymi liśćmi, zielonymi piórami gigantycznych paproci, trąbkowatymi kwiatami lili.

Mimo że drzwi cieplarni okazały się także zamknięte, nocą — z pewnością ze szkodą dla roślin — pozostawały uchylone. Drzwi domu także otwierano po zmierzchu. Noc była w tym domu mile widziana, w przeciwieństwie do dnia.

Na kamiennej podłodze przy drzwiach leżały płatki lili. Nie. Nie płatki. Duże białe pióra rozsypane tu, jak gdyby ktoś składał ofiarę. Była też krew.

Pomyślała o kocie, o którym wspomniała Anna. Ale te pióra to były wielkie, ogromne lotki, kot z pewnością nie poradziłby sobie z czymś o takich rozmiarach, przypuszczalnie z dużą mewą.

Rachaela pokonała niepokój spowodowany widokiem piór. Nie chciała się rozpraszać. Otworzyła szeroko drzwi i wyszła na powietrze.

Zimowy dzień był chłodny, ale nie przykry. Słońce wstąpiło na bladobłękitne niebo zasnuwane mglistymi chmurami.

Sosny tworzyły czarną ścianę. Z tej strony podkładały się do domu, przytulając do wyniosłych murów i spadzistych dachów. Ich korony, tworzące parasol zieleni nad tarasem, zerkwały znad krawędzi klifu na morze. Ścieżka była dobrze widoczna i szeroka. Zupełnie bezpieczna — jak mówiła Anna. Jej brzegi usiane były dzikimi kwiatami, które nie miały tu prawa być tak wczesną wiosną. Klif wyrzusał się, a potem opadał, zakręcał. W szczelinach mogła zobaczyć fale roztrzaskujące się o skały trzydzieści metrów niżej.

Rachaela szła drogą ożywiona jasnością i świeżym powietrzem. Perspektywa morza przyprawiała ją o zawrót głowy. Poczowała zabójczy zew przestrzeni i postanowiła trzymać się środka ścieżki.

Dróżka skręcała i wiła się między drzewami.

Rachaela obejrzała się na dom.

Bładoszary, zniszczony deszczami, zmianami pogody i pokryty aksamitnymi plamami liszajów. Dachy na zębatych zwieńczeniach murów, dym unoszący się z kominów, parapety, para kurków na dachu, którym w jakiś sposób udało się wskazywać w dwie przeciwne strony. Kopała wieży była ledwie widoczna. Okna nie przepuszczały światła, chociaż pokrywały fasadę budynku z góry na dół. Były zupełnie czarne. Gdzieś tam rozpałał je jakiś wewnętrzny promyk światła i sprawiał, że zakwitały różem, zaśniedziały zielenią czy błękitem starej butelki do lekarstw. Ale to nie było zaproszenie. „Nie zbliżaj się” — mówiły okna. Ociężały dom, zamknięty w szarym czerepie ścian i niezbadany.

Rachaela podziwiała go. Pociągał ją. Wszystko, czego w nim nie lubiła, wraz z jego więzienną atmosferą, przemawiało do niej artystycznie i intelektualnie, nawet teraz gdy świeże powiewy powietrza ożywiały jej ciało. Z czasem podda się domowi. Anna miała rację. Po co z tym walczyć.

Szła dalej drogą, aż dostała się między czarne sosny. Igły zachrząściły jej pod butami. Ziemia miała rdzawy kolor. Zobaczyła więcej piór rozsypanych wokół pnia drzewa. To normalne, że kot wyruszał na swoje wielkie polowania w dzikim lesie.

Drzewa skończyły się, a krajobraz zmienił. Sosny kończyły się z męskim zdecydowaniem na granicy z pofałdowanym trawnikiem podszytym wrzosem i ostem. Morze rozpościerało się poniżej, a w górę ciągnęło się wrzosowisko. Patrzyła na odległe zatoki, skały pozieleniałe od mchu i oprószone pianą. Widziała też garb ziemi, bladozielonej, przetykanej brązem, z której niczym maszt sterczało pojedyncze drzewo, a jeszcze bliżej wielki przechylony głaz, jak skamieniałą błyskawicę.

Rachaela podeszła do głazu. Był stary jak drzewa, może jeszcze starszy. Pewnie był tu, kiedy Rzymianie po raz pierwszy wylądowali na tych plażach. Może maszerowali obok niego i dziwowali się mu, i mamrotali coś do swoich bogów.

Króliki skubiące darń prysnęły jej spod nóg. Kamień był upstrzony na białą i usiany dziurami. Jego dziwny kształt przywołał na myśl brutalne opowieści. Były równie nierealne, jak maszerujący Rzymianie. *Słowa nie mają znaczenia*, powiedział Sylvian. Oczywiście. Nic nie miało znaczenia.

Nawet to. Nawet Rachaela stojąca tu w czarnym kapturze włosów i w londyńskim płaszczu, z białą twarzą wciąż jeszcze młodej kobiety. Nawet ona się nie liczyła, czy też to, co się z nią stanie.

Zarazi się od nich wirusem wieku. Będzie stara, wysuszona i krucha jak oni. I twarda jak oni. Może jej włosy posiwieją, a piersi zaczną zwisać jak puste worki. Nie straci zębów, oni nie stracili. Nie widziała u nich żadnego kalectwa, artretyzmu, żadnego bezwładu ani pokręcenia. Ich metaliczne, śnieżne włosy były tak gęste, jak jej własne. Ich oczy jeszcze bardziej intensywne i złowieszcze.

To niemądre pytać samą siebie, co tu robi. To było nieuniknione. Zręczliwy głos matki, który nigdy jej nie opuścił, dalej ostrzegał Rachaelę przed Scarabaidami, ale nawet te ostrzeżenia przywiodły ją, jak widać, do ich kryjówek. Jej strach przed nimi nagle stopniał. Była w potrzasku.

A kiedy już zestarzeje się tak jak oni, co wtedy?



Nie była taka jak oni. Była inna. Takie było jej przeznaczenie.

Rachaela okrążyła kamień. Zobaczyła dziwne rysy na pniach niektórych sosen, na ziemi też były ślady pazurów jak odcisk grabi.

Czy mogła dojść tędy do wsi? Jedenaście lub dwanaście kilometrów. Jak długo by szła? Ścieżka wydawała się bardzo nierówna. A ona nie знаła drogi.

Sina chmura, która zbliżała się od horyzontu, zasłoniła słońce. Mroczne światło zalało wrzosowisko. Dojdzie do tego wzgórza i rozejrzy się. Potem się zmęczy, bo nie przywykła do chodzenia. Wróci do domu po jedzenie, wejdzie na górę do pokoju i włączy radio. Jutro pójdzie dalej.

Jakże samotne było to wrzosowisko. Nikogo więcej na świecie — tylko ona i Scarabaidzi. Tego wieczoru Rachaela włożyła zieloną suknię i naszyjnik z zielonych paciorków, który znalazła na wyprzedazy.

Anna i Stephan siedzieli na sofie, popijali już swoje przedobiednie drinki. Rachaela wzięła sobie kieliszek białego wina.

— Podobał ci się spacer? — zapytała swobodnie Anna.

— Bardzo. — Trochę już wypoczęła, zdrzemnęła się, słuchając Verdiego. — Którędy się idzie do wioski?

— Przez wrzosowisko. Ale to dla ciebie z pewnością za daleko.

— Dojdę — odparła Rachaela — marsz dobrze mi zrobi. Weszli do jadalni, gdzie znajdowały się trzy nakrycia. Usługiwały Cheta i Maria. Maria nie doszła jeszcze do siebie po szoku, którym był błysk światła ze szklarni.

Podano zupę szparagową i jakąś mięsną potrawę, pokrojoną, w sosie.

— Co to za mięso? Anna była uprzejma.

— Mewa — odparła. — Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Rachaela wzdrygnęła się i odłożyła widelec. Jedzenie mewy nie było gorsze niż jedzenie królika czy jagnięciny, ale w jakiś sposób ją uraziło. Nie chciała więcej.

— Obawiam się, że nie odpowiada mi sam pomysł.

— Nasze obyczaje wzięły się z konieczności.

Kto upolował mewę, rozsypując jej pióra na ziemi? Z pewnością nie kot, jak przedtem przypuszczała.

— Rozumiem to — powiedziała Rachaela — ale mimo wszystko

zostawię ją.

Po miewie podano szarlotkę i Anna namawiała ją, żeby wzięła dwie dokładki, ale Rachaela odmówiła. Przywykła do niezbyt obfitych posiłków.

Po obiedzie milczeli.

Stephan spoglądał w ogień. Anna wyszywała długie kwiaty i serpentyny liści.

Rachaela siedziała jeszcze chwilę, a w końcu przeprosiła ich i wyszła.

W korytarzu poczuła prąd zatrutego powietrza. Coś przeszło, albo wciąż czaiło się w mroku. Podeszła do drzwi, które jak się domyślała prowadzą do wieży, i spróbowała je otworzyć. Nie ustąpiły.

Stara kobieta w czerni zeszła ze schodów i posłała Rachaeli ukradkowe spojrzenie. Rachaela nie wiedziała czy spotkały się wcześniej, czy też nie. Czy była to Livia, czy Unice? A zresztą, czy zna którekolwiek z nich poza Anną i Stephanem? I Sylvianem — niszczycielem.

W korytarzu na górze pachniało ciepłem, czymś żywym, ale nic się nie poruszyło. Żadna mysz nie leżała na progu.

Wokół zamkniętego sarkofagu domu nasilał się wiatr, jęczał za murami. Deszcz siekł diabelskie okna. Chłodny, cichy dzień wywołał burzę.

Rachaela wyobraziła sobie deszcz rozpryskujący się na dachu cieplarni, wciskający się w szpary otwarte na przyjęcie nocy.

Grom poraził dom jak machina zniszczenia. Sarkofag zadrżał.

Rachaela otworzyła oczy, podniosła się. Pociemniałe okno pulsowało i drżało od deszczu; wiatr, deszcz i morze ryczały, a w tym ryku dał się słyszeć krzyk i odległy łoskot zapadających się ścian.

Powietrze było naelektryzowane, lśniło od niewidzialnego ognia.

Rachaela żałowała, że nie może zobaczyć burzy przez okno. Usiadła na łóżku i czekała na błyskawicę. Nadeszła. Obraz w oknie zajarzył się upiornym błękitem i ochrą, i na ułamek sekundy odbił na ścianach, na białych ramionach i twarzy Rachaeli. Ktoś siedział w krześle po drugiej stronie pokoju, odwrócony twarzą do niej.

Światło zgasło.

Pomyliła się — igraszka cieni?

Powoli wyciągnęła rękę i odnalazła zapalnik, świeczka stała na stoliku przy łóżku. Musi zapalić ten pierwotny płomień i zobaczyć.

Rachaela zapaliła zapalnik.

Jakiś mężczyzna siedział w krześle, mroczny na tle mroku, blade na tle czerni.

Camillo... Camillo-żartowniś włamał się do jej pokoju!

Dłonie jej zdrętwiały. Przytknęła zapalnik do świeczki i podniosła ją. Światło zalało pokój, mężczyzna nie okazał się złudzeniem.

To nie był Camillo.

— Lubisz burzę — powiedział.

— Tak, ale nie lubię znajdować obcych w swoim pokoju.

— Nie jestem obcy, Rachaelo.

Nawet gdy siedział, był wysoki. Nie mogła się zorientować, co miał na sobie; jakieś ciemne rzeczy. Jego czarne włosy okalały twarz, którabyła grą światła i cienia. Regularne rysy obleczone w skórę. Nie był stary, mniej więcej w jej wieku. Ale jego oczy były inne, czarne i nieruchome jak dwa leśne jeziora.

— Nie obchodzi mnie to. Chcę, żebyś stąd wyszedł. Teraz.

— Ale ja patrzę na ciebie. Musiałem czekać prawie trzydzieści lat. Jestem ciekaw.

Jego twarz była zabójczo znajoma. Jak jej własna.

— Kim jesteś? — zapytała. — Jednym ze Scarabaidów?

— Ostatnim przed tobą.

— Chcesz mi powiedzieć, że jesteś moim ojcem?

— Nie ma w tobie nic z matki. Nigdy nie zauważyła, że jesteś do mnie podobna?

Uwolniony obraz matki zakwitł w jej mózgu, spojrzenie pełne dezaprobaty, wieczna wrogość. Matki, która z niczego się nie zwierzała, nie pocieszała, opowiadała mroczne bajki o tym, jak wilk rozbił dom świnek...

— Jesteś zbyt młody, żeby być moim ojcem.

— Wyglądam na młodszego, niż jestem w istocie. Tak jak ty, Rachaelo.

Wymówił jej imię, jakby je smakował.

Nie zakryj się przed nim kołdrą, nie odwróci wzroku.

— Musisz być szalony — powiedziała. — Szalony, jeśli jesteś moim ojcem, i szalony, jeśli nim nie jesteś.

— A gdzie miałbym być, jak nie tutaj?

Błyskawica przyniosła grom na swoich skrzydłach. Jakiś przeciąg czy wibracja zdmuchnęły świecę, niczym w banalnym horrorze.

W grobowej ciemności usłyszała skrzypnięcie krzesła, drzwi mruknęły do siebie, otworzyły się. Zamknęły.

Scandalous

---

## 4

---

Byli ubrani tak, jak to sobie wyobrażała: w długie płaszcze i wysokie buty, szaliki, rękawiczki. On miał na głowie stary zniszczony kapelusz, ona czapkę w zaskakująco jaskrawym kolorze. Oboje byli w ciemnych okularach w grubych oprawkach. Wystrojeni jak na wyprawę w szwajcarskie Alpy, zastygli w pozach wyrażających zdumienie.

Rachaela zaskoczyła ich, zaalarmowana słowami Anny poprzedniego wieczoru: — Jutro Cheta i Carlo idą do wsi. Zrobiłaś listę? Wyjdą dość wcześnie.

Zamiast wręczyć Checie wykaz zakupów, Rachaela zjawiała się w kuchni, którą udało jej się zlokalizować śledząc ich wędrówki wąskim przejściem prowadzącym z holu.

Widziała kiedyś w ogrodzie Carla, jak szarpał zimowe chwasty. Ogród trwał bujny i nie uporządkowany bez względu na porę roku. Carlo był potężnym, muskularnym starcem, podobnym trochę do Cygana, ale także do pozostałych mieszkańców tego domu. Taka sama twarz, te same nieruchome, zamglone oczy Michaela, Chety czy Marii.

- Wybieracie się do wsi. Pójdę z wami — powiedziała.
- To długi spacer, panno Rachaelo.
- Tak, wiem. Jedenaście czy dwanaście kilometrów.

Cheta zerknęła na Carla. Jak mogli odmówić, skoro nalegała? Przez tydzień trenowała, chodząc codziennie na dalekie spacery wzdłuż klifu, poprzez wrzosowiska. Docierała aż do bardziej oddalonych wzgórz i wracała. Przechadzka ta zabierała jej, według zegarka nastawionego i nakręconego, trzy godziny. Poradzi sobie z długim spacerem w towarzystwie Chety i Carla.

Rachaela rozejrzała się wokół siebie.

Pomieszczenie było ogromne, pełne zlewów, półek i garnków.

Czarnej węglowej kuchni prawdopodobnie nie używano, bo z jednej strony przyczaiła się stara gazowa kuchenka. Gaz zawitał kiedyś do tego domu i pozostał w nim, ale tylko tutaj i w łazienkowych piecykach.

Podłoga była kamienna, a drewniany stół wyszorowany. Zauważyła mysie dziury. Wyobraziła sobie myszy plądrujące dom nocami i zaczajonego na nie kota. Drzwi spiżarni otwierały się na kuchnię. Przerażający Scarabaidzi, którzy nie jadali za dnia, przychodzili tu harcować jak myszy. Wyobraziła sobie wujka Camilla opychającego się zimną mewą. Stały tu słoje marynowanych ryb i innych przetworów, ciemnobrązowych i fiołkoworóżowych. Na stole leżały dwie purpurowozielone kapusty i ogromny nóż. Matowe okna zdobił ornament z kapuścianozielonego szkła, a lampy oliwne czekały na chwilę, kiedy oświetlą przygotowania do posiłku. Dziwaczna, podwodna kuchnia.

Pośrodku stała para niezdecydowanych śmiałków w alpejskich strojach i czarnych okularach.

— Piękny ranek — powiedziała Rachaela, otwierając drzwi. Za nimi znajdował się wykładany terakotą przedsionek i, oczywiście, drugie drzwi. — No to jak, ruszamy?

Podążyli za nią jak ostrożne psy, chyłkiem wymykające się z domu prosto we wrogość bladego słońca.

Po burzy pogoda przez cały tydzień była piękna.

Zresztą burza nie była chyba tak gwałtowna, jak przypuszczała.

Sen odszedł wraz ze sztormem. Rankiem leżała dłuższą chwilę, starając się go odtworzyć.

Niewątpliwie był to sen — uderzenie pioruna, błyskawica i mężczyzna, który siedział w jej pokoju.

Później wstała i obejrzała krzesło tak, jakby mogło na nim przetrwać jakieś psychiczne odbicie. Oczywiście wiedziała, że to tylko sen. Pojawiało się to w jej marzeniach już wcześniej — ciemnowłosa, wysoki mężczyzna i spotkanie podczas nawałnicy. To oczywiste, że będzie tu miała takie sny. Oczywiście, że będzie chciała stworzyć ojca z krwi i kości tego domu. Był fantastycznym potworem z jej młodości, wielkim złym wilkiem, który zasiał w życiu jej matki nie chciane nasienie.

Jakkolwiek to sobie tłumaczyła, realność snu zabarwiła dni, które

potem nastąpiły. Leżąc na łóżku nocą zastanawiała się, czy znów się pojawi.

Ale jej sny były jak zwykle nonsensowne. Śniła o księgarni i panu Gerardzie ustawiającym na półkach biszkopty zamiast książek, albo o mieszkaniach zrównanych z ziemią i rojach nietoperzy krążących nad rumowiskiem.

Droga koło domu biegła wzdłuż klifu i z powrotem do lasu w stronę wrzosowisk.

Cheta wysforowała się na czoło. Za nią szedł Carlo, a na końcu Rachaela. Trzej nieustraszeni podróżnicy o zimnym, jasnym poranku.

Przez godzinę i piętnaście minut szli po mniej więcej znanym terenie, potem skręcili między szczeciniaste zarośla młodych sosen i kolczaste zasieki ostów.

Cheta i Carlo nie odzywali się do siebie ani do Rachaeli. Tak było dobrze, nie miała ochoty na rozmowę.

Ptaki szczebiotały w gęstwinie. Mewy krążyły nad głową. Krajobraz był nagi i pusty, daleki od przepychu morza. W szczelinach głazów mogły się kryć tajemnicze stworzenia. Doskonałe miejsce dla księcia chcącego stoczyć walkę ze smokiem.

Pół godziny później ukazała się brukowana, trochę więcej niż drugorzędna droga, wytyczona bez celu na tym pustkowiu. Cheta i Carlo skręcili w nią i szli środkiem. Nie bali się, że nagle wyjedzie skądś samochód. Nie wyjechał.

Bezlistne żywopłoty osłaniały szosę. Gdzieniedzie rozciągały się za nimi pasma zdziczałych łąk, które kiedyś były polami. Drzewa rosły samotnie, powyginane od wiatrów. Gawrony wystrzeliły z zagajnika, który wyglądał na niezamieszkały przez żywe stworzenia. Minęli posępne ściany wypalanej farmy. Jeszcze godzina i droga przeszła w gościniec. Ukazała się wioska.

Rachaela nie była zmęczona i cieszyło ją to, bo wiedziała, że musi sobie jeszcze poradzić z drogą powrotną, co najmniej trzygodzinną. Anna chyba nie skłamała, mówiąc o odległości.

Widok wioski zniechęcał. Domy z szarego kamienia sterczały po obu stronach nowej drogi. Ciemne zimowe pola ciągnęły się do stóp wzgórz. Pośrodku jednego z nich stał zepsuty, rdzewiejący traktor, pełno było

porzuconych samochodów o zapadniętych dachach. Na ich maskach krakały wrony.

Szli ulicą, mijając mały pub ze skrzypiącym szyldem „The Armitage”, pomalowany na kolor umbry.

Pośrodku wioski znajdował się plac, a na nim stała niebieska ciężarówka z wyłożonym towarem, czekając na klientów. Nie było nikogo poza nimi. Mieszkańcy tej posępnej osady musieli już zrobić sprawunki i wrócić do swoich ponurych domów. Zza ciężarówki wyglądała budka telefoniczna. Z pewnej odległości Rachaela zauważyła, że słuchawka zwisa bezużytecznie na sznurze. Z wnętrza sterczały kielki zerwanych kabli. Budka telefoniczna tu, w tej odległej głuszy, była zdewastowana! Poczula nagły strach, ale pozbawiony elementu zaskoczenia.

Zapewne w domach, przynajmniej w niektórych, były prywatne telefony.

Wyobraziła sobie, jak idzie przez tę kamienną wieś pukając do kolejnych drzwi, i nikt jej nie otwiera. Tylko wrony zanoszą się kaszlem we wrakach samochodów.

Podeszli do ciężarówki od tyłu. Gruby mężczyzna w kurtce z kapturem wstał na ich widok. Obok niego stanęła chuda kobieta o czerwonym nosie i sinych dłoniach ze śladami odmrożeń.

— Nareszcie jesteście — powiedział sklepikarz z fałszywą serdecznością do Carla i Chety, najwyraźniej z nimi oswojony. — Czym możemy dziś służyć?

Cheta wręczyła mu wykaz.

— To, co zwykle — stwierdził.

— Ta pani potrzebuje parę rzeczy — powiedziała Cheta. Mężczyzna popatrzył przebiegle na Rachaelę. Poczula znajome

dziecinne zażenowanie, że będzie musiała poprosić go o intymne Wykuły. Nagle zobaczyła wesołe pudełka tampaxów, bezwstydnie Wystawione między mydłem i chlebem. Kobieta zaczęła pakować mąkę i masło, cukier i papier toaletowy do składanej torby, którą Cheta wyciągnęła z kieszeni. Grubas przytaszczył dwie duże puszkę oleju i wystawił je dla Carla. Rachaela myślała, że sama będzie niosła swoje zakupy, które udało jej się w miarę dyskretnie załatwić, ale Carlo



podniósł plastikową torbę. To on był służącym u Scarabaidów.

Cheta zapytała:

— Możecie przywieźć trochę brandy następnym razem? Dwie butelki.

— Jeśli będą mieli, to przywiozę. — Mężczyzna podliczył ceny zakupów i odczytał sumę.

Cheta zapłaciła wyciągniętymi ze zwitka brązowymi banknotami.

Skąd Scarabaidzi brali pieniądze?

Rachaeli nie kazano płacić. Poczowała ulgę, choć nie była zdziwiona.

Cheta i Carlo, obławowani jak osiołki z plakatów Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, wyruszyli od razu.

Żadnego wytchnienia, nie mówiąc już o towarzyskiej pogawędce.

Grubas i kobieta z odmrożeniami odjechali.

Rachaela mogła odgadnąć, o czym rozmawiają: *A to niespodzianka.*

*Kim ona jest? Młoda. Nie nosi okularów.*

Przygoda w opustoszałej wiosce ze zniszczonym telefonem dobiegła końca. Teraz czekał ich trzygodzinny spacer do domu.

Fala wyczerpania ogarnęła Rachaelę.

Co by zrobili, gdyby nie nadązała, usiadła na kamieniu?

A cóż mieliby zrobić? Czekaliby cierpliwie pod swoim brzemieniem.

Nie martwiła się, że opuszczają osadę.

Wpędziła ją w depresję i zawiodła.

Wrony chichotały wśród wymarłych samochodów.

Znużona przez natłok oderwanych od siebie wrażeń, Rachaela poczuła, że wrzosowisko wyzuło ją z wszelkich sił witalnych. Wróciła do domu Scarabaidów zmęczona jak pies.

Pod jej nieobecność łóżko zostało starannie pościelone. Sarna nigdy nie trudziła się, nie składała wszystkiego tak dokładnie, wygładzała tylko poduszkę, żeby odbiła się na niej twarz diabła.

Napełniła wannę wodą i położyła się w niej słuchając Mozartaw radiu, do którego miała już baterie. Był to koncert fortepianowy.

Wydawało jej się, że śniła o fortepianowej muzyce w tym domu...

Jej zegarek, starannie nakręcany, wskazywał trzecią trzydzieści.

O wpół do piątej wyszła z wanny i weszła do pokoju. Przebrała się i położyła na łóżku, teraz tylko w kąpielu muzyki. Zaczęła poważnie

rozmyślać o domu.

Zapomniała o nim w ciągu tygodnia swoich wędrówek, próbując tylko od czasu do czasu otworzyć okute metalem drzwi wieży. Robiła to bez emocji, wiedząc, że będą zamknięte. W korytarzu prowadzącym do swojego pokoju zobaczyła, że z malowanych okien miejscami złuszczyła się farba, ukazując kolejne warstwy pod spodem. Przypomniała jej się koza wysuwająca łeb z brzucha kobiety.

Odnalazła też kuchnię z gazową kuchenką i mysimi dziurami.

Pomyślała o burzy i przypomniała sobie sen o mężczyźnie.

Coraz częściej wyobrażała sobie, że ktoś ją śledzi. Na wrzosowiskach uwalniała się od tego uczucia. Był to rodzaj histerii, jak sądziła. Bardzo stary, bardzo szalony człowiek nie prześladował jej przecież, nie wyskakiwał ni stąd, ni zowąd, ani nie wychodził jej nagle na spotkanie. Może przestała go interesować.

Rachaela zaczynała przygotowywać się do snu. No cóż, może odpocząć do obiadu z Anną i Stephanem. Chciała porozmawiać z nimi, szczególnie z Anną. Nie mogła więc przegapić tej okazji.

Łatwo jest drzemać, spacerować i przyjemnie spędzać czas, jeśli to wszystko, czego tu od niej oczekują. Ale wiedziała, że tak nie jest. Czegoś musieli oczekiwać. Była jak ofiarne jagnię — hołubiona i tuczona, aż do dnia rytualnej śmierci. Czy to nie nazbyt daleko idące przypuszczenia, myślenie o Scarabaidach w ten sposób? Łatwo było dać wiarę, że trzymają ją tutaj, żeby rytualnie zamordować w wyznaczonej fazie księżyca. Silni Carlo i Cheta zaciągną ją wrzeszczącą na wrzosowisko, trzymając w bezlitosnym uścisku; Sylvian będzie dzierzył wielki nóż do szatkowania kapusty równie delikatnie jak hebanową linijkę. Jeszcze jedno słowo do wykreślenia: Rachaela.

Pokój zniknął. Stała na skrzyżowaniu dróg pośrodku wrzosowiska, naga, osłonięta tylko rozwianymi włosami. Czekala, ale nie zjawił się nikt poza błękitną ciężarówką. Gruby mężczyzna zatrzymał się obok i zawołał wesoło: „Podrzucić? Wskakuj!” Stephan nie zszedł na „posiłek”. Zjawiła się tylko Anna w długiej, czarnej jak węgiel sukni, z tamborkiem do wyszywania w dłoni.

Michael podał jej naparstek płynu o barwie granatu, a Rachaeli kieliszek białego wina.

Znowu podano pieczeń z królika. Rachaela przypomniała sobie króliki, które widziała na wrzosowisku. Były ich nieprzeliczone ilości, istna spizarnia dla Scarabaidów. Prawdopodobnie to Carlo na nie polował. Chociaż nigdy nie słyszała huku wystrzału.

Usiadła naprzeciwko kominka w salonie.

Na ścianach znajdowały się przysłonięte lustra, mnóstwo obrazów zawieszonych jedne pod drugimi, zza zaciągniętych zasłon przeświecały witrażowe sceny. Figury na szachownicy były rozrzucone, ktoś stracił cierpliwość; królowa leżała twarzą w dół. Płonęły świece i żółte lampy. Przytulnie było przy tym ogniu, czy też makabrycznie?

— Anno, naprawdę chcę z tobą pomówić. Muszę znać odpowiedź.

— W czym mogę ci pomóc, Rachaelo? — Anna jak zwykle była łaskawa.

— Poszłam do wsi z Chetą i Carlem.

— Jesteś bardzo dzielna. Ale widzę, że spacer cię zmęczył.

— Wieś wyglądała na całkiem wymarłą. A publiczny telefon był zdewastowany.

— Ojej — westchnęła Anna, wyszywając spokojnie.

— Przypuśćmy, że potrzebowalibyście telefonu... — zaczęła Rachaela. — Czy to rozsądnie, że go nie macie?

— Całe to zawracanie głowy z instalacją... — rzekła Anna. — Obawiam się, że jesteśmy bardzo konserwatywni. Nie znosimy intruzów.

— A ja jestem intruzem.

— Ty? Rachaelo, jesteś jedną z nas.

— Przypuśćmy — spróbowała znowu Rachaela — że ktoś z was by się rozchorował.

— Nigdy nie chorujemy — oświadczyła Anna — tylko starzejemy się.

— Już samo to...

— Nie, Rachaelo. To się nigdy nie stanie. Dbamy o siebie.

— A ja? — zapytała Rachaela. — Gdybym ja chciała do kogoś zadzwonić? — Przykro mi — powiedziała Anna, ale zerknęła w górę. Jej bystre oczy mówiły: jesteś samotna. Nie masz nikogo.

— To mnie deprymuje. Sposób, w jaki tu żyjecie. Gdybym została z wami, też musiałabym tak żyć.

— Wybacz — rzekła Anna — ale wiemy co nieco o tobie, Rachaelo. O tym, że brak ci znajomych, o twoim trybie życia. Jesteś z natury samotniczką.

— Miałam wybór.

— Doprawdy? A czy przypadkiem nie dokonałaś wyboru, żeby być z nami?

— Nie — odparła Rachaela. — Będę szczerą. Zostałam zmuszona do tego wyboru. Wytropiliście mnie, prawda?

— Ach, tak — rzekła Anna. — Możemy się do tego przyznać.

— Pytałam wcześniej i muszę zapytać znowu: dlaczego?

— To miejsce jest ci pisane. Nasze towarzystwo także.

— Nie zgadzam się — skłamała Rachaela. Anna uśmiechnęła się lekko. Nie było sensu kłamać. — Nie jestem za nic odpowiedzialna. Nie mam autonomii. Jestem jak marionetka. Odnoszę wrażenie, że trzymacie mnie tu w jakimś celu.

— To dla twojego dobra — powiedziała Anna. — Czy nie rozumiesz swojej wartości? Cenimy tradycję. Cenimy ideę rodziny. A ty jesteś ostatnią z nas. Najostatniejszym kwiatem na naszym drzewie.

Rachaela pomyślała o słowach mężczyzny we śnie: „Ostatni, nie licząc ciebie”.

Poczuła, że ma zaciśnięte gardło i wyszeptała sucho:

— A ostatnim przede mną był mój ojciec?

— Tak.

— Dlaczego — zapytała — on nie jest z wami?

— Ależ jest, Rachaelo — odrzekła Anna. — Oczywiście, że jest. Rachaela pomyślała o starcach w tym domu. Coś się w niej zapadło. Matka mówiła, że był młody.

— Tutaj — powiedziała — a więc zapewne go spotkałam.

— Twój ojciec jest pustelnikiem, Rachaelo. Tak jak ty jesteś pustelniczką. Mieszka tu, ale nie wśród nas — Anna odłożyła robótkę.

— Kiedy był młodszy, w twoim wieku, uciekł. Uciekł do świata i pozwoliliśmy mu na to. Był na to odpowiedni czas. Począł ciebie w tym świecie. Potem wrócił do nas.— Z własnej woli?

— Nie, nie z własnej, ale z rezygnacją. Nie miał dokąd pójść. Drażni was oboje zamknięcie domu, ale nie znosicie otwartej przestrzeni, miast,

ludzi. Życie was razi. Jesteście Scarabaidami. Tu czujecie się bezpieczni.

— Gdzie — Rachaela złożyła ręce — gdzie on jest?

— Kilka razy próbowałaś otworzyć zamknięte drzwi wieży. Tam. Obawiam się, że godzinę waszego spotkania będziesz musiała zostawić swojemu ojcu. Musisz bardzo chcieć, może nawet czuć wściekłość.

— Wściekłość, tak.

— To coś, co możesz ustalić tylko z nim. Ty i on nie jesteście tacy jak my. Jesteście podobni do siebie. On przyjdzie do ciebie.

— Powiedz mi, jak ma na imię — poprosiła Rachaela.

Matka nigdy nie nazwała go imieniem. Był ciemnością pozbawioną nazwy, wściekłością.

— Adamus — odparła Anna. — Adamus to jego imię. Bardzo stare. Tradycyjne imię w rodzinie.

Rachaela nie mogła się pogodzić z tym imieniem. Dzwoniło jej w głowie jak muzyka dobiegająca z sąsiedniego pokoju.

— I mieszka w wieży. Czy grasuje po domu w ciemności?

— Co za spostrzegawcze pytanie. Kiedyś tak robił. Teraz jest znacznie spokojniejszy.

Rachaela zapatrzyła się w ogień.

Czy więc był to sen? Czy też jawa? Mężczyzna ze snu wydał się jej zbyt młody. Ojciec „spłodził ją w świetle”, gdy był w jej wieku.

Musiałby mieć teraz jakieś sześćdziesiąt lat. Naznaczony starością, tknięty piętnem Stephana, Sylviana, Petera i Camilla.

Rachaela nie była w stanie zapytać o nic więcej. Jej gwałtowny bunt nagle opadł. Płonął w niej nowy płomień. Adamus. Imię jakiegoś świętego czy demona w tajemniczej sztuce, zamkniętego w mrocznej wieży.

— Pójdę do łóżka, Anno — powiedziała.

Anna uśmiechnęła się łagodnie i podniosła robótkę haftowaną w kwiaty podobne do kropli krwi. Tej nocy Rachaela usiadła na krześle, na którym siedział on. W rzeczywistości, nie we śnie. Jej myśli kłębiły się niespokojnie. Widziała go znowu. Był jej ojcem.

Tak wiele chciała mu powiedzieć, wykrzyczeć. W jego obecności będzie na pewno niema, nie potrafi wyrzucić z siebie tych wszystkich zdań i oskarżeń.

Ogień przygasał, dołożyła więc kilka polan z mosiężnego wiaderka. Przez cały dzień służący Scarabaidow wchodzili i wychodzili z tego pokoju odkurzając go, tak że kurz podnosił się z jednej powierzchni i osiadał na innej, doglądając łóżek, lamp, świec i ognia, dostarczając zapasu drewna.

Ale nocą przychodził on i zapewne używał klucza, bo przecież drzwi były zamknięte.

Gdyby się wtedy nie obudziła, jak długo siedziałyby, patrząc na nią? Nigdy nie domyśliłaby się, że był w pokoju. Czy wrócił, a ona o tym nie wiedziała?

Odległy zegar wybił godzinę. Rachaela spojrzała na czarny czasomierz na półce kominka. Druga — a więc była pierwsza w nocy.

Wstała. Wzięła oliwną lampę z zieloną podstawką i otworzyła drzwi.

Tak jak przewidziała, lampa w korytarzu zgasła. Hol był ciemny i światło kaganka omiotło go, ożywiając obrazy i drewno rzeźbione w winogrona i jabłka swym migotliwym blaskiem.

Scarabaidzi patrolowali dom po północy, słyszała ich kroki dosyć często.

On też pewnie snuł się po korytarzach, wbrew zaprzeczeniom Anny, bo zaprzeczenia Anny oznaczały często, że dotarło się do prawdy.

Lampa drżała nieco w jej dłoni. Ujęła ją pewniej. W końcu to jego się zawsze bała. Nie domu, nie rodziny, lecz jego.

Od czego zacząć...? Dlaczego nie od drzwi wieży, gdzie musiał się Pojawiać na pewno?

Poszła wzdłuż korytarza i doszła do zwieńczenia schodów. Na chwilę opuściła ją odwaga. Cały korytarz tonął w mroku. Potem zobaczyła słabą, łagodną, ledwo widoczną poświatę z salonu — jak gdyby płonęły tam świece lub lampa.

Zaczęła powoli schodzić, oświetlając stopnie. Jakże czerwony wydawał się chodnik w kręgu lampy.

Z mroku wychynęła nimfa z pustą latarnią.

Kiedy Rachaela dotarła do poziomu dolnego korytarza, światło w przyległym pokoju nagle zgasło. Stopiła się ostatnia świeca.

Nie usłyszała szurania ani stukania obcasów, szelestu sukni ani rękawa. W ciemności hol wydawał się bezkresny, jak gdyby rozciągał

się od kręgu lampki w nieskończoność.

Ale Rachaela, stojąca w centrum światła, nie widziała żadnych obserwatorów skulonych w mroku.

To prawdopodobne, że jacyś byli.

Wyobraźnia Rachaeli próbowała wyrwać się z więzów rozsądku. Hol zaludniły zjawiska, pozbawione formy ale czujące, duchy domu, głodne jak Scarabaidzi.

Wówczas coś wyszło z korytarza w czerń holu. Niewidoczne i bezszelestne, ale wyczuła to. Włoski na jej ciele zjeżyły się. Wiedziała, że nie jest to tylko wyobraźnia.

Rachaela podniosła lampę. Dwoje wąskich, zielonych oczu błysnęło w pustce.

Kot? Za wysoko jak na kota.

Usłyszała cichy, posuwisty krok, jak gdyby pióro omiotło ziemię.

Zrobiło jej się zimno i wyciągnęła kaganek na odległość ramienia.

Stworzenie stało w holu naprzeciwko niej. Miało kształt kota, ale było wielkości labradora. Sierść — długa, gęsta i czarna — połyskiwała w świetle. Ogromny koci łeb był zwrócony w jej stronę, oczy lśniły teraz topazowo, bezmyślne, skupione i potworne.

Rachaela nie poruszyła się. Nie śmiała. Takie stworzenia nie istnieją. Ale przecież stał tu i patrzył na nią tak nieruchomo. Skok będzie zbyt szybki, by miała czas na jakąkolwiek reakcję. W ułamku sekundy znajdzie się pod nim, przygwożdżona ogromnymi łapami, pazury rozedrą ją, kły zatopią się w gardle.

— Nie obawiaj się, nie skrzywdzi cię. Głos pozbawiony ciała dobiegał znikąd. Nie była w stanie odezwać się ani poruszyć.

— Zna cię — powiedział głos. Mężczyzna wyszedł z mroku, przynosząc ze sobą czerń. Położył jasną dłoń na łbie ogromnego kota i delikatnie drapał go za uszami. Kot nie wydał żadnego dźwięku, ale przymknął ślepią. Przyzwalał na pieszczotę.

Mężczyzną był Adamus, jej ojciec. Musiał przyjść od strony wieży, albo z przejścia wiodącego z kuchni, tak jak kot.

Miał czarne spodnie, czarny sweter. Zwykle, codzienne rzeczy. Żadnych pierścieni na smukłych rękach. Czerń jego włosów obramowała wysokie czoło, podkreślając rysy twarzy.

— To on łapie to, co znajdujesz na talerzu, nie wiedziałaś? — powiedział swobodnym tonem. — Scarabaidzi pozwolili mu polować na mewy i króliki, poluje też dla siebie. Gardzi myszami. Zabijanie ich to jego hobby.

Ciało Rachaeli rozluźniło się mimowolnie, poddało. Omal nie upuściła lampy.

— Ostrożnie — powiedział.

Zostawił kota i podszedł do niej, jego samotna postać rzucała gigantyczny cień. Wziął od niej lampę.

— A ja myślałem — powiedział — że wszelkie tutejsze niespodzianki przyjmujesz spokojnie.

Kot przyglądał się im, a potem odwrócił się i bezszelestnie oddalił do salonu.

Rachaela przypomniała sobie wszystkie otwarte drzwi. Zobaczyła jak kot wchodzi i wychodzi. Jak rzuca się na mewy, na króliki żerujące o świetle.

— Nic nie mówisz — zauważył.

— A co mam powiedzieć?

— Cokolwiek zechcesz.

Lampa oświetliła jego twarz. Czarne oczy były płonące i żywe, niepodobne do oczu Scarabaidów, ani do ołowianych stawów w białej powierzchni twarzy. Teraz widziała szorstkość męskiego podbródka, ślad po goleniu, cieniutkie zmarszczki wokół oczu i ust, mocno zarysowane czarne brwi, rzęsy, na których igrało światło. Była to twarz trzydziestoletniego mężczyzny, nie starszego.

- Kim jesteś? — zapytała.

- Ależ mówiłem ci, Rachaelo.

Ja też ci mówiłam. Jesteś za młody.

— Rodzina młodo wygląda. Jak myślisz, ile lat ma Anna? Stephan? Dodaj sto, to może się nie pomylisz.

— To śmieszne — powiedziała, ale wierzyła mu. Anna — sto osiemdziesiąt. A Sylvian jest jeszcze starszy.

— Ciągle coś mi się nie zgadza — powiedziała. — Skoro masz sześćdziesiąt lat, a pozostali po dwieście, skąd ta różnica między wami?

— Byli jeszcze inni — odparł. — Ale nie udało im się. Umarli.



— Zostawiając tylko ciebie?

— A teraz również ciebie — rzekł. Położył rękę na jej ramieniu.

Drgnęła, czując jego dotyk.

— Pójdziemy do pokoju? — zapytał. Pozwoliła się poprowadzić.

W salonie czerwonawy żar dogasał w kominku. Postawił lampę na stole. Usiedli naprzeciw siebie w tej oazie, mrok wokół nie miał już znaczenia. On tu był. A kot, jego symbol, odszedł w noc.

Rzucił kawałek drewna w ogień z niedbałą gwałtownością młodego człowieka. Kiedy odwrócił głowę, zauważyła, że jego włosy nie były krótkie, ale upięte z tyłu głowy opadały czarnym, jedwabistym sznurem na plecy. Włosy młodego mężczyzny.

— Może ty mi powiesz — zapytała — po co tu jestem? Czy to ty napisałeś list?

Cień rozbawienia przemknął przez jego twarz i zniknął.

— Boją się maszyny do pisania. Bardzo pożyteczny sprzęt.

— A więc chciałeś mnie tu sprowadzić — powiedziała.

— Nadszedł odpowiedni czas.

— Anna tak mówi. *Czas*.

— Tak — zgodził się. — Anna jest bardzo sprytna. Nie masz pojęcia, jaka była piękna. Muszę ci pokazać zdjęcia. Prawie tak piękna jak ty.

Przeniknął ją lodowaty żar.

— Dziwne — powiedziała — usłyszeć komplement od ciebie.

— Nie zawracam sobie głowy komplementami, Rachaelo. To fakt. Rodzina była znana z urody. Kiedyś słynęła z tego.

— A więc ty się do tego dopisujesz, do tego rodowego mistycyzmu?

— Może.

— Szaleńcy i ekscentrycy, uważający się za coś wyjątkowego.

— Co mówiła ci o mnie matka? — zapytał.

Rachaela popatrzyła w ogień. Czy miała teraz zdradzić swoją matkę, tę zgorzkniałą i pomarszczoną kobietę o ciężkiej ręce?

— Bardzo mało. Niewiele jej dałeś.

— Tak, niewiele. Nie wiem czy ci mówiła, że byłem z nią tylko trzy noce. Tylko trzy. Dwie na początku. I jedną później, kiedy już cię nosiła.

— Dlaczego wróciłeś?

— Żeby sprawdzić czy jest w ciąży, dla czegoż by innego?

— Była, a mimo to zostawiłeś ją.

— Zrobiłem, co było trzeba. To wszystko.

— Wydaje mi się — podsumowała Rachaela — że twoja cenna rodzinka pozwoliła ci odejść, żebyś zasiał swoje nasienie. A kiedy to się stało, przywołali cię z powrotem.

— Wróciłem z własnej woli. Wtedy przekonałem się sam o jałowości wszystkiego innego. Ten dom jest moim więzieniem, ale potrzebuję go. Reszta jest nic niewarta. Nie zauważyłaś jeszcze?

— Nie — skłamała znowu. — Ceniłam sobie moją wolność.

Uśmiechnął się. Był to zimny i odpychający uśmiech, pożałowała, że się w ogóle odezwała. To absurdalne, ale onieśmielał ją. Był jednym ze Scarabaidów, istotą z farsy. Czy naprawdę nie miała mu nic do powiedzenia, czy nie chciała mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła? Nie mogła myśleć o nim jak o ojcu. Nie, nie wierzyła w to. To jakiś żart.

Magnetyzowała ją jego obecność. Nie mogła odejść od kominka, dopóki on tu był. Nigdy dotąd nie spotkała takiego uzewnętrznienia samej siebie, przerażającego i prawdziwego.

— Zgadzam się — powiedziała — że ten dom jest rodzajem więzienia.

— Dokąd chcesz iść? — zapytał. — Kto ci zabronił? Musisz tylko spakować torby i wyruszyć.

— Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Nie ma komunikacji. Jedyne telefon w promieniu kilku kilometrów jest zepsuty.

— Rozumiem — powiedział. — Rzeczywiście zależy im, żebyś została.

Jego twarz ściągnęła się. Oczy były takie jak wtedy, gdy widziała je po raz pierwszy, nieruchome i ocienione.

— Nie wiedziałeś?

— Och, podejrzewam, że się domyślałem. Będziesz musiała zostać.

— Dlaczego? — zapytała szybko.

— Dla czegokolwiek, co ma nastąpić.— Przestań mnie szpiegować — powiedziała. — Nie masz prawa.

— Och, prawa — mruknął szyderczo. — Postaw krzesło pod drzwiami, jeśli czujesz się zaniepokojona.

- Czy to cię odstraszy?
- Już cię widziałem — rzekł. — Jestem usatysfakcjonowany.
- Że rodzina zachowuje ciągłość?
- Jesteś moja — powiedział. — Cud natury.
- Nie jestem *twoja*. Jak śmiesz mówić coś tak niewłaściwego?

Jestem dla ciebie niczym. Moja matka była dla ciebie niczym.

- Tu masz rację.
- Więc nie możesz mieć żadnych żądań.
- Nie mam — odparł — żadnych żądań. Jesteś ciągle moja.

Stworzyłem cię.

— Pieprzone bzdury — powiedziała zimno. — Upuściłeś mnie jak monetę. Jeszcze mniej.

— Miałem zamiar cię stworzyć — rzekł — próbowałem z wieloma kobietami. Jednak nasienie Scarabaidów jest wybredne. Najlepiej przyjmuje się w rodzinie. Ale twoja głupia, bezduszna matka miała zdumiewająco właściwe warunki, żeby mnie przyjąć. Byłem pewien, że tak będzie. Kiedy wróciłem do niej tamtej nocy, wiedziałem co zastanę.

— Przez całe życie — krzyknęła Rachaela, słysząc fałszywą desperację w swoim głosie — przeklinała ciebie i to, co zrobiłeś! Musiałam za ciebie płacić.

— Przykro mi — powiedział bez wyrazu. — Ale to się skończyło, prawda?

— Dlaczego nie zostawiliście mnie w spokoju?

— Wystarczająco długo miałaś spokój.

— Ty draniu! — krzyknęła. Nie był jej ojcem. Był mężczyzną z mroku, który trzymał ją tu, nie dotykając, a ogień trawiący drewno wyłączał im twarze. Nie mogła wyjść. Zdobyła się jednak na ogromny wysiłek i wstała. — Pójdę już do łóżka.

— Tak — zgodził się. — Śpij dobrze, Rachaelo.

Ku jej konsternacji, poczuła łzy napływające do oczu. Był niedelikatny i nic dla niej nie znaczył, a jednak czuła się tak, jak gdyby przez dwadzieścia dziewięć lat życia to proste i nieszczerze pragnienie poznania go czekało i obrastało w sentymenty. Nic już nie powiedział.

Wzięła lampę i zostawiła go w świetle kominka, podczas gdy ogromny kot polował gdzieś w mrokach nocy.

Poprzez lilie i błyski słońca studiowała swoje odbicie w trzyczęściowym lustrze.

Stała naga, w oprawie czarnych włosów.

Jej białokremowe ciało było długie i smukłe jak wyrzeźbione z kości. Pełne piersi o sutkach bladoróżowej barwy nie straciły młodzieńczej jędrności. Błękitnozielony cień kładł się na bieli, przywodząc na myśl morską głębinę.

Patrzyła na siebie, na to, co mogła dostrzec, podzielone na troje przez lustro, próbując oswoić się z tym widokiem.

Rachaela nigdy nie widziała nagości swojej matki. Jej obwisła, zaniedbana sylwetka była zawsze spowita w podopinane ubrania, koszule nocne i podobne do namiotów szlafroki. Kiedyś zapukała do drzwi łazienki i usłyszała wystraszony głos: nie możesz wejść. Matka była zgorszona, że Rachaela śpi nago. Gorszyło ją również ciągle mycie włosów i zwyczajowe spóźnienia Rachaeli do pracy. Wszystko było nie tak, wszystko zasługiwało na potępienie.

Traktowała córkę jak istotę z Wenus.

Kupowała jej przyzwoite koszule nocne, stawiała znaczki na butelce z szamponem i nastawiała sobie budzik, żeby rano pójść i potrząsnąć Rachaela. *Twoje włosy tego nie wytrzymają. Wiesz, że zużyłaś prawie całą butelkę? Dlaczego ich nie obetniesz i nie zrobisz z nimi porządku?*

Lilia zasłoniła pępek Rachaeli, zielona szklana łożyczka podzieliła jej czarne runo na dwie części.

Odwróciła się od lustra i naga weszła do łóżka.

Postawiła krzesło pod drzwiami.

To niemądre. Widział ją.

Długo nie mogła zasnąć, dwa razy dotarły do jej uszu stłumione odgłosy kroków w korytarzu. Pomyślała o olbrzymim kocie mijającym drzwi, ocierającym się o nie bokiem i niosącym coś martwego w pysku. Wreszcie zmorzył ją sen.

Stała teraz u stóp wieży.

Nie było tu światła, ale szklane lilie rosły w szczelinach stopni, które były szkarłatne, wilgotne, obsypane piórami. U szczytu schodów stał on.

Wyciągnął do niej rękę.

Wspinała się na wieżę, coraz wyżej i wyżej. Droga pod górę nie miała

końca. Przez cały czas czuła ściskające gardło przerażenia. Chciała do niego dotrzeć, ale bała się.

W końcu dotarła do obszernego, okrągłego pokoju pod stożkiem wieży. Ku jej zdumieniu były tu okna z przezroczystego szkła. Widać było przez nie lasy, klify i morze.

Adamusa, jeśli tak miała go nazywać, nie znalazła. Pokój był pusty. Rachaela zaczęła płakać.

Obraz w oknie korytarza był potworny. Lew pożerał jagnię, żywe kolory rozpryskiwały się wszędzie, podświetlone zachodzącym słońcem.

Rachaela bez celu przeszukiwała dom.

Korytarz był długi i wydawało jej się, że wiódł do biblioteki, chociaż nie wiedziała na pewno. Zastanie tam Sylviana zajętego wykreślaniami słów albo Alice drapiącą globus szpilką od kapelusza.

Zobaczyła Scarabaidów stłoczonych nad powierzchnią globusa. Zostawili za sobą płonące domy, uciekając po śniegu, a śnieg był czerwony od ognia.

Ktoś ją śledził.

Czy to kot? Jak poradzi sobie sama z tym zwierzakiem? Nie odważy się go dotknąć.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Minęła wiele drzwi, próbując otworzyć niektóre z nich. Wszystkie jednak były zamknięte.

Co kryło się za zamkniętymi drzwiami Scarabaidów?

Usłyszała za sobą schrypnięte sapanie i śmiech podobny do chichotu niegrzecznego dziecka.

Camillo.

Czy to powód do ulgi? Zagubiona w bocznych korytarzach domu, z sapiącym szaleńcem za plecami. Miał swój miecz?

Korytarz zakręcił. Mijając zakręt Rachaela odkryła, że kończy się on drzwiami, okutymi czarnym żelazem. Czy to inna droga do wieży? W takim razie też pewnie zamknięta.

W tej samej chwili usłyszała kroki Camilla człapiącego za nią po dywanie. Biegł. Ten starzec biegł, żeby ją dogonić.

Rachaela przyłgnęła do ściany, a zwariowany wujek Camillo minął ją truchtem. Zachichotał i podbiegł do drzwi.

Miał klucz. Otworzył je i ukazał się krąg ciemności, noc w środku

dnia.

Camillo skłonił się i przytrzymał drzwi otwarte dla Rachaeli.

Podniosła powieki i zobaczyła pokój skąpany w blasku kusocielskiego okna. Znowu śniła. Wujek Camillo nie otworzył jej drogi do wieży. Ani nie wyśniła spotkania z Adamusem. Był prawdziwy jak latarnia morska w morzu koszmarów. Śpij dobrze, powiedział.

Scandalous

Sylvian pracował w bibliotece.

Nie podniósł wzroku znad stołu.

Rachaela stanęła i patrzyła jak precyzyjnie przykłada hebanową linijkę i macza pióro w kałamarzu. Narysował prostą cienką kreskę. Kolejne zdanie zniknęło. Kolejna myśl została zamazana.

Rachaela podeszła, odsunęła krzesło i usiadła naprzeciw niego.

— Czy mogłabym cię jakoś powstrzymać?

— Nie, Rachaelo. Nie mogę przestać. To niezbędne. Siedziała, patrząc na niego. Poczwała narastającą chęć krzyku.

Stłumiła ją. To tylko kolejny starzec. Może gdzie indziej ktoś potrzebuje tych książek, chciałby je przeczytać. Może zresztą nie. Niektóre były zniszczone i stare, białe kruki, które znalazły się w domu Scarabaidów. A Sylvian właśnie wykreślał w nich zdanie po zdaniu.

— Dlaczego tu jestem, Sylvianie?

— Należysz do tego miejsca — odparł, nie przerywając pracy nawet na chwilę, tylko na ułamek sekundy przesywając ją spojrzeniem.

— Gdzie powinnam szukać Camilla? — zapytała.

— Wujek Camillo zjawia się to tu, to tam. Jak błędny ogień.

— Wujek — powtórzyła. — Czy to twój wujek, Sylvianie?

— To poprzednie pokolenie — powiedział Sylvian tak, jak Anna przedtem. — Jest bardzo stary. — Dwieście lat, trzysta — zaryzykowała lekko. Serce biło jej szybko.

— Więcej, więcej — odrzekł Sylvian pochłonięty swoim zajęciem.

— Wujek Camillo pamięta ucieczkę z ostatniego miasta. Z innego kraju. Wiele lat temu. Nie pamiętam daty. Byłem wtedy małym dzieckiem.

Jak we śnie Rachaela zobaczyła oczyma wyobraźni płonący dom. Tłum wrzeszczał i ciskał kamieniami w kolorowe okna.

— Powiedz mi, ile masz lat, Sylvianie?

— Och, zapomniałem.

— A Adamus?

Sylvian wykreślił zdanie starannie i z upodobaniem. Widziana poprzez stół dokładnie poliniowana strona przypominała piękną matrycę.

— Adamus jest twoim ojcem — rzekł.

— Tak mi mówił. Ile ma lat?

— Musisz go zapytać. Zapominam takie rzeczy. Czas się wlecze lub gna bardzo szybko. Rok mija jak miesiąc. Dzień staje się rokiem.

— Nie opowiesz mi o Camillu?

— Snuje się po całym domu. Śledził cię.

— Już nie. Stracił zainteresowanie.

— Może Anna ci o nim opowie — rzekł Sylvian.

— Nigdy nie widuję Anny w dzień. Właściwie żadnego z was, poza służącymi. Kim oni są? Jakimś poślednim odgałęzieniem rodziny?

Sylvian przekreślił ostatnią linijkę na ostatniej stronie. Odłożył książkę na bok i przysunął sobie następną.

Rachaela nie mogła na to dłużej patrzeć.

Pytała ich, tych Scarabaidów, na których się natknęła, gdzie znajdzie Camilla. Wierzyła w senną przepowiednię. Camillo pokaże jej drogę do wieży. Wówczas będzie się mogła włamać do Adamusa tak, jak on do niej. Nie odważyła się myśleć, co będzie dalej. Narastało w niej uczucie bezsilności, którego nie lubiła.

Poszła do kuchni. Miała zamiar przepytac Chetę, Carla, Michaela, Marię. Nikogo tam nie było. Oni także zniknęli. Domyślała się, gdzie się pochowali — w jaskiniach trudnych do zlokalizowania sypialń albo w wąskich celach, gdzie stali sztywno w ciemnościach oparci o ściany.

Dom był grobowcem. Te lękające się światła stwory nie musiały nocą wpełzać do trumien. Chroniły ich podwójne drzwi i cukierkowe okna.

Na nowo odnalazła korytarz z dzieckiem tonącym pośród trzciny i wypchanym koniem. Camillo nie zostawił żadnych śladów. Nawet zbroi.

Znowu minęła malowane lustro. Pojawiło się na nim więcej wzgórz. Koza w brzuchu kobiety była w rzeczywistości rezultatem nakładania się jednego rysunku na drugi.

W pokoju muzycznym, gdzie stał zakurzony fortepian i nie nastrojona



harfa, ktoś powiesił na kołku żółtą gitarę. Okno, którego nie oglądała wcześniej, przedstawiało orkiestrę zwierząt: tygrysy grające na fletach, słońia przy organach, krokodyla z wiolonczelą. Mimo że okno miało prowokować do śmiechu, było zdecydowanie przerażające, jak dziecięca halucynacja. Gdzieś widać było arkę Noego unoszącą się na fali powodzi i dwa złociste jednorożce. Ale lew i owca były wytworem fantazji. Może był to jakiś trop, który podsuwał jej uśpiony umysł?

Wujek Camillo nie znał drogi do wieży, zapomniał albo nie chciał powiedzieć.

Lew pożerający owieczkę... *Wilk będzie leżał z barankiem...* A młody lew z cielątkiem?... Takie okno to do nich podobne... *A dziecię je poprowadzi.*

Dziecko. Gdzie jest dziecko?

Rachaela podniosła głowę. Niegrzeczne dziecko — Camillo — zapewne bawi się w pokoju na strychu.

Musi tu być taki pokój. Kurz i pajęczyny. I stare zabawki Scarabaidów z czasów, gdy byli dziećmi, wieki temu.

Nie widziała niczego, co mogłoby być drogą na strych. Nie chciała tam iść. Jeżeli rzeczywiście był tam wujek Camillo ze swoimi zabawkami i kluczami do domu, do wieży — nie można go niepokoić.

Rachaela czekała w swoim pokoju, dopóki nie doszła do wniosku, że nadeszła pora lunchu. Wówczas zeszła na dół do jadalni.

To, co zobaczyła otwierając drzwi, jakoś wcale jej nie zdziwiło. Stół otoczony był wianuszkami Scarabaidów. Ile tu było miejsc? Z pewnością szesnaście. Stała w progu licząc głośno. Podnieśli swojestare głowy z włosami podobnymi do srebrnego i białego drutu, i patrzyli na nią oczami podobnymi do dziur po pociskach.

Rachaela podeszła do głównego miejsca, pustego, stanęła tam i wymieniła ich imiona, wszystkie, które słyszała, które mogła przywołać, na chybił trafił, jak nauczycielka sprawdzająca listę:

— Anna, Stephan, Peter, Dorian, Sylvian, Alice, Unice, Miriam, Sasha, Eric, George, Miranda, Livia...

A kiedy skończyła, troje grzecznych dzieci, o których zapomniała, dodało drżącymi głosami:

— Teresa.

— Jack.

— Anita.

Po pokoju kręciło się też czworo pozostałych: Michael, Cheta, Carlo i Maria. Obie kobiety serwowały omlety serowe, Carlo pilnował ognia, Michael podawał sałatki.

Ściągnęli do tego miejsca jak insekty. Nie zjawił się Camillo, jedyny, na którym jej zależało. Camillo i Adamus, stary i młody. Dla nich Adamus był dzieckiem, a ona — niemowlęciem.

Maria już była przy niej i zaczęła układać dodatkowe sztuce tam, gdzie Rachaela stanęła.

Rachaela usiadła w milczeniu i zjadła to, co jej podano.

Scarabaidzi zaczęli rozmawiać. Ćwierkali i świergotali między sobą jak w gnieździe pełnym małych, wrzaskliwych, niebezpiecznych ptaszków o ostrych jak brzytwa dziobach.

Zamieszanie było tak wielkie, że słyszała tylko pojedyncze słowa: „koronka”, „omlet”, „kawałek sera”.

Anna, rodzinny mówca, raz czy dwa obdarzyła Rachaelę bezlitosnym uśmiechem, który mówił: widzisz, jacy potrafimy być? Wolisz to?

Pokój trzaskał i wibrował na granicy szaleństwa.

Rachaela siedziała zahipnotyzowana, zafascynowana. Czuła się jak we wnętrzu zepsutej pozytywki. Czy ucichliby, gdyby przekręcić kluczyk? Ale gdzie on jest?

Talerze zostały wymiecione do czysta, pochłonięto owoce podawane sobie z rąk do rąk, i zjawiły się imbryki z herbatą. Tym razem trzy.

Rachaela siedziała w tej ptaszarni. Piła herbatę.

Alice i Sasha wstały pierwsze.

Rachaela podniosła się także i podeszła do nich.

Rozpoznała Alice, która miała na sobie zrobiony na drutach śliwkowy sweter i długi sznur karminowych koralików.

— Alice, opowiedz mi o strychu.

— Och, o strychu — odparła Alice natychmiast, jak nakręcona. — Jest pełen drobiazgów. Suknia mojej matki na manekinie, stary koń na biegunach, pamiętasz, Sasha?

— Jak można się dostać na strych? — zapytała Rachaela.

— Schodami — odrzekła Alice. — Pokażemy ci.

Inni patrzyli, jak wychodziły z pokoju. Hałas nie ustawał.

Weszły na półpiętro i skręciły w lewo. Korytarz wyginał się jak robak, rozgałęział. Przeszły obok miejsca, gdzie Salome tańczyła z głową Jana — tak Rachaela zinterpretowała scenę na szafranowo-wiśniowym szkłe. Dalej były gołe deski podłogi, zamknięte drzwi, wąskie schody wiodące w dół i inne prowadzące w górę, nie okryte chodnikiem. Rachaela nigdy tędy nie chodziła. Przejście było mroczne, oświetlone ponurymi błyskami, które rzucała Salome — spatynowaną czerwienią umierającego słońca na oblażącej z farby ścianie.

— Trzeba iść na górę — powiedziała Alice. — Teraz już wiesz.

— Poszukaj wujka Camillo — powiedziała Sasha. — Przechowuje wino na strychu.

— Och, tak! — zawołała Alice. — Zrobił go już bardzo dużo. Zupełnie okropne, kwaśne jak ocet. Nie do picia. Ale powiedział, że lubi robić wino. W kuchni ciągle wyskakiwały korki z butelek. Więc teraz przechowuje je tutaj.

Kiedy Rachaela weszła na stopień, Alicja pomachała jej na do widzenia, jak gdyby odprowadzała ją do pociągu.

Drzwi na strych były pozbawione pajęczyn, widocznie używane. Miały zamek, ale stały uchylone. Pchnęła je. Obie kobiety oddaliły się.

Sam strych był długi i wysoki, zavalony bezładnie przedmiotami. Zobaczyła komody, stare szafy, wypchane ptaki. Rzeczywiście — szkarłatna spleśniała suknia wisiała na manekinie, koń na biegunach wyglądał jak zawieszony na słonecznym promieniu. Na końcu ściany znajdowało się okno, okrągłe i podzielone szprychami jak koło. Szkło, zakurzone i zielonkawe, było przezroczyście. Okno ze snu, tyle że w złym miejscu. W tej migotliwej iluminacji stopniowo zaczęła rozróżniać rzędy brązowych butelek stojących wszędzie dookoła, a w końcu dostrzegła wujka Camillo siedzącego w bujanym fotelu, który pewnie pomylił z koniem na biegunach. Był poza promieniem światła, chociaż cały strych był nim nakrapiany. Okruchy blasku zapaliły błyski w trzech pierścieniach na splecionych, kościstych dłoniach i oświetliły długi płaszcz białych włosów. Oczy miał zamknięte, ale kiedy mu się przyglądała, otworzył je.

— Wioo — popędził bujany fotel i wprawił go w ruch. Skrzypnięcia zdawały się wydobywać z jego wątlego ciała.

— Światło — powiedziała Rachaela.

— Będziesz się musiała przyzwyczać — odparł. — Unikaj bezpośredniego promienia.

— Nie irytuje mnie.

— Z czasem zaczniesz.

— A ty — zapytała — nie boisz się światła?

— Jestem za stary — stwierdził wujek Camillo huśtając się. — Chcesz iść nad morze?

— Nie — odpowiedziała. — Czy jest jakaś droga do wieży?

— Adamus zamyka drzwi — rzekł Camillo. — Adamus kiedyś uciekł. Sam poszedł w świat. Potem wrócił...

— Znasz drogę do wieży? — przerwała mu.

— Łatwo się tam dostać — odparł. — Po dachu.

Wskazał okno. Rachaela stanęła w pełnym świetle. Zobaczyła klamkę, dawało się więc otworzyć. Na zewnątrz znajdował się płaski dach z kamiennym parapetem. Jeden z kurków, w kształcie smoka, balansował pod nieprawdopodobnym kątem. Za płaskim dachem rozciągał się kolejny, dalej widniał stożek wieży. Pod jej szczytem zobaczyła wysokie ciemne okno z barwionego szkła i ołowiu. Wyglądało nieprzystępnie.

— Napij się wina — powiedział wujek Camillo.

— Nie, dziękuję — otworzyła szerzej okrągłe okienko. Można się było przez nie wydostać. Rzuciła okiem na dachy, na kolorowe szyby pod stożkiem wieży. Pomyślała, że Camillo mógłby zamknąć i zaryglować okno, gdy ona będzie na zewnątrz, odcinając powrót. Bujał się jednak spokojnie. Nie sądziła, że to zrobi. Będzie, tak jak jej radził, unikał bezpośredniego blasku słońca.

— Muszę potem tędy wrócić — powiedziała. Nie wierzyła, że dostanie się do wieży tą drogą. Nie sądziła że, nawet jeśli tamto okno można otworzyć, mężczyzna imieniem Adamus zrobi to.

Wydostała się z pewnym trudem i stanęła na otwartej płaszczyźnie. Pozostałe dachy domu rozciągały się poniżej. Dostrzegła cienieścian, potem płową ziemię, drzewa ogrodu i las. Morze ziało z jednej strony,

dzisiaj zielone i niespokojne. Siąpił lekki deszcz.

Przeszła po dachu. Zstąpiła na następny.

Kiedy zbliżyła się do wieży, usłyszała dźwięki pianina, gwałtowne, śmiałe uderzenia, fragment gniewnej melodii, która tak pasowała do wzburzonego morza i huku piany.

Pomyślała, że on ma tam radio albo adapter. Podobnie jak ona pragnął muzyki i pozwolił, żeby przyniosły mu ją nowoczesne urządzenia. Słyszała też stukanie maszyny.

Dotarła do okna. Patrząc na ołowiany zarys zobaczyła lwa stojącego nie nad owcą, lecz nad rycerzem w zbroi. Intensywne kolory były nie do odróżnienia. Nie dostrzegła żadnego widocznego zamknięcia.

Rachaela zastukała paznokciami w szybę. Potem cofnęła dłoń, przerażona tym, co zrobiła.

Ale muzyka nadal rozbrzmiewała. Nic nie poruszyło się w wieży na znak, że ją usłyszano.

Wróciła w deszczu. Okno na strych stało otworem, Camillo ciągle się huśtał.

Niezgrabnie wgramoliła się do środka.

— Tak, napiłabym się wina.

— Proszę bardzo. Poczęstuj się.

— Nie mogę otworzyć butelki.

— W takim razie będziesz się musiała obejść smakiem.

— Masz klucz do wieży — powiedziała Rachaela.

— Grał na fortepianie? — zapytał Camillo. — Można wejść do środka. Pukałaś? Może cię nie usłyszał.

Usiadła w kurzu na niskiej komódce. Camillo huśtał się.

— Jestem najstarszy — oświadczył.

— Mówili mi.

— Chcesz usłyszeć, ile mam lat?

— Tak.

— Nie możesz. Nie pamiętam. Wioo! — krzyknął na fotel i znów przymknął oczy. Wreszcie powiedział:

— Znam drogę nad morze. Spacer nad morzem. Żeby mu sprawić przyjemność, powiedziała:

— Dobrze. Pójdę z tobą.

Spodziewała się, że znowu odrzuci propozycję, tymczasem natychmiast zerwał się na nogi. Z figlarną zwinnością prześliznął się pod promieniem słońca. Zbroja migotała w rogu, obok stał oparty o ścianę miecz. Camillo wyjął mysz z pyska wielkiego kota. — Chodź więc — rzucił — Rachaelo.

Za miejscem, gdzie droga skręcała z powrotem w las, krzewy zarastały i zasłaniały schody wryte w klifie. Stopnie były śliskie i niebezpieczne, więc Rachaela schodziła ostrożnie. Camillo pomknął w dół jak fretka, nieustraszony i nadspodziewanie zwinny. Poniżej znajdowała się opuszczona plaża i zatoczka; po obu jej stronach morze nacierało i rozbijało się o niewzruszone kamienne brzegi.

— Podczas odpływu — oświadczył Camillo tonem kogoś, kto udziela niezwykle ważnej informacji — Carlo łapie ryby.

— Myślałam, że to kot łąwi jedzenie.

— Owszem, mewy, króliki — powiedział Camillo. — Raz złapał drozda, ale go puścił. Widziałem.

— Myszy — podsunęła Rachaela.

— Widziałaś mysz? Była wspaniała.

— Tak, to prawda. Ktoś ją uprzął. Cheta albo Michael.

— Pewnie wrzucili ją do potrawki — powiedział Camillo. Wydał z siebie ten wysoki, szaleńczy chichot.

Szli w pełnym świetle dnia. Camillo nie przejmował się tym bardziej niż solidnym deszczem. Jego skóra była jak cienki papier, kości jak stelaż z twardych patyków, a jednak nie wyglądał na kruchego.

— Dlaczego rodzina unika światła?

— Szkodzi im.

— A tobie?

— Wszystko mi szkodzi. Ale teraz lubię kolory za dnia. Kiedyś nie mogłem ich znieść. Pamiętam nocną jazdę, która trwała aż do świtu. Schowałem głowę i płakałem.

— Gdzieś daleko... — podsunęła.

— Bardzo daleko. — Powiedział coś bardzo szybko w obcym języku, może po rosyjsku albo serbsku. Zachichotał. — Nie opowiem ci rodzinnej historii, wszystko mi się pokręciło. Pamiętam katedrę w wieczór wigilijny, i gnojowisko, i dwieście kobiet, i wszystkie psy, ale

nie pamiętam gdzie to było i kiedy. Co mnie to obchodzi? Nie interesuje mnie nic, nawet ty. To tylko zdawkowa ciekawość. Jesteś taka łatwa do przewidzenia, dziewczyno. Dokładnie tak, jak myślałem. Włóczysz się w tych czarnych strojach, obnosisz swoje białe ciało. Ty też uciekniesz, ale wrócisz. Jesteś wybrana. Tak jak on.

— Adamus?

— Ten chłopiec.

— Jest moim ojcem?

— Skoro tak mówi — odparł Camillo. Przykucnął na kamieniu jak gargul, a jego długie białe włosy falowały w wilgotnym wietrze. Morze grzmiało bezsilnym gniewem.

— Dlaczego jestem taka ważna?

— To gen — rzekł Camillo. — Wszyscy go nosimy. U niektórych się ujawnia. U Adamusa. U ciebie.

— Co masz na myśli? — poczuła ukłucie strachu.

— Byli też inni — ciągnął — ale umarli. Zostało tylko was dwoje. Reszta chciałaby to mieć. Cudowne i złowrogie. Na początku rodzina wydalala czarne owce. Potem je hołubiła. Scarabaidzi znajdują upodobanie w różnicach.

Nagle Camillo zerwał się na nogi. Zrobił galopem kilka kółek po plaży. Machał szpicrutą. Zarżał i ludzko-koński dźwięk odbił się echem w zatoce. Szaleństwo było jego strojem, wkładał go tak często, że weszło mu to w krew. Maską stała się skóra.

Rachaela zmarszczyła się niecierpliwie, czekając na koniec końskiego tańca. Jakaś jej część chciała galopować z nim, wziąć udział w tym szaleństwie. Nie miała dzieciństwa. Kiedy miała jedenaście lat, jedyna lalka, twarda i nieprzyjemna, została jej zabrana i oddana do lokalnego sklepu z używanymi rzeczami. Rachaela widywała ją w oknie przez tydzień. Potem ktoś ją kupił.

Camillo — koń morski zatrzymał się.

— On musi do ciebie przyjść — wysapał — albo ty do niego. Tak się stanie, nie da się tego uniknąć. Idź tam sama, jeśli chcesz wdrzeć się w jego tajemnicę.

— Patrzył na mnie, gdy spałam — powiedziała Rachaela.

— Niewybaczalne — stwierdził Camillo i dodał: — Pokażę ci drogę

do wie; Każde z nich mogło to zrobić, ale uwielbiają się droczyć. Cheta, Maria czy Michael mogli cię tam zaprowadzić.

— Śniło mi się, że miałeś klucz — rzekła.

— Młoda kobieta śni o mnie. To mi pochlebia. Wracali zdradliwymi schodkami. Rachaela pośliznęła się, morze i klif zawirowały. Dotarła na górę prawie na czworakach, przerażona.

Camillo nie lękał się śmierci, wbiegł po stopniach i nie potknął się ani razu.

Wrócili do domu tymi samym bocznymi drzwiami, którymi wyszli. Naprzeciwko nich znajdował się pokój poranny, w którym Dorian i Peter jadalі śniadania, a teraz siedzieli po lunchu, drzemiąc w fotelach przy kominku. We śnie wyglądali jak martwi. Camillo nie zwrócił na nich uwagi. Okno przedstawiało królową zbierającą winogrona w winnicy — Jezabel?

Camillo nie zabrał jej z powrotem na strych. Dotarł z nią do korytarza z wizerunkiem Salome i wskazał wąskie, wiodące w dół schody.

— Prowadzą do korytarza, który kończy się drzwiami. Otwórz je i idź do wieży Adamusa. Najpierw zapukaj.

— On nie pukał, kiedy przyszedł mnie szpiegować.

— No to nie pukaj — Camillo pomknął na górę. Rachaela zawahała się i zeszła na dół.

Przejście było mroczne, tylko z klatki schodowej dochodził różowy poblask, sączony przez Salome.

Szła wśród pajęczyn. Korytarz zakręcał i światło się urywało, wokół panowała przygnębiająca, dziwaczna ciemność. Wyłoniły się przed nią ostatnie drzwi, tak jak we śnie.

Rachaela dotarła do nich i zaczęła nasłuchiwać. Wciąż jeszcze słychać było dźwięki fortepianu. Coś Brahmsa, jak jej się wydawało, koncert fortepianowy bez orkiestry.

Nie była gotowa.

Odwróciła się i niemal pobiegła w stronę światła.

Rachaela włożyła jasnoniebieską sukienkę i broszkę z giętego srebra, którą kiedyś znalazła w błocie koło domu.

Zeszła do salonu i stanęła przed białym kominkiem, czekając na Annę i Stephana. Przywykła już do jadania z nimi wieczornych posiłków. Nie



pojawił się.

Wszedł spóźniony Michael z tacą zastawioną butelkami i karafkami.

— Gdzie jest Anna?

— Nie wiem, panno Rachaelo.

Rachaela sama zjadła potrawkę z ryby i ciasto agrestowe. Ogień syczał i strzelał małymi fontannami iskieł, gdy ciężkie krople deszczu wpadały do komina.

Po obiedzie Rachaela odnalazła drogę do porannego pokoju. Nie było tu nikogo, w palenisku wygasło.

Siedziała chyba z godzinę przed kominkiem w jadalni. Nikt nie wszedł. Spędziła parę minut w salonie, gdzie milczał złoty zegar. Nie miał wskazówek.

Nie spotkała nikogo idąc do siebie. Była też prawie pewna, że w mętym świetle wieczoru nikt nie przeszedł korytarzem pod jej drzwiami.

Michael, który sam podawał obiad, także zniknął.

Dom jęczał i szumiał jak drzewo w deszczu i narastającym wietrze. Może był pusty. Tylko ona została.

Rachaela poszła do łazienki i przygotowała się do snu. W sypialni usiadła na łóżku w szlafroku. Wiatr na zewnątrz wzmagął się, brzmiał teraz jak sztorm. Słyszała jak morze wdziera się w głąb lądu.

Wzięła książkę i próbowała czytać.

Czytała ten sam akapit kilka razy, nie rozumiejąc jego treści.

Zegar z aniołami powiedział jej, że jest pierwsza: była północ.

Rachaela położyła się do łóżka.

Przez godzinę próbowała zasnąć.

Za ścianami i oknami wciąż nasilał się wiatr. Dom trzeszczał, metaliczne odpryski deszczu smagały okna.

Jeśli zaczną się błyskawice, nie potrafi zasnąć. W tej samej chwili w upiornym błysku obraz z Ewą, Lucyferem i zielonym drzewem odbił się na ścianach pokoju.

W taką noc...

Rachaela wyszła z łóżka. Zapaliła lampę, ubrała się, upudrowała i umalowała kredką oczy. Jej czarne rzęsy rzucały cień na policzki, usta w świetle lampy nabrały koloru dojrzalej czerwieni. Nadszedł czas.

Tak jak poprzednio korytarz tonął w ciemności, więc wzięła ze sobą lampę. Rzeźby owoców zawirowały, wyskoczyły z mroku. Bała się spotkania z dziwnym kotem, ale ten strach jej nie powstrzymał.

Skręciła w lewo i weszła w jedno z odgałęzień korytarza, potem znowu w lewo, i odnalazła Salome.

Pajaki przyłgnęły do wąskich, wiodących w dół schodów, łapiąc światło w filigranowe sieci.

W niższym korytarzu płonęła łagodnie lampa. Minęła rzędy drzwi i podeszła do tych ostatnich, tonących w mroku. Czy okażą się zamknięte?

Nacisnęła lekko klamkę, która poddała się posłusznie.

Jak we śnie, wewnątrz powitała ją ciemność.

Czy ten, który tu mieszkał, spał pogrążony w morzu czerni, podczas gdy wokół huczała burza? Czy to będzie uczciwe, jeśli przyjdzie do niego jak Psyche do legendarnego potwora, pozwalając gorącej kropli oliwy skapnąć z lampy? Ale Rachaela nie będzie tak nieostrożna. Gdyby znalazła go śpiącego, sprawiedliwości stałoby się zadość.

Światło wyłowiło z mroku schody i Rachaela zaczęła wolno pięć się w górę.

U szczytu schodów zobaczyła słabą czerwonawą poświatę rzucaną przez dogasający ogień.

Weszła do pokoju. Lampa oświetliła ciemny wykusz z oknem, które oglądała od zewnątrz. Zobaczyła czarną płaszczyznę fortepianu i bielejące klawisze. A więc muzyka, którą słyszała, nie dobiegała z radia.

Odwróciła się i omiotła światłem deski stropu, meble i palenisko.

Ogromny kot leżał, przyglądając się jej spod półprzymkniętych powiek.

Trzy świece na półce nad kominkiem nagle ożyły. Zobaczyła Adamusa w czarnym stroju i tłącą się zapałkę.

— Nie mogłam spać — powiedziała, jak gdyby ciągnęła przerwana konwersację.

— Ani ja.

Wyglądał tak samo, chyba zawsze wyglądał tak samo. Pochylił się, żeby pogłaskać hebanową kocią głowę i światło prześliznęło się po jego nieprzejednanej twarzy, zanim na powrót utonęła w cieniu. Usiadł w krześle przed kominkiem. Była to obca twarz, którą jednak знаła.

— No więc chodź — powiedział. — Usiądź i powiedz, co masz do powiedzenia.

Podeszła i ustawiła lampę na półce nad kominkiem. Stało na niej lustro w ramce z czarnego metalu i biały zegar, który, jak zauważyła, chodził szybko do tyłu.

- Nie mam nic do powiedzenia — oświadczyła.— To dlaczego tu jesteś?

— Przez zwykłą ciekawość. Musiałam czekać prawie trzydzieści lat, żeby zobaczyć ojca.

Przyglądał się jej, siedzącej naprzeciwko. Kot leżał między nimi jak żywy dywan, z łbem wspartym o łapy. Okazało się, że nietrudno było zaakceptować kota. Trudniej pana.

Przed kominkiem stała butelka czerwonego wina. Dwa kieliszki, jeden pusty, drugi pełen. Pochylił się i napełnił ten pusty. Podał go Rachaeli. Wzięła. Spodziewał się kogoś. Zapewne jej.

— Wiedziałeś, że tu przyjdę. Rozmawiałeś z Camillem.

— Rzadko z nimi rozmawiam. Zwłaszcza Camillo mnie unika. Razi go moja młodość.

— Anna i Stephan nie usiedli dziś ze mną do stołu. Zwykle to robią. Ale podczas lunchu byli wszyscy. Nawet służący. Ćwierkali, świergotali. Niesamowity dźwięk.

— Kolejna gra — wtrącił. — Bawią się nami. Zrozum to.

— Ale to ty napisałeś do mnie list.

— Anna mnie poprosiła — powiedział. — Anna potrafi być bardzo ujmująca i przekonująca. To ona dyktowała.

— A kto podpisał?

— Ja.

— Masz bardzo melodramatyczne imię — rzekła. — Co moja matka o nim mówiła?

— Była przekonana, że nazywam się Adam. W pewnym sensie tak jest.

— Mężczyzna.

Wzruszył ramionami. Oboje, pewnie zupełnie niechcący, jednocześnie napili się z kieliszków. Wino miało głęboki metaliczny smak.

— A więc jesteś — rzekł po chwili.

— Tak. Pomyślałam, że złożę ci wizytę, a Camillo powiedział mi, jaka jest inna droga do wieży.

— Zwykle jest zamknięta.

— Więc dziś była otwarta przez przeoczenie?

— Wiedziałem, że przyjdiesz.

— Skąd?

— Nie wiem — odparł.

— Nie wierzę ci.

— To twój problem, Rachaelo.

— Dlaczego — zapytała — wymawiasz moje imię w ten sposób?

— Podoba mi się. To rodzinne imię, które zaproponowałem twojej matce. Oczywiście odrzuciła je z obrzydzeniem i pogardą. Myślała, że wrócę, aby uczynić z niej uczciwą kobietę.

— Tak, wolałaby, żebyś ją poślubił. Ale myślę, że spodziewała się twojego wsparcia. Tego, że będziesz przy niej.

— Nie mogłem — odparł. — Nie interesowało mnie to. Rodzina zrobiła mi wcześniej pranie mózgu wmawiając, że muszę to zrobić. Spędziłem dwa lata z dala od mojego więzienia i nienawidziłem ich. Zasiałem swoje nasienie i to wszystko. Musiałem wracać tutaj.

— I nic cię nie obchodzi.

— Nie. Jako dziecko nic dla mnie nie znaczyłaś.

Rachaela przełknęła gorycz swojej matki razem z miedzianym winem. Dwadzieścia lat życia z zawiedzioną i poirytowaną kobietą. Dla siebie miała tylko cuda, odkryte przypadkiem — muzykę klasyczną, książki, rzeczy, których jej matka nienawidziła. Często przełączała radio na kanał z muzyką pop, albo wyrywała książkę:

— Możesz przeprać te ścierki, jak nie masz co robić.

— Zostawiłeś mnie na pustyni — powiedziała. Pomyślała o dzieciństwie, o tym, jak wysoki ciemny mężczyzna prowadził ją za rękę przez park. O łabędziach na wodzie, chlebie dla kaczek. Pomyślała o męskim głosie czytającym jej na dobranoc. O cieniu grającym na fortepianie. Łzy zaczęły szczypać pod powiekami. Przeszył ją nagły ból.

— To by cię nudziło. Dziecko.

— Muszę spróbować odnaleźć cię teraz.

— Spóźniłeś się. Teraz cię nie potrzebuję. Zmarnowałeś szansę. Już cię nie wpuszczę do mojego życia.

— Ale jesteś tutaj.

— Jestem ciekawa, tak jak ty. Chciałam zobaczyć jak wygląda ktoś, kto porzucił mnie dwadzieścia dziewięć lat temu, kiedy byłam ślepa i zagubiona.

— Przestań, Rachaelo — przerwał.

Zobaczyła jak jego twarz, usta i oczy młodego człowieka, kurczy się z bólu.

- Zresztą to i tak kłamstwo — powiedziała. — Nie wierzę, że jesteś moim ojcem. Siedzieli w milczeniu, kot podniósł się i przeciągnął, cudowne futro zaśniło różowo w blasku ognia.

— Chce iść w noc — powiedział Adamus. — Muszę go wypuścić. Chodź — powiedział cicho do kota, który wyszedł za nim z pokoju i ruszył w dół po schodach, zapewne do niżej położonych drzwi. Rachaela rozejrzała się po nierównomiernie oświetlonym pokoju, w którym wszystko w magiczny sposób zabarwione było czerwienią ognia, zielenią szkła, jak kocie oczy.

Poczuła smak soli w winie.

— Spałaś.

Stał przed kominkiem. Ogień wygasł. Światło zabarwiło kieliszek purpurą, gdy pił. Długość jego upiętych z tyłu włosów była zdumiewająca.

— Wszystko słyszałam.

— Wiem, zasypiałaś tylko wtedy, gdy przestawałam grać. Jak spokojnie. Ból odpłynął. Wielki gniew i mała złość też.

— Czy pozwolisz mi wrócić? — zapytała. — Chcę cię znowu usłyszeć.

— Dlaczego nie.

Odgarnęła włosy z twarzy dzieciennym gestem.

Wskazówki zegara przeskoczyły z wpół do piątej na trzecią, a potem na drugą. Musi być już bardzo późno.

Nie chciała iść, ale było jej zimno i nagle zaczęła się bać. Tak blisko do niego podeszła. Do kogo? Nie знаła go, nie wiedziała kim, czy też czym jest. Widział w ciemności jak kot.

Schylił się, wziął ją za rękę i pomógł wstać. Jego dłoń była męska i ciepła. Widząc odruch zaskoczenia cofnął ją. Rachaela stała pozbawiona oparcia, wyczerpana.

— Którymi drzwiami? — zapytała.

— Którymi tylko dama sobie życzy.

Myśl o tym, że wraca do swojego pokoju, sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej zmęczona. Musi szybko stąd uciec. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Przeszedł z nią przez pokój, niosąc lampę.

Wręczył ją uprzejmie na szczycie schodów. Wzięła światełko i zeszła w dół do drzwi, a potem we wszechogarniającą ciemność korytarza za nimi.

Drzwi zamknęły się; nasłuchiwała, ale nie dobiegł do niej dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Rachaela śniła o matce gotującej niedzielny obiad, co zdarzało się raz na jakieś sześć miesięcy. Zawsze było to wielkie wydarzenie. Rachaela stała nad zlewem, obierając z kiełków i pomarszczonej skóry niezliczone ilości ziemniaków, znacząc każdy z nich krzyżykiem, mającym odpędzić szatana. Tak kazała matka. Ręce ją bolały.

Usłyszała, jak zawołał ją zza kuchennych drzwi.

— Nie — powiedziała matka — najpierw to skończysz. Ale Rachaela zostawiła obierki w misce.

Przy drzwiach czekał mężczyzna. Wyciągał rękę.

— To nie dla ciebie! — krzyknęła matka. — Trzymaj się z dala od niego!

Ale Adamus podniósł ją, chociaż była już zupełnie duża. Podniósł i zabrał.

Rachaela obudziła się, ciągle mając przed oczami ten sen. Była zmieszana.

Zegar na wieży wskazywał dwunastą trzydzieści pięć. A więc dziesiąta, obliczyła. Długo spała.

Poszła przygotować kąpiel i znalazła na progu piękny przedmiot. Naszyjnik z drobnych muszelek, jasnobrązowych, różowych i kremowych. Kolejny prezent od Camilla. Zapewne z jego kolekcji skarbów na strychu.

Stała z muszelkami w dłoni, a w końcu położyła je na toalecie. Kiedy wróciła z kąpieli, raczej oszołomiona niż orzeźwiona, ubrała się i zaczęła sennie szcztokować włosy. Muszelki leżały na blacie.

Kierując się impulsem podniosła je i, jedną po drugiej, przytykała do ucha, chociaż były zbyt małe, aby szumieć.

Matka nauczyła ją tego, kiedy Rachaela była dzieckiem, chociaż na początku nic nie słyszała. Zatrzymały się przy straganie z muszlami gdzieś nad morzem, dokąd wyjechały na jeden dzień. To nie była udana wyprawa. Mżył deszcz i wiał ostry wiatr. Rachaela upadła i rozcięła sobie kolano szkłem. Matka znalazła w jedzonej rybie ość, która ją bardzo rozdrażniła.

Oczywiście w muszelkach nie szumiało morze. Jego szum wypełniał pokój. A jednak, kiedy Rachaela przytknęła do nich ucho, dobiegł do niej daleki dźwięk:

— Rachaelo.

Usłyszała swoje imię wypowiedziane szeptem, jak gdyby dom, kamienne ściany wołały ją.

Głupie złudzenie. Wystraszyła się.

Odłożyła naszyjnik. Przypomniała sobie pałeczkę z muszli, którą tak bardzo chciała mieć, jak inne dzieci, i którą matka kupiła jej, nie przestając gderać: zęby sobie powybijasz. Pomyślała o matce, nienaturalnie spreparowanej, leżącej w trumnie, martwej i upacykowanej.

Łzy napłynęły jej do oczu, jak poprzedniej nocy. Łkała bez opamiętania kilka minut, potem uspokoiła się. A więc to pożegnanie. Z czym się żegnała?

---

## 6

---

Teraz, kiedy znała już drogę na plażę, zapuszczała się czasem aż do oślizłych schodków i schodziła na dół. Odkryła niewielką zatoczkę, którą w czasie przypływu połykało morze, zostawiając potem za sobą wodorosty, kawałki drewna i martwe meduzy, szczątki, których nie potrafiła rozpoznać.

Kiedy indziej wybierała się na forsowne spacerunki po wrzosowisku, brodząc wśród janowca i suchych paproci. Króliki pryskały jej spod stóp, a mewy skrzecząc krążyły nad głową. Zmuszała się do tych spacerów dla własnego dobra. Nie miała nic do roboty. Były to długie wakacje, spędzane jak w hipnotycznym śnie.

Zwiedziła też dom, starając się poukładać wszystkie jego kąty i parable w jeden sensowny plan, ale pozostał dla niej labiryntem, mimo że potrafiła już z pamięci odnaleźć drogę. Znowu spróbowała otwierać różne drzwi i kilkakrotnie znalazła za nimi Scarabaidów: starą Anitę, robiącą na drutach pod czerwono-fioletowym oknem przedstawiającym pogrzeb króla, Miriam i Unice kartkujące olbrzymie albumy z fotografiami pod jaszczurzym witrażem, na którym chyba Jonasz jechał na grzbiecie wieloryba.

Miriam i Unice zaciągnęły ją do siebie i kazały oglądać setki fotografii, aż była zupełnie otumaniona. Przedstawiała ludzi w starożytnych strojach na tle dekoracji i palm w donicach. Był to piękny gabinet figur woskowych. Nie było wśród nich żadnych współczesnych zdjęć, nie mówiąc o kolorowych. Rachaela złapała się na tym, że zdziwiło ją, iż postaci w ogóle wychodziły na zdjęciach, powinny być przecież niewidzialne dla oka kamery tak jak duchy, skoro nie odbijały się w bogato ornamentowanych lustrach.

Któregoś dnia jadła śniadanie z Peterem i Dorianem w pokoju



porannym. Nie zamienili ani słowa.

Kiedyś znów wpadła na Alice biegnącą przez dom w szalu, niczym oszalała Królowa Śniegu. Nie wyjaśniła jej celu swoich poszukiwań.

Unikała spotkań z Sylvianem w bibliotece, czytając po raz kolejny swoje własne książki.

Słuchała radia. Czasem nadawano fragmenty opery, których nie lubiła. Śpiew przeszkadzał w słuchaniu muzyki.

Pod wieczór Anna i Stephan pojawiali się w salonie. Zachowywali się jak gdyby nie zaszła żadna zmiana, ale oboje, zwłaszcza Anna, wyglądali jak koty opite śmietanką. Cieszyli się nią. Gratulowali jej. Nie pytała o nic.

Camilla nie widziała wcale. Pozostali przemykali obok.

Po siedmiu dniach i nocach pewnego popołudnia podeszła do drzwi wieży, pokonując schody i złowrogi korytarz. Były zamknięte. Zastukała, ale nikt nie odpowiedział. Ogarnęła ją gwałtowna wściekłość; potem poczuła onieśmienie, nawet wstyd.

Ósmego wieczoru, po obiedzie, zobaczyła w holu kota drapiącego w drzwi prowadzące do niższej wieży. Przeniknął ją jasny błysk. Podeszła do zwierzęcia i pogłaskała je po łbie. Futro było nastroszone i naelektryzowane, ale kot nie okazał niezadowolenia.

— Zamknięte — powiedziała do kota, ale spróbowała otworzyć. Dotąd zawsze były zaryglowane przed resztą domu, tym razem ustąpiły. Zwierzątko wśliznęło się do środka, Rachaela weszła za nim. Po obu stronach klatki schodowej znajdowało się dwoje drzwi, których nie miała odwagi dotknąć. Weszła na półpiętro, a stamtąd do obszernego pokoju z fortepianem. Okno z lwem było ciemne, ale na fortepianie paliła się lampa, druga znajdowała się na gzymsie kominka. W kominku płonął wysoki ogień, na stole stały naczynia z resztkami obiadu. Adamus zostawił tu swoje ślady, ale sam był nieobecny. Kot majestatycznie podszedł do kominka i bezceremonialnie się przed nim położył.

Rachaela usiadła przy fortepianie i delikatnie przebiegła palcami po klawiszach. Adamus nie wrócił i po godzinie Rachaela wyszła. Kot spał w blasku ognia.

Nie widziała Adamusa przez piętnaście dni i nocy. Spróbowała otworzyć wszystkie te drzwi jeszcze trzy razy, ale zawsze były

zamknięte.

Przyszło jej do głowy, że obawiał się jej tak samo, jak ona jego.

Pragnęła, aby już nigdy się do niej nie zbliżył, a jednocześnie coś ciągnęło ją jak złoty sznur.

Pewnego ranka znalazła pod drzwiami kopertę, zaadresowaną na maszynie do panny R. Smith. Ten lekki ton sprawił, że się zjeżyła, zupełnie jak gdyby sobie z niej żartował. Początkowo nie otworzyła listu, jedynej korespondencji jaką miała otrzymywać w domu Scarabaidów. Wreszcie zrobiła to.

„Rachaelo — wyczułem w pokoju twój zapach. Na fortepianie leżał czarny, wijący się włos. Masz to po matce — lekko wijące się włosy. Przyszedłeś w odwiedziny, a mnie nie było. Zapraszam cię dziś po południu. Na co miałabyś ochotę? Na Chopina? Prokofiewa? Ravela? Oczekuję Cię”.

Tym razem podpisał się „Adam”. List był zakłamywany, ale zachęcający.

Czuła się jak dziewczynka, która uciekła ze szkoły — mdliło ją z podniecenia, serce jej waliło.

A więc dobrze. Nie pójdzie. Ukarze się za pożądanie.

Włożyła jednak zieloną suknię i szklany naszyjnik. Nigdy się nie perfumowała. Jej zapach... mogła to być tylko naturalna woń skóry i włosów, obca w jego wieży.

Wyszła, kiedy czarny zegar wskazywał czwartą piętnaście po południu, zupełnie jak na umówione spotkanie. To przecież było umówione spotkanie.

Nacisnęła klamkę sekretnych tylnych drzwi na schody i przekonała się, że są otwarte.

Światło wpadające przez barwne okno z wizerunkiem płowego lwa i rdzawego rycerza przenikało pokój, przeobrażając go. Belki stropu były zdobione złoceniami. Stał przed kominkiem i czytał książkę, starą i zapleśniałą, jak starocie ze sklepu pana Gerarda. Kiedy weszła, odłożył tom, nie zaznaczając miejsca.

— A więc jesteś.

— Tak.

Jego długie włosy i młodość onieśmiały ją. Między ich poprzednim

spotkaniem a tym prześniła wiele snów. Żałowała, że nie jest tak stary jak książka i że w ogóle zgodziła się z nim zobaczyć.

— Chodź do ognia — powiedział, więc podeszła. Wówczas odsunął się.

Boi się, pomyślała. Bał się jej, czuł się równie niezręcznie jak ona. Jediną płaszczyzną porozumienia była muzyka.

— Zagrasz Prokofiewa? — zapytała, chcąc go ośmielić.

— Co tylko sobie życzysz.

— Znasz aż tyle utworów?

— Wiele dni, wiele nocy spędziłem grając tylko na fortepianie.

Wyobraziła go sobie w tej mrocznej wieży, morskie powietrze oszalałe od nut, od harmonijnych dźwięków.

Kota nie było. Zaczynała kojarzyć Adamusa z tym zwierzęciem.

Usiadła na krześle, które zajmowała ostatnim razem. Adamus podszedł do fortepianu i natychmiast popłynęła muzyka.

Czuła się tak, jakby do niej mówił. Ciche kadencje, burzliwy akompaniament, potoczyste akordy. Eksplozja muzyki nad białą-czarną równiną.

Odwróciła się w krześle, żeby na niego spojrzeć.

Jego dłonie poruszały się po klawiaturze jak w transie, to szybciej, to znów wolniej. Pod ciemną koszulą naprężyły się mięśnie ramion, długie pasmo czarnych włosów opadło na plecy.

Wydawało jej się, że widzi jego aurę. Była zimna i blada jak stal, jak esencja jego mroczności.

Jakby to było, gdyby stanąć za nim, lekko dotknąć jego ramion, karku osłoniętego burzą włosów? Poczuć siłę tych dłoni i ciała przenikającą z niego do niej?

— Adamus — powiedziała cicho.

Zaczął grać coś innego. Fragment pełen był dysharmonii, tempo stało się szaleńcze. Jej serce biło tak szybko, że prawie czuła ból.

Kim on jest?

Mignięcia profilu, rysy zmieniające się wraz z falami muzyki. Jego twarz była napięta i nieruchoma, oko płonęło, usta poruszały się od czasu do czasu. Twarz pełna gniewu i desperacji. Tylko raz widział przedtem taką twarz, ale nie tak czystą, nie przystojną jak ta, w jasnym

pokoju, o drugiej nad ranem: oszalała twarz głuchą na wszystko, każde błaganie, każdą groźbę, aż okazało się że walka jest bezcelowa, trzeba tylko leżeć i czekać, aż to się skończy. Była rozdarta i posiniaczona pod tą wstrętną, brutalną twarzą. A to oblicze było tak niepodobne, a jednocześnie tak przypominało twarz tamtego nocnego jeźdźca.

Wstała przejęta nagłym strachem.

— Przestań!

Natychmiast oderwał ręce od klawiatury. Nie patrzył na nią.

Powietrze wciąż wibrowało.

— O co chodzi?

— Nie wiem.

— Wiesz — powiedział. Siedział tyłem, lekko zwracając twarz w jej stronę — Powiedz mi.

— Ta muzyka... przeraża mnie — odparła, zanim zdołała się powstrzymać.

— Tak — powiedział.

— Ona zbliża mnie do krawędzi — dodała — której nie chcę przekroczyć.

— To jedyny wybór jaki mamy. Upaść.

Zacisnęła dłonie. Wstał od fortepianu. Podeszedł do niej. Wydawało się, że przyćmiewa całe światło padające z okna. Tonęła w jeziorze złota, miodu i brązu, a teraz spadła na nią ta ciemność. Nie widziała jego twarzy, tylko oczy płonące jak czarny ogień.

— Nie — powiedziała cofając się.

Za nią płonął kominek, żar. Była między młotem a kowadłem. Sięgnął przed siebie i spłynęła na nią ciemność. Jego dłonie spoczęły jak dwa płonące kręgi na jej ramionach, kiedy odciągnął ją od kominka.

— Upadniesz.

— Mówiłeś, że to jedyna szansa — odparła.

— Rachaelo, przestań walczyć. Zranisz się.

— Ty mnie zranisz — powiedziała. — Ty.

— Zapewne.

— Puść mnie.

Przyciągnął ją do siebie. Jej piersi zetknęły się z jego męskim, płaskim torsem, twardym jak puklerz. Płomień rozgorzał w miejscu

dotyku ich ciał. Pokój wirował powoli. Tonęła w jeziorze i tylko on mógł ją uratować, tylko on mógł ją podtrzymać...

Uderzyła go pięścią.

Zwolnił uścisk.

Dzieliła ich teraz pewna odległość.

— I co będzie? — zapytał.

— Nic — odparła. — Czego się spodziewałeś, tatusiu?

— Przecież sama w to nie wierzysz.

— Nie wiem, w co wierzę. Wszystko jest tu możliwe.

— To prawda — odparł.

Jego oblicze było pozbawione wyrazu. Tak jak we wszystkich jej snach, prawie nie miał twarzy. Oczy jak matowe krople farby. Usta zaciśnięte surowo.

— Pójdę — powiedziała. — Pójdę i więcej się z tobą nie zobaczę. Postawię krzesło pod drzwiami. Jeśli wejdiesz, będę się broniła. Zabiję cię.

— Nie przyjdę do twojego pokoju, biedactwo — odrzekł. — A gdzie indziej mogłabyś się ukryć?

Odwróciła się, ostrożnie przeszła przez pokój i zeszła ze schodów. Za drzwiami koszmarny hol wydawał się wypełniony jakimiś wyziewami. Szła pewnie, w stronę światła padającego z okna Salome. To była ucieczka.

Morze wyrzuciło na brzeg starą figurę dziobową.

Był to tryton, gdzieś pokryty jeszcze zieloną i pomarańczową farbą. Jego tors w kolorze tuńczyka kończył się ogonem przechodzącym w dziób okrętu. Dzierżył trójzęb, powyginany i spaczony.

Spodobałby się Camillovi, pomyślała. Leżał oparty o klif, czekając na swego znalazcę.

Usiadła w skalnej zatoczce, patrząc na morze. Nie odpowiedziało jej na żadne z pytań, nawet wyrzucone na brzeg szczątki sprawiały wrażenie drwiny.

Powinna teraz spakować walizki, pójść do wioski i poszukać domu z telefonem. Potem wynajęty samochód zabrałby ją dokądkolwiek. Ale dokąd? A, patrząc na to od strony praktycznej, jak uda się jej zanieść ciężkie walizki tak daleko? Żeby uciec, musiałyby się pozbyć balastu.

Bez wątpienia teraz zostawi ją samą. Gdyby do niego nie poszła nie sprowokowałyaby go. Jej bład. To nie tak jak z gwałtem, nie zostałamuszona. Zachęciła tego człowieka, nie wiedząc, że to robi. Z pewnością.

Jeszcze kawałek, jeszcze chwila i wypadłaby poza krawędź.

Chciała uciec.

Jak na ironię, Cheta przynosząc śniadanie powiedziała Rachaeli, że za dzień lub dwa ona i Carlo wybiorą się do wsi, bo ma przyjechać ciężarówka.

Nie mogła przecież namówić Carla i Chety, żeby nieśli jej walizki. Oni też uczestniczyli w spisku, którego celem było zatrzymanie jej tutaj. Nie narobiliby szumu, ale i nie pomogliby. Należała do rodziny.

Jaka zadowolona była Anna ostatniej nocy! Stephan wykonał kilka ruchów przeciwko samemu sobie na szachownicy. Szczególnie Anna była reprezentantką Scarabaidów. Jej aprobujący uśmiech był dla klanu największą nagrodą.

*Bawią się nami, obojgiem. Lepiej żebyś to zrozumiała.* Tak powiedział. Czy miała myśleć, że on także jest uwikłany, złapany w ich sieć?

Morze nacierało na klif, fale roztrzaskiwały się o skałę.

Rachaela wstała i ruszyła z powrotem niebezpiecznymi schodkami. Co by się stało, gdyby się pośliznęła? Koniec ich marzeń o ciągłości rodu.

Dotarła na szczyt.

Kulik krzyknął nad wrzosowiskiem. Nie widziała go.

Wróciła do domu przez cieplarnię. Był tam Carlo, pochylony nad skrzynką pełną fiołkoworóżowych kwiatów, zakutany w jakiś szal.

Nikogo nie zastała w jadalni ani w salonie. Gdzieś w domu zegar uderzył trzynaście razy.

Weszła do holu i zobaczyła ośmioro Scarabaidów stojących w grupce, zupełnie nieruchomo: Eryk, pomyślała, Peter i Dorian, Unice, Livia, Miranda, George i Jack.

Coś się działo. Co?

Brakowało światła tam, gdzie kolorowe okno powinno odbijać się na kratkowanej podłodze. Z początku nie widziała nic. W końcu

zorientowała się, że to starzec w starym surducie, leżący twarzą do podłogi z rozrzuconymi, cienkimi starczymi członkami, z rękami jak pomięty papier.

Miranda zwróciła się do Rachaeli.

— Po prostu upadł — powiedziała powoli.— Widziałam — dorzuciła Unice. — Schodził ze schodów i nagle przewrócił się. Tak zwyczajnie.

— Jest chory — stwierdziła Rachaela, zakłopotana. A więc nawet ich kruchość, która zdawała się ulepiona z litego żelaza, miała swoje słabe strony.

— Nie, nie chory — oświadczył George. — Jest całkiem martwy. Dotknąłem go.

— Jesteśmy pewni — rzekła Miranda — zupełnie pewni.

— Tak to się dzieje — powiedziała Livia.

— Wszystko naraz — dodała Miranda.

— Ale... — zaczęła Rachaela.

— Z nami zawsze tak bywa — rzekł George. Położył rękę na ramieniu Jacka. — Lepiej zawołać Carla.

— Jest w cieplarni — powiedziała Rachaela — Czy mam...

— Tak, tak — odparła Miranda — pójdź, kochanie. Rachaela odwróciła się oszołomiona i zostawiła tych stojących jak lalki starych, przerażonych ludzi o spokojnych zwiędłych twarzach i skupionych oczach.

W cieplarni Carlo przemykał między paprociami jak małpa z pojemnikiem spraju.

— Carlo, Sylvian przewrócił się w holu.

Carlo odstawił opryskiwacz i wyszedł bez słowa. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Rachaela poszła za nim.

Przybyły trzy nowe osoby i ustawiły się na schodach, Anita, Sasha i Alice. Takie same twarze. Kiedy Rachaela się im przyglądała, na półpiętrze pojawiła się Miriam. Korytarzem od strony kuchni nadeszła Cheta w fartuszku na ciemnej sukience, za nią Michael i Maria, jak cień.

Nie wydali żadnego dźwięku ani krzyku.

Carlo podszedł do Sylviana i od razu go podniósł.

Nie był sensu ostrzegać, żeby byli ostrożni. Gardzili lekarstwami,

lekarzami, wszelką sensowną kuracją. Sylvian był martwy, ich zdaniem. I zapewne mieli rację. Rachaela przypomniała sobie jego zadbane, żyłaste dłonie wykreślające linijki z książek w bibliotece. Czy to znaczy, że książki na północnej ścianie ocalały?

Carlo wszedł na schody. Za nim, niespiesznie, ruszyli procesją Scarabaidzi i wystraszona Rachaela.

Na końcu korytarza po prawej stronie Carlo otworzył drzwi, prawdopodobnie do sypialni Sylviana. Wniesiono go do środka, reszta tłoczyła się za nimi. Nadal nie wydawali żadnego dźwięku poza lekkim szelestem ubrań, kapci i butów.

Sylvian spoczął na łóżku. Wznosiło się nad nim okno przedstawiające jakąś bitwę, konie i pióropusze na tle jaskrawoczerwonego nieba. Światło wpadające przez szyby było w kolorze wina. Sylvian leżał na ogromnym łożu o czterech słupkach, z butami na narzucie i głową jakby wyrzeźbioną na poduszce. Carlo ułożył jego ręce swobodnie wzdłuż boków.

— Nie, nie, Carlo — rzekła Miriam. — Połóż mu ręce na piersi. Potem będzie łatwiej.

Carlo spełnił to dziwaczne, złowrogie polecenie.

Tylko Anna, Stephan i Camillo nie zjawili się.

Tłumek zgromadził się wokół łóżka.

Intensywnie wpatrywali się w Sylviana, jak gdyby chcąc zyskać ostateczną pewność.

Niewątpliwie była to twarz zmarłego, białka oczu zaczynały już być widoczne, usta otwarte. Jak gdyby starzec spał, nie oddychając. Może sprawdzili czy bije mu serce, albo nie zrobili nawet tego. Czy to tak oczekiwali swojego końca po długich latach? Po tylu setkach lat, między jednym a drugim krokiem; urwany oddech, wielka i całkowita cisza, ta pozbawiona godności godność.

— Zamknę oczy Sylviana — powiedziała Alice.

Podeszła do łóżka i zrobiła to szybko. Próbowwała też zamknąć mu usta, ale otwierały się uparcie.

— Lepiej zostaw — powiedział Jack. Alice cofnęła się.

Jeden za drugim, parami, Scarabaidzi zaczęli się wycofywać. Rachaela obserwowała ten odwrót nie wiedząc, co ze sobą począć.



Wyszli wszyscy zanim zastanowiła się nad tym, co powiedzieć. Została sama z martwym Sylvianem, korytarz opustoszał. Na półpiętrze dogoniła Chetę.

— Cheto, co się teraz stanie?

— Z czym, panno Rachaelo?

— Z Sylvianem, oczywiście.

— Pani Anna i pan Stephan wszystkiego dopilnują. Cheta odsunęła się i zeszła ze schodów.

Tyle było do zrobienia. Akt zgonu, zorganizowanie pogrzebu — Rachaela przypomniła sobie kilka powinności żywych wobec umarłych.

Spokój tego samotnego domu zostanie zmacony, zakłócony. Oczyma wyobraźni zobaczyła ich wszystkich na jakimś wiejskim cmentarzu, dwadzieścia jeden czarnych wron nad grobem. Nie wyglądało to przekonująco.

Rachaela wróciła do swojego pokoju i włączyła radio. Buchnęła z niego muzyka i wypełniła sobą przestrzeń. Nic jednak nie pomogło, widok powracał natrętnie

Było coś niesamowitego w tym, że się nie bali. Symboliczny koniec — a oni wydawali się tym nie przejmować. Była oburzona, obserwując jakby swoją własną reakcję na śmierć matki — obojętność, może nawet ulgę — w wykonaniu Scarabaidów, którzy powinni przecież zawodzić i rozpaczać.

— Jesteś tu, Camillo?

Okno strychu było błękitne od zmierzchu. Koń na biegunach odcinał się na tle błędnącego nieba. Butelki połyskiwały.

Bujany fotel był pusty.

Zobaczyła Camilla siedzącego na poduszce na podłodze. Pracował nad czymś.

— Przyszłaś mi powiedzieć, prawda? — zapytał. — Ja już wiem. Ktoś musiał wejść na górę i przekazać mu nowinę.

— Sylvian — powiedziała.

— Pogromca książek.

W głosie Camilla nie było śladu współczucia ani strachu. Zresztą nie spodziewała się tego wcale.

— Nikt z was nic nie czuje — wyrzuciła z siebie. — Nic

specjalnego. Myślałam, że jesteście częściami jednej całości.

— Tak — odpowiedział Camillo. — Jak korona kwiatu. Opadł jeden płatek.

W półmroku zobaczyła, że leży przed nim linijka Sylviana. Wydrapywał coś na czarnym ebonicie.

— A pogrzeb... — zaczęła.

— Popatrz na niego — Camillo klepnął konia na biegunach, który zakołysał się w monotonnym galopie. — Mam nadzieję, że będzie ci się podobał.

— A powinien mi się podobać?

— Koniku, pędź jak wiatr.

Pomyślała, że chciałaby pomówić z nim o Adamusie, ale co miałyby powiedzieć?

— Dlaczego Scarabaidzi są tacy, jacy są, Camillo?

— A jacy są?

— Nie sprowadzają nawet lekarza, kiedy człowiek umrze.

— Są starzy jak okruchy, które utknęły za oparciem starego fotela. Zapleśniali. Ale nie tak starzy jak ja. Chcesz wiedzieć ile mam lat?

— Nie pamiętasz.

— Czasem pamiętam.

— Ale nie dzisiaj — powiedziała. Zachichotał.

— Nie dzisiaj.

— Co zrobią z Sylvianem?

— Coś zrobią. Zawahała się.

— Czy Adamus wyjdzie z kryjówki, żeby tego dopilnować?

— Nie sędzę — odrzekł Camillo. — Kiedy Adamus był dzieckiem, Sylvian zaczął skreślać książki. Adamus próbował go powstrzymać. Była awantura w bibliotece. Krzyczące dziecko i stary człowiek. Anna interweniowała. Wtedy jeszcze czasem pokazywała się w dzień.

— Adamusa interesowały książki?

— Wtedy tak.

— A co go teraz obchodzi? — drgnęła. Ale Camillo odparł tylko:

— Spytaj go.

— Mam zamiar go unikać.

— No to unikaj.

Teraz zobaczyła: wydrapywał szkielet na linijce.

— Nie powiesz mi nic ważnego?

— Wio, koniku, wio.

— Czy to Sylviana rysujesz?

— Kogokolwiek — odparł Camillo. — Dotknij swojej twarzy a poczujesz, że masz czaszkę pod skórą.

— Wiem — odrzekła.

— No to jesteś w porządku.

— Nie, Camillo, Camillo... — Dalej, koniku.

Rachaela zostawiła go i wróciła do swojej niebieskozielonej komnaty.

Patrzyła na kuszenie Ewy. Cóż tak pociągającego było w jabłku?

Kiedy Anna i Stephan weszli do jadalni, Rachaela stężała czekając, aż wejdą za nimi inni, jak zwykle gdy zbierali się na tych dziwaczných lunchach. Ale nikt inny się nie pokazał. Był to wieczór jak każdy inny.

Michael podał drinki i wyszedł.

— Anno — zapytała Rachaela — co zamierzacie zrobić? Czy Cheta pójdzie do wsi poszukać telefonu?

— Nie powinnaś się tym przejmować — odparła Anna.

— Zajmiemy się wszystkim — dodał Stephan.

— Ale będzie wam potrzebny lekarz, żeby wydać akt zgonu. Kiedy Cheta tam pójdzie? Jutro?

— Cheta wybiera się jutro do wsi. Jutro przyjeżdża ciężarówka.

— I zadzwoni po lekarza?

— Rachaelo — powiedziała Anna — nie zwracaj sobie tym głowy. Wszystkiego dopilnujemy. Musisz zrozumieć. To zdarzało się już wcześniej i będzie się zdarzało. Jesteśmy starzy. Umieramy.

Twarz Anny była jasna, głos przymilny. Ujmujący i urzekający, jak powiedział Adamus. Uśmiechnęła się, uspokajając rozdrażnione dziecko.

— Nie! — zawołała Rachaela. — Nie rozumiem was! Ta głęboka obojętność...

— On odszedł — przerwała Anna.

— Odszedł — zawtórował Stephan.

— On jest na górze — powiedziała Rachaela. — W szarej sypialni z okropnym oknem. Coś trzeba z tym zrobić.

— Oczywiście, oczywiście. Skąd ta gwałtowność? Przywykliśmy do

takich rzeczy — westchnęła Anna. — Czy potrafisz sobie wyobrazić, ilu straciliśmy? Także młodych.

— Najgorzej z młodymi. Szkoda — powiedział Stephan, sącząc swego czarnego drinka. Zapatrzył się w ogień.

— Ale Sylvian przeżył długie, pełne życie — wtrąciła Anna.

— I dlatego nad tym nie bolejecie? — przerwała Rachaela, rozjątrzona ich opanowaniem.— Żal jest zbyt wielki — odparła Anna. — To koniec.

Jak zwykle na stole były trzy nakrycia.

Anna i Stephan zajęli miejsca.

Rachaela także usiadła.

Cheta i Maria weszły z wazą kapuśniaku.

Jedli w milczeniu. Różne uczucia kotłowały się i kipiały w Rachaeli, ból i strach, które czuła od wczoraj, od kiedy uciekła przed Adamusem, teraz się skryzalizowały.

— A pogrzeb? — zapytała. — Gdzie Scarabaidzi pochowają Sylviana?

Anna spojrzała na nią. Oczy tych ludzi nie były już nienasycone. Głód przeszedł w coś innego. Można było uchwycić podobieństwo między jego oczami a oczami Anny. Jak jeziora o ciemnej wodzie. Jak górskie stawy.

— Nie pozwól, żeby to cię załamało, Rachaelo. Nic nie powinno cię niepokoić. Mamy swoje obyczaje, starsze niż ten dom. Musisz nam pozwolić decydować o naszych zmarłych.

— Jak?

— Tak, jak uznamy za stosowne — odparła Anna. Jej głos był ujmujący, urzekający i zimny jak kamień. Nie było sposobu, żeby przeniknąć jej myśli. Mówiła w imieniu wszystkich.

Uprzątnięto zupę.

Michael wniósł pasztet rybny.

Anna i Stephan zaczęli rozmowę o tym, jak doskonale są zimowe warzywa, jak świetnie udaje się Michaelowi i Carlowi wyhodować nowalijki poza sezonem.

Rachaela słuchała. Czuła przygnębienie i lęk, które o n i powinni czuć. Na piętrze nieboszczyk leżał w swoim łóżku. Dom cuchnął, jak

gdyby coś się paliło.

Wykluczono ją. Nie było dla niej miejsca w tych rytuałach. Nie zaproszą jej na pogrzeb, ponieważ śmierć nie miała z nią nic wspólnego. Ona, tak jak Adamus, była nowym życiem. Grzesznym, kazirodczym owocem, który karmili uśmiechami i przed którym pełzali usłużnie.

Rachaela zaczynała czuć złość. Ale to także nie miało sensu. Była nie tylko pionkiem w ich grze, była także ich uwielbianą następczynią. Skoro żal był zbyt ciężki, nic tu po niej.

Stephan i Anna jedli ciasto. Rachaela dziobała jedzenie.

Podano kompot.

Rachaela nie powiedziała już nic więcej, a kiedy skończyła wreszcie zabawę z jedzeniem, zostawiła tę dwójkę i poszła do swojego pokoju.

Cóż innego mogła zrobić? Tu przynajmniej mogła posłuchać radia dla uspokojenia, wyobrażając sobie, że to jakiś przytulny dom, który wynajmuje. Ogień i lampy dają uczucie sympatycznej staroświeckości, i nie ma żadnej ciemności, żadnych cieni. Przejrzyste okna gotowe są wpuścić światło nadchodzącego dnia.

Posępna symfonia Mahlera przytłoczyła ją jeszcze bardziej. Poszukała, co rzadko jej się zdarzało, jakiejś audycji, żeby usłyszeć zwykły ludzki głos.

Kobiety i mężczyźni rozmawiali mądrze o polityce. Rachaela siedziała jak zahipnotyzowana. Na zewnątrz był świat, niebezpieczny i realny. Nie mogła w to uwierzyć, intensywnie przysłuchiwała się rozmawiającym, usiłując im zaufać. W jak wielu zwykłych miejscach ludzie wiodący zwyczajne życie słuchali tych samych słów, które dla niej były niczym padający śnieg. Nigdy nie poznała strategicznych punktów na mapach. Tego wieczoru obce kraje były jak sny, stolice jak majaki.

Liczyło się tylko tu i teraz.

O północy usłyszała szum w całym domu.

Chodziła po pokoju w tę i z powrotem przed kominkiem. Wiedziała, że są u Sylviana, uczestnicząc w jakiejś ich ceremonii, nie mającej nic wspólnego z lekarzami, pastorami, kościołem.

Instynktownie otworzyła szafę i wyjęła z niej płaszcz.

Wyszła z pokoju i stała w korytarzu nasłuchując. Ledwie ich teraz

słyszała. Nagle dotarł do niej dźwięk, podobny do pisku nietoperzy. Byli na schodach, na czerwonym perskim dywanie, schodzili na dół. Carlo też musiał tam być, silny Carlo niosący swój ładunek.

Rachaela pewnym krokiem zeszła na półpiętro. Zobaczyła ich poniżej, w holu. Byli wszyscy z wyjątkiem Camilla. Camilla i Adamusa — jeden zbyt stary, drugi zbyt młody, aby w tym uczestniczyć.

Odeślą ją? Będą błagać, zagrożą?

Kiedy schodziła ze schodów, stalowa głowa Livii odwróciła się; Miriam i Jack zerknęli na nią tymi połyskującymi, szczerzymi oczami. Ale nikt nie powiedział słowa.

Należała do rodziny. Nie brała w tym udziału, ale nie można jej też było odciąć. Była świadkiem.

Przeszli przez hol do salonu. Ogień wygasł. Pokoje były już zimne. Przeszli do cieplarni. Carlo szedł przed nimi. Niósł coś, czemu Rachaela nie musiała się przyglądać. Wiedziała co to jest. Ocierali się o wysokie rośliny, z kwiatów opadały płatki. Rachaela przypomniała sobie słowa Camilla. Korona kwiatu...

Noc na zewnątrz była lodowato zimna, boleśnie nieruchoma. Tylko szmer morza rozlegał się jednostajnie.

Był odpływ, księżyc wisiał wysoko. Może czekali na te zjawiska tak samo jak na nadejście nocy?

Obserwowała ich, tłoczących się jedno za drugim na ścieżce przed nią, wzdłuż której rosły dzikie kwiaty.

Pozostawała w niewielkiej odległości za ostatnią z nich, Miriam.

Okrążyli wzgórze, przekroczyli ścieżkę wzdłuż lasu schodzącego w stronę morza. Zbliżali się do oślizłych schodków.

Wiekowe, kruche ciała na tych śliskich stopniach! Wstrzymała oddech patrząc na nich, ale bez wahania stłoczyli się na krawędzi klifu.

Skępowali ciało Sylviana i zaczęli spuszczać je w dół. Kilka razy zawadziło o kamienie. Rachaela usłyszała to i krew zastygła jej w żyłach.

Wyobraziła sobie jak ciągnie za sobą ciało matki do kontenerów ze śmieciami. Poczwała mdłości.

Ale oni opuszczali Sylviana na plażę, do morza. Co z nim tam zrobią? Oddadzą oceanowi jak wikinga?

Starzy mężczyźni i kobiety zaczęli schodzić z pochyłości.

Poruszali się uważnie, ale bez przesadnej ostrożności. Nie potykali się ani nie ślizgali, torowali sobie drogę mozolnie jak robaki.

Żadne z nich nie było w żałobie. W niebieskobiałym świetle księżycy ich stroje przypominały patchwork. Byli okutani i owinięci szalami. Alice miała na kapeluszu aksamitne fiołki, Miriam toczek z białego futra.

Za nimi szła Rachaela, która zaczynała się bać. Niepewnie schodziła po kamieniach, zaciskając dłonie na poręczach, ocierając skórę, zdzierając paznokiec. Ogarniało ją przerażenie.

Kiedy była w połowie drogi, oni już rozsypali się po plaży. Zatrzymała się, patrząc na nich.

Zmusiła się, żeby zejść jeszcze niżej.

Nagle dobiegły ją ich głosy podobne do krzyków czarownic. Zamarła znowu, wczepiona w zbocze, ze stopami ustawionymi pod kątem.

Co oni robią?

Przez chwilę obraz drgał i rozdymał się jak żagiel na wietrze.

Rachaela przyłgnęła do klifu i trzy razy głęboko wciągnęła oddech.

Nie mogła dalej iść. Otworzyła oczy i zobaczyła figurki krzątające się jak mrówki w cukrze.

Wśród kamieni zatoki leżała figura trytona, czekając na Camilla. Carlo i Michael wspięli się po nią.

Ciało Sylviana ułożono poniżej, płasko na piasku, tak jak wcześniej leżało na podłodze. Scarabaidzi podchodzili i odchodzili, znosząc jakieś rzeczy z plaży.

Musi podejść bliżej.

Rachaela zeszła z czterech kolejnych schodków i znowu zastygła. Księżyc sprawiał, że schody wydawały się jeszcze bardziej śliskie, jak polane wodą. Podciągnęła się na rękach i udało jej się odsunąć nieco od klifu. Cała się trzęsła i zaschło jej w ustach.

Widziała ich i słyszała, ale byli mali i pomniejszeni przez perspektywę, ich słowa brzmiały niewyraźnie.

Wokół Sylviana piętrzyły się stosy rzeczy. Cheta, Jack i George wyciągali je z worka i układali obok ciała; z boku stał czarny prostokątny kształt, w którym odbijał się księżyc.

Przez ten czas Carlo i Michael dotarli do trytona. Podczołgali się i chwycili go. Jak robotnicy albo drwale taszczyli go teraz w stronę plaży. Nie bardzo mogli sobie poradzić. Rachaela usłyszała, jak Carlo krzyknął ostrzegawczo.

Tryton wyśliznął im się z rąk i potoczył w dół po kamieniach, odbijając się od kamienistego zbocza jak ciało Sylviana.

Carlo skoczył za nim, Michael pospieszył za Carlem.

Figura zatrzymała się na plaży. Obaj mężczyźni unieśli ją i zaczęli ciągnąć w stronę ciała. Dotaszczyli wreszcie i ułożyli wzdłuż zmarłego.

Czy przywiążą Sylviana do korpusu trytona i rzucą na przybrzeżną wodę, żeby zabrał go powracający przyływ?

Scarabaidzi znowu zaczęli coś układać. Spodziewała się jakiejś wibrującej pieśni, dzikiego hymnu, ale nie usłyszała żadnego dźwięku.

W oddali morze marszczyło się w białe koronki.

Kwiat w kolorze mandarynki zakwitł w dłoniach Carla. Zapałka. Łagodny, wilgotny wiatr zdławił ją.

Rachaela zobaczyła, jak Michael podnosi czarny prostokątny przedmiot, odkręca zakrętkę i oblewa jakąś cieczą Sylviana, drewno i polana, którymi go obłożyli.

— Chcą go spalić — powiedziała na głos.

Kremują swoich zmarłych na brzegu morza bez modlitwy, bez pieśni, jak stare szmaty albo odpadki.

Kolejny płomień błysnął w dłoniach Carla. Przemknął po stosie. Najpierw nic się nie działo, potem nagle buchnęła ogromna fala niebieskopłowego ognia.

Kilkoro Scarabaidów cofnęło się odrobinę. Inni wyciągnęli dłonie do ognia, grzejąc się śmiercią.

Rachaela poczuła zapach dymu, a w nim ohydny woń płonącego ludzkiego ciała. Odwróciła twarz do klifu i wszystko podeszło jej do gardła. Wiatr rozwiął zapach. Było zbyt zimno, aby odór zalegał w nozdrzach.

Jeden z nich, Eric, odszedł parę kroków i wrócił z kolejną zdobyczą. W ręce trzymał zwisającą bezwładnie, ciężką i białą martwą mewę znalezioną na plaży.

Rzucił ją w sam środek fajerwerku. Buchnął snop iskier. Kilka piór



złapanych w wir gorącego powietrza poszybowało w górę.

Kiedy ogień strawi stos, odejdą zostawiając smukłe kości Sylviana, aby zabrał je przypływ. Ocean zabierze je, wypoleruje, zamieni w koral...

Tryton poskrzypywał, ogień trawił jego ogon i brzuch.

Rachaela stała pod klifem, a fajerwerki umarłych odbijały się w jej oczach neonową żółcią.

Musi wracać na górę.

Scandalous

Blade światło poranka zastało Chetę w kuchni.

Upychała w kieszeniach poskładane, ciężkie brezentowe torby. Obok stał Carlo, za nim w seledynowym brzasku wpadającym przez okno lśniła gazowa kuchenka.

— Idzie pani z nami, panno Rachaelo? Rachaela skinęła głową.

— Tak.

Ruszyli drogą oddalając się od miejsca, z którego złowrogie schodki wiodły do zatoczki, gdzie szczątki Sylviana unosiły się w wodzie przypląwu.

Był mroźny, słoneczny, lodowaty ranek. Szaliki i okulary przeciwsłoneczne nie wyglądały już na nich tak niedorzecznie.

Krystaliczne promienie słońca przenikały powietrze. Ptaki śpiewały w krzewach tak jak poprzednio. Wrzosowisko było to samo, oświetlone i posępne. Perspektywa długiego spaceru osłabiła Rachaelę, a jednocześnie napięcie powodowało bolesne skurcze w żołądku. Niedbale niosła na ramieniu czarną torbę; ciążyła jej.

Przemierzyli wrzosowisko i wyszli na pustą drogę. Tak jak wtedy Carlo i Cheta szli środkiem. Było mnóstwo czasu, żeby usłyszeć czy coś nadjeżdża, ale nic tu nie jeździło. Jakaś odmiana ostu przedzierała się przez asfalt.

Weszli między żywopłoty. Rachaela tęskniła za znakiem rozpoznawczym w postaci wypalonej farmy, ale nie pokazywał się przez długi czas. Całe ciało bolało ją, jak gdyby nie chodziła od tygodni.

Wreszcie droga schodziła w dół i otwierał się widok na dolinę, jak na brudny zielony basen. Były tam zardzewiałe samochody, zatopione pola i kamienne domy.

Cheta i Carlo, tak jak przedtem, nie odzywali się.

Rachaela nie mogła się powstrzymać. Zapytała:

— Będzie dzisiaj ciężarówka?

— Och, tak. W ten dzień zawsze przyjeżdża.

Rachaela zauważyła, że w przebiegłej walce z czasem, z minutami i godzinami — straciła gdzieś dni. Co to był za dzień? Czy Cheta odpowie, jeśli ją zapyta? Rachaela nie mogła się przemóc, by zadać to pytanie.

Szli wzdłuż ulicy, mijając posępny pub ze skrzypiącym szyldem.

Na pochyłości, tak jak przedtem, stała ciężarówka. W tle tkwiła wciąż nie naprawiona budka telefoniczna.

Nie było nikogo więcej, jak zwykle.

Z tyłu ciężarówki grubas czytał gazetę. Zdecydowanie wyglądało na to, że czeka na Chetę i Carla.

Chuda kobieta robiła na drutach coś różowego i puszystego.

Tym razem Rachaela przyjrzała im się z uwagą. Na odmrożonym palcu kobiety zauważyła obrączkę. Spozstrzegła też, że jej oczy miały kolor spłowiałych dzinsów. Z nosa mężczyzny wystawały włoski, pod kurtką z kapturem widać było sweter, pewnie zrobiony na drutach przez żonę.

— Nareszcie jesteście — powiedział mężczyzna tak jak poprzednio.

— Prawie zrezygnowaliśmy z czekania. Czym możemy służyć?

Cheta wręczyła mu listę.

— Pani też będzie chciała kilka rzeczy.

— Nie — wtrąciła się Rachaela — dzisiaj nic nie potrzebuję. Posłała wymuszony uśmiech mężczyźnie, który wyglądał na zaskoczonego.

- W wielu miejscach poza tym się zatrzymujecie?

— To jest ostatnie — odparł grubas. — Potem z powrotem do miasta i nogi na stół.

Chuda kobieta prychnęła.

A wtedy ja zaczynam pracować. — Praca kobiety nigdy nie ma końca — odparł kierowca, najwyraźniej zadowolony z tego przysłowia, które stanowiło swoistą kwintesencję męskiego nieróbstwa.

Pojawiły się kanistry oleju i trochę etyliny dla Carla. Oczywiście zużyli mnóstwo benzyny na Sylviana. Patrząc jak Carlo taszczy kanistry, Rachaela przypominała sobie jak włókł trytona po kamieniach, ciągnąc

go na plażę,

Cheta, z torbą wyładowaną mydłem i sodą, proszkiem do prania i płatkami, zapytała:

— Przywieźliście brandy?

— Dostałem tylko jedną butelkę. Sekundkę.

Mężczyzna przecisnął się na koniec samochodu, lekko przesuwając dziergającą żonę, jak gdyby była workiem płatków kukurydzianych, i wrócił z czarną butelką.

Drink Stephana. Niewątpliwie też skromne ukojenie dla kilku innych osób. Scarabaidzi nie pili dużo, ale lubili małe przyjemności.

— Jest też parę książek dla panienki — rzekł kierowca, podając groteskowo obładowanej Checie paczkę staroświecko związaną sznurkiem.

Cheta wyciągnęła zwitek brązowych banknotów. Rachaela pomyślała o kopercie pełnej pieniędzy, spoczywającej w jej torebce.

— Czy moglibyście państwo podrzucić mnie do miasta? — zapytała pogodnie, niewinnie, bez skrępowania.

Cheta u jej boku zareagowała w sposób trudny do określenia. Czy było to zdumienie, zaskoczenie, czy groźba?

— No... to mała ciężarówka.

— Chętnie zapłacę.

Tak jak się spodziewała, łatwy zarobek skusił go.

— Co powiesz, Rene? Podrzucimy dziewczynę?

Rene złożyła robótkę.

— Mnie tam wszystko jedno.

— Do zobaczenia — skłamała Rachaela, zwracając się do Chety. Cheta i Carlo stali na pochyłości. Nie odzywali się, nie poruszyli, ich puste twarze i mgliste oczy były zupełnie nieprzeniknione. Zaryzykowała przypuszczając, że nie zrobią sceny w obecności kierowcy i jego połowicy, i miała rację.

Łatwość, z jaką uciekła, uderzyła Rachaeli do głowy. Usiadła z przodu, obok Rene, której kazano „ścisnąć się” na długim siedzeniu.

Grubas zamknął ciężarówkę i wszedł do szoferki, wypełniając ją do końca.

Nie będzie to komfortowa podróż, ale wcale tego nie oczekiwała.

— Długa jazda — powiedział kierowca. — Będę musiał poprosić o piątkę. To dodatkowe obciążenie, no i benzyna — wyjaśnił dość nieśmiało, niemal spychając Rachaelę i Rene z ich siedzeń.

Kiedy ciężarówka ruszała, Rachaela wyjrzała przez otwarte okno. Zobaczyła Carla z wielkimi kanistrami w obu rękach, zgiętego i pochylonego do przodu, odprowadzającego ją wzrokiem. Coraz mniejszego.

Mężczyzna i jego żona rozmawiali bez przerwy przez całą drogę. Rene poprosiła Rachaelę, żeby zamknęła okno, i w ciężarówce zrobiło się gorąco i duszno od zapachu artykułów spożywczych i proszku do prania. Za ich plecami z gruchotem przetaczały się towary.

— To te „Knight's Castle”. Mówiłam ci, że nie są dobrze zabezpieczone — powiedziała Rene.

Rachaela starała się skoncentrować, ale ucieczka podekscytowała ją i przyprawiła o zawrót głowy, a ciągła rozmowa i pytania rozpraszały ją i męczyły.

— Zjadłbym sobie befsztyczek na obiad — mówił kierowca w przerwach.

— Paluszki rybne albo nic — odwarkiwiała za każdym razem Rene. — Niech się pani nie gniewa, że pytam — zwróciła się do Rachaeli — ale ci staruszkowie muszą być śmieszni. Pracuje pani dla nich?

— Zgadza się — odparła Rachaela.

— To musi być nic przyjemnego, tak tu utknąć. A więc co pani robi?

— Co robię?

— To znaczy — jaką pracę pani dla nich wykonuje?

— Przepisuję książkę — odparła na chybił trafił.

— O Boże, nie chce pani powiedzieć, że oni piszą książki.

— Pamiętniki.

— A, pamiętniki.

Jak dużo ci ludzie wiedzieli o domu? Chyba niewiele.

— Dziwne, że mają służących, co? Nie te czasy. Kto by się zgodził na taką pracę? Poniżające. Dwoje czy troje staruszków i służący biegający wokół nich. Jakaś krowa przechadzała się po pastwisku. Tylko jedna. Nie było żadnego domu.

— Widzisz tę krowę? Zjadłbym sobie befsztyczek.

— Paluszki rybne albo nic.

Wreszcie przestrzeń zaczęły zapelniać wioski, nie opuszczone i koszarne jak tamto cmentarzysko samochodów, ale całkiem ładne, z ogródkami, bluszczem w donicach, sznurami z praniem. Gdziegdzie ukazywała się huśtawka albo dziecko bawiące się z psem na trawniku.

Pola były obsiane, równe i bez chwastów. Żywopłoty ciągnęły się po obu stronach drogi, która zamieniła się w szerszy gościniec. Po godzinie jazdy co jakiś czas mijał ich samochód, a raz wiejski autobus.

Wreszcie wyjechali na szeroką szosę. Wzdłuż niej ciągnęły się kamienne domy, do których prowadziły jasnoczerwone frontowe drzwi, na podjazdach stały motorowery.

— Dokąd pani chce jechać? — zapytał kierowca.

— Do centrum.

— Nie jedziemy tam — powiedziała szybko Rene.

— Wypuszczę panią na Market Street — rzekł grubas. — Stamtąd już będzie blisko.

Zapłaciła im ich piątaka i ciężarówka skręciła w szeroką ulicę, nad którą górowała wysoka, brązowa wieża katedry.

— Niech pani idzie w stronę kościoła — poradził kierowca, do którego Rene ani razu nie była łaskawa zwrócić się po imieniu. — Niech się pani cieszy, że ma chwilę czasu dla siebie, zobaczy kilka nowych twarzy.

— Tak.

Rachaela wysiadła, jej czarna torba, zawierająca wszystkie niezbędne rzeczy, ciążyła na ramieniu. Stała na ulicy oszołomiona, podczas gdy niebieska ciężarówka zamknęła się jak skorupiak i ruszyła wzdłuż ulicy. „Śmieszna dziewczyna”. „Nie za dużo powiedziała”. „Trochę mrukliwa”. „Zjadłbym sobie befsztyczek”. „Paluszki”.

Plan był prosty. Chciała dotrzeć do tego miasta, a stąd uciekać do Londynu. Nie było tu po co zostawać, a było czego unikać. To prawda, że Londyn stwarzał problemy, nie mogła liczyć na nic pewnego: ani mieszkania, ani pracy, pieniądze w stanie nieważkości. Ale wiedziała co ją czeka. I byłaby daleko od Scarabaidów.

Była szalona, że w ogóle się do nich zbliżała!

Pierwsza część planu przebiegła lepiej niż się spodziewała. Kierowca

ciężarówki mógł jej przecież odmówić, a Cheta i Carlo mogli ją złapać niczym strażnicy.

A więc była wolna.

Rachaela poczuła przyływ agorafobii, prawie przerażenia. Miasto wydawały się jej obce. Tak długo pozostawała zamknięta w barwnym mroku tego domu, mając dla rozrywki tylko morze i wrzosowisko, że teraz nie umiała cieszyć się swobodą.

Ulica była długa, po obu jej stronach ciągnęły się ciasno domy.

Wokół niej spieszyli ludzie z koszami, torbami i wózkami.

Samochody jeździły w tę i z powrotem. Odnosiła wrażenie, że wszystko się porusza, jak gdyby ziemia przesuwała się pod stopami.

Ruszyła w stronę kościelnej wieży.

Dokoła były sklepy i tłumy na ulicach. Jakieś dziecko krzyknęło i czekoladowy batonik wylądował u jej stóp.

— Sammy, mówiłam ci!

Ulica zakręciła i przeszła w inną. Wieża została z boku. Teraz znalazła się po lewej stronie i nie sposób było do niej dojść.

Rachaela zapanowała nad nerwami. Musi zapytać o drogę. W centrum miasta na pewno ktoś udzieli jej informacji.

— Przepraszam, jak mogę stąd dojść do kościoła? Kobieta popatrzyła na nią jak na idiotkę.

— Tą ulicą do końca, potem musi pani skręcić w lewo.

— Dziękuję.

Rachaela przeszła na drugą stronę i znalazła się w wąskiej alejce. Tłum otoczył ją, zagarnął. Małeńka poczta oferowała pocztówki z widoczkami z miasta. Dwóch czy trzech pozasezonowych turystów przebierało w kartach, jeszcze bardziej blokując wąskie przejście.

Rachaela dotarła do wylotu alejki. Było tu przejście dla pieszych i ulica biegnąca pod górę. Wieża i fragmenty dachu kościoła ukazały się nad domami.

Tłum cisnął się i przepychał.

— I powiedziałem mu, że będziesz to musiał powiesić.

— A czego się spodziewał?

W przeciwieństwie do ludzi z ciężarówki, mieszkańcy miasta mieli swoisty akcent. Może Rene i miłośnik befsztyczka mieszkali tu, od lat

ciągle traktowani jak obcy.

Ulica kończyła się biblioteką publiczną: szarą, kamienną i zamkniętą na głucho. Chodniki obiegały z dwóch stron kościelną wieżę częściowo zasłoniętą przez zachodzące na siebie dachy.

Rachaela skręciła w lewo i szła wzdłuż ulicy. Sklepy miały tu oryginalne łukowate okna wystawowe, za którymi piętrzyły się świąteczne towary: malowane słoje z cukierkami, zwierzątka z drewna i pierwsze stosy wielkanocnych jajek.

Zobaczyła spacerującego policjanta. Rachaela nie ufała mundurom, ale to też było głupie z jej strony. Miała szczęście, że na niego trafiła.

— Przepraszam.

— Tak, proszę pani.

— Czy można dostać się stąd pociągiem do Londynu?

— Dlaczego nie, proszę pani. Będzie się pani musiała przesiąść w Fleasham — była pewna, że powiedział „fleas” — pchły — a potem w Poorly, na linię londyńską. Obawiam się jednak, że pociągi nie jeżdżą zbyt regularnie.

Kto zresztą chciałby stąd wyjeżdżać do takiego miejsca jak Londyn?

Łatwiej byłoby wyruszyć w podróż ze stacji, na której wysiadła, jadąc do domu Scarabaidów. Tylko jedna przesiadka. Ale tamta stacja była w szczerym lesie i Rachaela podejrzewała, że nie potrafi podać dokładnej lokalizacji i żadna firma taksówkowa jej nie odnajdzie. Poza tym Scarabaidzi mogli domyślić się, że będzie próbowała odjechać właśnie stamtąd. Mogą wysłać kogoś, żeby jej przeszkodził. Tutaj, w mieście, mogła ukryć się w tłumie posezonowych wczasowiczów.

Wróciła spojrzeniem do wielkanocnych jajek. Czy wkrótce będzie wiosna? Czy wiosną łatwiej będzie zniknąć bez śladu?

— Może mi pan powiedzieć, jak dojść stąd do stacji?

— Mogę, proszę pani. Ale mogę też dodać, że nie ma dziś połączenia z Fleasham do Poorly. Dopiero w piątek.

Czy ośmieli się go zapytać, jaki dziś dzień? Nie, to zabrzmiałoby okropnie głupio.

— Tak czy inaczej, gdzie jest stacja?

— Na końcu Wagon Street. Po drugiej stronie rzeki naprzeciwko St Bees.



Była przekonana, że powiedział „bees” — pszczoły — jak gdyby wszystkie nazwy w tym mieście były zapożyczone z miasteczka z klocków, które wymyślono po to, żeby rozśmieszyć ją i oszołomić.

— A tam jest kościół?

— Tak, proszę pani.— Chciałabym się tam dostać. — Czy miało to teraz znaczenie? Tak, musiała ustalić, gdzie się znajduje.

— Pójdzie pani prosto, skręci w lewo przy Baker's Arms i wyjdzie pani prosto na kościół.

— Dziękuję.

Nie uwierzyła mu.

Ale mógł ją obserwować, więc wyruszyła zgodnie z jego wskazówkami.

Sposób w jaki poinformował ją o „piątku” wskazywałby na to, że jeszcze do tego dnia daleko. Ciężarówka nie przyjechałaby chyba do wioski na pustkowiu w niedzielę, dzień odpoczynku? Pomrukiwania Scarabaidów na temat niedzielnego lunchu były marzeniami, które nie musiały spełnić się natychmiast. Więc może poniedziałek? Tłum na ulicach był gęsty, dość leniwy, a była pierwsza, wczesne popołudnie. Sobota?

Dotarła do Baker's Arms, pubu o wnętrzu w kolorze krokodylej zieleni, gdzie migotały automaty do gry. Wąska uliczka wysadzana drzewami wychodziła na placyk wykładany kocimi łbami. Wyglądał znajomo. Poszła w tamtą stronę. Na końcu alejka przechodziła w kwadratowy plac otoczony jeszcze bardziej oryginalnymi i eleganckimi sklepami pełnymi gadżetów i puszystych zabawek.

Po drugiej stronie placu, kontrastując z nowoczesnością, wznosiła się katedra, struktura z brązowej melasy, pokryta zdobieniami i naroślami gargulców, które ryzykownie wychylały się ze swojej wysokości.

Przy placu stał też hotel. Był zbyt elegancki i zapewne bardzo drogi, ale naprowadził jej myśli na właściwy tor. Musi znaleźć schronienie do dnia odjazdu pociągu.

A więc postanowione. Jej plan rozrósł się, ale nie został przekreślony.

O czwartej Rachaela zameldowała się w małym hoteliku, który oferował nocleg ze śniadaniem. Leżał wśród zatłoczonych ulic na tyłach kościoła, pomalowany na biało georgiański budynek, stojący w szeregu

innych, podobnych, i przypominający jej Londyn. Kiedy go znalazła, była u kresu wytrzymałości. Głodna, umęczona ponad wyobrażenie, zatonała w wąziutkim łóżku i zamknęła oczy.

Będzie musiała znowu wyjść, żeby kupić coś do jedzenia. Niechcili jej dać kanapki o tej porze. Śniadania podawano w pokojach tylko między siódmą trzydzieści a dziewiątą.

Robiło się ciemno, migotliwy dzień zamykał się w ołowianej chmurze.

Ze swojego okna Rachaela mogła zobaczyć podwórze: rury odpływowe, okno naprzeciwko przysłonięte białą firanką, z którego widok z pewnością był taki sam, jaki teraz oglądała.

Wszystko było odrealnione. Z książki gości dowiedziała się, co to za dzień. Wtorek. A więc jeszcze tylko dwa dni. Potem pociąg do Fleasham, stamtąd do Sickly, Poorly czy gdzieś tam i stolica. W Londynie musi na zawsze schować się przed Scarabaidami i ich ekscentrycznymi, intymnymi kremacjami na brzegu morza. Uciec przed człowiekiem, który twierdził, że był jej ojcem, którego czarny ogień ją ożywił.

Próbowała oddychać swobodnie, ale była tak spięta, że aż kłuło ją w piersi.

Opadło z niej całe podniecenie.

Nie było się czego bać.

Jak mogą ją znaleźć? Zmyliła już nawet samą siebie, kręcąc się i błądząc po tym upiornym mieście, pytając w sklepach, siedząc w kawiarni, chociaż nie była w stanie wypić kawy ani zjeść ciastka.

Musi się uspokoić. Ucieczka wyglądała na udaną.

Nie ma się czego bać.

Wyszła punktualnie o ósmej wieczorem, poszła do małej kafejki na końcu ulicy i zamówiła omlet z frytkami. Popijając kieliszkiem wina, zjadła prawie wszystko.

Nie chciała wracać do pozbawionego charakteru, ciasnego pokoju, ale nie miała wyboru. Nie chciała też wałęsać się znowu po zatłoczonym mieście.

Kościół był rzęsiście oświetlony. Samochody miały białe oczy, migoczące i błyskające. Mieszkańcy i przyjezdni spacerowali

gestykulując i śmiejąc się.

Była w innym kraju.

Zapomniała jak wygląda świat.

Jak on to powiedział? *Ten dom jest moim więzieniem. Dwa lata byłem na wolności i choć nienawidziłem ich... musiałem tu wrócić.*

Ale ona nie potrzebowała tego więzienia. Nie wróci nigdy.

Zostawiła tam wszystkie książki poza jedną. Jej wybór był bezmyślny, przypadkowy. Może w przyszłości będzie mogła odzyskać swoją porzuconą własność od Scarabaidów. A może zamkną je w domu, skoro nie mogą uwięzić jej? Z pewnością nie będzie już więcej miała kontaktu z tą rodziną.

Co naprawdę zmusiło ją do ucieczki?

Sylvian czy Adamus? Czy może był jakiś inny zdradliwy powód?

Pewnie palą się tam teraz lampy. I świece.

Anna i Stephan jedzą frykasy z mewy; przypomniała sobie ptaka, którego Eryk rzucił na stos Sylviana. O czym rozmawiają?

*Rachaela odeszła.*

Czy wymierzyła im potworny cios?

Nie będzie o nich myślała.

Rachaela wróciła do swojego pokoju w hoteliku.

Ogólnodostępna łazienka była na końcu holu, ale powiedziano jej, że o tej porze roku jest tak mało gości, iż będzie ją miała tylko dla siebie.

Puściła wodę do wanny. Wydepilowała ciało i umyła włosy, cały czas martwiąc się, że mimo zapewnień ktoś może zapukać do drzwi.

Na końcu wyprała bieliznę i zabrała ją do pokoju, żeby wysuszyć.

Kaloryfery w pokoju były letnie.

Weszła do łóżka. Było jej zimno.

Zaczęło padać i ucieszyło ją to. Wszystkie te zatłoczone puby i pizzerie opustoszeją. Dźwięk samochodów rozbryzgujących wodę docierał nieustannie z ulicy.

O północy usłyszała jak bije zegar na wieży kościoła.

Godzina zgadzała się z tą, która widniała na jej zegarku i był wtorek. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad komódką, a potem zwinęła się jak embrion, drżąc w lodowatym łóżku.

Śpij dobrze, Rachaelo.

Rano obudził ją łomot śmieciarki przed hotelem. Była siódma trzydzieści.

Wstała i ubrała się, a o ósmej wymalowana dziewczyna o ziemistej cerze przyniosła jej skąpe śniadanie, złożone z bułek i letniej kawy. Kawa smakowała jej, mimo że była tylko ciepła. Tak, bardzo. Co zrobić z dniem?

Oczywiście mogła się ukrywać jak szpieg w powieści, ale myśl o dziesięciu godzinach spędzonych w zamknięciu w tym pokoju doprowadziła ją do stanu lekkiej hysterii. Poza tym będą tu chcieli posprzątać i oczekują zapewne, że goście wtedy wyjdą.

Musi więc wyjść.

Rachaela włożyła co cięższe rzeczy do komody. Jej szczoteczka do zębów, pasta i inne drobiazgi stały na blacie jak ołowiane żołnierzyki. Zwalczyła ochotę, żeby zabrać wszystko ze sobą.

Dzień był szarożółty. Ulicami maszerowały parasolki. Tłum nie przerzedził się. Przechodzili mężczyźni z torbami na zakupy i kobiety ze spacerówkami, a dzieci zamknięte w plastikowych budkach patrzyły z politowaniem na sponiewieranych dorosłych, którymi kiedyś się staną.

Rachaela szła ostrożnie, starając się kierować szlakiem zapamiętanym z poprzedniego dnia.

Przeszła się po sklepach, obejrzała pięćdziesięcioletnie antyki, wełniane płaszcze i różne inne atrakcje, jakie w nich oferowano.

W porze lunchu poszła do baru przekąskowego i zjadła obeschniętą kanapkę z szynką. Nie jadła szynki od dość dawna. Była słonawa, tłustawa. Zapomniała już, że szynka tak smakuje.

Jest nad morzem. W porządku. Tylko dzisiaj i jeszcze jeden dzień, i będzie mogła wsiąść do pociągu.

Powinna spróbować znaleźć stację. Za kościołem, po drugiej stronie rzeki, Wagon Street. Zapamiętała adres hotelu, trafi więc z powrotem.

Dotarła do rzeki, szerokiej i żółtoszarej jak niebo. Łodzie przepływały w tę i z powrotem, zgrabne i wypolerowane albo zardzewiałe i rozsypujące się. Most górował nad rzeką, a za nią ulice rozbiegały się i przechodziły jedna w drugą. Zapytała o drogę chyba ze dwadzieścia razy. Przekonała się, że byli w mieście i tacy, którym sprawiało przyjemność wysyłanie obcego przybysza na manowce.

Wreszcie, za kwadrans czwarta, dotarła do Wagon Street i zobaczyła ceglastą fasadę stacyjki jak z El Dorado.

Szybko weszła do środka. Było tam bardzo czysto i plastikowo. Kosze na śmieci i toalety oznaczono tak jak w Londynie; pani na rysunku miała tylko jedną nogę.

Nikogo w kasie. Nikogo na wietrznym peronie, gdzie ciemność zaczynała rozwijać skrzydła. W końcu zapukała do drzwi „Wejście służbowe”, ale nikt nie odpowiedział.

Wyglądało to tak, jak gdyby stacja była jedynie atrapą. Ekspedycja miała udowodnić, że ucieczka była możliwa, ale bezsensowna. Kto tak naprawdę chciałby uciekać?

Żadne pociągi nie mknęły po lśniących szynach. Nie zmieniały się żadne światła. Nikt nie spłukiwał toalety, a w koszach nie było śmieci.

Nic nie szkodzi. Stacja istniała. Była tu i można z niej było skorzystać. W piątek przyjdzie tu bardzo wcześnie, przed ósmą, odpuści sobie nawet letnie śniadanie. Będzie czekała i, jeśli będzie trzeba, zapyta maszynistę każdego przejeżdżającego pociągu. Fleasham, Poorly. Wielkie ślepe miasto, które wsysa i grzebie na zawsze. O to właśnie chodziło. Żeby być pogrzebanym.

Rachaela ostrożnie opuściła widmową stację. Słońce zachodziło w szlamie chmur.

Ulicami ciągle przemykały parasolki.

Zabłądziła trzy razy, zanim odnalazła ulicę z hotelem. Ale jednak w końcu trafiła.

Jej rzeczy były na miejscu, łóżko pościelono ze sztywną precyzją i poutykano koce jak kaftan bezpieczeństwa.

Wyrzuciła za burtę środę.

Teraz tylko wieczór, noc i czwartek.

Poradzi sobie.

W domu zapalają teraz lampy.

Nieśli go w dół na plażę. Nie było stopni, tylko pochyłość. Carlo i Michael trzymali go między sobą. Camillo szedł z tyłu, długie białe włosy tańczyły na jego ramionach. Alice miała mysz w kapeluszu.

— Nie wolno ci płakać — powiedziała Anna. Ale ona płakała, nie wylewając łez, odarta ze wszystkiego.

Spalą go. Jego smukłe męskie ciało, piękne ręce, rzeźbioną twarz, węzeł czarnych włosów. Ogień w jego oczach.

Będzie musiała popatrzeć na jego czaszkę strawioną przez ogień, zanim morze się o nią upomni. Chciała wiedzieć. Tylko jego czaszka jej to powie.

Byli na plaży. Adamus leżał wśród wyrzuconych przez przyływ kawałków drewna i bali. Michael i Carlo ciągnęli po kamieniach fortepian. Rachaela obudziła się.

Był środek nocy. Samochody umilkły. Słyszała niemal mechanizm zegara na wieży, obracający się wolno w stronę poranka. Dzwonił tylko w południe i o północy.

Po omacku poszukała zegarka i w mglistym półświecie wpadającym przez okno odczytała na nim, że jest czwarta.

Dlaczego śniło jej się, że Adamus nie żyje?

Ponieważ się go bała. Jego śmierć byłaby szczęśliwym rozwiązaniem.

Czuła coś strasznego we śnie; to nie był żal czy poczucie straty. Coś gorszego.

Jeszcze raz ułożyła się do snu i leżała aż do siódmej trzydzieści, kiedy zielone światło wkradło się jak szczur przez okna.

Rachaela wyszła i zrobiła staranne zakupy. Kupiła beżowy sweter, paczkę nowych bawełnianych majtek, rajstopy i książkę w miękkiej okładce. Nabyła też dużą czarną torbę, żeby to wszystko zapakować. Będzie musiała kupić w Londynie ubrania, książki i radio, kiedy już gdzieś zamieszka. Zostało jej trochę funduszy. Znajdzie nową pracę. Cokolwiek.

W miarę jak mijały dni w tym mieście, nawet tak nieliczne, Londyn oddalił się, stał się jakby nierealny.

Najpierw musi się tam dostać.

Dzień szedł na dno, tonąc coraz to bardziej z godziny na godzinę. Zjadła kolejną sałatkę w tanim barze, a potem poszła i usiadła nad rzeką. Popołudnie było pogodne. Po rzece pływały kaczki, nie zauważyła ich przedtem. Chleb dla kaczek i ciepła dłoń trzymająca jej rękę. Było to odległe wspomnienie, wymyślone i poza czasem.

Natknęła się na kino i poszła obejrzeć film. Była to komedia i czasami starcy w pierwszym rzędzie śmiali się zrzędliwie. Jak niepodobni byli do

Scarabaidów, jacy młodzi. Zgarbieni i połamani, powykręceni i obolali. Żałośni. Scarabaidzi nie byli żałośni. Nawet Sylvian na swoim stosie.

Rachaela wyszła przed końcem filmu.

Zegar na wieży i jej zegarek wskazywały piątą. Prawie skończyła z czwartkiem. Krzepiła się teraz myślą o piątku. Czuła lekkie mdłości, kiedy o nim myślała. Jak gdyby ciągnął ją mocny sznurek. Przeciąć to. Kiedy pociąg odjedzie ze stacji, nastąpi zerwanie. Co będzie wtedy czuła? *Moje więzienie. Muszę wrócić na ziemię.*

Wieczorem Rachaela starannie zapakowała do nowej torby nieliczne rzeczy, z którymi uciekła. Potem znowu wyszła i w kawiarni zjadła wodniste spaghetti po bolońsku. Wino było jak ocet i nie pomogło jej w jedzeniu, ale sprawiło, że przez pół godziny była na lekkim rauszu i podczas tej pół godziny wszystkie ostatnie wydarzenia wydały jej się śmieszne. Kiedy miała iść do łóżka, wpadła w depresję.

Próbowała czytać książkę, ale prawdziwe życie było wszechobecne i nie mogła wyrzucić go ze świadomości.

Czy Adamus wiedział, że wyjechała? Powiedzieli mu? Jak zareagował? Prawdopodobnie z ulgą. To był rytuał, coś, do zrobienia czego zmuszał ten dom. Te gorące chwile przed kominkiem — przywołała je w pamięci — czy także były częścią rytuału? Jak mogła myśleć o nim jak o ojcu — przecież nigdy nim nie był. Był fantomem z jej snów na jawie. To jej wina. To ona to sprowokowała.

Zasnęła i śniła o Sylvianie na dnie morza; ryby wpływały i wypływały z jego oczodołów. Sen był spokojny.

Obudziła się i pojęła sens tego, co widziała wtedy na plaży. Był martwy. To, co zrobili z jego ciałem, nie miało znaczenia. Zresztą kremowali go. Bardzo higienicznie i nowocześnie. Uciekała nie przed płonącym stosem, nie przed człowiekiem i tym co miało się z nim stać, ale przed zniewoleniem przez ten dom. Tak naprawdę uciekała przed poczuciem bezpieczeństwa. Zostawiła swoje ubrania, radio i książki. Jak sześciolatka, która postanowiła wyruszyć w świat.

Był piątek.

Poprzedniego dnia zapłaciła rachunek. Teraz pozostawało tylko ubrać się i wyjść.

Nie chciała jeść śniadania, czuła ucisk w żołądku. Wypiła trochę

wody, która smakowała chemikaliami, odwiedziła krępującą toaletę i była gotowa.

Piętnaście po siódmej wyszła na ulicę.

Ranek znów był deszczowy, ulice lśniły jak mokra focza skóra, jedna czy dwie latarnie ciągle jeszcze świeciły oszałamiającym blaskiem. Samochody przemykały w tę i z powrotem, jak zwykle pryskając i rozchlapując wodę. Sklepy były wymarłe. Zaczęli się pojawiać ludziopodobni do zaaferowanych królików, spieszący wcześniej do pracy. Kursowały już oświetlone autobusy.

Znała drogę. Pewnym krokiem przeszła na drugi brzeg pomarszczonej rzeki i dotarła do hałaśliwych ulic poza nią. Pomyliła się tylko raz, skręcając w niewłaściwym miejscu, wreszcie wyszła na Wagon Street. Było dziesięć po ósmej. Z pewnością jedyny w tygodniu pociąg do Fleasham nie odchodzi tak wcześnie. Pospieszyła na peron.

Dzięki Bogu na obu peronach byli ludzie. Stali jak gdyby czekając na egzekucję, pochyleni z rezygnacją, z ociekającymi parasolami i zamokniętymi gazetami.

W kasie był jakiś mężczyzna.

— O której odchodzi pociąg do Fleasham?

Popatrzył na nią, zmarszczył czoło:

— Dokąd?

— Do Fleasham. Podobno odjeżdża tylko dzisiaj. Przesiadka w Poorly. Chcę się dostać do Londynu.

— A, chodzi pani o Bleasham — mężczyzna wyciągnął jakąś grubą księgę i zajrzał do niej.

Może odchodzi o szóstej wieczorem? Nie szkodzi. Poczekaj.

— O dziesiątej czterdzieści pięć. Rachaela uśmiechnęła się.

— W takim razie zdążyłam.

Mężczyzna odpowiedział jej z sympatycznym uśmiechem:

— No cóż, szczerze mówiąc, spóźniła się pani. Odjeżdża we wtorki rano, nie w piątki. Dzisiaj kursuje Fletchers Junction.

— Czy mogę w jakiś inny sposób dostać się do Poorly?

— Nie pociągiem. A z Poorly nie ma połączenia z Londynem aż do wtorku. Wtorek albo czwartek. Jedenasta piętnaście.

Ten dzień, kiedy zapytała policjanta, to był wtorek. A on powiedział,



że pociąg będzie dopiero w piątek.

Poczuła się, jakby cegła spadła jej na głowę.

Nie miała dokąd pójść i cztery dni przed sobą.

No cóż, będzie musiała poczekać. Co innego może zrobić?

Nie podziękowała pogodnemu mężczyźnie; wręcz promieniał przekazując złą wiadomość. Potem opowie swoim kolegom: — Jakaś cholerna idiotka chciała jechać tym do Bleasham z przesiadką w Poorly. myśli że pociągi będą jeździć tak, jak jej pasuje. Powiedziałem: nic z tego, paniusiu, aż do przyszłego tygodnia. Znajdzie jakiś inny hotelik z noclegiem i śniadaniem. Nie — nie ten sam. Zmarnuje nie tylko ceną gotówkę, ale i czas. Okropne, hałaśliwe dni: piątek, sobotę, straszną kościelną niedzielę, a w poniedziałek zostanie już tylko jeden dzień. Jeśli ten tutaj powiedział jej prawdę.

Kiedy wyszła ze stacji, zapulsował w niej strach. Nie był to strach przed domem Scarabaidów ani przed pogonią. Był to strach przed miastem. Przed jego ulicami i ludźmi, samochodami, kolejnym pokojem z oknem wychodzącym na rury odpływowe i ponure podwórze.

*Nie bądź niemądra. Wszystko w porządku.*

Ale nie było w porządku. Miała dosyć. Wydawało się, że świat sprzysiągł się, żeby pokrzyżować jej plany. Tak jak kiedyś.

Rachaela poszła do kawiarni, starała się zjeść parę tostów i wypić kawę. Poradziła sobie tylko z kawą. Potem musiała szukać nowego, innego hotelu. Nie udało się i w końcu wróciła na wybrukowaną uliczkę naprzeciw kościoła.

Przystanęła i przyjrzała się gargulcom.

Z łatwością wyobraziła sobie budowniczych kościoła, w średniowiecznych strojach, pracujących na rusztowaniu. Trud, jaki zadali sobie, rzeźbiąc w kamieniu diabły i demony. Za model posłużyła im pewnie twarz mistrza, a może tutejszej staruszki, która pozowała jako wiedźma.

Zakręciło jej się w głowie od patrzenia w górę, gargulce wychyliły się, gotowe do skoku.

Przyszło jej do głowy, że wejdzie do kościoła i usiądzie, z dala od ulic i tłumu, nic nie jedząc i niczego nie udając.

Rachaela wniosła dwie torby przez rzeźbiony portyk i drewniane

drzwi.

W środku natychmiast ogarnęło ją znajome uczucie znużenia i ulgi.

Były tu witraże. Wielka, zamglona przestrzeń wypełniona polerowanym drewnem, kamienną podłogą i światłem schwytanym w czerwone, zielone i niebieskie klatki, rozsiane po całym wnętrzu. Nawet zapach kadzidła nie był obcy.

Rachaela zbliżyła się do ławki i usiadła. Całe wnętrze szumiało cicho jak muszla.

Wydawało się, że w kościele nie ma nikogo więcej, nawet zwiedzających, oglądających organy i chór, mrużących oczy naprzeciw witraży.

Nikt się nawet nie modlił. Leżały tu haftowane poduszki pod kolana.

Rachaela zapragnęła uklęknąć i pomodlić się. O co? Przypomniały jej się szkolne modlitwy, na które zawsze się spóźniała, *Ojcze nasz, któryś jest w niebie*, błaganie złego i zazdrosnego bóstwa nazywanego przez wszystkich współczującym, które zapewne odczuwało wielką potrzebę bycia chwalonym, większą niż niejeden nie doceniany dorosły.

Czy istniał Bóg? Nic tego nie uzasadniało. A więc nie ma na kim się oprzeć. Nie ma nikogo, kto zrozumie czy da się ubłagać. Była sama, jak zawsze.

Rachaela ciężko oparła się o ławkę. Jej całe ciało było umęczone, plecy i kark sztywne, głowa pełna rozgrzanych do czerwoności zwojów.

*Cztery dni. Och, Boże, nie istniejący Ojcze, cztery dni.*

Patrzyła jak szkarłatne słońce przedziera się przez chmurę za oknem. Witraże nie były tu wytworem chorego umysłu. Chrystus zamieniał wodę w wino, a dzieciątka płynęły, a nie tonęły w sitowiu. A lew leżał obok baranka.

Przez kościół coś przemknęło.

Poruszało się tak szybko, zamierało w bezruchu co krok, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Była wewnętrznie uśpiona.

Ale teraz zbliżyło się i poczuła jego zapach, usłyszała go, nie słysząc nic.

Nie odwróciła głowy.

Przez błękitne odbicie Dziewicy przesunął się cień, tłumiąc słońce.

Był tutaj. Odgadła to w jednej chwili.

Oczywiście, gdzie jeśli nie tutaj miał na nią czekać, z dala od słońca, w cieniu. To właśnie tu musiała szukać schronienia, zgarbiona w kościelnej ławce.

W końcu odwróciła się i zobaczyła pochylającego się nad nią Adamusa.

Scandalous

Kiedyś, gdy miała może pięć lat, zgubiła się w domu towarowym. W końcu ktoś poprowadził ją przez rozbiegany, gigantyczny wszechświat sklepu do miejsca, gdzie czekała matka. Rachaela odniosła wrażenie, że nie szukała jej i niezbyt była zadowolona, kiedy ją przyprowadzono. Dostała wtedy wiele klapsów.

- Skąd wiedziałeś — zapytała — że tu przyjdę?
- Lubisz stare budynki. Sanktuaria.
- Jak długo mnie szukałeś?
- Niedługo.
- Do tego w pełnym świetle — dodała nieco złośliwie.

Miał na sobie czarny skórzany płaszcz, który byłby dla niego zbyt młodzieżowy, gdyby Adamus wyglądał na swój wiek. Ale nie wyglądał. Nie nosił okularów przeciwsłonecznych, schował je do kieszeni. Zadowolony z pochmurnego dnia? Ale oto ukazało się słońce.

- Nie lubię światła — odparł — jednak jakoś sobie z nim radzę.
- I musiałeś mnie znaleźć.
- Byłaś zgubiona.

Jakże doskonale te słowa pasowały do jej własnej oceny sytuacji.

— Nie, nie zgubiłam się — odrzekła. — Chciałam się dostać do Londynu.

- To dosyć skomplikowane, o ile sobie przypominam.
- Jeden pociąg tygodniowo. W dodatku podali mi zły dzień. W przeciwnym wypadku już by mnie tu nie było.
- Wówczas musiałbym czekać, aż wrócisz.
- Nigdy bym nie wróciła.
- Myślisz, że nie?
- Wiem, że nie. Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą poszła.

Jeśli mnie tkniesz, zacznę wrzeszczeć.

— Będzie głośno.

— Zrobię to, Adamusie.

— Jak staroświecko to zabrzmiało. Ciekawe. W ustach Anny brzmi to tylko po wiktoriańsku.

— Nie bawię się już w żadne gierki. Idę do hotelu. Złapię pociąg, kiedy tylko przyjedzie.

— W porządku — powiedział — jeśli chcesz.

— A więc ścigałeś mnie na próżno.

— Miałem przyjemność znowu cię zobaczyć. Siadł obok niej w nawie.

Jego cień przysłonił błękitne okno, błogosławione dłonie Dziewicy. Naprawdę.

Powinna przesunąć się na drugi kraniec ławki i uciec, ale była niehumanie zmęczona. Nie miała dokąd pójść. Poszedłby za nią. Chodziłby w tę i z powrotem u jej boku, może nawet uprzejmie wziął pod ramię. Ile szarawego blasku słońca był w stanie naprawdę znieść? Mogła liczyć tylko na to, że znuży się szybciej niż ona.

— Musisz pozwolić mi odejść — powiedziała.

— Dlaczego?

— Nie masz prawa mnie zatrzymywać. Jeśli będę musiała — pójdę na policję. — Pomyślała o usłużnym policjancie, który podał jej niewłaściwy dzień odejścia pociągu.

— Nie zamierzam ciągnąć cię za włosy, wrzeszczącej i kopiającej — odrzekł. — Jeśli cię zranię, to na inne sposoby.

Wnętrze jej ciała zadrżało. Cienka powłoka na zewnątrz pozostała niewzruszona.

— Zamknij się — rzuciła. — Nie odzywaj się do mnie. Siedział w milczeniu, łagodny, pod każdym względem górujący nad nią prawie tak, jak w tych nie kontrolowanych chwilach w pokoju na górze. Chociaż niezupełnie.

— Naprawdę mam zamiar wyjechać. Słyszysz, co mówię?—  
Wolno mi coś powiedzieć?

— Nie mogę ci zabronić.

— Tak, rzeczywiście nie możesz. Jak wyjeżdżasz, to wyjeżdżasz.

Gdzie się zatrzymałaś?

— Nie powiem ci.

— Wyprowadziłaś się z hotelu i musisz teraz znaleźć następny.

— Śledziłeś mnie?

— Nie, Rachaelo. Czy to nie oczywiste? Wymeldowałaś się, a może nawet uciekłaś nie płacąc rachunku, jak sądzę, żeby złapać pociąg. Ale pociąg nie przyjechał. A teraz siedzisz tu w kościele z dwiema torbami.

— Jeśli będziesz mnie prześladował, zrobię coś, żeby ci w tym przeszkodzić.

— To może być zabawne. W porządku. Nie będę cię prześladował. Będę tu siedział i pozwolę ci odejść. Będę tu siedział przez godzinę, a ty wyglądasz jak gdybyś mogła się najwyżej czołgać.

— Kolejna gra: zasłoń oczy, a potem spróbuj mnie znaleźć. Nie znajdziesz.

— Nie będę próbował. Muszę tylko sprawdzić, kiedy odchodzi pociąg do Londynu i zacząć się na ciebie na peronie.

— Zrób to. Zobaczysz, co się stanie.

— Nic się nie stanie. Pocałuję cię w policzek i pomachasz mi przez okno.

Rachaela próbowała uspokoić oddech. Była szaleńczo podniecona. Chciała go uderzyć.

— Mówisz, że kiedy stąd wyjdę, będę panią swego losu?

— Najzupełniej.

— Wolną od rodziny Scarabaidów?

— Nie, nigdy nie będziesz wolna od rodziny Scarabaidów. Jesteś jedną z nas. To ciągnie się za tobą. I to przywiedzie cię z powrotem.

— Żyj tą nadzieją.

— Wiem z własnego doświadczenia. Uciekłem. Wróciłem. Jesteś już skażona. Za późno.

— A więc myślisz, że wołałabym zamurować się w tym mauzoleum, w tym domu-grobowcu?

— Masz lepsze wyjście?

Nie zdążyła się uchylić, cała przyszłość runęła prosto na nią. Pociągi, miasto, jakaś podła, ciężka, marnie płatna praca, jakiś pokój, hałasy u sąsiadów, rojne ulice, jawna wrogość stolicy. Zobaczyła wlokące się dni,

mroczne komnaty nocy. Zobaczyła swoje opuszczenie, samotność i długi szereg dni, o których nigdy dotąd nie myślała. Była niezaradna, bez żadnego zabezpieczenia. Żyła tak, jak gdyby czekała na wybawienie, pieniądze skądkolwiek, przybycie rodziny Scarabaidów.

— To będzie moje życie.

— Jest twoje, gdziekolwiek jesteś. Był to niezaprzeczalny fakt.

Musi wstać i wyjść z kościoła. Im dłużej tu była, tym większą miał nad nią władzę. Oplatał ją niczym sieć.

Ale ogarnęło ją takie zmęczenie, a serce biło tak szybko. Nie chciała iść. Była szczęśliwa, że siedzi tutaj, czuje jego mroczną siłę, która chroni ją przed błękitną świętością Matki Boskiej.

Czerwone okno zabarwiło się głębokim różem. Słońce znowu zaszło.

— Jak się dostałeś do miasta? — zapytała wykrętnie.

— Wynająłem samochód, jakżeby inaczej? Myślisz, że szedłbym całą drogę jak biedny Carlo?

— Jak wezwałeś samochód?

— Carlo to zrobił. Czy Cheta. Domyślam się, że ktoś w miasteczku pozwolił im skorzystać z telefonu.

— Samochód nie przyjechał pod sam dom.

— Jak sama wiesz, droga nie dochodzi tak daleko.

— Dlaczego przyjechałeś ty, a inni nie?

— Jestem najmłodszy, pamiętaj. I najbliżej spokrewniony z tobą.

— Spokrewniony — powiedziała. — Krew plemienia.

— Twoja i moja krew się różnią.

— W jaki sposób? — zapytała znowu.

Nastąpiła długa przerwa. Czowała jak zamarł, niczym **dzikie zwierzę** gotujące się do skoku. Wreszcie rzekł:

— Chodź ze mną i sama się przekonaj.

— Chcesz się ze mną przespać — powiedziała. — To o to chodzi. Mówisz, że jestem twoją córką, wierzysz w to, a mimo wszystko chcesz mnie pieprzyć.

Kątem oka zobaczyła, że Adamus zwraca ku niej twarz. Jak za naciśnięciem guzika, ona także odwróciła się do niego. Jego spojrzenie było jak policzek. Z trudem mogła odetchnąć.

— Tak, chcę cię pieprzyć. Chodź ze mną i pozwól mi na to.

— Teraz mówisz prawdę, ty draniu.— Teraz mówię prawdę. W czym problem? Uszczęśliwimy rodzinę. Będą się tym delectować. To się ciągle powtarza, matka z synem, ojciec z córką. Brat z siostrą. Dwie trzecie z nich zrodziło się z kazirodczych związków. Urocza intymna orgietka trwa od wieków. Sekretne uroki naszego domu. A cóż innego cię powstrzymuje? Względy religijne, moralność, zasady? Nic dla ciebie nie znaczą. Chodź do mnie i pozwól mi dać ci to, czego pragniesz.

— Wcale tego nie pragnę.

Wyciągnął dłoń o długich palcach, białą jak kość, obsypaną ciemnymi włosami. Dłoń poruszała się w zwolnionym tempie. Tak wolno, że Rachaela miała mnóstwo czasu, aby się uchylić. Nie zrobiła jednak tego. Chwyił jej kark, zanurzając palce we włosach. Elektryczny dreszcz przebiegł jej po plecach. Poczwała, że ma żołądek pełen lodu i rozpaloną głowę. Nie mogła nic zrobić.

— Puść mnie — szepnęła — puść...

Nadpłynął cień i opadł na nią z głęboką, powolną przemocą.

Czarne jak węgiel oczy płonęły. Poczwała smak jego skóry, jego ust — chłodny i nieznany. Z zamkniętymi oczami. Była ślepa, spadała wirując. Tylko nacisk jego ręki trzymał ją wśród szalejącej burzy.

Rzadko ją całowano. Nigdy żaden mężczyzna nie wszedł w nią i nie posiadał z jej przyzwoleniem.

Jego usta przesuwwały się po jej wargach. Odchyliła głowę. Pozwoliła mu wyciągnąć się na głęboką wodę, zbyt słaba nawet na to, żeby objąć go ramionami. Spadała i spadała na dno bezkresnego oceanu.

Kiedy oderwał od niej usta, ciągle trzymał ją jedną ręką.

W pierwszej chwili nie mogła otworzyć oczu.

Kiedy wreszcie to zrobiła, kościół zamienił się w mieszaninę kolorów i promieni światła. Białe oblicza świętych były obrzmiałe i niezdrowe, ich czystość została zbrukana.

Jego twarz ciągle była spokojna, tylko wargi miał rozchylone.

Zwróciła się ku niemu i wyciągnąwszy ręce złapała go za kołnierz.

— Pocałuj mnie jeszcze.

— Jeszcze? — roześmiał się jak chłopiec.

Śmiejąc się pocałował ją znowu i jego śmiech zamarł w jednej chwili. Całe jej ciało falowało i wirowało. Chwyliła go za ubranie i poczuła



jak leci w głąb, bezwolna, jak kołysze się i szybuje. Przylgnęła, wtapiając się w niego, w jego twardość. Była zgubiona, zgubiona.

— Nie przestawaj.

— Nie tutaj — odparł.

— W takim razie gdzie?

— A jak myślisz, Rachaelo?

— Wszystko mi jedno — odparła — pójdę z tobą.

Samochód czekał w zaułku.

Podeszli do niego i wsiedli.

Szofer, nie zwracając na nich uwagi, ruszył powoli.

Adamus nie włożył okularów. Siedział otaczając ją ramieniem. To ramię, jego nacisk, pozbawiało ją rozsądku. Chciała, żeby samochód się zatrzymał. Patrząc na splątane drzewa, które mijali, chciała znaleźć się pod nim, na nagim, bezlistnym poszyciu lasu. Nigdy nie czuła nic takiego, nawet w najbardziej mglistych fantazjach. Marzyła na jawie.

Zachciało jej się śmiać z nieświadomości kierowcy. On o niczym nie wiedział.

Nieważne, że wracają do domu Scarabaidów. Jakże to ma znaczenie? Nie liczyło się nic, chciała tylko ulec znowu naporowi jego ust.

Krajobraz w tyle rozwijał się jak wstążka.

Podróż była taka długa!

Ale kiedy dotarli na miejsce, czy też raczej do drogi u stóp wzgórza, gdy Adamus zapłacił szoferowi — żadna suma nie została wymieniona — wspięli się na kamieniste zbocze w cienistym świetle popołudnia i wyszli spomiędzy mokrych zielonych dębów. Wówczas ukazał się dom i Rachaela otrzeźwiała.

Zobaczyła dachy, rzędy okien, stożek wieży.

— Znowu tu jestem — powiedziała.

— Zgodziłaś się — odparł. Nie próbował już jej dotknąć.

— Tak, zgodziłam się.

Jej ciało zapominało go. Ciepło, lód i nagły przyptyk pożądania odpłynęły. Wspominała je z obawą.

Dotarli do ganku i podwójnych drzwi. Adamus użył czegoś tak zwykłego jak klucz.

Weszli do kratkowanego holu. Był cichy i opuszczony. Wydawało jej

się, że patrzy nań z daleka.

— Nie odchódź — poprosiła.— Musisz być cierpliwa — rzekł — ja także. Jest jedna zasada. Tylko w nocy.

— Nie ma zasad. Sam mi mówiłeś.

— Ale one są, niestety.

Musiała czekać do ustalonej godziny, śmieszna jak panna młoda podczas miodowego miesiąca. Nie wierzyła. To jego kolejna okrutna próba albo gra.

— Mogę zmienić zdanie.

Stał patrząc na nią, czuła że coś pcha ją ku niemu, ciągnie jak łańcuch. Siłą woli trzymała się na miejscu.

— Nie rób tego — powiedział.

— Uważam, że to niemądre i obraźliwe.

— Przykro mi.

— Nienawidzę tego domu — oświadczyła.

— To nieprawda. Idź na górę i ukryj się w twoim ślicznym zielono-niebieskim pokoju. Idź i czekaj tam na mnie.

— Droczysz się ze mną — powiedziała cierpko.

Uśmiechnął się do niej chłopięcym uśmiechem. Czy starzy ludzie śmieją się w ten sposób? Może zazwyczaj bywa to ukryte i zniekształcone przez pomarszczoną skórę, pożółkłe zęby i oczy?

— W tej chwili bardzo mnie pragniesz — rzekł — cieszę się.

— To przejdzie — odparła.

— Mam nadzieję, że nie. Zaufaj mi. Dziś w nocy.

Odwróciła się i weszła na schody, zamroczona. No i proszę, znów tu jest.

Jej pokój wyglądał dokładnie tak samo. Łóżko pościelone, meble odkurzone. W szafie wisiały jej rzeczy, na stoliku stało jej radio. Popatrzyła na nie ze spokojnym zaskoczeniem. Była oszołomiona. Co przydarzyło się im obojgu w kościele, w ogóle dlaczego właśnie w kościele?

Camillo przepowiadał, że ona ucieknie i wróci. Ale powinna była dotrzeć do Londynu. Absurd.

Usiadła na krześle przy kominku. Nie napalili. Widocznie nie mieli pewności.

Oparła się i zauroczenie wywietrzało z niej jak alkohol. Przypominało to krótkie zamroczenie kwaskowatym winem. Trwało, dopóki go dotykała.

Naprawdę zrobiła z siebie idiotkę. Została zwabiona z powrotem do tego domu, a teraz wszystko miało się rozegrać na nowo.

*Jeszcze... Pocałuj mnie jeszcze.* Zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno.

Gorący rumieniec z głębi łona zabarwił jej piersi, szyję i twarz.

Była zawstydzona swoim zachowaniem, swoją banalnością.

Ale była też zmęczona. Tak źle spała w tym hoteliku.

Wstała i włączyła radio. Błogosławieństwo muzyki wypełniło pokój. Tęskniła za nią. Położyła się i naciągnęła kołdrę. Złocisty Szatan odbił się na jej twarzy. Było dobrze i ciepło. Zasnęła.

Tego wieczoru umyła się, włożyła spódnicę, nową bluzę i zeszła do jadalni.

Nie wiedziała czego może się spodziewać, ale na dole byli tylko Stephan i Anna.

— Witaj — rzekła Anna. — Miło nam, że znów tu jesteś.

— Tęskniliście za mną — raczej stwierdziła niż zapytała.

— Tak, oczywiście. Wszyscy za tobą tęsknili.

— Poza Sylvianem.

— Ach, tak. Poza nim.

— Uciekłam — oświadczyła Rachaela — żeby kupić sobie tę bluzę.

— Powinnaś nam była powiedzieć, że chcesz wybrać się do miasta.

— Chciałam pojechać do Londynu.

— To taka długa droga. Czy twoich interesów nie można załatwić przez pocztę? Cheta wysłałaby list we wsi.

— To była ucieczka, jak widzicie.

— Być może.

— Uciekłam jak Adamus i to on przyprowadził mnie z powrotem, Przekonał mnie ojcowskim pocałunkiem.

Anna uśmiechnęła się i spuściła oczy.

Stephan nucił jakąś melodyjkę i mieszał zupę.

Wiedzieli — to pewne.

— Nie rozumiem was wszystkich — powiedziała Rachaela.

— Zrozumiesz, kiedy do nas przywykniesz.

Miasto było upiorne. Tłum ludzi, fałszywe adresy i niewłaściwe kierunki. Koszmar. Tu czuła się bezpieczna. W tym szaleństwie tkwił sens.

Nie. To dom był szaleństwem. Zewnętrzny świat był prawdziwy.

Po zupie podano potrawkę jarzynową zapiekaną z serem. Potem krem agrestowy. Rachaela jadła łąpczywie. Jedzenie było smaczne, obfite. Przeciągnęli ją na swoją stronę.

Usiadła z nimi przy kominku w salonie.

Alice i Unice weszły, nieznacznie skinęły jej głową, usiadły i zaczęły robić na drutach.

Eric, ten od mewy, przemknął gdzieś z książką.

Jack i Dorian ukazywali się i znikali.

Pojawiali się to tu, to tam, widziała ich kątem oka: Miriam i Sasha, Anita, Teresa, Miranda i Livia, George, Peter.

Raz wszedł Carlo niosąc polana.

Maria, Cheta i Michael podawali posiłek.

— Och, Michaelu. Trzeba napalić w pokoju panny Rachaeli.

— Już tego dopilnowałem, pani Anno. Ogień. Luksus, przytulność.

Chciała być małą dziewczynką w bezpiecznym, kojącym domu, wśród drogich babć i dziadziów. Z wielkim kotem, łózkami jak w domku dla lalek i prześlicznymi oknami.

*Nie zbliżaj się*, pomyślała o Adamusie. Nie potrzebowała go w tej chwili.

Nic nie może zniszczyć tej krainy snów. Nic tak nieodwracalnego jak seks.

To dziwne, myślała patrząc jak Unice robi na drutach, Anna szyje, Alice porównuje wzór, a kochany dziadzio Stephan patrzy w ogień. Dziwne, że dotąd nie poznała naprawdę seksu. Czuła się jak gdyby była przed nim chroniona. Nie był dla niej.

Nie myślała o pocałunkach przed białymi oczami Matki Boskiej.

— Michaelu — powiedziała — chciałabym jeszcze kieliszek wina. Wszyscy dziadkowie w pokoju patrzyli na nią rozpromienieni.

Była faworytką.

Miała podtrzymać rodzinną tradycję. Miała oddać się swojemu ojcu.

Rozebrała się do naga i wśliznęła pod kołdrę. Według zegara na wieży była prawie pierwsza, ale on zawsze gnał jak szalony. Na jej zegarku było wpół do jedenastej. Wcześniej się położyła.

Wylężniona panna młoda w noc poślubną.

Zamknęła drzwi. Konieczny gest. Symboliczny gest. W końcu i tak miał klucze do wszystkich drzwi. Może każe jej czekać do północy.

Próbowała nie myśleć o tym, co się stanie. Zgadywała tylko, na zmianę zaniepokojona, podniecona, zła. Nawet rozbawiona.

Widziała jego twarz, kiedy grał na fortepianie.

Radio transmitowało jakąś sztukę. Wyłączyła je. Nie obchodziły jej cudze dramaty.

Minęła godzina. Pojedyncza lampa paliła się na gzymsie kominka.

Słyszała oddech morza. Nikt nie przeszedł korytarzem. Dom mrucał, trzeszczały belki, okna poskrzypywały w ołowianej ramie.

To oczywiste. Nie przyjdzie. Noc zapadnie i minie bez niego.

Rachaela, a raczej jej gardło, jej ciało wbrew rozumowi, na przekór mu, wydały dźwięk protestu. Wtem gałka zaczęła się obracać. Drzwi stanęły otworem. Na zewnątrz było ciemno. Jak zwykle ciemność wkroczyła z nim, przyniósł ją na włosach i ubraniu. Zamknął drzwi, przekręcił klucz. Stał i patrzył na nią.

Nie było w jego twarzy nic, co mogłaby nazwać uczuciem czy choćby pożądaniem. Była to twarz najwyższego kapłana w chwili składania ofiary. A ona musiała zapewne być ołtarzem, bo podszedł do niej bez wahania.

— Rachaelo — zapytał — czy mam zgasić światło?

— Nie. Chcę, żeby się paliło.

Przyszedł bosy. Teraz zdjął przez głowę pulower, rozpiął koszulę i zrzucił ją, spodnie i slipy zsunął pełnym gracji ruchem, jak gdyby miał w tym dużą wprawę. Jego ciało w świetle lampy i kominka było śniade jak ikona, biel przechodząca w złoto, szczupłe i smukłe, o wydatnych mięśniach, niemal wklęsłym brzuchu, żebrach wypukłych jak na płaskorzeźbie. Nogi miał długie i silne, jak nogi biegacza, jego ramiona wydawały się szersze niż wtedy, gdy był ubrany.

Włosy na jego podbrzuszu były granatowoczarne, tam też spoczywał wąż. Dotąd znała ten widok tylko z książek, nie licząc gwałtu i

śmiesznych siusiaków małych chłopców, zapamiętanych z dzieciństwa. Bursztynowy wąż był jeszcze miękki i spokojny; a więc myśl o niej, widok jej leżącej pod kołdrą jeszcze go nie obudził.

Dopiero gdy był nagi, podniósł brzeg kołdry i delikatnie odsłonił jej ciało.

Wiedziała, że jest złocistobiała jak on, bursztynowy blask igra na jej piersiach, a granatowoczarne runo na jej łonie zasłania wszystko to, co u niego było tak odsłonięte. Popatrzył na nią. Zobaczyła jak wąż wstaje, uniesiony magicznym mechanizmem, jak dźwiga się i wypełnia niczym wielka włócznia w kolorze zachodzącego słońca.

Przesunęła się na drugi kraniec łóżka, a on pochylił nad nią w pozłacanym powietrzu. Spoczął obok i poznała pierwotny lęk, stary jak świat — starszy nawet niż Scarabaidzi.

— Boję się.

— Tak?

Popatrzył na nią, wsparty na łokciu. Jego twarz była poważna, spokojna. Podwójne stworzenie — pożądliwa włócznia i twarz kapłana. Dotknął palcem jej ust, potem skłonił głowę i musnął je wargami. Kiedy ją całował tym czystym, chłodnym pocałunkiem, drugą ręką sięgnął do karku i rozpuścił włosy. Czarny deszcz. Jego włosy, uwolnione, spłynęły na nią jak ulewa surowego jedwabiu.

— Twoje włosy — powiedziała — twoje włosy. — Ujęła je, śliskie, pełną garścią i pocałunek przywiódł na myśl doznania w kościelnej nawie.

Przerażenie błysnęło i zatopiło ją. Nie, to nie było przerażenie.

Jego usta cofnęły się. Zwróciła głowę w jego stronę i pasmo czarnych włosów, pachnących nocą, przemknęło jej po wargach. Chwyciła je zębami, podczas gdy jego usta przesunęły się wzdłuż jej szyi i odnalazły piersi.

Język kreślił wokół nich gorące kręgi. Wziął w usta jej sutki i słodkie drżenie przeniknęło jej ciało. Struna harfy grała w jej łądzwiach, łańcuchy gwiazd biegły od szczytu jej piersi w głąb jej ciała, ku podeszwom stóp, do mózgu.

Opadł na nią, poczuła napiętą gładką skórę jego ciała, aksamitnego węża ocierającego się o jej brzuch, udo...

Jego dłonie znalazły się na jej piersiach tam, gdzie wcześniej były usta. Muzyka była coraz dziksza, glissando ognia.

Ukląkł w modlitwie między jej udami, twarz miał okrutną jak oblicze anioła. Pochylił głowę.

Poczuła rytm podobny do oddechu. Jądro jej ciała stopniało w jednej chwili. Przenikały ją długie fale czystej ekstazy.

Jęknęła i rzuciła się na łóżku w męce rozkoszy. Zobaczyła czerwień Pod powiekami, w uszach szumiało jej jak morze w muszli.

Jego język opisywał wąwozy i zbocza wzgórz, meandry rzek. Czuła tyjące w nią fale oceanu. Coś uniosło ją i wyrzuciło. Usłyszała swój głośny krzyk, jak gdyby spazm, który nią wstrząsnął i wyrzucił ją z ciała.

Znów leżał obok patrząc na nią, delikatnie głaszcząc jej żebra i brzuch.

Obserwowała go, nie mogąc wydobyć głosu.

Ruch jego ręki był teraz kojący. Uspokoił ją. Czuła się tak, jak gdyby zrzuciła ogromny ciężar.

Słyszała dźwięk morza u stóp klifu, niski i powtarzający się.

Wziął jej rękę i przesunął w dół, wzdłuż swego ciała.

Ostrożnie dotknęła jego totemu i ośmieliła się nieco, czując jak drży i wypręża się. Grała na nim tak, jak on grał z nią, grał na niej. Położył się na plecach, a ona przykryła go swoim ciałem, pochyliła nad jego ustami i rozwarła je językiem. Tam, gdzie stykały się ich ciała, czuła się z nim jednością. Skupiła się tylko na nim i sobie, na instynkcie.

Włosy rozpościerały się pod nim jak czarna szata. Zatopiła w nich palce i przesunęła dłońmi wzdłuż jego boków.

Objął ją i odwrócił na plecy, kładąc się na niej. Czarny płaszcz jego włosów zakrył teraz jej biodra i nogi.

Znowu poczuła ostre żądło jego języka, jak płomień rozpalający jej wnętrze. Całowała i pieściła wargami jego brzuch, jędrne zagłębienie pępka. Jej język przesunął się po jego ciele w mądrej miłosnej magii. Odnalazła rozgrzaną włócznię i smakowała ją całą aż po ogorzały szczyt, jak owoc o miękkiej skórce nabrzmiały sokiem.

Zatraciła się w nim, w smaku jego skóry, wymyślnej torturze, którą zadawał jej palcami i ustami.

Zapomniała o wszystkim.

Czuła tylko, że odwrócił się znowu i położył na niej. Padł na nią jego złocisty cień. Rozwarł jej uda z delikatną bezwzględnością.

Już się nie bała, otworzyła się przed tą inwazją.

Pomimo to została rozdarta, rozplątana. Dotąd знаła tylko jednego mężczyznę, z którym stoczyła idiotyczną walkę w neonowym świetle. Wtedy została rozerwana, teraz rozdarto ją na nowo. Nie dbała o to. Otworzyła swoje ciało i przycisnęła go do siebie. Czerwony ból przedarł się przez słodycz, a po nim jeszcze głębszy, jak odgłos gromu.

Jęknęła leżąc pod nim. Wziął ją, wypełnił po brzegi, wbił na pal.

Całował jej usta i piersi. Zalały ją fale słodyczy.

Kiedy poruszył się znowu, ból przeszedł w cudowne tarcie. Jeszcze raz przyłgnęła do niego, aby wyjść mu naprzeciw, została ugodzona, podniosła się znowu.

Uchwyciła się jego ciała, jego włosów, na krawędzi chaosu.

Jego twarz w górze była ocieniona, ale zobaczyła jej dziki wyraz, tak pasujący do tego, co sama czuła.

Jego ciężar sprawił, że zatonęła w łóżku jak w piasku.

Robiła co mogła, aby wyjść naprzeciw jego szturmowi.

Ból rozplątał się w spazmach szczytowania.

Jego usta dotknęły jej ust, linii szczęki, szyi.

W zamęcie, chaosie poczuła drugą inwazję, jak ostre ukąszenie.

Próbowała wykrzyknąć jego imię, ale zdławił ją, pokonał.

Poczuła, że jej krew spływa do jego ust, jak gdyby wyciągał z jej żył jedwabne nici.

Karmił się nią jak lew, przeszywał ją, sący jej życie.

Tak musi się czuć ktoś obdzierany ze skóry.

W porównaniu z poprzednią rozkoszą to był kataklizm.

Rachaela krzyknęła. Została ciśnięta w szaleństwo, jak gdyby wpadła w trąbę powietrzną. Tafle ciemności i światła roztrzaskały się przed jej oczami. Była udreńczona, starta na proch. Kiedy padała, poczuła, że pędzi na jej spotkanie jak płonący meteor. Usłyszała dźwięk, jaki wydał nad jej otwartym gardłem.

— Lampa gaśnie — powiedziała — Cheta zapomniała dolać oleju.

— Leż spokojnie — odparł.

Ciągle jej dotykał, gładził jej ciało, pieścił piersi, przeczesywał włosy.



Maleńki kwiatek krwi, taki jaki wyszywała Anna, plamił poduszkę.

— Jak dziewictwo — zauważyła. — Za pierwszym razem krwawiłam przez tydzień.

— Nie możesz tego porównywać.

— On nie pił mojej krwi.

Adamus podniósł się na łokciu. Przyłożył usta do jej szyi i delikatnie pieścił ranę. Uczucie było cudowne, wszystko w niej topniało.

— Potrzebujesz tego?

Podniósł głowę.

— Nie.

— Ale sprawia ci to przyjemność.

— Ogromną.— Od jak dawna...?

— Twoja matka była ostatnia.

— Kolejna rzecz, której mi nigdy nie powiedziała.

Znowu ssał jej krew. Gwiazdy zapłonęły we wnętrzu jej ciała pod naporem jego ust. Wyprężyła się i zadrżała, jego ręka wśliznęła się między jej uda, palce delikatnie rozniecały iskierki rozkoszy. Jej orgazm przyszedł od razu, niezwykle silny.

— Zrób to dla mnie — powiedział. Łakomie lizał jej szyję, zamykając oczy.

Wzięła do ręki jego włócznię, znowu wzniesioną, aksamitną i twardą. Pocierała ją, łaskotała czując jak drga, żyjąc prawie osobnym życiem.

Poczuła jego niecierpliwość, kiedy przysunął się do niej. Jego oddech muskał jej szyję. Gorący sok wystrzelił w jej dłoń.

Pocałował ją. Poczula słony, ostry smak własnej krwi.

— Co teraz będzie? — zapytała.

— Nic. Miłosne ukąszenie.

Cichy dźwięk poza czarnym wszechświatem pokoju, w **korytarzu**.

— Czy to kot cię szuka?

— Kot nigdy mnie nie szuka. Pojawia się i znika.

— Są podglądaczami?

— Rodzina? Nie, już to wszystko widzieli. Większość zna to z własnego doświadczenia.

Rachaela podniosła się spośród pościeli i poduszek, płataniny nagiej skóry i włosów.

— Nie rób tego — powiedział. — Chcę zobaczyć.

Zapaliła świeczkę, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Na zewnątrz coś leżało.

— Jeden z prezentów Camilla — powiedziała. Pochyliła się.

Było to dziwne, skręcone serce wyrzeźbione w drzewie. Camillo był złośliwy.

Sięgnęła po serduszko, a ono rozpadło się w jej rękach, rozsypało aa kawałki.

— Och!

Wróciła do pokoju, zamykając drzwi na klucz.

— Co ci podrzucił? Kocie łajno w folii? Jest z tego znany.

— Złamane serce.

— Rozumiem. A więc nie tylko komentarz dotyczący naszej moralności.

Postawiła świecę. Migotliwy blask oświetlał jego smukłe ciało, śnieżnobiałe na tle włosów. Wyglądał jak księżę z niecenzuralnej historyjki, jak beardsleyowska ilustracja perfekcji męskiego ciała. Nawet jego uśpiony fallus, którego Beardsley niewątpliwie narysowałby w pozycji stojącej.

— Dlaczego złamane serce? — zapytała.

— Jest romantykiem. Opowiadał ci o nocnej ucieczce z oblężonego miasta?

— Nie — odparła. — Jest jak stare dziecko. Złośliwy i inteligentny. Nic go nie obchodzi.

— Może ty go obchodzisz?

— W takim razie to moje serce. To złamane.

— Chodź tu — przywołał Rachaelę. Podeszła wolno.

Pociągnął ją, leżała wzdłuż jego ciała, na nim. Przywykła już do tego, do potoku uczuć.

— Jutro — powiedziała — będę się wstydziła.

— Jutro będzie za późno.

— Tak.

Otoczył ją ramionami.

Oparła głowę w zagłębieniu jego ramienia. Dotykała go ustami **tak** jak on jej, przed miłosnym ukąszeniem.

— Kochałeś się ze mną pięć razy — powiedziała.  
— Liczysz.  
— Nie spaliśmy.  
— Śpij jutro — odrzekł — kiedy będziesz się wstydziła. Przekręcił się i przygwoździł ją pod sobą.

— Już nie mogę — powiedziała.  
— Jeszcze raz, przez wzgląd na starą przyjaźń.  
Za jego cieniem zobaczyła mgliste zarysy kusocielskiego **okna**.  
— Robi się jasno.  
— Zdarza się.

Nie chciała dnia, dnia wstydu i zamętu.

Wtargnął w nią bez uprzedzenia. Przywykła już do niego, jej ciało przyjęło go z łatwością. Poruszał się powoli, w rytmie odległego morza. Zaczaj w niej narastać głęboki, melodyjny ból. Nie potrafiła go zlekceważyć.

Podnosili się i opadali na brzegu ciszy.

Za jego plecami srebro okna topniało w ciemną zieleń i chryzantemę. Pojawiły się krwistoczerwone krople jabłek z witraża.

— Chcę na ciebie patrzeć — powiedział.

Wyszedł z niej i jęknęła czując, że się oddalił. Cofnął się, zdmuchnął świecę i patrzył na rozpostartą na niej postać Lucyfera.

— Jabłko leży na twoim łonie. Bardzo stosownie.

— Specjalnie tak ustawili łóżko. Wracaj do mnie — powiedziała — szybko, szybko.

Położył się i wszedł w nią znowu, aż jęknęła z ulgą. Wiła się pod nim, tańczyła jak wrzeciono.

— Szybciej.

— Jeszcze nie.

Trzymał ją zawieszoną między ziemią a niebem, aż okno zakwitło szaleństwem barw. Przyptyw szumiał w jej głowie. Jego usta spadły na jej szyję i jeszcze raz oddała się lwu.

Nie mogła już nawet krzyżeć. Okno wrzało. Zapomniała o wszystkim — przeszłości, przyszłości. Na zewnątrz rozbiegły się małe zwierzątka, skupione wokół rozsypanego serduszka.

---

## 9

---

*Ile mil do Babilonu? Sześćdziesiąt i sześć. Zdołam dojść tam w świetle świecy? Tak, i wrócić też.*

Drozd czy inny brązowopióry ptak odpowiedział z krzaka. Rachaela przyglądała mu się chwilę, po czym ruszyła dalej. Rak zagwizdał jeszcze kilka nut i odleciał.

— Ile mil, ile mil?

Od kogo nauczyła się tej rymowanki? Na pewno nie od matki. Przypomniała sobie teraz ten wierszyk, ponieważ dawał się zastosować do jej sytuacji. Ona, Rachaela, była w Babilonie i wróciła.

Wyrazem niesłychanej przezorności było włożenie nowego swetra z golfem. Golf i mały kawałek plastra maskowały najbardziej skandaliczne świadectwo wizyty w Babilonie. Krew przestała płynąć; gdy się przebudziła, rana była sucha. On odszedł. Ale jej całe ciało, obolałe i posiniaczone, jak gdyby ją pobił, stanowiło świadectwo jego rzeczywistej obecności.

Nie była zawstydzona. Ani zażenowana. Ani zła, oszołomiona czy szczęśliwa. Nie czuła niczego. Była jakby pusta. On ją oczyścił, wyprał z wszelkich uczuć.

Musiał pozbierać kawałki serca z dywanu na korytarzu albo zrobił to Michael, a może Maria, jak w przypadku myszy.

*Co czuję?*

Z pewnością coś musiała odczuwać.

Ale on wysał z niej uczucia wraz z krwią.

Promienie kapryśnego słońca splukiwały wrzosowisko. Czasami przemykająca chmura rzucała na nie promienie ciemności. *Tak, i wrócić też.*

Usiadła na kamieniu. Z tego miejsca mogła widzieć dom, kamienną

bryłę, godzącą w niebo jak błyskawica. Dzisiaj nie było królików.

Zaczęła płakać bezgłośnie, więc jednak pozostały jej jakieś uczucia. Morze huczało. Wrzosowisko trwało obojętnie w blasku dnia.

Deszcz padał przez kilka dni i nocy. Zmył znaki, ślady kocich pazurów na ziemi, wiotkie kwiatki obok ścieżki, pajęczyny na zewnątrz okien. Rozpuścił wspomnienia. Bowiem tylko wspomnieniem stała się bezpośrednia przeszłość.

On wszedł, położył się obok niej i był jej kochankiem. A przedtem wyrwał ją ze świata i sprowadził do tego domu, do enklawy Scarabaidów.

Drzwi wieży były zamknięte. Przez dwa dni zbliżała się do nich i pukała. Bezskutecznie.

Intuicyjnie wiedziała, że jej Babilon trwał tylko jedną noc. On pragnął mieć ją jedynie przez jedną noc — o ile w ogóle jej pragnął. To Scarabaidom na niej zależało. Nawet perspektywa ponownego skosztowania jej krwi nie była dostatecznie silna, by go skusić. Jeżeli to prawda, odszedł — jak mnich — na trzydzieści lat.

Teraz nie chciała już opuszczać domu.

Zrozpaczona, kurczowo chwyciła się takiego rozwiązania. Spojrzała na dom innymi oczyma. Zobaczyła wesoły ogień na kominkach, barwne maski okien. Mogła tu się ukryć, pogrzebać i żyć bezpiecznie. Bez zmartwień, bez pracowania na utrzymanie, bez ludzi, z którymi trzeba by sobie radzić. Jakże niebezpieczny był ten dom, ta wielka kamienna kołyska próbująca spowić ją w swe okrycia jak mebel i ubezwłasnowolnić.

I tak żyła z kominkiem i radiem, wieczorami schodząc na kolacje, spożywane w towarzystwie Stephana i Anny. Czasami pojawiali się inni. Teraz знаła ich już wszystkich.

Ani razu nie wróciła na plażę.

Ale plażę również dokładnie zmył deszcz. Wszyscy tu byli, przy stole, wszyscy poza Camillem, który nigdy nie przychodził. Szesnaścioro Scarabaidów i czworo służących.

Do ryby podano wino.

Gdyby nie domyśliła się tego wcześniej, to właśnie po tym poznałaby, że kolacja ma uroczysty charakter. Jej krew przemieniła się w lód.

A oni uśmiechali się do niej od czasu do czasu. Nieznaczące zgryźliwe uśmiešky odsłaniały ich stare silne zęby.

Potem znów poczuła się osaczona. Ten dom jednak nie był przytulną kołyską.

Na górze wzięła kolejną kąpiel, tak gorącą, że zrobiło się jej niedobrze.

Na dywanie przy łóżku wykonała zalecany zestaw ćwiczeń.

Żałowała, że nie wypila więcej wina.

Leżąc w łóżku wyobrażała sobie, że nigdy tu nie przybyła, że jej życie toczy się dalej między sklepem pana Gerarda a mieszkaniem.

Oczywiście, w zamian za zburzone mieszkania na pewno dawano nowe. Nic nie słyszała na ten temat, ale jak mogłaby słyszeć, będąc tutaj?

Czekała, może otworzą się drzwi.

Nic się nie stało.

Piąta według zegara w kształcie wieży przy łóżku — trzecia trzydzieści nad ranem.

Deszcz, niespokojne morze.

Przestało padać.

Na kolację przyszła jedynie Anna. To wydawało się równie nieprzypadkowe, jak zebranie klanu w poprzedni wieczór. Postanowiła zwierzyć się Annie.

— Pomyślałam — zaczęła — że może będę musiała wyjechać do Londynu na pewien czas.

— Dlaczego? — Anna nie wyglądała na zaskoczoną. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

— Muszę załatwić pewne sprawy finansowe.

— Z pewnością wystarczyłby list.

— Do tego domu nie przychodzi żadna poczta. — Przywozi ją do wsi ciężarówka. Cheta... — Naprawdę uważam, że muszę dopilnować tego osobiście.

— Cóż, skoro musisz...

Zatem nie było sprzeciwu. Ale też żadnej pomocy. Rachaela spojrzała w ogień. Nie zobaczyła w nim żadnych obrazów, nawet stosu pogrzebowego Sylviana.

— Wiesz już zapewne — powiedziała — że spałam z nim.

— Och, moja droga — rzekła Anna. Oczywiście był to wyłom w etykiecie.

— Wszyscy tego pragnęliście i spodziewaliście się, że do tego dojdzie. Pomyślałam, że chcielibyście wiedzieć. — Anna nie skomentowała. — Od tej pory nie widziałam go. — Rachaela nie zamierzała tego mówić, ale stało się.

— Adamus jest bardzo tajemniczy — powiedziała Anna. — Musisz dać mu czas.

— To ja byłam niewinna, nie on. Ile czasu potrzebuje?

— Jest mało komunikatywny — rzuciła pobłażliwie Anna. — Sama go nie widywałam, jedynie przelotnie, przez chwilę. Musisz być cierpliwa.

— Już to mówiłaś. Dlaczego muszę być cierpliwa?

— A co innego można robić? — zapytała po prostu Anna.

— Tak, rozumiem. Po prostu nic. Jak myślisz, czy długo będzie ukrywał się przede mną? Dwa miesiące, trzy?

— Nie wiem, Rachaelo.

— A może postanowił odsunąć się na stałe? Może powinnam kazać Michaelowi lub Checzie, by zabrali mnie z sobą do wieży, kiedy dostarczają posiłki?

— Nie rób tego. Nie możesz narzucać się mu na siłę.

— On mnie zmusił. To wy wszyscy mi go wmusiliście.

— Nie, Rachaelo. Nie możesz mówić, że nie zaakceptowałaś tego.

— To gra — powiedziała Rachaela. — Cały czas to podejrzewałam.

— Wcale nie. Bardziej... bardziej taniec, Rachaelo. Nieustająca zmiana partnerów.

— Tak, a na zakończenie, gdy orkiestra już odeszła, trzeba zostać samotnie na parkiecie. Ostatnia gwiazda gaśnie na niebie — dodała banalnie — i nadal pozostaje samotność.

— On jest, jaki jest.

— Rozumiem to. A gdzie jest moje miejsce?— Jesteś całkiem bezpieczna, Rachaelo. Masz nas wszystkich. Rachaela zadrzała.

— Ale wy, wszyscy, jesteście szaleni. Anna uśmiechnęła się.

— I co ja mogę na to odpowiedzieć?

Rachaela zobaczyła obraz w ogniu. Był to Camillo jadący na

grzbiecie wielkiego czarnego kota.

- No cóż, pojedę do Londynu.
- Zaczekaj jakiś czas — poradziła Anna.
- Po co?
- Może coś się wydarzy.
- Ale muszę jechać. Mówiłam ci. Pomyślała: *Czy coś się stało?*

*Kolejny sen.*

Pomyślała: *Londyn, czy starczy mi sił, by spróbować jeszcze raz?*

Teraz starannie odliczała dni i wiedziała, jaki jest dzień tygodnia. W sobotę poszła na strych. Od szaleńczego epizodu na zielono-błękitnym łóżku minęły dwa tygodnie i jeden dzień. Drzwi wieży nadal zastawała zamknięte. Była zajęta nie kończącym się wędrowaniem po wrzosowisku, czasami w strugach deszczu, i wykonywaniem swoich ćwiczeń. Niekiedy wieczorami wypijała po trzy szklanki wina. Nie rozmawiała z Anną, jedynie odpowiadała łagodnie, gdy ta ją zagadnęła.

Camilla nie było na strychu. Wyglądało na to, że tym także przestał się interesować. Koń na biegunach stał nieruchomo jak skała; klepnęła go w zad, by wprawić wierzchowca w ruch. Trzy butelki eksplodowały i na ścianach widniały plamy po winie.

Rachaela spróbowała wina. Było kwaśne, jak uprzedziły ją stare kobiety. Kwaśne, ale skuteczne w działaniu. Mogła je pić zamiast cywilizowanych napitków, serwowanych przez Michaela.

Przeszukała strych i znalazła młotek leżący między maszyną do szycia a wypchanym ptakiem. Jak gdyby specjalnie przygotowany.

Otworzyła okno ze zwyczajnymi szybami i wyszła na zewnątrz.

Niebo było błękitne, splamione rozległymi formacjami chmur, które przypominały tworzące się nad wulkanami kumulusy.

Przeszła przez dwa poziomy dachu i zbliżyła się do okna wieży. Cisza. Fortepian milczał. Czy w ogóle Adamus był w wieży? Dokąd poszedł po tamtej szalonej nocy? Wiedziała, że nie przeszkadza mu światło dzienne. Strach przed nim był jedynie pozą, jak gdyby tego po nim oczekiwano.

Zapukała grzecznie trzonkiem młotka.

Był tam i tylko udawał, że go nie ma. Zagrzebany w swojej wieży, bezpieczny, uwolniony od konieczności spotkania się z nią.

Cisza. Jedynie huk morza.



Rachaela oparła się o ścianę wieży. Pragnęła być gdzie indziej, być kimś innym. Kimkolwiek. Jakąś pryszczatą nieciekawą dziewczyną, jakąś piorącą skarpety żoną. Kimkolwiek, byle nie tym, kim była. Byle nie sobą.

Lekko wywinęła młotkiem. Pierwszy cios rozbił fragment przedstawiający lwią głowę. Uderzyła jeszcze raz. Kawałki żółtego kryształu posypały się na dach jak dziwne cukierki.

Ale nie zdołała wdrzeć się do wieży. Za pierwszą szybą była druga, z jakiejś innej, odporniejszej substancji.

Walnęła młotkiem z całej siły i okno zadygotało; maleńkie spękania wyglądały jak powstające w wyniku trzęsienia ziemi szczeliny. Tworzywo umieszczone między szklanymi taflami nie ustąpiło.

Mogła się domyślić. Ciskający kamieniami tłum udzielił im dobrej lekcji. Dodatkowa tafla była zabezpieczeniem przed atakiem.

Zostawiła wytłuczone szkło i zabrała młotek na strych, gdzie zostawiła go przy rajskim ptaku o cytrynowym i wiśniowym upierzeniu.

Bezużyteczny akt agresji.

Dostała nauczkę. Okazali się dla niej niedostępni.

A ona nie była wandelem, niszczenie nie było jej naturalną cechą.

Wróciła do siebie.

Na kartce wyciągniętej ze stosu leżącego na antycznym biurku w pokoju porannym napisała:

„Adamusie, takie odwracanie się ode mnie nie jest uczciwe. Chcę z tobą porozmawiać. To nie jest jakaś pusta zachcianka. Jak długo zamierzasz ukrywać się przede mną?”

Potem podarła ten list i dwa czy trzy kolejne, i spaliła je w kominku.

Adamus był Księciem Ciemności. Nie odpowiedziałby na jej wezwanie. Kapryśny i wrogi duch, istota z cienia. Narzucił jej swoją wolę czy wolę Scarabaidów. Musiała wyzwolić się z tych okowów. Musiała. Mogła. To było proste. Usiadła i przemyślała, co ją czeka. Była beznadziejnie głupia i nie zasłużyła na nic lepszego. Musi znaleźć siły. Musi.

Około czwartej nad ranem, w świetle świecy, dorzuciła dwie książki do nowej czarnej torby i sprawdziła jej ciężar.

Tym razem miała w niej parę sztuk ubrań i kilka lżejszych książek, w

miękkich okładkach. Do podręcznej torebki włożyła przybory toaletowe i kosmetyki. Nie mogła zabrać radia, ale już wcześniej pogodziła się z tym. Musiała również zostawić wiele książek.

Był wtorek; nadal starannie rachowała dni.

We wtorki przyjeżdżała ciężarówka, ale to nie było istotne. Nie mogła wykorzystać tego sposobu po raz drugi. Z pewnością Carlo i Cheta postarali się, by temu zapobiec.

Włożyła płaszcz i zarzuciła torbę na plecy jak plecak. Torba była dosyć ciężka, ale nie za bardzo. Będzie musiała wytrzymać. Mniejszą torebkę przewiesiła przez ramię.

Rachaela otworzyła drzwi. Za nimi czaiła się zwykła nocna ciemność. Mocno uchwyciła świeczkę.

Rzeźby kołysały się, a z góry, spomiędzy liści, patrzyła na nią drewniana sowa.

Coś było nie tak.

Wiedziała to, zanim dotarła do podestu. W holu płonęło światło, czerwona lampa.

Podeszła do szczytu schodów i spojrzała w dół.

Wszyscy tam byli. Wszyscy Scarabaidzi. Kolejno mierzyła ich wzrokiem: Unice i Alice, Peter i Dorian, Jack, George i Eric, Stephan tam był i Anna, stojący po jednej stronie, Teresa, Miranda, Anita, Sasha, Livia i Miriam. I stryj Camillo w swej zbroi, w połyskującym w świetle lampy napierśniku i hełmie, z opuszczoną przyłbicą, żeby nie można było zobaczyć, czy się śmieje.

Rachaela znieruchomiała.

Bez słowa stawiała im czoło, czekając, aż ktoś przemówi.

Skąd wiedzieli?

W pobliżu wejścia na korytarz stali czterej służący, wśród nich wielki Carlo. Gotowi złapać ją i zatrzymać?— Idę — powiedziała głośno Rachaela. — Nikt mnie nie zatrzyma.

Podniosła świecę i zaczęła schodzić.

Przebiegło przez nich lekkie drżenie — na moment wszystko w niej stężało — lecz poza tym trwali bez ruchu.

Ona była silna, a oni starzy. Jak Carlo zareagowałby na kopniaka w kostkę, czy ugryzienie w nadgarstek? Świeca też mogła zostać użyta

jako broń.

Znalazła się w holu. Scarabaidzi tworzyli mur między nią a drzwiami. Skręciła w kierunku salonu i ruszyła prosto na nich.

Myślała o tym, by uderzyć, usłyszeć trzask pękających starych kości. Zrobiłaby to, gdyby musiała...

Eric i Stephan odsunęli się na bok. Pozwolili jej przejść.

Weszła do nie oświetlonego pokoju. Migotliwy płomyk świecy załamywał się na krawędziach mebli. Drzwi do cieplarni, jak zawsze w nocy na wpół otwarte, zapraszały ją do przejścia.

Podążyli za nią, wśród szelestu ubrań i szmeru miękkiego obuwia. Szli jak podkradający się do ofiary drapieżnik. Ale czy skoczą?

Otworzyła drzwi szerzej i ruszyła ścieżkami między wielkimi roślinami, czarnymi, białymi i szarymi. Liście muskały ją jak bezsilne i oskarżycielskie ręce. Rachaela odpychała je zdecydowanie. Łodygi pękały, a kwiaty obsypywały ją płatkami niczym konfetti.

Dotarła do drzwi prowadzących w noc, pchnęła je i przekroczyła próg.

Ruszyła przez ogród, przez zadbany trawnik Carla, pod konarami cedru. Jeszcze tylko furtka.

Postawiła świecę na ziemi. Nie zgasiła jej. Zamykając furtkę, zerknęła w tył.

Wszyscy Scarabaidzi — poza jednym — tłoczyli się w ogrodzie. Obserwowali ją. Ich posępne stare twarze niczego nie zdradzały. Patrzyli na nią tak, jak dzieci biorące udział w zabawie, której reguł nie rozumieją, a jednak wiedzą, że jest ważna.

*Do widzenia, pomyślała. Żegnajcie na zawsze.*

Z uczuciem wewnętrznego zimna, prawie z przerażeniem, odwróciła się od nich, strzepując płatki kwiatów z płaszcza. Kto by uwierzył w tę ucieczkę po nocy? Pomyślała o ich oczach błyszczących w blasku świecy, połyskujących niby żuki, uchwycone w zaroślach przez światło latarki. Oparła się pokusie i nie obejrzała po raz drugi. Rachaela szła ścieżką wśród sosen. Z prawej strony dobiegał ponury ryk morza. Po pewnym czasie wyszła na dziki obszar wrzosowiska. Morze zajadło atakowało podstawę klifu. Stojący kamień jarzył się w ciemności upiorną bielą. Na niebie wisiał chudy księżyc. Noc rozbrzmiewała

własnymi, tajemniczymi dźwiękami.

Teraz musiała przypomnieć sobie drogę, jaką wędrowali Carlo i Cheta. Musiała po ciemku znaleźć wioskę.

Ruszyła wzdłuż plaży. W pewnej chwili z ciemności wyłonił się jakiś kształt. Znieruchomiał na jej drodze.

Ostatni z nich — kot.

Rachaela zwolniła, ale nie zatrzymała się. Kot mierzył ją wzrokiem. Futro mu lśniło, uszy miał podniesione. Czy nadal uważał ją za domownika, czy też zwróci się przeciw niej, skoro skazała się na wygnanie? Czy był jakimś nadnaturalnym strażnikiem Scarabaidów?

Zrównała się z kotem i wyciągnęła rękę. Zwierzę uważnie obwąchało jej palce. Poglądziła jego wielką barbarzyńską głowę.

— Jesteś pięknym potworem — wyszeptała. — Przepuścisz mnie?

Kot wymknął się spod jej dłoni i, czarny jak sadza, ruszył wzdłuż zbocza w kierunku stojącego kamienia.

Z pewnej odległości usłyszała, jak drapie ziemię. Nie zaniepokoiło jej to. Miała za sobą wszystkie próby; czekała ją jedynie podróż do Londynu.

Podczas marszu nękały ją jakieś niejasne obawy.

Rozległe wrzosowisko było na pozór spokojne, a jednocześnie pełne hałasu. Żył własnym życiem. Tu rozległ się szczebiot niewyobrażalnych stworzeń, tam nagle rozbłysło coś w krzakach. Rachaela usłyszała łopot skrzydeł. Trzy nocne ptaki poderwały się i wzbiły w granatowoczarne niebo.

To o n a zaburzała melodię tego nokturnu.

Na niebie mrugały gwiazdy jasne i tak liczne, że trudno było uwierzyć, iż są słońcami i planetami. Chmura przepływająca pod księżycem przybrała kształt czaszki, olbrzymie oczodoły nieba patrzyły groźnie w dół. Wszystko mogło się zdarzyć.

Rachaela szła niewzruszenie dalej, torba na plecach ciążyła jej niczym grzechy pielgrzymowi z jakiejś biblijnej przypowieści. Jakie były jej grzechy? Po pierwsze, kazirodztwo. Ale to słowo nic nie znaczyło. *Rób, co chcesz, póki nie zostaniesz złapany. Ale...*

Może długi, forsowny spacer przyniesie jej ulgę. Otrząśnie z niej grzech.

Głupia i próżna nadzieja. Postąpiła bezmyślnie i została ukarana.

Czy grzechem było opuszczenie Scarabaidów?

Czy nadal stali w ogrodzie, nieruchomo jak posągi? A może Anna i Stephan powiedli ich do wnętrza domu?

Musi zapomnieć o Scarabaidach. Zapomnieć o Adamusie.

Jej matce nigdy to się nie udało. Z nią będzie inaczej.

Nietrudno było przypomnieć sobie trasę, jaką przebyła z Chetą i Carlem. Pewne charakterystyczne cechy krajobrazu nieświadomie wryły się jej w pamięć. Skręciła w głąb łądu we właściwym miejscu, była tego pewna. Jednakże gdzie była droga?

Z kępy sosen wychynęło chude szare zwierzę. Zatrzymało się i popatrzyło na nią. Plamy na futrze wokół oczu nadawały mu dziki, wilczy wygląd, ale był to tylko lis, bardziej zaniepokojony tym spotkaniem niż ona. Potruchtał żwawo dalej.

Za sosnami biegła droga, bezludna i upiornie czarna.

Rachaeli nie spodobał się jej nocny wygląd. Szła ostrożnie po jednej stronie. W każdej chwili z mroku mógł wyłonić się i rzucić na nią jakiś niewyobrażalny stwór.

Zobaczyła zniszczony dom na farmie, osrebrzony poświatą księżyca. W oknach mogły płonąć niesamowite światła, ale na szczęście nie płonęły. Na żywopłocie siedział czarny gawron lub kruk, jak gdyby rzucając jej wyzwanie. Dostrzegła błysk jego oka. Wszystkie stworzenia mogły być emisariuszami Scarabaidów. Ale gawron nie zwrócił na nią uwagi, nie frunął ku niej, krzycząc ludzkim głosem: wracaj!

Jak bardzo noc działała jej na wyobraźnię!

Wioska mogła zniknąć albo wymrzeć, albo też wszyscy mieszkańcy mogli przemienić się w kamienie.

Nie, wioska była po prostu zwyczajną wioską. Posłuszną normalnym prawom. Były w niej telefony, a mieszkańcy przyjmą ją, jeżeli zapuka do ich drzwi wystarczająco głośno.

Musiała jedynie podążać drogą.

Nic nie szło ani nie płynęło za nią.

Księżyc zachodził, chmury przypominały rozpuszczone włosy lub spieniony strumień. Nie pamiętała tego drzewa przy drodze. Czy mogła skręcić w złą stronę na prostym, nie rozgałęziającym się gościńcu? Czy

część kraju uniosła się i zniknęła?

Ale po chwili przypomniała sobie mijany zniszczony mur. Za tym wzniesieniem jest osada. Prawdopodobnie.

Osiągnęła szczyt i zobaczyła ją, wioskę na dnie doliny, pogrążoną w milczeniu, jak gdyby przed setkami lat pochłonęły ją fale jeziora.

Drzwi pubu zwanego „Armitage” były z grubego drewna, bez dzwonka czy kołatki. Boczno wejścia pomalowanego w pasy strzegły dwie donice pełne żalonych chwastów. Przy tych drzwiach był dzwonek i skrzynka na listy.

Niebo podniosło się jakby, a gwiazdy straciły swój blask. Nadchodził świt.

Przycisnęła guzik dzwonka i trzasnęła wiekiem skrzynki na listy.

Po długiej chwili z góry dobiegł stłumiony dźwięk. W oknie rozbrzmiało światło.

Jak przypuszczała, najlepiej było działać przez zaskoczenie.

Okno podniosło się. Wysunęła się łysa głowa okolona wianuszkami rozczochranych włosów.

— To ty, Sandy? Rachaela odchrząknęła.

— Nie. Potrzebuję pańskiej pomocy. Nagły wypadek. Chciałabym skorzystać z telefonu.

— Tam dalej przy drodze jest telefon — warknął z góry urażony głos.

— Rozbity — powiedziała Rachaela. *Jakby nie wiedział.* — Proszę. To pilne. Zapłacę panu za skorzystanie z aparatu.

— O tej porze!

— Proszę.

— Pani z farmy?

— Nie.

— Pani zaczeka.

Niebo było błękitnoszare, pokrywająca je błonka ciemności rozpuszczała się powoli.

Ptaki za rogatkami brudnej, zaśmieconej wioski zaczęły wyśpiewywać swoją rozpustną poranną serenadę. Wyobraziła sobie, że mężczyzna idzie ciężkim krokiem przez pub, zirytowany i zmuszony przez poczucie obowiązku. Kim był „Sandy”? Jeszcze jedną osobą, która

dobijała się do nich przed świtem?

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

— A teraz czego chce?

— Skorzystać z telefonu.

— No, nie wiem. Kim pani jest?

— To bardzo pilne. Muszę zadzwonić po samochód.

— Samochód? Po co?

Zauważyła, że mężczyzna mówi z londyńskim akcentem, jak ludzie z ciężarówki. Kolejny człowiek z zewnątrz.

— To nagła sprawa — powtórzyła.

— W porządku. Pani wejdzie.

Rachaela weszła do korytarza cuchnącego piwem i brudem.

— Potrzebny mi numer agencji — powiedziała.

— Chce telefonować, z nie zna cholernego numeru. I co jeszcze?

— Jestem pewna, że pan zna numer.

— Może mam w barze. Muszę sprawdzić. Pani zaczeka tutaj.

Mężczyzna odszedł. Jego brązowy szlafrok podrygiwał w rytm kroków.

Z góry dobiegł płaczliwy kobiecy głos.

— Co jest, Harry?

Rachaela stała w ciemnym i obskurnym holu. Patrzyła na telefon.

Miała wrażenie, że jest pijana. Może to przez ten zapach. Mężczyzna wrócił i rzucił jej kartkę.

— Poproszę dwa funty za rozmowę. I nie dłużej niż pięć minut.

Rachaela wzięła kartkę, otworzyła torebkę i położyła pieniądze na tłustym stole. Mężczyzna zgarnął je natychmiast.

— Harry! — zawołała nagle kobieta.

— Co, do diabła?

— Co tam się dzieje, Harry?

— Jakaś dziewczyna chce zatelefonować! — odkrzyknął. — Wstań i zrób nam herbaty. Ech, kobiety — mruknął do Rachaeli ze wstrętem

Podniosła z niedowierzaniem słuchawkę i wykręciła numer podany na kartce. *Quickies*.

Sygnał. Jeden, drugi, trzeci...

*Usługi całodobowe*, oznajmiała wizytówka. Może też wyszli na herbatę albo do łazienki.

— Agencja Quickies. Rachaela wstrzymała oddech.

— Potrzebny mi samochód do stacji w mieście.

— A skąd? *Skąd.*

Chwileczkę. — Zwróciła się do mężczyzny: — Jak nazywa się to miejsce?

— Co? Tutaj?

— Tak, ta wieś.

— Nie wie pani?

— Nie, nie wiem.

— Bidgely — mruknął. Przynajmniej tak **zrozumiała**.

— Bidgely — powtórzyła do telefonu.

— Słucham? — zapytał rozmówca.

— Bidgely. Może pan przeliterować? — poprosiła właściciela pubu.

Przeliterował. Nazwa brzmiała „P-i-t-c-h-l-e-y”.

— Chyba nie znam takiej miejscowości — powiedział człowiek z agencji.

Rachaela ostrym tonem zwróciła się do właściciela pubu.

— Czy mógłby pan uprzejmie podać mu wskazówki?

— Trzeba przyznać, że ma pani tupet. Wyciągać człowieka **z łóżka** o tej porze i żądać, żeby podawał wskazówki.

Rachaela wyciągnęła ku niemu słuchawkę.

Odetchnęła z ulgą, gdy wziął ją i zrobił, o co go prosiła. Rada brzmiała niezrozumiale, ale kiedy oddał jej słuchawkę, mężczyzna w agencji powiedział:

— W porządku, mam to. Proszę czekać, ktoś będzie za jakąś godzinę. Szybciej nie można.

— Dobrze, dziękuję.

— Gdzie mamy panią odebrać?

— Przy pubie „Armitage”.

— W porządku. Rozłączył się.

- No to proszę — powiedział mężczyzna.

Jego kobieta, w błękitnej podomce i z lokówkami na głowie, zeszła po schodach.

Patrzyli, jak Rachaela opuszcza ich dom, i z trzaskiem zamknęli drzwi za jej plecami. Godzina czekania i może godzina drogi do miasta —



dostatecznie dużo czasu, jak sądziła, by złapać pociąg dziesiąta czterdzieści pięć do Fleasham.

Założmy, że pociąg nie jeździ we wtorki.

Jeździ. A ona zdąży na czas. Była zdeterminowana. I nie miała wyjścia.

Rachaela siedziała na ziemi, na zboczu nie zabudowanego terenu w pewnej odległości od pubu, tam, gdzie zatrzymywała się ciężarówka gdy przyjeżdżała.

Czekała na samochód.

Wioska wokół niej zaczynała się budzić, w niektórych oknach zapaliły się lampy, ale wkrótce zaczęły gasnąć, gdy światło dnia przybierało na sile. Jakaś kobieta wyszła z domu i wylała pomyje pod krzak. Inna wieszała na sznurze kolorową pościel i ciemne koszule.

W kierunku miasta skręciły jeden czy dwa samochody.

Zaszczekał pies.

Pomyślała, że wioska jest śmietniskiem, na które został wyrzucony czas. Śmietniskiem zbrukany przez obecność Scarabaidów.

Samochód się spóźniał. Było już wpół do dziewiątej, a taksówka nie nadjeżdżała.

Rachaela wstała. Czyżby kierowca zabłądził? To niemożliwe.

Na drodze ukazał się nagle stary ford zodiac, który skręcił w główną ulicę wioski. Minął Rachaelę i zatrzymał się przy pubie.

Rachaela podbiegła.

— Muszę być o dziesiątej czterdzieści pięć na stacji, żeby złapać pociąg.

— Wątpię, czy da radę, proszę pani — rzekł ze smutkiem kierowca.

— Spóźnił się pan.

— Wina ruchu, rozumie pani. Powinna pani wcześniej zamówić samochód.

— Zrobiłam to. — Wsiadła. — Postara się pan?

— Chce pani zdążyć na połączenie do Poorly?

— Tak. Do Londynu.

— Wobec tego chyba będzie lepiej, jak zawiozę panią prosto do Poorly. Zapłaci pani trochę więcej, ale na pewno złapie pociąg jedenasta piętnaście do Londynu.— W porządku. Niech pan tak zrobi — rzuciła

pośpiesznie.

— Rozumie pani, próbuję pomóc.

— Niech pan jedzie do Poorly.

— Nie chcę, aby pani myślała, że zależy mi jedynie na wyższej opłacie.

— To nie ma znaczenia, byle tylko zdążyć na pociąg.

Wioska została z tyłu, coraz mniej widoczna, wreszcie roztopiła się we mgle odległości.

Była to chwila ostatecznego rozstania.

Samochód pędził drogą. Rachaela czuła płomień szaleńczej radości, jak gdyby zostawiła za sobą wszystkie problemy. Ale one dopiero się zaczynały.

Kierowca był rozmowny. Pozwoliła mu mówić, od czasu do czasu wtrącając jakieś półsłówko. Chciał opowiedzieć jej historię własnego życia, nie obchodziły go jej dzieje.

Może kłamał mówiąc, że nie zdąży na pociąg. Miał czworo dzieci, rodziców i chorą siostrę na utrzymaniu.

Szarozielony samochód przemykał obok domów, pól i licznych zadbanych pubów, a wszystko to wskazywało, że wpływy Scarabaidów już tu nie sięgały. Na błoniach wznosiły się malownicze kościoły, otoczone chylącymi się ku ziemi nagrobkami. Kwiaty na niektórych drzewach wyglądały jak kruche ślubne welony. Tutaj także zaczynała się wiosna.

Straciła rachubę miesięcy. Czy teraz był marzec?

Skręcili i wjechali na autostradę, którą opuścili po pewnym czasie. Była dziesiąta trzydzieści pięć. Z pewnością było już za późno!

Znak oznajmił: *Poorly 11 kilometrów.*

Rachaela nieomal wybuchnęła śmiechem.

Może naprawdę wszystko miało się zmienić, skoro wy dostała się z ich sieci.

Nikt nie stał na peronie, ale w kasie biletowej zapewniono, ją, że wszystko jest w porządku, pociąg odjedzie zgodnie z rozkładem.

Wnętrze dworca było jasne, ożywione licznymi czerwonymi plastikowymi ozdobami, ale w koszach na śmieci piętrzyły się opakowania Po słodyczach, a na siedzeniach poniewierały porzucone

czasopisma.

Ptaki latały nad torami. Potem przybył pociąg, masywny, brudny i prawdziwy.

Megafony ogłosiły pustemu peronowi i Rachaeli, że jedzie on do Londynu przez cośtam, zatrzymuje się o tej i o tej gdzieśtam, i kogo to wszystko obchodzi? Niemal w ekstazie wsiadła do magicznego pociągu,

Był w nim niezły tłok, ale przepełniona radością Rachaela nie miała nic przeciwko temu. Znalazła miejsce i postawiła torby.

*Dzięki Bogu. Och, dzięki Bogu!*

Pociąg ruszył. Unosił ją w dal. Wszystko miało być w porządku.

Kobieta z koszykiem na zakupy na kolanach podjęła chyba piątą próbę wciągnięcia Rachaeli w rozmowę.

— Nie sądzi pani, że takie długie podróże są męczące? To przez to kołysanie. Niczego nie mogę zrobić. Zabrałam robótkę na drutach, ale w pociągu gubię oczka. Robi pani na drutach? Ja robię sweterek dla wnuczki. Ciekawy wzór. Mogę pani pokazać wnuczkę. Zawsze mam przy sobie jej zdjęcie. Takie sympatyczne dziecko. W ogóle niepodobna do mojej córki, bardziej przypomina moją matkę. Ma takie śliczne włoski. Prawdziwa blondynka. Oczywiście, ściemniają jej z czasem. Nigdy nie pozwalam, by córka zrobiła coś z jej włosami. Niech rosną tak, jak im Bóg przykazał.

*Zetnij je, powiedziała kiedyś matka Rachaeli, i ulóż. Łatwiej będzie o nie zadbać.*

Kobieta wyjęła fotografię i pokazała ją Rachaeli. Tłuste, blade dziecko z żółtymi włosami, uśmiechnięte, z dżemem na górnej wardze, chyba że miało czerwone wąsy.

— Tak — mruknęła Rachaela.

— Ma pani dzieci?

— Nie.

— Szkoda, zawsze uważam, że należy je mieć, gdy jest się młodym. To najlepsza pora. Swoją Janet urodziłam mając osiemnaście lat. A potem miałam Johna i Karen. Kocham dzieci, a pani?

Rachaela nie odpowiedziała.

Za oknami migały pola i słupy wysokiego napięcia. Odległe domy o szkarłatnych dachach. Daleka rzeka z zamkiem na brzegu. Och, być tam.

Mieć jakieś miejsce odniesienia. Miała tylko Londyn. A do czasu musiała znosić tę kobietę obok.

— Pospiesz się i daj mi wnuka, powiedziałam jej. Och, mam, mówi, mam tylko dwadzieścia lat. Ja urodziłam cię, gdy miałam osiemnaście, odparłam jej na to. Spodziewam się, że pani czeka na pana Właściwego — plotła kobieta. — Byliśmy razem, Martin i ja, dwadzieścia cztery lata. Doskonała para, zwykła mawiać moja siostra. Chciałabym, mówiła, mieć twojego Martina i twoje śliczne dzieci. Co pani chciałaby mieć najpierw, chłopca czy dziewczynkę? Dziewczynka jest lepsza. Potrafi zająć się chłopcami i utrzymać ich w karności. Moja Janet była jak druga mama.

Rachaela wstała. Kobieta nie wyglądała na obrażoną. Jej wszechświat ograniczał się do jednej rzeczy, niej samej, inni byli pomniejszymi pionkami w grze, odnoszącymi sukcesy bądź nie.

Rachaela przemknęła do łazienki.

Zamek był dziwaczny. Zamknęła go, z trudnością pochyliła się nad podrygującą umywalką, i zwymiotowała bezbarwnym płynem z pustego żołądka.

Czy właśnie to mogło być prawdą? Nie pociąg, nie Londyn, ale właśnie to?

Gdy pojaśniało jej w głowie, oparła się o ścianę. Spłukała umywalkę i obmyła zimną wodą twarz, ręce i nadgarstki. Za wcześnie na panikę. Był tylko strach.

Plakat na ścianie przedstawiał skrwawioną różę. *Tężec: to nie musi być brudny paznokiec*, mówił nagłówek. Pod spodem ręczny dopisek nalegał: *Jeżeli ty albo twoje dziecko jesteście chorzy, proszę zgłosić to w recepcji*.

W poczekalni było tłoczno. Dzieci kichały, płakały i biegały w gorączce. Mężczyźni i kobiety kaszleli i przedmuchiwali nosy, niewidzialne zarazki wydobywające się z ich ust wraz z kłębami pary wirowały po chłodnym pomieszczeniu. Krzesła były twarde, a czasopisma zniszczone i nieliczne. Nie zachęcało to do wizyt.

Wściekle zadzwonił brzęczyk. Kto odważy się być następnym?

— Panna Day? Proszę.

Rachaela weszła do gabinetu, dość dużego, z osłoniętymi siatką oknami wychodzącymi na ogród.

Mężczyzna miał na sobie garnitur i krawat. Był chudy i wysportowany, ze starannie uczesаныmi rzadziejącymi włosami. Obdarzył Rachaelę miłym, choć z lekką ironicznym uśmiechem.

— Co mogę dla pani zrobić? Rachaela usiadła na wskazanym krześle.

— Chcę pozbyć się ciąży.

Doktor przestał się uśmiechać i podniósł brwi.

— Nie stawiajmy wozu przed koniem, dobrze? Uważa pani, że jest w ciąży. Na jakiej podstawie?— Przestałam miesiączkować. Kilka razy wymiotowałam.

— Od ilu miesięcy nie ma pani miesiączki?

— Od dwóch.

— Przyniosła pani próbkę porannego moczu?

— Zrobiłam sobie test Predictor.

— Rozumiem. Skoro pani tu jest, rzućmy okiem. — Wcisnął klawisz interkomu. — Pani Beatty, proszę do mnie. — Do Rachaeli powiedział: — Proszę rozebrać się za tym parawanem. Halkę może pani zostawić.

Rachaela zrobiła to, co kazał, i podeszła do stołu do badań, bardzo białego, okrytego czymś, co wyglądało jak wielki papierowy ręcznik.

Tłusta pani Beatty weszła i zajęła miejsce w kącie za parawanem.

— Kolana w górę, kostki razem. Niech się pani rozluźni.

Gdy po raz pierwszy poznała dotknięcie męskiej ręki, było to rozkoszą, cudem wrażeń. Ten dotyk był szorstki, zaznajomiony z kobiecym ciałem, wiedzący, ile może ono znieść.

— Tak — mruknął.

Szturchał i obmacywał jej pochwę i brzuch. Zaglądał do środka zza palącej się na czole lampki, jak górnik.

— W porządku. Może się pani ubrać.

Umył ręce, zabrudzone jej wnętrzem, a pani Beatty wyśliznęła się z gabinetu.

— Cóż, pani... aha, panno Day, powiedziałbym, że zdecydowanie jest pani w ciąży.

— Wiem.

— Wszystko wydaje się w porządku. Sprawdzimy ciśnienie krwi. — Przygotował ciśnieniomierz, obserwował wskazania. Czekali w milczeniu. — Wspaniale. Jest pani przykładem zdrowej młodej kobiety.

Przyjęła jego gratulacje obojętnie.

— Chcę usunąć.

— Nie ma ku temu najmniejszych powodów, absolutnie. Ma pani... — zerknął na jej kartę — dwadzieścia dziewięć lat? Nie jest za Późno. Jeśli niepokoi się pani o zdrowie dziecka, istnieją testy, które można przeprowadzić...

*To nie jest dziecko. To rzecz, złożony we mnie pasożyt.*

— Nie chcę go.

— Ale, panno Day, to nie jest takie proste. Dziecko zostało poczęte, ponosi więc pani za nie odpowiedzialność. Odpowiedzialność za życie, panno Day, które pani nosi.

— To był przypadek.

Czy mogła tak powiedzieć? Nie przedsięwzięła żadnych środków ostrożności, była to ostatnia rzecz, o jakiej mogłaby pomyśleć. Brama została otwarta, a nasienie Scarabaidów posiane w jednym z pięciu zawirowań ekstazy. Tak, poczuła się winna.

— Obawiam się, że bez względu na to, czy był to przypadek, czy nie, dziecko jest faktem. — Spojrzał na nią uważnie. Pachniał środkami dezynfekującymi i płynem po goleniu. — Czy ma pani rodzinę?

— Nie.

— I zakładam, że przyjaciel nie jest zainteresowany. Przyjaciel?

— Zostawiłam go.

— Rozumiem. Niezręczna sytuacja. Ale ludzie przeżywają gorsze. Musi pani być dzielna. W dzisiejszych czasach samotne matki nie mogą narzekać na brak pomocy i udogodnień. Przypuszczam, że zamieszka pani w raczej spokojnej okolicy.

Właśnie dostała małe mieszkanie, będące rekompensatą za to, z którego musiała się wyprowadzić. Załatwienie formalności zajęło kilka tygodni i stało się przyczyną opóźnienia w przyjeździe do lekarza. Do lekarza, który wierzył, że życie jest święte, życie *tego*, nie jej. Jej życie nie liczyło się.

— To, gdzie mieszkam, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie mam pieniędzy...

— Istnieją instytucje, które pomagają kobietom w takich przypadkach.

— Ale mówię panu, nie chcę tego dziecka. Zostałam zmuszona...

— Z pewnością nie. — Pozwolił sobie na okazanie niechęci.

— Nie mogę, nie mogę go mieć, nie chcę zajmować się nim.

— O tym może pani zdecydować po narodzinach dziecka. I ręczę, że zmieni pani zdanie. Dzieci są cudowne. Są szczególne.

— Nie dla mnie.

— No cóż, panno Day, przykro mi, ale nie widzę powodu, by zalecać pani przerwanie ciąży. Oczywiście, należałoby wnikliwiej przeanalizować pani przypadek. Ale sądząc z tego, co widziałem i co pani mi powiedziała, nie rozumiem, dlaczego nie miałyby pani stawićczoła faktom i przyjąć odpowiedzialności. Proszę pomyśleć o tych wszystkich kobietach, które pragną mieć dzieci, a niestety nie mogą.

— Nie interesuje mnie to. Obchodzi mnie wyłącznie własne ciało. Chcę być wolna.

— Zatem przepraszam, panno Day. Nie mogę pani pomóc.

— No to dokąd mam pójść?

— Musi pani znaleźć coś na własną rękę. Nie jestem rzeźnikiem. Życie jest dla mnie ważne.

— Jestem doprowadzona do rozpacz. Zarumienił się.

— Wy, ludzie, przyprawiacie mnie o mdłości. Wstał. Rachaela też się podniosła.

Uderzyła go z całej siły w twarz, ścierając z niej wszelki wyraz. Spojrzał na nią głupawo, lewe oko mu zwilgotniało, a na gładko wygolonym policzku pojawił się różowy odcisk jej ręki. Tak miał stanąć przed następną pacjentką.

Wyszła z pokoju, wlokąc za sobą ciężkie niczym ołów nogi.

Największy pokój miał około dwunastu metrów kwadratowych. Ściany i sufit pomalowano na biało, z delikatnym morelowym odcieniem, na podłodze leżał gołębioszary dywan. Wiedziała to wszystko jeszcze przed wprowadzeniem się, z prospektu agenta zajmującego się handlem nieruchomościami.

Łazienka przylegała do maleńkiego holu przy wejściu do mieszkania. Wyposażenie jej było białe, posadzka wyłożona czarnymi i białymi kafelkami. W oknie wprawiono szybę z mrożonego szkła. Kuchnia łączyła się z pokojem. Miała czarną podłogę, białe szafki, zlew i suszarkę z nierdzewnej stali. Jedyne okno w kuchni i dwa w głównym pokoju mieściły się na tej samej ścianie. Wychodziły na rząd domów i płaski teren ciągnący się w kierunku odległego, niewielkiego parku, w którym rosły wysokie i o tej porze roku bezlistne drzewa. Agent chytrze podkreślił, że latem będą przyjemnie zielone.

Rachaela przyniosła swe rzeczy z przechowalni. Zasłała łóżko błękitno-szkarłatnym indiańskim kocem, nałożyła abażury, zawiesiła niebieskie zasłony.

Mieszkanie wydawało jej się nawet przyjemne, ale nie pomieściłoby nikogo więcej. Było tylko dla jednej osoby. Na kuchennym blacie stało radio.

Włączyła je. Haydn, szybki i kojący, głuszający wszystkie emocje.



Ona jednak była przerażona. Wizyta u człowieka, dla którego dzieci były świętością, wymagała wielkiej odwagi. Dlaczego tak uważał? Dzieci są jedynie niewyrobionym ciastem, czymś nie dokończonym, przeznaczonym do wtopienia w bezużyteczną i niebezpieczną masę dorosłych.

Rachaela dotknęła brzucha i szybko cofnęła rękę. Było tam. Rosło, karmiąc się nią, puchnąc z każdą sekundą.

Znalezienie drugiego doktora będzie wymagało zebrania jeszcze większych sił. Z pewnością będzie musiała iść do szpitala. Bała się szpitali. Nie ufała ludziom w białych kitlach. A w dodatku mogła spotkać kogoś takiego jak ten lekarz.

Czy mogłaby zrobić coś sama?

Wypróbowała wszystkie znane sobie rozsądne sposoby. Gin i gorące kąpiele. Ćwiczenia. Nie mogła zmusić się do upadku ze schodów. Zamieszanie, biegający ludzie, złamana noga.

Bała się również aborcji. Rozrywanie na strzępy czy wysysanie tego czegoś z jej łona — sama myśl o tym sprawiała, że musiała pobiec do łazienki i zwymiotować do nowoczesnej białej umywalki.

Ale musi kogoś znaleźć. Kogoś miłego, dla kogo to ona będzie najważniejsza.

Gdy powiedziała to sobie, zobaczyła długie ręce Scarabaidów, ich agenta w przychodni, doktora słuchającego jej uważnie, kiwającego głową.

To nie mógł być spisek. Po prostu pech.

Tradycja rodziny. Kontynuacja.

Nic dziwnego, że ją zostawił. Patrzył na nią tak, jak na matkę. Z Rachaela był bardziej pewny swego, to wszystko.

Usiadła w fotelu i rzuciła nową niebieską poduszkę na dywan.

Takie ładne było to mieszkanie. Mogła tu żyć, w spokoju, sama.

I będzie musiała pójść do pracy. U Lyle i Robbinsa był bar samoobsługowy. Staromodny, o niewielkich wymaganiach, bez pijaków. Pizza Eater na Beaumont Street to jeszcze lepszy lokal ze względu na napiwki. Żadnych księgarń. Ani kas elektronicznych. Tego typu rzeczy można było przemyśleć i dokonać wyboru.

Ale to...

Usiadła wygodnie. Była zmęczona.

Za zwyczajnymi szybami widniały dachy Londynu, bezsensowne kominy i las telewizyjnych anten, wiosenne niebo. Samolot. Przypomniała sobie, że nad wrzosowiskiem ani razu nie widziała samolotu. Tamto miejsce leżało poza czasem i przestrzenią.

*Może coś się stanie.* Tak powiedziała Anna.

Miała na myśli ciężę?

Czy zabicie tego było złe?

Nosiła w sobie potwora.

Na dobrze oświetlonej klatce schodowej Rachaela natknęła się na kobietę, sąsiadkę mieszkającą piętro niżej.

— Och, panno Day. Zabrałam to przez pomyłkę. Sądzę, że to tylko jakaś reklamówka, ale adresowana do pani.

Rachaela wzięła błyszczącą kopertę.

— Dziękuję.

— W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo. Może to coś, na czym pani zależy.

Kobieta zachowywała się nadzwyczaj uprzejmie. Miała siwiejące włosy, gęste i nastroszone, kwadratową twarz i olbrzymie brązowe oczy. Uśmiechała się. Chciała, żeby zostały przyjaciółkami.

— Jak podoba się pani mieszkanie? — zapytała.

— Bardzo ładne.

— Ja uważam, że za małe. No, ale miałam wiele lat na gromadzenie gratów.

Rachaela, z walącym sercem i skurczami ściskającymi jej żołądek, czekała na zew ulicy i nocy.

— No, nie będę pani zatrzymywała. Niech pani będzie ostrożna — dodała uprzejmie sąsiadka — jest paskudna noc.

Rachaela zeszła na dół, po drodze wsuwając kopertę do torebki.

Na zewnątrz zapomniała o kobiecie. Wiatr uderzył w nią z siłą, niebo było zasnuwane kłębiącymi się granatowymi chmurami.

Ruszyła ulicą i na rogu złapała autobus, który skręcając i klucząc dowiózł ją na złowieszcze i zniszczone przedmieście, pogrążone w pomarańczowych światłach latarni.

Tam, gdzie wysiadła, budynki zostały wyburzone. Wielkie, oklejone

plakatai i grzechocące na wietrze ogrodzenia ze skorodowanego żelaza oddzielały ją od ziejących dołów. Minęła jakiś chuligański pub i ruszyła na wzgórze, na którym stały domy z okiennicami w ogródkach pełnych okropnych krasnoludków i wiatraków wirujących na wietrze. Ulica kończyła się na wysypisku śmieci. Na skąpej trawie stało kilku młodzieńców w skórach i jaskrawych skarpetkach. Jeden wykrzyknął do Rachaeli rytualną zaczepkę. Minęła ich bez słowa i dotarła do parterowego budynku otoczonego kordonem kolczastego drutu.

Otworzyła drzwi i weszła do długiego korytarza o poskrzypującej drewnianej podłodze.

Powietrze było gorące i kwaśne, pomieszczenie zatłoczone. Stojące pod ścianami drewniane siedzenia zajmowały kobiety — od młodych dziewczyn po staruszki. Wyglądało to jak dziwaczny, nieco obskurny klub. Z żółtych drzwi wyszedł mężczyzna w białym kitlu, a oczy gromady petentek natychmiast zwróciły się ku niemu. Ucichł klekot drutów do robótek, zamarł szelest czasopism.

Mężczyzna pożartował z siedzącą za biurkiem kobietą w liliowym swetrze. Potem odszedł.

Rachaela zbliżyła się do biurka.

— Byłam umówiona na siódmą.

— Panna Day? Zgadza się. Jeśli można, poproszę o pani adres. — Recepcjonistka zadała kilka pytań; siedzące najbliżej kobiety przysłuchiwały się ciekawie. Błada dziewczyna o okrągłych żabich oczach wsunęła cukierek w różowe, tłuste usta, przypatrując się Rachaeli. — Obawiam się, że dziś jesteśmy nieco opóźnieni. Może trzeba będzie troszkę poczekać.

Rachaela odeszła od biurka i zajęła miejsce na końcu kolejki.

Przed nią czekało około trzydziestu kobiet. Z pewnością niektóre przyszły razem. Była za dziesięć siódma.

Księżniczka zaklęta w żabę siedziała najbliżej żółtych drzwi. Prawdopodobnie kiedy jedna z kobiet wchodziła do środka, pozostałe przesuwały się na zwolnione miejsce, zagrzone przez poprzedniczkę. Co za intymność. Wszystkie jesteśmy kobietami. Wszystkie chcemy się chronić. Czopek i pigułka, skrobnięcie szpatułki pobierającej śluz, by uchronić nas przed nasieniem i przed rakiem. Jesteśmy odpowiedzialne.

Ale z kobietami były i dzieci, nieustannie uciszane dzieci zajadające się chipsami bądź rysujące na kawałkach papieru na podłodze.

Były też czternastolatki z młodszym rodzeństwem i grubym makijażem, chude, obdarzone dziwnie nalanyimi twarzami, którewprawdzie same nie rodziły, ale oglądały, wrzeszcząc i płacząc, narodziny swych licznych sióstr i braci.

Z pewnością żadna z kobiet nie wyglądała na zaniepokojoną. Wszystkie czuły się doskonale w swym wieczornym klubie, Klinice Planowania Rodziny.

*Obawiam się, że nie muszę planować. Przyszłam prosić o usunięcie.*

Czy tu ją wysłuchają?

Czy za żółtymi drzwiami będzie ten mężczyzna? Miała nadzieję, że tym razem przyjmie ją kobieta. Może dotyk byłby wtedy mniej straszny.

Popatrz, Rachaelo, na swoje współtowarzyszki.

Druty jednej trzaskają jak druty Madame Defarge. Kobieta ma niechlujne, podpięte wysoko żółte włosy i pomalowane na czerwono usta, które wyglądają jak otwarta rana. A tam inna pisze coś, prawdopodobnie list, przekrzywiając papier i ogryzając paznokcie.

Korytarz pachniał również kobietami. Zapachy tanie i bardziej kosztowne, lepka woń dezodorantu, lakieru do włosów, dziecięcego mydła...

Rachaeli zrobiło się niedobrze. Gdzie jest łazienka? Powinna gdzieś tu być. Będzie musiała zapytać.

Wyczuwała *to*, napierające na jej brzuch od środka, jak niestrawne jedzenie.

Spróbuj o tym nie myśleć. Odetchnęła głęboko parę razy, wciągając do płuc przyprawiające o mdłości powietrze.

Dziewczyna w purpurowym kostiumie zaczęła rozmawiać z siedzącą obok przyjaciółką.

— Nie lubię takiego czekania. Działa mi na nerwy.

— Tak.

*Tak*, pomyślała Rachaela.

— Nie mam pojęcia, co powie mi tym razem. Zdaje się, że on na mnie leci.

— Nie bądź głupia.

Dziewczyna w purpurze siedząca pod tabliczką „Palenie zabronione” bawiła się paczką papierosów jak zabawką. Skoro nie mogła ich palić, mogła przynajmniej je trzymać.

— Gada bez przerwy: daj spokój, zrezygnuj, przestań. Próbowałam, no nie? Wdałam się w ten kłopot.

— Tak.— Wszyscy ci doradcy i psychiatrzy! Czy jestem pewna? Nie, ponieważ nadal krwawię. Czy mogę mieć następne dziecko? Gdybym sobie na to pozwoliła, mój stary mnie zostawi.

— Och, Lyn.

— Zrobiłby to. Byliśmy w kłopotach, gdy to się stało. A przecież wzięłam tę cholerną pigułkę. Brałam je przez cały czas. Regularnie. A potem wpadłam, to byłby numer trzeci.

— Lyn, ty zawsze narzekasz.

— To miejsce tak na mnie działa. Przypomina mi wszystkich tych psychiatrów w szpitalu. Rozmawiałam z czterema. Jak jacyś cholerni sędziowie przysięgli próbowali mnie nakłonić, żebym urodziła to dziecko. Nie mogę. Mam już dwójkę.

Rachaela słuchała z oczyma wbitymi w drewnianą podłogę.

— Więc się go pozbyłaś, Lyn — powiedziała ze zniecierpliwieniem przyjaciółka.

— To było okropne. A na dodatek sposób, w jaki cię traktują. I ból. Chryste, myślałam, że później wszystko będzie normalnie. Ale od tamtej pory coś się ze mną dzieje. Wiesz, że tak jest. Nie mogę znieść go obok siebie.

— To uraz psychiczny. Mówili ci, że tak będzie.

— Nie, nie. Zrobili mi coś, ci partacze. Jak idziesz na skrobankę, traktują cię jak śmiecia.

Żółte drzwi otworzyły się. Wyszła szczupła dziewczyna, na jej pyzatej twarzy malowało się zadowolenie.

Mężczyzna znów się pojawił i podszedł do biurka. Wydał instrukcje i wrócił do gabinetu.

— Panna Garland — zawołała głośno kobieta w liliowym swetrze, i żabia księżniczka, nadal ssąc cukierka, bez śladu obaw zniknęła za żółtymi drzwiami.

Kobieta robiąca na drutach zgubiła oczko i zakłęła.

— Idę na papierosa — powiedziała dziewczyna w purpurze. Wstała i wyszła z korytarza.

Nowe okoliczności. Jedni sondują ciało, a inni umysł. Zespół psychiatrów próbuje zgłębić przyczyny decyzji o aborcji. Czy sama obawa wystarcza? Nie. Sen, jaki miała, leżąc na plaży: wzbierające, otwierające się morze i ogień wyskakujący z jej wnętrzości, też by nie wystarczył.

Oczywiście, niczego nie ułatwiali. To nie mogło być łatwe. Nosił w sobie życie. Nie mogła spłukać swego ciała tak po prostu, jak muszli klozetowej.

Dziewczyna siedząca obok przyjaciółki Lyn mówiła teraz o jedzeniu.

— Bierzesz ładny kawałek steku i smażyz go z cebulą. Mogłabym dawać mu to co wieczór. Na próżno powtarzałam: Tony, to ci zaszkodzi. Będziesz miał atak serca. Teraz próbuję dawać mu sałatki, frytki i inne takie. Nasz sufit zrobił się czarny od smażenia frytek. Spływa tłuszczem. To wszystko przyprawia mnie o chorobę.

Nieświadomie wyświadczyła Rachaeli przysługę.

Rachaela wstała i wyszła szybko z korytarza.

Przywitała ją przyjemnie zimna noc, w powietrzu wisiał zapach dymu i otwartej przestrzeni. Mdlący blask latarni sprawiał, że świat stawał się bezduszny i wyprany z kolorów.

Dziewczyna w purpurze, zmienionej teraz w czerń, stała przy ogrodzeniu, łapczywie zaciągając się dymem. Zerknęła na Rachaelę i odwróciła głowę.

Rachaela nie odważyła się z nią porozmawiać. W każdym razie, wszystko było jasne. Aborcja to trudna sprawa, poniżająca, szarpiąca nerwy, wymagająca walki, kończąca się przykrym traktowaniem i bólem, i nie gojącą się raną wewnątrz ciała.

Słyszała latarnię skwierczącą jak radioaktywny izotop. Ziemia była zatruta i otoczona groźnym kosmosem. Nie było z tego żadnego pożytku.

Dziewczyna po aborcji patrzyła za Rachaela, gdy ta minęła furtkę i wyszła na ulicę. Na jej twarzy widniała uraza, jakby wiedziała, że Rachaela wyparła się podobnej ohydy i cierpienia, sekretów kobiecego klubu.

W czasie koncertu Beethovena rozległo się pukanie do drzwi.

Rachaela leżała na fotelu, słuchając muzyki.

Dlaczego miałyby otwierać?

To na pewno nie do niej. Jakaś pomyłka. Trzeciego dnia po wprowadzeniu się tu jakiś mężczyzna, wpuszczony przez innego lokatora, wszedł po schodach i dobijał się do jej drzwi. — Czy tu mieszkają Chamberowie? — Powiedziała mu, że nie, ale nie wierzył jej, i w końcu musiała zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Pukanie powtórzyło się. Rozbrzmiał stłumiony kobiecy głos:

— To tylko ja. Sąsiadka spod piątki. Rachaela podniosła się z fotela.

Czy to także było częścią spisku Scarabaidów? Bo oczywiście spisek istniał. Z całą pewnością.

Otworzyła drzwi. Za nimi stała siwa kobieta z dołu.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Mam absolutnie śmieszny prośbę. Czy mogłaby pani pożyczyć mi trochę mleka? Przez cały dzień było mi okropnie zimno, dlatego robiłam sobie kawę i herbatę filiżanką za filiżanką, i skończyło mi się mleko. Mleczarz przyjdzie jutro rano. Oddam pani jak najszybciej.

— Mam tylko mleko w kartoniku — powiedziała Rachaela.

— Och, to doskonale, jeśli tylko ma pani na zbyciu. Rachaela poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Wyjęła pełen w trzech czwartych kartonik.

Kobieta stała na szarym dywanie.

— Jak pani ładnie się urządziła — powiedziała — i ile wolnego miejsca. Podziwiam i zazdroszczę. Obawiam się, że moje mieszkanie jest skrzyżowaniem biblioteki i sklepu z osobliwościami.

Rachaela pomyślała o wszystkich zostawionych u Scarabaidów książkach.

Beethoven rozbrzmiewał w tle.

— Mogę wziąć cały karton?

— Tak.

— Bardzo dziękuję. Jak powiedziałam...

— Nieważne. Mam jeszcze jeden — skłamała Rachaela.

— Ale muszę. Kobieta zatrzymała się.

— To trzecia symfonia, prawda? Jestem wielbicielek Beethovena. Uwielbiam jego furię. Dlaczego nie miałby się wściekać, biedaczysko,

wiedząc, że głuchnie?

— Tak.

— Może się przedstawię. — Rachaela jedynie na nią spojrzała. Kobieta, najwyraźniej nie zniechęcona, powiedziała: — Emma Watt. Pani Watt. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Mój biedny mąż zmarł dwa lata temu. Wtedy sprzedałam dom i kupiłam to mieszkanie. Próbuję pomieścić się w nim. Wszyscy mamy swoje śmieszne sposoby radzenia sobie z bólem.

*I ból. Chryste...*

— Przepraszam — mówiła szybko Emma Watt — mam wrażenie, że jest pani zajęta. Jeszcze raz dzięki za mleko. Rano postawię butelkę przed pani drzwiami.

— Nie trzeba.

— Ale ja muszę.

Wyszła na korytarz i ruszyła szybko po schodach, z dzielnym uśmiechem na twarzy.

Co czułaby, będąc Emmą Watt, pięćdziesięcioletnią, smutną i samotną kobietą, gnieźdzącą się w za małym mieszkaniu?

Co czułaby, będąc dziewczyną w purpurze, oziębłą ze strachu, mającą za sobą usunięcie ciąży?

Nie było ucieczki. Była Rachaelą, tu i teraz.

A w jej brzuchu czaiło się wczepione, zwinięte to *coś*.

Rachaelą zaczęła pracować w „Pizza Eater”. Dostała czerwoną sukienkę i bladozielony fartuszek i poproszono ją, żeby spięła włosy. Splotła je, co zadowoliło właścicieli.

Pracowała od dziesiątej rano do szóstej po południu albo od trzeciej do wpół do dwunastej. Niektórzy z przychodzących późno klientów byli pijani, ale zazwyczaj zachowywali się poprawnie. Często z powodu sprzątanía wychodziła z lokalu dopiero po północy. Jej praca polegała nie tylko na obsłudze klientów przy stolikach z drewna i plastiku, ale również na przygotowywaniu kanapek, opiekaniu steków, nakładaniu lodów, pakowaniu pizzy na wynos i od czasu do czasu na zmywaniu.

Przyzwyczajała się, jak wcześniej, do obolałych i piekących nóg, do gburowatości i pijaństwa wielu bywalców, i do kumplowskich pogawędek z pracownikami. Jadała darmowe obiady i kolacje w



restauracji, ale jedzenie nie smakowało jej. Czasami zdołała wcisnąć w siebie stek czy sałatkę i lody. Zaoszczędzała jej to pracy w domu.

Zaznałomiła się z obsługą elektronicznej kasy. Pewnego popołudnia Wydała o jeden funt reszty mniej niż wskazywały to szmaragdowe cyfry widoczne na wyświetlaczu. Klient nie zwrócił uwagi i, nim zdała sobie sprawę z pomyłki, wyszedł. Rachaela wyjęła funta z kasy i zatrzymała go dla siebie. Restauracja „Pizza Eater” znajdowała się zaledwie dwadzieścia minut drogi od jej mieszkania.

Przez kilka pierwszych tygodni Rachaela przychodziła do pracy punktualnie. Potem zaczęła się spóźniać, nie więcej jednak niż o dziesięć czy piętnaście minut, podczas gdy inni pracownicy przychodzili nawet o pół godziny później, zwalając winę na metro czy korki.

Rachaela uważała tę pracę za tymczasową. Liczyła, że może trafi na jakieś spokojniejsze zajęcie. Tymczasem zarobki nie były złe, a zapominanie o funcie przy wydawaniu reszty okazało się doskonałym sposobem na podreperowanie budżetu. Tylko raz klient przeliczył pieniądze i poinformował ją, że wydała mu za mało. Rachaela zrobiła zakłopotaną minę, przeprosiła i podała klientowi funta.

— W porządku — rzucił lekkim tonem. — Każdy może się pomylić.

W czasie, gdy większość kobiet, jak dowiedziała się ze specjalistycznej książki wypożyczonej z biblioteki, zaczyna doświadczać nudności, ona przestała je miewać. Nie miała żadnych objawów świadczących, że jest w ciąży; jedyną oznaką było ustanie miesiączek. Nieco przytyła w talii i biodrach. Musiała kupować sobie spódnice o numer większe. Kupiła też luźne bawełniane koszulki. Na razie czerwona robocza suknia, zawsze zbyt obszerna, pasowała.

Wietrzny kwiecień dobiegł końca, zaczął się deszczowy maj. Drzewa za oknami zazieleniły się. Szare, pochmurne niebo sprawiało, że wydawały się jeszcze bardziej zielone. Między płytami chodników zaczęła wyrastać trawa. Zieleń pojawiała się w każdej szczelinie, w każdym pęknięciu, i rozwijała się bujnie. Pogoda kłamała. Było prawie lato.

Nie myślała o rosnącej w niej rzeczy. Odepchnęła tę myśl od siebie. Obca istota, jak gdyby idąc jej na rękę, nie dostarczała żadnych realnych dowodów swego istnienia.

Gdy była w restauracji, dostarczono zamówiony z reklamowego katalogu i będący może jej największym wyzwaniem ekstrawagancki zestaw stereofoniczny.

Wróciwszy do domu o wpół do pierwszej w nocy, znalazła pudła w holu na dole — najwyraźniej wniósł je jakiś mieszkaniec domu.

Rachaela zaczęła taszczyć pudła na trzecie piętro.

W czasie ostatniej rundy, gdy mijała mieszkanie pod numerem piątym, drzwi otworzyły się i na klatkę wyszła Emma Watt.

— Wielkie nieba, myślałam, że to włamywacze! O Boże, nie powinna pani tego dźwigać, pomogę pani. Nie, nie, proszę się nie sprzeciwiać.

I tak, z pomocą Emmy Watt, Rachaela wniosła ostatnie pudło do mieszkania.

— Czy pani naprawdę to wszystko sama przytargała? Niektóre wyglądają na bardzo ciężkie. Te dzisiejsze firmy są takie niesolidne. Nie mógł wnieść ich ten mężczyzna? W pani stanie — och, przepraszam — powiedziała szybko zarumieniona Emma Watt. — Nie chciałabym wyjść na wścibską. Nic po pani nie widać, jest pani taka szczupła, ale ja poznałam — no cóż, sama miałam trójkę i widziałam, jak moje córki przez to przechodzą. Mam nadzieję, że pani nie uraziłam.

— Nie.

— Musi pani na siebie uważać. Jestem pewna, że tym razem nic się nie stanie, ale nie powinna pani nosić niczego cięższego od podręcznej torebki — tak zwykł mawiać mój stary. Dodawał przy tym, że moje torebki mogłyby przyprawić nawet silnego mężczyznę o siódme poty.

Rachaela, jak gdyby uległa sugestii, nagle poczuła się słabo. Usiadła na łóżku.

— A widzi pani. Przesadziła pani. Może zrobić filiżankę herbaty?

— Nic mi nie jest.

— I tak zrobię. Proszę się nie martwić, nie będę zawracać głowy, szybko zrobię herbatę i pójdę. Kuchnia jest tam, prawda, jak u mnie? Niech się pani zrelaksuje. Stopy do góry. — Z kuchni dobiegł szum bieżącej wody i zaskoczony okrzyk: — Nie ma pani imbryczka — zatem zaparzymy herbatę z torebki. To takie wygodne!

Rachaela patrzyła na pudła. Zastanawiała się, czy będzie miała siłę je

rozpakować.

— Co w nich jest? — zapytała Emma, wracając z kuchni. — Zestaw stereofoniczny? Zdoła go pani sama złożyć? Nie znam się na takich rzeczach. Jeżeli będzie pani miała kłopoty, na Horsley Street taki mały człowiek ma zakład elektryczny. Jest wspaniały. Założył mi wszystkie lampy i naprawił zmywarę.

— Będę pamiętała.— Woda zagotuje się za jakiś czas. Och, musi pani być okropnie zmęczona. Pracuje pani do późna. Często słyszę, jak pani wraca — proszę nie myśleć, że to mi przeszkadza, nie, zawsze zachowuje się pani bardzo cicho, a ja i tak jestem na nogach do pierwszej czy drugiej. Mam kłopoty ze spaniem. Czasami biorę pigułki, ale one sprawiają, że rano czuję się jak szmata. Uwielbiam poranki. Wstaję o siódmej. Zawsze. Och, niech pani nie uważa tego za wścibstwo, ale tak bardzo chciałabym wiedzieć. Kiedy ma pani rodzić?

Rachaela bez namysłu podała obliczoną na podstawie lektury datę.

— W grudniu.

— Koziorożec. Koziorożce są wspaniałe. Ale, dobry Boże, jest pani w czwartym miesiącu. Nie widać. Moja średnia córka też taka była, wysoka i szczupła, nikt by nie powiedział, że jest w ciąży. Denerwowało ją, że nikt niczego nie zauważa. Mówiła, że chce „żeglować po kraju”, jak służka Tytanii. Moja najstarsza córka, biedna dziewczyna, przytyła jak słonica. Co pani lekarz mówi na szpital?

— Najwidoczniej wszystko jest tak, jak powinno — odparła Rachaela.

— Tak, oczywiście. I jest pani taka młoda. Dokładnie we właściwym wieku. — Emma Watt znów się zarumieniła. — Niemniej jednak to paskudnie, że musi pani radzić sobie z tym sama.

— To była moja decyzja.

— Tak, ale to wymaga odwagi. Jakie to mądre, żyć nie oglądając się na nikogo i mieć dziecko, gdy się chce.

— Ja nie chciałam — powiedziała Rachaela. — Nie chciałam. I pożałowała, że to zdradziła.

Emma Watt nie wyglądała na zszokowaną, a jedynie na ogromnie zasmuconą.

— Ależ to okropne. Dlaczego zatem...

— Poszłam do niewłaściwego lekarza.

— Biedna dziewczyna. Ale czy nie mogła pani... nie, przypuszczam, że nie. Teraz pogodziła się pani. Nadal uważam, że to najlepsze wyjście. Kiedy dziecko przyjdzie na świat, wynagrodzi pani wszystko. Uwielbiam dzieci. Kiedy są małe, człowiek z przyjemnością obserwuje jak rosną. I kocham je, kocham moje dzieci. Jaka szkoda, że są tak daleko. Rzadko je widuję. Dzwonią do mnie, oczywiście, ale to nie to samo. Wiecznie się boją, że nie dam sobie rady po śmierci ich ojca. Muszę udowodniać im, że potrafię. — Emma uśmiechnęła się dzielnie, dumna z siebie. Oczy jej zwilgotniały. — Tęsknię też za wnukami. To straszne. Po prostu kocham dzieci. Jestem nimi zafascynowana. Te maleńkie, bezradne istotki, które dzień po dniu wchodzą w życie, póki nie staną na własnych nogach. Och, jestem pewna, że będzie pani zadowolona. — Podniosła głowę. — O, zagotowała się woda.

Poszła, by zaparzyć Rachaeli nie chcianą herbatę.

Sobie nie zrobiła, wyszła od razu, zostawiając Rachaelę z kubkiem w ręku.

Pokój pociemniał dziwnie, może elektryczność wyprawiała jakieś sztuczki.

Lato zaczęło się na początku sierpnia.

Miasto gotowało się w palących promieniach słońca, drzewa przybrały barwę miedzi. Z rozgrzanych nawierzchni wznosił się kurz koloru ochry.

Błękitne kobaltowe niebo przemieniło się w pokrywę, wiążącą przy ziemi smród i wyziewy. Wszystko miało smak i zapach asfaltu, benzyny i słodkich lodów.

Rachaelę bez przerwy bolały plecy. Mogła złożyć to na karb swej pracy. Czerwona sukienka zrobiła się ciasna, ale zasłaniał ją fartuch. Jedna z dziewczyn rozpuściła plotkę, że Rachaela przybrała na wadze dzięki jedzeniu firmowych potraw.

Jednego dnia zgarnęła dziesięć funtów od tych beztroskich klientów, którzy nie przeliczają reszty.

Człowiek z Horsley Street zainstalował jej zestaw. Radio nie było najlepszej jakości, ale magnetofon i gramofon okazały się wspaniałe.

Kupiła książki i zastawiła nimi półki w etażerze.

Emma znajdowała powody, by wpadać z wizytą, ale niezbyt często. Nadal nie znała jej imienia.

Wrzesień był opalony i śniady, smalił skórę i liście na brązowo.

Październik dodał żółcieni, złocił bananowe zachody i cytrynowe świty. Rachaela, nękana skurczami i bezsennością, często oglądała wschody słońca, w czasie których drzewa w parku wyglądały jak topazowe flagi.

Burze nocą. Ulewy gorącego deszczu. Sibelius, Mozart, Szostakowicz.

Nie trzeba myśleć. Zbawienne rozleniwienie. Będzie musiała zrezygnować z pracy w „Pizza Eater”. Plecy jej pękały, a kiedy schylała się, by obsłużyć późnych klientów, ziejących jej w twarz odorem piwa i cinzano, czuła zawroty głowy. Nikt nie zauważył, że jest w ciąży. Byli przekonani, że tyje — dobra reklama — na pożywnym wikcie.

Lato skończyło się w pierwszą noc października. Grad zbombardował dachy i szyby.

Rachaela siedziała przy oknie i patrzyła, opierając się o poduszki.

Miała wrażenie, że widzi idącego wśród gradu wysokiego, ciemnego mężczyznę. Adamus, odziany w płaszcz grzmotu, przyszedł, by zabrać ją znów do Scarabaidów.

Ale to wszystko było skończone, było jedynie snem. Poczęła niepokalanie i była tutaj, niewolnica wrogiego nowotworu w swym łonie, i tylko to było prawdziwe.

Z większych sklepów mieszczących się wzdłuż głównej ulicy płynęły kolędy i dźwięk dzwonek, obowiązkowe objawy przymusowej radości. Lało. Szalała grypa.

Rachaela złożyła zamówienie w „Pizza Eater” i odeszła w czasie, gdy zaczęto rozdawać balony, a w menu pojawił się świąteczny pudding. Dzieci zrzucały z drzewka zielone i czerwone ozdoby, a wszyscy dorośli je podnosili; był to ostatni zapamiętany obraz wnętrza restauracji.

Emma Watt wyskoczyła ze swego mieszkania niczym kukułka z zegara.

— Kupiłam butelkę naprawdę dobrej sherry i wino. Przyjdzie pani do mnie na drinka? Wypijemy odrobinę pod moją choinką. Ubieram choinkę co roku. Tak trzeba. Boże Narodzenie to ważne święto, należy je powitać, nawet jeżeli, no cóż, jest się człowiekiem samotnym. Wybiera się pani gdzieś na święta?

— Nie.

— Skromne święta u siebie? Tak, musi pani jak najwięcej odpoczywać. W każdym razie, niech pani zajrzy. Może około szóstej?

— Zgoda — powiedziała Rachaela, by się jej pozbyć.

Nigdy nie zwracała sobie głowy Bożym Narodzeniem. Święta oznaczały po prostu jeden dodatkowy dzień odosobnienia. Słyszała hałas odległych dzwonek i dziwną ciszę na ulicach. Radio nadawało świąteczną muzykę, która często działała jej na nerwy, potężne oratoria i quasi-religijne sztuki. Kiedyś z ciekawości wysłuchała gwiazdkowego koncertu kolęd. Znała je ze szkoły, przynajmniej ich melodie.

Jej matka też uważała, że należy świętować w Boże Narodzenie. Przygotowywała kolację, indyka albo kurczaka z kielbasą, pieczone ziemniaki i farsz. Przyrządzenie tego wszystkiego stwarzało takie samo

zamieszanie i wymagało tyle samo nerwów, co przygotowanie zwyczajnego niedzielnego obiadu: Rachaela musiała obierać jarzyny, robić krzyżyki na tysiącach brukselek. Pewnego razu w Boże Narodzenie, w czasie pieczenia indyka, matka poparzyła się tłuszczem.

Sąsiedzi przychodzili na drinka i wymieniano pudełka czekoladek i chusteczek.

Po odwiedzinach i obiedzie, i po przemówieniu królowej, zaczynał się okres złego samopoczucia, spowodowany zbyt obfitym jedzeniem i ginem z tonikiem.

Matka dawała Rachaeli praktyczne prezenty — nową bluzkę czy buty, które ją uwierały. Kiedyś od sąsiadki dostała bajkowy kostium. Rachaela, która miała wówczas sześć lat, bawiła się w nim godzinami. Był taki magiczny. Ale wkrótce skrzydła oderwały się, jak symbol. Matka zbeształa ją i zawstydzila przed sąsiadką.

Rachaela nie miała zamiaru schodzić do Emmy Watt. Jak na razie udało jej się uniknąć odwiedzin w jej mieszkaniu.

Siedziała przed elektrycznym kominkiem, oparta o poduszki, sącząc szklaneczkę wina. Plecy bolały ją okropnie i musiała zażyć trzy paracetamole. Mimo bólu zaczęła zapadać w drzemkę.

Przebudziło ją cichutkie pukanie: Emma Watt.

Niech ją diabli.

Najlepiej podejść do drzwi i powiedzieć, że nie czuje się dobrze, nie może zejść, wcześniej kładzie się spać i tak dalej. Jeżeli nie odpowie na pukanie, Emma Watt zaniepokoi się, zacznie pukać głośniej i nawoływać; bywało tak już wcześniej.

Gdy Rachaela wstała, odniosła wrażenie, że coś oberwało się w jej wnętrzu, między kręgosłupem a żołądkiem. Stała zaskoczona, czekając na ciąg dalszy, ale nic się nie wydarzyło.

Dotarła do drzwi i otworzyła je.

— Dobrze się pani czuje? — zapytała Emma Watt. — Och, moja droga, wygląda pani okropnie.

— Tak. Będzie lepiej, jeżeli nie zejdem na dół.

Szpony przeszywającego bólu zacisnęły się na jej wnętrznościach. Czowała, że traci siły.

— Co pani jest? — spytała Emma.

— To tylko ból.

— Jaki?

Rachaela powiedziała jej, co czuje. Musiała przytrzymać się futryny. Po raz pierwszy od miesiący znów robiło się jej niedobrze.

— Przepraszam, muszę pójść do łazienki.

Zrobiła to. Schwyciły ją gwałtowne torsje. Wyszła, cała rozedrgana, a Emma Watt oczywiście nadal tam była, stała na środku pokoju.

— Moja droga — powiedziała — myślę, że się zaczęło.

— Co?

— Poród. Och, niech się pani nie boi. Wkrótce będzie po wszystkim, a wtedy nastąpi najcudowniejsza część.

Rachaela usiadła. Ból znów się nasilił, torturując puste wnętrze, wykręcając ciało jak ścierkę.

— Musi pani mówić takie głupstwa? — wydusiła. Emma ruchem ręki odpędziła jej słowa.

— Niech pani mówi, co chce, może mnie pani wyzywać. Wiem, że ta część nie jest szczególnie przyjemna. Zatelefonuję do szpitala. W którym jest pani zarejestrowana — u Świętej Marii? Jak nazywa się pani lekarz?

— Och, nie mam doktora, nie mam szpitala.

— Co?!

— Z nikim się nie widywałam. Nikt o niczym nie wie.

— Ale, mój Boże, mój Boże — wydukała Emma. Z początku wpadła w panikę, ale po chwili wzięła się w garść. — Nieważne. Wezwę ambulans.

Rachaela obserwowała ją z uśmiechem. Pociągnęła łyk wina, ale natychmiast je zwróciła. Tym razem nie w łazience.

— Nie pij tego — powiedziała Emma, którą Rachaela widziała przez białą mgłę. — Złap mnie za rękę. Tak. Niedługo przyjadą. — Znów załała ją fala okropnego bólu. — Mój Boże — dodała Emma — lepiej, żeby się pospieszyli. Tylko wytrzymaj. Wytrzymaj, kochanie. Wszystko będzie dobrze. — Teraz przyj — powiedział ktoś, jakaś szalona kobieta. — Tak. Przyj. Dobra dziewczyna.

Czy ci obłąkańcy mówili do niej?

Leżała na szkarłatnej plaży, a nad nią pochylał się stryj Camillo.



Wyciągał karmazynowa zawadę z jej łona. Czowała się tak, jakby ją patroszono.

Więc na tym polega aborcja. Ból był straszliwy. Było to dużo gorsze, niż mówiła tamta dziewczyna.

— Spróbuj jeszcze raz. Przyj. Nie mogła przec. Co to znaczy?

Straszliwy rytm, przypominający uderzenia kopyt galopujących koni nagle ustał. Było tak cicho. Mimo wielkiej ilości światła ciemność narastała.

— Teraz możesz odpocząć.

Kim byli ci ludzie, tak liczni, tłoczący się wokół niej za białym płótem? Czyżby upadła na ulicy?

Ból skończył się. Po nim nastąpił drugi, ale inny, łagodniejszy.

Coś krzyknęło jak dzikie zwierzę w lesie.

Żyło.

Wydostało się z niej i żyło. Hałasowało, straszliwie i niehumanie.

Przez szczelinę w płocie zobaczyła białe dziecko, wiszące głową w dół w strumieniach światła. Pojedyncza, czerwona jak krew wstążka połyskiwała na jego plecach.

— Dziewczynka. Widzisz? Wspaniała!

Emma Watt siedziała przy łóżku. Miała rozjaśnione oczy i lekki rumieniec na twarzy. Przyniosła różowe róże i butelkę soku jabłkowego, winogrona i słodczyce w kolorowych opakowaniach.

— Nie musisz się o nic martwić, Rachaelo. — Musiała dowiedzieć się, jak ma na imię, od pielęgniarki. — O wszystko zadbałam. O wszystko. Kwestię pieniędzy możemy przedyskutować później, ale nie chcę, żebyś się tym przejmowała. To naprawdę nie ma znaczenia. Mam więcej niż potrzebuję, mój mąż o to zadbał. I wiem... cóż, nie rozmawiajmy o tym teraz. Rzeczy dziecka są różowe, oczywiście. Nieraz nie warto niczego kupować, póki nie zna się płci noworodka. — Emma zawahała się. — Niedługo ją przyniosą. — Tak.

— Nie mogę się doczekać, by znów ją zobaczyć. Och, Rachaelo, nie czujesz się lepiej? Masz wspaniałą dziewczynkę.

— Nie czuję niczego.

— No cóż, czasami tak bywa. Mówiłaś lekarzom, co ci dolega?

— To nie jest ich sprawa.

— Ależ, Rachaelo, tak. Mogą sprawić, że poczujesz się lepiej.

— Nic mi nie jest.

— Ale przecież...

— Emmo, mówiłam ci. Nie chciałam tego... dziecka.

— Ale je masz. I jest twoje.

— Tak.

— Żałujesz — zaczęła ostrożnie Emma — że on...

— Nie. Nie byłby bardziej zainteresowany ode mnie. Emma odwróciła wzrok. Po chwili powiedziała:

— Byłabyś szczęśliwsza, gdybyś ją karmiła.

— Szczęśliwsza? Czy chodzi ci o to, że w dodatku do koszmaru, jaki przeszłam, mam ją karmić piersią? Nie, nie mogę. Najwidoczniej mam za mało pokarmu. — Rachaela walczyła z ogarniającą ją odrazą. — Dla mnie to odrażające. Karmienie butelką jest wystarczająco wstrętne.

— Tak mi przykro.

— Emmo, byłaś bardziej niż miła, ale nic nie rozumiesz.

— Nie. I z tego powodu też jest mi przykro.

— W porządku. Nie mogę nic na to poradzić. I godzę się z tym, że nie mogę.

Wszystkie te miesiące tycia, bólu i udawania, że to *coś* nie istnieje. Ale urodziło się i było prawdziwe. Ból zmaterializował się w formie czegoś, co wrzeszczało i brudziło bez opamiętania. Białe szpitalne zawiniątko cuchnęło kałem, moczem i wymiotami. Oczekiwano, że pokocha jego zawartość. Obcą, nie chcianą, wszczepioną w nią zawartość, która wybuchnęła w jej ciele i rozdarła je. Która uczyniła z niej niewolnicę i stawiała żądania. Która stała się władcą jej życia. Dlaczego miałyby pokochać tego demona?

Pielęgniarki przyszły z gwiazdkowymi workami pełnymi zasmarkanych i wrzeszczących niemowląt.

— Proszę, Emmo. Twoja kolej.

I nieszczęśliwa twarz Emmy rozjaśniła się. Kobieta wstała i z pytaniem: — Mogę? — wzięła dziecko Rachaeli z rąk pielęgniarki. Uczyniła to zręcznie, jak kuglarz wyczyniający swoje sztuczki. Trzymała niemowlę dokładnie tak, jak powinno się to robić.

— Witaj, słoneczko. Witaj, kochanie.

Emma uwielbiała małą, ale posłusznie przekazała zawiniątko w zimne, białe ramiona Rachaeli.

Rachaela zerknęła na twarz tego gnoma.

To coś żyło w niej, wykorzystywało ją, ale nie należało do niej. Było ich. Scarabaidów.

Potrafiła dostrzec to w bladej twarzyczce, w czarnym jak smoła puchu pokrywającym główkę. Oczy były ciemne, jeszcze nie skupione, ale już pytające. Jeszcze nie miało zębów. Jeszcze nie.

Rachaela rozejrzała się. Sala była pełna podobnych do krów kobiet, czekających, by podsunąć wymiona swym młodym. Za drzwiami czekali dumni mężowie, przyjaciele i rodzice. Pielęgniarki oddziałowe były surowe, ale jednocześnie wyrozumiałe.

Sala zatrzęsa się od krzyku, lecz po chwili, gdy niemowlęta zostały przystawione do piersi, zapadła cisza. Rachaela widziała małe, chciwe usta, zaciskające się drapieźnie ręce. Małeńkie wampiry, wszystkie. Ale ten jeden, ten potwór, musiał pić z butelki.

— Nie podoba ci się, co? — powiedziała do ssącego potworka. — Albo butelka, albo obejdiesz się smakiem.

Nienawidziła tego dziecka. Kiedy płakało, patrzyła na nie obojętnie. Ona, która była jego przechowalnią.

Pokój zmienił się. Pojawiło się łódeczko. Wkładała dziecko do tego miniaturowego więzienia, a ono pełzało w nim radośnie.

Czasami musiała je wyjmować, karmić i zmieniać pieluchy, ciężkie od ekskrementów.

Pokój śmierdział. Nie zamykała okna, utrzymując włączone ogrzewanie. Gdy pogoda poprawiła się, przestała włączać kominek.

Emma często do niej zaglądała. Przygotowywała jedzenie, sprawdzała temperaturę mleka. Wyjmowała dziecko z kojca i bawiła się z nim. Kupiła błękitne i różowe pluszowe zabawki. Niemowlę przyglądało się im powiększającymi się paciorkami oczu.

— Czyż nie jest śliczna? — zapytała Emma, może po to, by ośmielić Rachaelę. Dziecko nie było śliczne. Było stworem pełzającym jak ruchliwy biały ślimak.

Płakało przez całą noc.

Rachaela wstała i nakarmiła je. Z nienawiścią wzięła je na ręce i

kołysała bez odrobiny delikatności, na co ono zareagowało atakiem hysterii. Było silne. Z każdym dniem jego głos stawał się głośniejszy, ciosy i kopniaki mocniejsze.

Rachaela dotykała go najrzadziej, jak tylko mogła.

W końcu przestała zwracać uwagę na jego płacz.

Wrzeszczało godzinami, prawdopodobnie stawiając cały dom na nogi. Nad ranem zmęczyło się.

Rachaela wstała i spojrzała na nie. Granatowoczarne oczy skoncentrowały się na niej po raz pierwszy. Czegoś się nauczyło.

Zabierały dziecko na spacer, do sklepów i do małego parku z trzema czy czterema grządkami krzewów i paroma drzewami. Zimny wiatr parzył im twarze, ale dziecko w wózku miało ciepło. Niebieskie i różowe króliczki podskakiwały między jego twarzą a prawdziwym światem.

— Szczęście, że nie urodziła się w Boże Narodzenie — powiedziała Emma. — Biednemu maleństwu brakowałoby prezentów.

Dziecko miało teraz imię. Zostało nazwane „Ruth”.

— Rachaela i Ruth — powiedziała Emma z upodobaniem. Prawdę mówiąc, to ona je nazwała, wymieniając imię po imieniu, oceniając ich zalety, przekonując, dopóki w końcu Rachaela, która miała już dość, nie wyraziła zgody.

Brzmiało jak imię Scarabaidów. Było nieuniknione, biblijne. Ruth, córka Adamusa.

— Musisz okropnie męczyć się przez cały dzień — powiedziała Emma, gdy brnęły w przesywającym wietrze. — Wiem, jak to jest. Moja najstarsza niemal oszalała, kiedy zostawała sama z Richardem. Wydzwaniała do mnie tylko po to, by usłyszeć głos dorosłego, kogoś, z kim można porozmawiać.

Rachaela wepchnęła wózek między nagie drzewa.

— Zatem jeżeli chcesz trochę odetchnąć, i jeżeli potrafisz mi zaufać — ciągnęła Emma — mogę zajmować się dzieckiem.

— Dziękuję. Ale tak naprawdę potrzebuję jednego — muszę pójść do pracy. Pieniądze szybko się kończą.

— Ktoś musi ci pomóc, Rachaelo.

— Tak.

— To głupio próbować radzić sobie na własną rękę. Rachaela nie zapłaciła za niezliczone różowe ubranka, koce i zabawki, wózek i łóżeczko. Emma powtarzała jej kilka razy, że nie życzy sobie tego. Możliwość obcowania z Ruth była wystarczającą zapłatą. Dogadywały się: Emma z przyjemnością zabierała małą na coraz dłużej do siebie; Rachaela z zadowoleniem wyrażała na to zgodę.

— Muszę zastanowić się w samotności — powiedziała Rachaela.

— Wobec tego zostaw mi ją. Jak powiedziałam, możesz mi zaufać — zajmę się nią, jeżeli chcesz wrócić do pracy. Tylko czy jesteś pewna...

— Tak. Nie radzę sobie dobrze z... nią. Jesteś cudowna — dodała obojętnie; był to pozbawiony wszelkiego znaczenia komplement.

Ale Emma pokraśniała z radości w zimowym parku.

— Cóż, wychowałam troje dzieci. I patrząc na Ruth, widzę małą Paulinę. Ona jest kochana, Rachaelo. Wiesz, że zajmę się nią właściwie.

Znała już tę nową księgarnię. Otwarto ją na głównej ulicy. „Izis Books”. Feministyczne traktaty i cienkie powieści w oknie wystawowym. Wystawa odstręczała wyświechtanym, zakurzonym wyglądem, który przypominał jej sklep pana Gerarda na Lizard Street.

Weszła do środka i kupiła powieść, której akcja toczyła się w Indiach. Przemówiła do niej proza emanująca gorącem, kurzem i cynamonowymi zapachami innego miejsca.

Przy kasie siedziała kędzierzawa dziewczyna.

— Szukam pracy. Pracowałam w księgarni przed urodzeniem dziecka.

— Och, masz dziecko! — zawołała asystentka. Kobiety-matki najwyraźniej zasługiwały tu na względy.

— Zastanawiam się, czy nie potrzebujecie kogoś.

Na początku, tuż po otwarciu, w księgarni pracowały trzy dziewczyny i starsza kobieta, teraz była tylko ta jedna.

— Na pół etatu?

— Nie, na cały.

— No, z dzieckiem... — Przyjaciółka się nią zajmuje.

— Och, to dziewczynka. Ale fajnie! — Kędzierzawa wydała Rachaeli resztę, dokładnie. Kasa nie była skomputeryzowana. — Musisz porozmawiać z Jonquil. Nie ma jej dzisiaj. Będzie jutro rano. Wstąp i

pogadaj z nią.

Rachaela wróciła do księgarni rano, pozostawiając Ruth w łóżeczku w zagraconym mieszkaniu Emmy.

Jonquil wyszła z zaplecza. Miała jakieś trzydzieści siedem lat, była wysoka i chuda, ze sterczącymi na wszystkie strony włosami w siwe pasemka. Nosiła džinsy i obszerną bluzę, kowbojskie buty, jeden kolczyk z nierdzewnej stali.

— Okay, możemy dać ci pracę. Denise jest tu przez cały czas. Nie płacimy dużo, bo nas na to nie stać. — Jej oczy były szare, twarz opalona. — To książki dla kobiet. Jeżeli przynoszą coś dobrego, zatem wszystko w porządku. Nie zatrudniamy mężczyzn.

Zarobki faktycznie okazały się niskie, ale zawsze były to jakieś pieniądze. I Emma zajmie się dzieckiem. Dziecko będzie z nią spędzać cały dzień. Emma już przejęła część obowiązków. W nocy będzie spało w tym samym pokoju co Rachaela, to wszystko. Niekiedy Emma będzie mogła zatrzymać je na noc.

Jonquil oprowadziła Rachaelę po księgarni.

Autorkami wszystkich książek, jakie się tu znajdowały, były kobiety.

— I masz dziecko? Przypuszczam, że jakaś świnią wystawiła cię do wiatru. Nie przejmuj się. To dziewczynka. Może mieć szansę, świat się zmienia.

Czasami mężczyźni w prochowcach gapili się w okna księgarni, jak gdyby przygotowując się do wejścia. Zazwyczaj nie wchodzili.

Rachaela siedziała przy ladzie i czytała, popijając kawę. W porze lunchu zamykała księgarnię na godzinę bądź dłużej, a o wpół do szóstej wychodziła do domu.

Jonquil zaglądała co parę dni.

W czwartki i soboty Rachaela pracowała razem z Denise.

Denise była wykończona. Miała miejscowego chłopaka, któremu poświęcała większość czasu i energii. Wyznała, że nie ubierałaby się na czerwono, gdyby Keithowi to się nie podobało.

— Jak nie chcesz, to mu powiedz, żeby poszedł na dziwki — doradziła Jonquil. Obie były przekonane, że znają życie Rachaeli i nie zadawały wielu pytań.

Kiedy Rachaela spóźniała się rano, nikt tego nie widział. Raz

jednakże Jonquil przyszła pierwsza.

— Masz urwanie głowy z dzieciakiem — powiedziała. — Nie musisz się spieszyć.

— Umie chodzić! — zawołała Emma. Miała zaróżowioną twarz, jakby była lekko wstawiona. — Naprawdę. Wiem, że dopiero co wróciłaś, ale chodź i zobacz. Zrobię herbatę, chociaż lepszy byłby szampan.

W mieszkaniu Emmy panował chaos.

Do opasyłych, krytych perkalem foteli, otomany, i kanapy, która służyła jako łóżko, do zegarów i ozdób, starych lalek i paczek fotografii, świeżych kwiatów i przycisków do papieru z barwionego szkła doszedł wózek i łóżeczko, porzrzucone pluszowe zabawki, wielki miś, dziecko.

Dziecko nie chciało chodzić w obecności Rachaeli.

Pogodne czarne oczy Ruth były jeszcze niewyraźne i niewinne. Siedziała na podłodze.

— Och, ty niegrzeczna, ty! — Emma podniosła ją i przytuliła. — Ty brzydka kielbasko! Nie chcesz pokazać mamusi, co potrafisz. — I Ruth roześmiała się, jak często przy Emmie. — Przepraszam. Naprawdę chodziła. Nie wymyśliłam tego.

— Cóż, przypuszczam, że w końcu zaczniesz. To znaczy chodzić. I mówić.

— Już teraz powinna mówić. Och, nie mam na myśli nic złego. Pauline też była opóźniona pod tym względem. To zależy od temperamentu.

— Ona nie mówi, bo nie musi — stwierdziła Rachaela. — Przekazuje ci wszystkie swoje żądania telepatycznie.

— Co? Tak, kielbasko? — zapytała Emma gaworzące dziecko. Kiedy jej twarz krzywiła się ze śmiechu, wyglądała bardzo staro. Jak Scarabaidzi.

Rachaela postawiła czajnik na gazie i zaparzyła herbatę dla Emmy i kawę dla siebie. Teraz była już przyzwyczajona do mieszkania Emmy.

— Powinnaś — zaczęła łagodnie Emma — spędzać z nią więcej czasu. Och, Rachaelo, tracisz najlepszą część. — Czy Ruth sprawia ci kłopoty? Chcesz, żebym ją od ciebie zabrała?

— Rachaelo, wiesz, że nie. Kocham ją. — Emma przytuliła Ruth do

siebie ochronnym ruchem, ruchem posiadacza. — Tylko...

- To mnie nie interesuje.
- Rachaelo — ty nie wiesz. Nie próbowałaś.
- Musiałam ją nosić. Musiałam ją urodzić. To wystarczy.
- Gdybyś tylko potrafiła zobaczyć, jakie to cudowne.
- Gdybym mogła, Emmo, przywiązałabym się do niej tak jak ty.

Wtedy ty byś nie przychodziła. Nie siedziałybyśmy tu razem.

Emma zbladła. Jej twarz skurczyła się, po czym wygładziła z trudnością. Przełknęła ślinę.

- Tak. Masz absolutną rację, oczywiście.
- Gdybym kochała dzieci...
- Gdybyś kochała Ruth, nie byłabym w stanie... nie opiekowałabym się Ruth tak jak teraz.

— A ty ją kochasz.

— Tak.

— Mamy więc szczęśliwy układ — zakończyła bezlitośnie Rachaela. — Szczęśliwy dla ciebie i szczęśliwy dla mnie.

— Tak.

Usiadła i posadziła Ruth na niebieskim kocyku wśród pluszowych zabawek.

Emma siedziała, patrząc na Ruth.

Rachaela wypila kawę i zostawiła je, żeby Emma mogła dać Ruth obrzydliwą, słodką herbatkę.

W niedzielę pojechały do podmiejskiego parku; było to istne przedstawienie. Emma ciągle upierała się, że w trosce o kręgosłup Ruth nie należy wysadzać jej z wózka, dlatego targały go wraz z dzieckiem po schodach, przy wsiadaniu i wysiadaniu z metra.

Rachaela nie wiedziała, dlaczego bierze w tym udział.

Drzewa przemieniły się w zielone parasole, a trawę ożywiały jaskrawe cętki maków. Gdzie się podział miniony rok? Było tak, jakby spędziła go pod ziemią, hibernując wśród zakurzonych tomów w „Izis Books”.

— Ciesz się ją to — powiedziała Emma. — Patrz, Ruth. Drzewo. Piesek. Powiedz „piesek”, Ruth. Ruth patrzyła swymi czarnymi ślepkami, oczami Anny i stryja Camillo. Nie oczami Adamusa. Były zbyt stare.



Pchały wózek krętymi ścieżkami. Słońce prażyło, w parku było tłoczno. Psy goniły się po trawie, wskakiwały do zielonej sadzawki, otrząsały z futra fontanny wody.

W ogródku kawiarni zamówiły kawę. Na polu pasły się gniade konie.

— Patrz, Ruth. Koniki.

— Nie sądzę, żeby ją to obchodziło — powiedziała Rachaela.

— Oczywiście, wszystko ją ciekawi. Wszystko jest zdumiewające i nowe.

Rachaela pomyślała, że muszą wyglądać na normalną rodzinną grupę: Emma — troskliwa babcia; Rachaela — matka z czarnowłosym dzieckiem. Zastanowiła się, ile innych, pozornie normalnych grup jest równie fałszywych: może ten człowiek w okularach bije swoją żonę i dzieci; zakochani dzielący się lodami to brat i siostra. Ale szaleństwem byłoby oczekiwać, że wszystko jest równie obłąkane. Jej dziecko powinno nosić na szyi tabliczkę z napisem: „Poczęte z mojego ojca w chwili, gdy pił moją krew, przypuszczalnie będące demonem”.

Oczywiście Ruth nie była demonem.

Emma tak nie myślała.

Nie było potrzeby, by robić z tego powodu problem. Emma wzięła na siebie odpowiedzialność.

Pojechały na pole golfowe.

Kiedy Rachaela prowadziła wózek, czarne oczy Ruth szukały u Emmy pociechy. Kim była ta nieznajoma, zabierająca ją ze sobą?

Emma próbowała ośmielać Rachaelę na różne sposoby.

— Ona wie, że to ty. Poznaje cię.

— Nie lubi mnie — skwitowała Rachaela. — Dlaczego miałyby mnie lubić? Byłam tylko opakowaniem.

Niebo jarzyło się intensywnym złotym blaskiem. Była piąta, ruszyły więc do domu. Kolejka podziemna była pełna opalonych i podekscytowanych podróżnych, jadących do domów albo *en route* do serca Londynu. Kurz i słońce pokryło ich rodzajem pyłku. Powietrze pachniało dezodorantem i rozgrzaną skórą. Mężczyzna w meloniku pomógł Emmie wystawić wózek.

Po powrocie do domu udały się do mieszkania Emmy.

Emma wyjęła dziecko z wózka.

— Mój Boże, nie jest ci za gorąco, maleństwo? Urządzimy ci pyszną chłodną kąpiel.

Podczas gdy Emma kąpała Ruth, Rachaela usiadła na krytej perkalem sofie i patrzyła na chińskie statuetki i figurki zwierząt z niebieskiego szkła. Na honorowym miejscu, na elektrycznym kominku, stał przycisk do papierów z żyrafą, na którą po poruszeniu spadał idiotyczny śnieg. Pauline przysłała go w ostatnie Boże Narodzenie.

Pluskanie w łazience ucichło.

— Naprawdę jest bardzo rozpalona — poinformowała Emma. — Myślę, że trochę gorączkuje. Tak to jest z maluchami. Nie ma się czym przejmować.

— Ale może wobec tego lepiej jej nie przenosić — podsunęła Rachaela.

— Dobrze, zatrzymam ją u siebie na noc.

Ruth szaleńczo kopała prześcieradło. Jej zazwyczaj blada twarzyczka była zaczerwieniona. Może to wina słońca.

Na górze Rachaela włączyła nagranie z muzyką Brahmsa i wyjęła z lodówki parę liści sałaty, plasterki pomidora i zimne udko kurczęcia kupione w delikatesach. Jadła bez apetytu, chłonąc muzykę.

Później siedziała i obserwowała, jak nad dachami złote niebo przemienia się w rubinowe, a odległe drzewa w parku czernieją i nikną.

*Zatem takie jest moje życie.* To ją rozbawiło. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli o Scarabaidach. Była całkiem zręczna w unikaniu ich. W unikaniu jego. Odsunęła od siebie tę myśl.

Włączyła radio i słuchała jakiejś greckiej sztuki, której nie rozumiała, ale która mimo to spodobała się jej.

Około wpół do jedenastej, gdy brała kąpiel, Emma zapukała do drzwi.

— Proszę, tylko się nie denerwuj — zaczęła — ale chyba lepiej zadzwonię po doktora. Ruth ma wysoką gorączkę i nie przestaje płakać. Wiesz, że ona nigdy nie płacze. Wierzę, że to nic poważnego, ale wolałabym się upewnić.

- W porządku. Chcesz przynieść ją tutaj?

- Nie. I mogę zatelefonować z dołu. Wrócę i powiem ci, co mi powiedziano.

- Dobrze.

Po wyjściu Emmy Rachaela wróciła do łazienki. Ogoliła nogi pachy, i umyła szamponem włosy. Emma znów zapukała. Rachaela podeszła do drzwi w ręczniku, z drugim owiniętym wokół głowy.

— Ktoś przyjedzie. Powiedzieli, że za jakąś godzinę.

— Rozumiem.

— Zejdiesz na dół, prawda?

— Jeżeli uważasz, że powinnam...

— Tak, musisz, Rachaelo. Ona jest twoim dzieckiem. — Błada Emma wyglądała na szaleńczo zdenerwowaną.

Rachaela nie odezwała się ani słowem i Emma wyszła.

Rachaela splukała włosy i owinęła je kolejnym ręcznikiem. Ubrała się, włożyła buty i zeszła do mieszkania Emmy.

Emma trzymała Ruth w ramionach. Chłodziła dziecko delikatnymi ruchami japońskiego wachlarza. Ruth była czerwona jak rzodkiewka, jak gdyby krew powoli się w niej gotowała. Pochlipywała cichutko, bez chwili przerwy.

Nie odzywały się, siedziały jedynie naprzeciw siebie.

Minęła reszta godziny.

— To doktor Chatterjee — rzekła w końcu Emma. — Nigdy nie musiałam go wzywać, nie wiem, jaki on jest. Biedny człowiek, musi obawiać się tych późnych wezwań. Doktorzy mają z nimi utrapienie. — Nie przestawała chłodzić Ruth wachlarzem. — Powinnaś jeździć z nią do kliniki, Rachaelo — dodała, bez śladu oskarżenia. — Nigdy tego nie zrobiłaś.

— Nie.

— Byłaby regularnie badana i dostawałaby zastrzyki. W dzisiejszych czasach jest wiele uodporniających szczepionek. Ale Ruth nie dostała żadnej.

— Jest silna — skwitowała Rachaela. To instynkt kazał jej tak powiedzieć.

— Oczywiście, jest silna. Głupia stara Emma robi zamieszanie o nic. Biedna kiełbaska, biedne maleństwo.

Dziecko zwymiotowało na siebie i na sweter Emmy.

Emma wstała bez złości czy odrazy, by w łazience oczyścić ubranie. Przez cały czas mówiła do Ruth, wyjaśniając jej, co robi.

Rachaela siedziała w fotelu i zapytywała samą siebie, czy coś czuje, jakiś ból. Nie. Miała wrażenie, że Ruth naprawdę jest dzieckiem Emmy, a ona z jakiegoś nieokreślonego powodu musiała zejść na dół i być świadkiem tej sceny. Wymiotujące dziecko sprawiło, że samapoczuła mdłości. Ruth często zwracała butelkę mleka, jak gdyby specjalnie robiła jej na złość, tak samo jak zmuszała ją do wdychania cuchnących wyziewów wilgotnych pieluch.

Gdy Emma i Ruth nadal były w łazience, odezwał się brzęczyk domofonu.

Rachaela wstała, wcisnęła guzik i wpuściła do budynku doktora Chatterjee, który za moment pojawił się w mieszkaniu.

Był małym, tłustym, okropnie zaaferowanym Hindusem o bystrych oczach.

Emma przyniosła Ruth, którą zbadał uważnie.

— Tak, dobrze, że pani mnie wezwała — zwrócił się do Rachaeli.  
— Dziecko jest bardzo chore. Proponuję, żebyśmy natychmiast zabrali małą do szpitala.

Emma krzyknęła z przerażenia.

Doktor Chatterjee przeniósł spojrzenie z jednej kobiety na drugą.

— Pani jest matką, prawda? — zapytał Rachaelę.

— Tak.

— By oszczędzić na czasie, pojedziemy moim samochodem. Emma zapytała, czy może jechać razem z nimi, a gdy doktor wyraził zgodę, podziękowała nieśmiało. Z wrażenia opatulila Ruth zbyt mocno, trzeba było nieco rozluźnić kocyk.

Rachaela zdjęła ręcznik z wilgotnych włosów.

Emma zabrała dwie ulubione zabawki Ruth.

Noc była gorąca i parna, zanosilo się na burzę. Strzępy papieru zaśmiecały chodnik, a przy tylnym kole sierry doktora leżała powyginana puszka po napoju sprite.

Jechali szybko ale ostrożnie do szpitala Św. Marii, wielkiego ceglanego gmachu przypominającego więzienie. Górowała nad nim posępna bryła komina, przez którą ulatywał dym z pieca do spalania nieczystości.

Gdy Ruth została przyjęta, z oczu Emmy spłynęły dwie łzy. Trzymała

się jednak dzielnie, starając się zapanować nad sobą.

Siedziały przez długi czas na brązowych plastikowych krzeselkach w białym korytarzu. Pielęgniarki chodziły w tę i z powrotem, czasami zatrzymując się, by zamienić parę słów i pośmiać się bez troski. Przejechał wózek z noszami, prowadzony przez dwóch żujących gumę gburowatych pielęgniarzy. Ożywiony ruch na korytarzu niepokojąco kontrastował z ciszą sal, w których leżeli chorzy, z bezpowrotnie okaleczonymi ciałami na tle bieli, z niewidocznymi szarymi cieniami, szamocącymi się w ostatnim uścisku życia.

Rachaela skuliła się. Nigdy nie lubiła szpitali; może przejęła obsesyjny strach matki. Ludzie nie idą do szpitala po to, by wyzdrowieć, ale by dać się zabić czy okaleczyć.

Żałowała, że nie może iść do domu, zostawiając tu Emmę. Ale coś takiego przekroczyłoby wszelkie granice. Było niemożliwe. To ona, Rachaela, powinna być szalejącą z niepokoju matką. Musiała zostać i spróbować odegrać swoją rolę.

Co czuła? Nic. Zupełnie nic.

To była wina Ruth: sprowadzenie jej do miejsca, którego nienawidziła i którego się bała, zmuszenie jej, by z mokrymi włosami spędziła tu całe godziny.

Scarabaidzi nigdy nie chorowali.

Może zatem Ruth nie była prawdziwym Scarabaidem?

Pojawiła się siostra w błękitnym uniformie.

— Parma Day? Robimy, co możemy, ale obawiam się, że dziewczynka jest bardzo chora.

Stała niepewnie przez chwilę, przekonana, że Rachaela zacznie krzyczeć, zalewać się łzami albo zemdleje. To Emma wybuchnęła płaczem.

— Proszę się uspokoić. Są duże nadzieje, że wszystko skończy się dobrze.

— Przepraszam — wychlipała Emma, jak gdyby jej łzy narażały je wszystkie na niebezpieczeństwo. — Jestem głupia.

— Przypuszczam, że chętnie napiłybyście się herbaty. Zobaczymy, co da się zrobić.

— Dziękuję, z przyjemnością — powiedziała Emma. Po odejściu

siostry dodała: — Wszyscy są tacy mili. Ci ludzie to prawdziwi święci. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Później pozwolono Rachaeli, samej, zajrzeć do dziecka. Pomieszczenie było pełne aparatów. Po chwili wszedł zaniepokojony lekarz.

— Pani jest matką Ruth? No cóż, będę z panią szczerą. Jesteśmy dość niespokojni. Zamierzamy spróbować kolejnych środków, mających na celu obniżenie gorączki, i mogą one być nieco drastyczne.

— Rozumiem.

Prawdopodobnie wzięła jej obojętność za następstwo szoku. Miała taką nadzieję. Nie chciała prowokować wrogości tych ludzi w ich śnieżnobiałych szatach.

Podał jej więcej szczegółów, przeplatając informacje skomplikowanymi słowami, których nie rozumiała i których, czego była pewna, nie byłaby w stanie zrozumieć. W tym pałacu czarodziejów miała pozostać outsiderem.

Później wróciła do Emmy i przekazała jej okrojoną wersję słów lekarza.

Emma była szara jak popiół. Nie mogła przełknąć herbaty, chociaż próbowała, żeby nie wyjść na niewdzięczną.

Czekały przez całą noc w białym korytarzu.

O piątej rano pojawił się niespokojny doktor i powoli ruszył w ich stronę.

Emma wstała i konwulsyjnie sięgnęła po rękę Rachaeli.

Doktor zmarszczył brwi. Powiedział, że ostatnie środki odniosły skutek, że gorączka spadła i dziecko oddycha normalnie. Za pół godziny Rachaela będzie mogła przy niej posiedzieć.

Emma znów zalała się łzami. Podziękowała doktorowi tak żarliwie, że jego pospolita twarz rozjaśniła się, jakby poczuł się zbawcą ludzkości.

Rachaela została zaprowadzona do pokoju, w którym leżało jej blade, uratowane dziecko. Usiadła. Miała nadzieję, że Ruth umrze. Chciała, żeby tak się stało. Nie było powodu się okłamywać. Czy tego samego pragnęła niegdyś jej matka? Czy patrzyła na cudem wybawioną od śmierci Rachaelę tak, jak ona na Ruth?

Dziecko wśród śniegu.

Rozpościerał się wokół niej jak na gwiazdkowej pocztówce. Przemienił ulice nie do poznania, puszyste i świeże płatki okryły budynki. Nieskazitelną biel przecinały wydeptane czarne ścieżki. Ruth szła jedną z nich, w kierunku domu.

Była chudą, drobną siedmiolatką, z dwoma grubymi warkoczykami kruczych włosów z błękitnymi kokardkami. Miała czerwoną wełnianą czapkę, szalik i rękawiczki, które kupiła jej Emma, i ciemny płaszczyk z paskiem, a na nogach czerwone buciki, dopasowane kolorem do czapki, co również było pomysłem Emmy. Niosła tornister. Po prostu zwyczajne dziecko wracające ze szkoły podstawowej.

Rachaela obserwowała ją przez kuchenne okno. Jedyne przypadkiem znalazła się tu w chwili, gdy dziecko pojawiło się na ulicy.

Na początku Emma dwa razy dziennie zabierała Ruth do szkoły i przyprowadzała ją do domu w południe i wieczorem. Ale inne dzieci przeważnie chodziły same. Nie musiały przecinać żadnych głównych ulic, a szkoła znajdowała się w odległości piętnastu minut drogi.

Ruth prawie na pewno nie przyjdzie na górę. Nie mogła wiedzieć, że Rachaela będzie w domu, a poza tym zawsze jadła lunch i piła herbatę z Emmą.

Dzisiaj Jonquil zaproponowała, żeby zamknąć księgarnię o trzeciej z powodu śniegu. Rury zamarzły, a małe elektryczny piecyk niewystarczył do ogrzania pomieszczenia. To zdenerwowało Jonquil i wprawiło jej nierdzewny kolczyk w drżenie. Rachaela chętnie na to przystała.

Nadal patrząc przez okno zobaczyła, że Ruth doszła do drzwi bloku i zniknęła. Miała klucz.

Rachaela zrobiła sobie kawę i wyszła z kuchni. Jak zawsze omiotła wzrokiem mieszkanie, swoje mieszkanie i kącik Ruth. Przeważnie Ruth sypiała tutaj, chociaż od czasu do czasu grzecznie pytała Rachaelę, czy nie mogłaby zostać na noc u Emmy. To Emma upierała się, żeby Ruth zawsze pytała. Rachaela i Ruth wiedziały, że te pytania są bez znaczenia. Niekiedy były jedynie źródłem nielicznych sprzeczek i nieporozumień.

Kącik Ruth również był pomysłem Emmy.

Łóżko dziecka, okryte granatową narzutą, stało za wiklinowym parawanem, na który był narzucony szkarłatny szal. Od wewnętrznej strony wisiały dzwonki, które czasami Ruth budziła do życia. Za parawanem stała również komoda, na której leżały skarby Ruth, jej pudełka z farbami i chwiejny stos książek.

Emma nauczyła ją czytać jeszcze przed pójściem do szkoły, i teraz komoda była zavalona złotymi i różowymi książeczkami z bajkami — „Kubuś Puchatek”, „Alicja w Krainie Czarów”, i innymi, których może jeszcze Ruth nie rozumiała czy nie powinna czytać: „Władca much”, „Lew, wiedźma i szafa”, „Kleopatra”. Rachaela nie zwracała uwagi na tytuły, a Emma była przekonana, że różnorodność lektury wpłynie zbawiennie na poszerzenie horyzontów dziecka.

Prace domowe Ruth odrabiała w mieszkaniu Emmy albo u siebie, siedząc na ciemnoniebieskim łóżku. Na komodzie stała też doniczka z rośliną nazwaną Davidem. Roślina, mając zbyt mało światła, nie rosła dobrze i w końcu została przeniesiona na okno do Emmy.

Pół godziny po powrocie Ruth ze szkoły do drzwi zapukała Emma. Rachaela wpuściła ją.

Emma miała zakłopotany i jednocześnie rozpromieniony wyraz twarzy. Może Ruth zrobiła w szkole coś szczególnie zadziwiającego, jak wówczas, gdy odgrywała starszą dworzkę Majowej Królowej. Emma nalegała, żeby Rachaela poszła z nią na przedstawienie. Razem stały w przenikliwym majowym wietrze, obserwując dygocące z przejęcia małe dziewczynki w różowych sukienkach, które rozsypywały papierowe płatki, podczas gdy Ruth, w kupionej przez Emmę czerwonej sukience, koronowała jakieś sztucznie uśmiechnięte dziecko.

— Ruth je podwieczorek — powiedziała Emma. — Dałam jej ulubione kielbaski i pomidory.



— Dziękuję — odparła mechanicznie Rachaela.

— Zaszło coś nieoczekiwanego.

— Co takiego zrobiła?

Pewnego razu Ruth namalowała smoka pożerającego rycerza, i tym obrazkiem straszyla inne dzieci. Ktoś przyszedł ze szkoły i powiedział o tym Emmie, która wyśmiała go w żywe oczy.

— Zrobiła? Och, nie, Ruth nic nie zrobiła. Obawiam się, że to ja.

— Co ty zrobiłaś?

— Nie wiem, od czego zacząć. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba.

Emma usiadła na krześle w pobliżu parawanu Ruth.

— To Liz — powiedziała.

Rachaela musiała wyczerpać pamięć. Liz była jedną z córek Emmy, najstarszą.

— Liz? — przynagliła.

— Przysłała mi nadzwyczajny list. Dotychczas rzadko pisała, a tu proszę! To cudowne, znów jest w odmiennym stanie. Nie planowała dziecka — ma trzydzieści sześć lat. Chce je urodzić, ale obawia się, że sama nie da sobie rady. I najwidoczniej Brian zaproponował, żebym przeniosła się do nich. Mają tam wielki pokój z łazienką, z którego będę mogła korzystać, i Brian donosi, że wysykuje mi osobną kuchnię. To śliczny dom. Nie widziałam go od lat, oczywiście, ale wiem, że go rozbudowali. Wokół rozpościera się cudowny ogród, jak z pocztówki... To wszystko dosłownie zbiło mnie z pantafelów. Cheltenham! Pisz, że mnie potrzebuje. Pamiętam ostatni raz, była taka gruba. I oczywiście będzie musiała zrobić te okropne testy, by upewnić się, że dziecko jest zdrowe.

Rachaela, powtarzając każde zdanie w myślach, z opóźnieniem zrozumiała sens śpiesznie wyrzucanych przez Emmę słów.

— Ale czy oni cię nie zaniedbywali? — zapytała.

— Nie. Nigdy. Mają swoje życie, to normalne. A ja czuję, że potrafię znakomicie spełnić ich oczekiwania. Ucierpi na tym moja niezależność. — Emma jaśniała. — Ale ona jest moją córką. Nie zawiodę jej w potrzebie. Rachaela stanęła przy oknie, plecami do białego śniegu. Miała wrażenie, że podłoga przechyla się powoli, pociągając za

sobą wszystko inne.

— Więc pojedziesz?

— Muszę.

— A jak długo cię nie będzie?

— No cóż, myślę, że to raczej wyjazd na stałe. Ostatecznie po urodzeniu dziecka przyda się opiekunka. Muszą przecież mieć trochę wolnego. I, jak zauważył Brian, w moim wieku nie zaszkodzi pomieszkać z rodziną. To niewiarygodna, wymarzona okazja. Nie mogę odwrócić się plecami i pozwolić, by Liz sama sobie radziła.

*Liz z radością pozwoli, byś to ty sobie z tym wszystkim radziła.*  
Zwracanie uwagi na egoizm innych byłoby bezcelowe, skoro sama postępowała aż tak bardzo samolubnie.

— Powiedziałaś Ruth? — zapytała Rachaela.

Emma przybrała strapiony wyraz twarzy, ale w jej oczach nadal błyszczała radość.

— Nie. Nie miałam odwagi. I chciałam powiedzieć najpierw tobie. Ona jak na swój wiek jest zdumiewająco rozwinięta. Jestem pewna, że zrozumie. Lubi mnie i będzie cieszyła się, że ja się cieszę.

— Ona cię kocha.

Emma wyprostowała ramiona.

— Mój wyjazd prawdopodobnie okaże się bardzo pożyteczny, Rachaelo. Będziecie spędzały więcej czasu razem.

— Tak, no cóż, z pewnością będziemy musiały.

— Och, kochanie. Nie wiem, co zrobić.

Po raz pierwszy do jej głosu zakradła się nieszczerłość. Wiedziała bardzo dobrze.

W porównaniu z rodziną, kim była dla Emmy Ruth? Tylko substytutem. Teraz miała zyskać coś prawdziwego.

One zostały zmiecione na bok.

Rachaela poczuła, że żal jej swojej córki, ten cios miał na nią spaść jak uderzenie siekiery. Ruth nie potrafi cieszyć się radością Emmy. Była egocentryczna i samolubna, zainteresowana wyłącznie sobą.

— Cześć, mamusiu — dobiegł od drzwi czysty głos, który po chwili bezceremonialnie oznajmił: — Emmo, skończyłam i wstawiłam talerz do zlewu, jak kazałaś.

— Dziękuję, Ruth.— Po co tutaj przysłaś?

Najwidoczniej „tutaj” było miejscem, do którego przychodziło się tylko wtedy, gdy było to konieczne.

— Musiałam porozmawiać z twoją mamusią.

— Idziesz teraz na dół?

— Za minutkę, kochanie.

Zamiast wyjść, Ruth weszła do pokoju i wsunęła się za parawan. Zadźwięczały dzwonki; Emma aż podskoczyła. Błagalnie spojrzała na Rachaelę.

— Dlaczego nie powiesz jej teraz? — spytała Rachaela, przepełniona niepokojem i okrucieństwem zarazem.

— Myślisz...? O Boże, chyba powinnam. Emma nie wiedziała, co począć.

Ruth wróciła zza parawanu z pomalowaną na zielono i purpurowo kartką z bloku.

— To mój konik morski, Emmo. Zapomniałam ci pokazać. Dobrze narysowałam ogon?

— O tak, jest doskonały. Czy umieścimy ten rysunek wśród innych?

— Chcę jeszcze domalować jakieś wodorosty i parę muszelek.

— W porządku, zrób to, a potem przypniemy go. Powstanie niezła galeria sztuki. Chciałabyś zobaczyć prawdziwą galerię, Ruth, i obejrzeć prawdziwe obrazy?

— Będiesz miała czas? — wtrąciła złośliwie Rachaela.

Wrzał w niej bezradny gniew i jakby strach. Chciała, żeby było już po wszystkim. Żałowała, że Emma nie zabrała małej na dół i tam jej nie powiedziała. Milsze byłoby poderżnięcie gardła rzeźnickim nożem. Czy Ruth będzie płakała? Mówiono, że w szkole miewała ataki płaczu. Nikt nie wiedział dlaczego. Emma podejrzewała, że dziewczynce dokuczały inne dzieci, ale nawet jej Ruth niczego nie zdradziła.

To Emma wybrała szkołę, Rachaela jedynie podpisała stosowne dokumenty. Pierwszego dnia nauki to Emma odprowadziła Ruth do szkolnej bramy, a później wróciła z zaczerwienionym nosem.

Ale to wszystko miały już za sobą.

— Ruth, kochanie, mam ci coś do powiedzenia.

— Co? — Dziewczynka z uśmiechem spojrzała na spochmurniałe

oblicze Emmy.

Ruth nie była ładna, nie mogła liczyć na zostanie Królową Maja. Jej skóra była nieskazitelnie gładka i biała jak lód; oczy ogromnej świetliście czarne, ocienione gęstymi rzęsami. Mimo młodego wieku miała już dość wyraziste rysy, kanciastą szczękę i silny kark, pokryty błękitnawym puszkim. Włosy były proste jak spadająca czarna woda. Ostatecznie odziedziczyła coś po ojcu.

Trudno powiedzieć, dlaczego była takim mało pociągającym dzieckiem.

Poszczególne elementy jej twarzy były śliczne, lecz całość daleka od piękna. A w gniewie — kiedy nie wyszedł jej jakiś obrazek, kiedy była sfrustrowana albo zaskoczona — twarz stawała się wręcz brzydka, było w niej okrucieństwo.

— Widzisz — zaczęła Emma — moja córka Liz, pamiętasz Liz? Liz będzie miała dziecko.

— Tak — rzekła Ruth, poważnie, z zainteresowaniem.

— I Liz chce, żebym pojechała do niej i zaopiekowała się nią i dzieckiem. A Liz mieszka w Cheltenham, które leży bardzo, bardzo daleko.

Ruth skinęła głową. Rozumiała. Zapytała rzeczowo:

— Kiedy jedziemy?

— Och, kochanie! — krzyknęła Emma. — Och, kochanie. — Nie mogła wydusić nic więcej.

— Ty nie pojedziesz, Ruth — powiedziała Rachaela. — To Emma musi jechać. Jest potrzebna swojej córce. Ty musisz zostać tutaj.

— Nie. Pojadę z Emmą.

— Kochanie, obawiam się że... nie możesz — jąkała się Emma. — Nie możesz ze mną jechać. Żałuję, ale to niemożliwe.

*Kłamiesz*, pomyślała Rachaela.

Ruth miała pusty wyraz twarzy. Wyciągnęła w rękach rysunek i patrzyła na konika morskiego tak, jakby doszukiwała się odpowiedzi w jego kształcie.

— Musisz tu zostać — ciągnęła Emma — i opiekować się mamusią.

— Nie — powtórzyła cicho Ruth.

— Tak, Ruth. Tak ma być. Ja tylko cię pożyczyłam. To było takie

wspaniałe. I zostaniemy dobrymi przyjaciółkami. Będę pisała do ciebie, co tydzień. Obiecuję. W listach opowiem ci wszystko o Cheltenham.

— Nie — powiedziała Ruth. Nie płakała. — I mam nadzieję, że kiedyś przyjadę i spotkam się z tobą. Przywiozę ci cudowne prezenty.

— Nie.

— A może pewnego dnia ty mnie odwiedzisz? Rachaela przywiezie cię pociągiem.

— Nie.

— Och, moja droga, kochanie, postaraj się zrozumieć. Wiem, to bardzo trudne. Będę okropnie za tobą tęskniła. Ale biedna Liz... muszę jechać. Ona jest moją córką.

Ruth nic nie powiedziała.

Zabrała obrazek i wróciła do swego kącika. Dzwonki milczały.

Emma spojrzała na Rachaelę.

— Lepiej już pójdę — mruknęła. Potarła czoło. Najwyraźniej bolała ją głowa. — Jeżeli Ruth chce zabrać jakieś swoje rzeczy...

— Kiedy wyjeżdżasz? — przerwała jej Rachaela. Ruth na pewno podsłuchiwała.

— Piszą, żebym przyjeżdżała jak najszybciej — Brian odbierze mnie na stacji. Potem mają zorganizować przewiezienie moich rzeczy. Liz jest doprowadzona do rozpacz.

*Doprowadzona do rozpacz.*

— Za miesiąc?

— Chyba... chyba za dwa tygodnie — Emma zająknęła się. — Och, moja droga — powtórzyła i wyszła.

Nie płakała. Naturalnie. Dlaczego miałyby płakać? Ruth też nie płakała. Może wybuch miał nastąpić z opóźnieniem.

Rachaela spojrzała na pogrążającą się w mroku białą ulicę, na pryzmy śniegu spiętrzone pod ścianami, na przechodniów ślizgających się po lodzie.

W pokoju panowała ogłuszająca cisza.

Ruth już nie przychodziła do domu w czasie przerwy na lunch. Zabierała kanapki i jadła je w szkole. Robienie kanapek stało się dla Rachaeli dodatkowym obowiązkiem. Emma czasami dawała Ruth również śniadania, ale z nimi nie było kłopotów — płatki kukurydziane

albo tosty. Bardziej denerwujące było przygotowywanie kolacji. Dziecko wymagało i było przyzwyczajone do ciepłych posiłków. Po szkole Ruth wchodziła do mieszkania i czekała na Rachaelę za parawanem. Nigdy nie odzywała się pierwsza.

— Cześć, Ruth.

— Cześć, mamusiu.

Rachaela nienawidziła gotowania. Zazwyczaj musiała przyrządzać potrawy, których sama nie lubiła, i to dwa dania. Rachaela próbowała podawać to, co Ruth jadła u Emmy, co dziewczynka lubiła albo co było dla niej zdrowe: kiełbaski i frytki, kurczaki i kalafiory, marchewkę, smażoną rybę z serem i pieczoną fasolę.

Ruth była również przyzwyczajona do deserów, więc Rachaela kupowała jej ciastka z owocami i lody, ale to już nie było tak smaczne; Emma sama robiła placki ze śliwkami i kremy, racuszki i pieczone jabłka.

Rachaela wyjęła wielką błękitną paterę i ułożyła na niej jabłka, pomarańcze, gruszki i banany, jak robiła to Emma.

W lodówce, która dosłownie pękała w szwach, pojawiły się soki pomarańczowe, napoje gazowane i pepsi.

Wykarmienie dziecka było kosztowne.

Na szczęście pralka radziła sobie z ubrankami Ruth tak samo dobrze, jak przez minionych kilka lat. Emma prasowała bluzki Ruth; Rachaela kupując nowe wybierała takie, których nie trzeba prasować.

Po kolacji Ruth kryła się za parawanem. Odrabiała lekcje, jeżeli miała coś zadane, albo malowała dzikie, jaskrawe obrazki, przedstawiające lasy pełne lwów i zamki w ogniu, pojedynki na pustyni, okręty w burzy. Jej wyobraźnia oczywiście była podsycana przez szkołę i książki; dwa razy w tygodniu chodziła do biblioteki, zazwyczaj sama.

Poza wydatkami na jedzenie i stałym wyrastaniem z ubrań sprawiała niewiele kłopotu.

Spała bezgłośnie. Nocą trudno było powiedzieć, czy rzeczywiście jest za swym parawanem.

Mieszkanie Emmy stało puste przez sześć miesięcy, potem wprowadzili się nowi lokatorzy.

Niestety, byli trochę uciążliwi dla pozostałych mieszkańców domu:

dwoje młodych ludzi, którzy wieczorami słuchali głośnej muzyki i czasami toczyli hałaśliwe kłótnie, włączając w sferę swych poczynań również podest między piętrami. Ruth nie reagowała na te inwazję obcych. Nigdy nie płakała za Emmą.

Na początku listy od Emmy, pisane na jasnym kolorowanym papierze, przychodziły co dziewięć czy dziesięć dni. Ruth czytała je w kąciaku i chowała do jednej z szuflad. Nigdy nie komentowała ich treści, nie okazywała też zadowolenia z tego, że je otrzymuje. Po kilku miesiącach listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej. Ruth nie odpowiedziała ani na jeden.

— Jeżeli chcesz napisać do Emmy — powiedziała Rachaela — po prostu weź sobie papier i kopertę z szafki. — Trzymała je tam w tym celu. — Znaczkami też tam są. — Ruth odparła, że wie o papierze i znaczkach. Nie skorzystała z nich.

Cztery miesiące później Rachaela też dostała list od Emmy. Emma była w siódmym niebie, zasypała Rachaelę wieściami o Liz, ale pytała także o Ruth. „Dzieci tak nie lubią pisać listów. Pamiętam, że dla mnie było to koszmarem”. Rachaela odpowiedziała na list po tygodniu. Ruth i ona mają się dobrze, nic ciekawego się nie wydarzyło, Ruth ma wiele prac domowych i przesyła jej pozdrowienia. Rachaela nawet nie pytała, czy Ruth rzeczywiście tego by chciała. Prawdopodobnie nie. Emma odeszła w przeszłość.

Ta zdawkowa korespondencja położyła kres zabiegom Emmy, wreszcie obie zaczęły o niej zapominać. Pewnego dnia Rachaela znalazła wszystkie kolorowe listy od Emmy w koszu na śmieci pod zlewem.

Niedługo po wyjeździe Emmy usiadła z Ruth przy małym stole.

— Przykro mi, że Emma musiała odejść. Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale spróbujemy radzić sobie jak najlepiej. — Ruth milczała, nawet na nią nie spojrzała. Rysowała wysoką kobietę w szacie z szerokimi rękawami. — Wiesz, że nie mogę poświęcić ci tyle czasu, co Emma. Pracuję. Ale jeżeli będziesz miała jakieś problemy, musisz mi o nich powiedzieć, ponieważ Emmy już nie ma. Rozumiesz?

— Tak — odparła Ruth po chwili.

Rachaela nie powiedziała, że najchętniej zostawiałaby ją samą tak często, jak tylko możliwe, i że w zamian oczekiwałaby tego samego. Nie

musiała tego mówić. To już było milczącym porozumieniem, wynikającym z długiego doświadczenia.

Rachaela pamiętała o błędzie, jaki popełniła jej matka w czasie wymuszonych prób troszczenia się o dziecko, którego nie chciała, i wtrącania w jego życie.

Ruth i ona zachowywały neutralność.

Nigdy nie miały zostać przyjaciółkami, ale dzięki utrzymywaniu dystansu nie mogły zostać wrogami.

Rachaela już nie nienawidziła córki; Ruth była obecnie istotą, która potrafiła samodzielnie, nie szukając u niej pomocy, korzystać z łazienki, jeść, myć się, ubierać i bawić.

Skoro Ruth nie płakała, nie było potrzeby rozkładania sztucznego parasola współczucia i ciepła, którego Rachaela nie czuła.

Nie próbowała stosować wobec Ruth dyscypliny, pozwalała jej zmierzać własną, dziką i milczącą drogą.

Dziewczynka nigdy nie pokazywała Rachaeli ani prac domowych, ani rysunków, ani książek — ale Rachaela pozwalała jej korzystać z biblioteczki, teraz przeładowanej, a raz czy dwa, gdy miała więcej pieniędzy, kupiła jej książki z dziedziny fantastyki, Kay Nielsen i Vali Myers. Ruth przyjęła te prezenty bez widocznego entuzjazmu, ale ślęczała nad nimi w swym kąciku za parawanem.

Emma zostawiła dwa szklane przyciski i błękitnego szklanego kota. Na ósme urodziny Rachaela kupiła Ruth coś na miejscowym pchlim targu. Była pełna złych przeczuc, a jednocześnie przekonana, że postępuje słusznie. Było to lustro w ramie zdobionej purpurowymi irysami, pawimi piórami, muszelkami z różowego matowego szkła. — Och — sapnęła Ruth na jego widok. Podziękowała Rachaeli chłodno i zaniosiła lustro za parawan.

Roślina zwana Davidem zwiędła, chociaż Rachaela postawiła ją na parapecie. W jakiś czas po tym Ruth zaczęła kupować za zaoszczędzone kieszonkowe sztuczne kwiaty z emalii, a w końcu ściągnęła do domu klatkę dla ptaków z malowaną drewnianą makolągwą.

Rzucając okiem na kącik córki — ściana obwieszona dziwnymi zdjęciami i najnowszymi egzotycznymi pracami Ruth, lustro, dzwonki i szale, kwiaty, klatka i nawet, tuż nad komodą, biały cyferblat zegara,



który nie chodził — Rachaela widziała Scarabaidów. Może sama do tego doprowadzała, a może i nie. Ruth była żyjącą rośliną, która wypuszczała kwiaty z barwionego szkła. Nie można było ich zerwać, jak być może starała się czynić matka Rachaeli. Ile z mrocznego przekleństwa Scarabaidów dostrzegała w swojej córce, i co próbowała zatruć obcinaniem włosów i znaczeniem krzyżami główek brukselki?

Za oknami, na ulicach, zmieniały się kolorowe witraże pór roku. Odległy park był jak kalendarz. Z drzew spadały zielone, żółte i brązowe kartki, czarna pajęczna sieć nagich gałęzi rozsnuwała się na tle nieba, a potem nastąpiła kolejna lodowa epoka czystego śniegu.

Nigdy nie rozmawiały o Emmie.

Z klasą Ruth chodziła do muzeów, do galerii sztuki i do ogrodów, jeździła nad morze.

Wieczorami i w weekendy siedziały w milczeniu, słuchając muzyki klasycznej i dudnienia dobiegającego z mieszkania poniżej.

Jak łatwo zapomnieć, że jest tu dziecko. Było to jednak niemożliwe.

Jonquil była w księgarni, gdy weszła młoda kobieta. Miała jakieś dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata, świeżą młodą twarz i okulary. Podeszła do Rachaeli.

— Pani Day?

— Tak.

— Panna — poprawiła Jonquil. — Panna Day.

— Ach, tak — mruknęła młoda kobieta. — Nazywam się Barrett, panna Barrett, przychodzę ze szkoły Ruth.

— Co się stało? — zapytała Jonquil.

— Och, nic. Ruth jest w porządku, jak najbardziej. Przepraszam, że przeszkadzam w czasie pracy, pani Day, ale chciałabym zamienić z panią parę słów pod nieobecność dziecka.

Jonquil zdjęła buty z lady.

— Idź na zaplecze, Rachaelo. Zabierz z sobą pannę Barrett. Ja przejrzę te czasopisma.

Poszły na zaplecze. Pomieszczenie było zawałone kartonami i stosami książek. Z tacy przesypywały się listy, a wśród przyborów do parzenia kawy przycupnęła stara maszyna do pisania. Na grzejniku wisiały trzy pary majtek Denise, suche jak pieprz.

— Jak powiedziałam, przykro mi, że nachodzę panią tutaj, pani Day, ale uznałam, że najlepiej będzie porozmawiać z panią bez Ruth. Jeżeli pani woli, mogę przyjść do mieszkania w dogodnej dla pani porze.

— Kiedy ja jestem w domu, Ruth zawsze jest obecna. O co chodzi?

— No cóż, nie chciałabym pani niepokoić. To prawdopodobnie nic wielkiego, dzieci mają takie dziwaczne pomysły. Zazwyczaj nie zdarza się to zbyt często, ale, z drugiej strony, należy zwracać baczną uwagę na tego typu rzeczy. Zastanawiam się, czy pani zauważyła już coś takiego.

— A dokładnie co?

— Było to w czasie zabaw; zobaczyłam gromadkę dzieci w odległym końcu boiska. Przez pewien czas nie reagowałam, ale skoro uczniowie nie rozeszli się, poszłam sprawdzić, co się dzieje. Zostałam krąg chichoczących dzieci, lecz niektóre wyglądały na przestraszone. Na ziemi siedział Terry Porter, który najwidoczniej przewrócił się i dość paskudnie rozciął sobie kolano. Zamiast udać się do pielęgniarki, siedział tam, okropnie blady, a obok niego przykucnęła Ruth.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i ścisnęła skaleczenie tak, że krew spłynęła po nodze. Powiedziała: — Jeszcze bardziej krwawi, Terry.

Rachaela poczuła dziwne, ogarniające ją przerażenie, wibrujące w niej tak głęboko, że ledwo poznała, co to jest. Milczała.

Panna Barrett, odczekawszy chwilę na spodziewany komentarz, powiedziała:

— Czy Ruth robiła kiedykolwiek coś takiego w domu?

— Nie.

— Może to nigdy się nie powtórzy i nie utrwali. Ruth przewraca się, co jest normalne w jej wieku, i ma liczne zadrapania, ale nigdy nie widziałam, by było to jakieś poważniejsze skaleczenie, z którego leje się krew. Czasami dzieci są zafascynowane krwią.

— Tak.

— Może powinna pani porozmawiać z córką. Albo może omawiała z nią pani kwestię miesiączkowania. Czasami właśnie to wyzwala te osobliwe zainteresowania.

— Nie.

— No tak, jest trochę za wcześnie.

— Co się stało? — zapytała Rachaela. — Chodzi mi o tego chłopca.

— A, Terry. Powiedziałaś Ruth, żeby nie zachowywała się jak głuptas, a jego zabrałam do pielęgniarki. Ruth czasami bywa, no cóż, nieco dziwna. Proszę zwrócić uwagę na jej rysunki. Albo inny przykład: gdy prosimy dzieci, by opowiadały bajki czy odgrywały wymyślone scenki, pomysły Ruth zawsze są raczej makabryczne. Czasami zastanawiam się, skąd je bierze. — Panna Barrett zza szkieł okularów Przeszyła Rachaelę podejrzliwym wzrokiem.

- Nie cenzuruję jej lektur.— No cóż, może powinna pani być bardziej surowa. Należy zwracać uwagę na zachowanie i upodobania dziecka.

Rachaela przypomniała sobie rysunek przypięty w mieszkaniu Emmy.

— Ale opowiada im pani o ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa?

— Tak, oczywiście. Na lekcjach religii.

— To również dość ponury temat, a Ruth go namalowała.

— Cóż, muszę przyznać — zaczęła panna Barrett, starając się nie patrzeć na majtki Denise — że dzieci bywają dosłownie spragnionymi krwi małymi dzikusami. Potrafią bez przerwy wypytywać o gwoździe. — Poweselała, odzyskawszy pewność siebie. — I to byłoby tyle.

Pomyślałam, że powinna pani wiedzieć i nie spuszczać Ruth z oka.

— Dziękuję.

— Nie ma za co — powiedziała panna Barrett.

— Typowa kobieta — mruknęła Jonquil z dezaprobatą, gdy panna Barrett wyszła z księgarni.

Ruth rysowała za parawanem, gdy Rachaela wróciła do domu. Zdjęła płaszcz, umyła ręce i mechanicznie zaczęła przyrządzać jedzenie.

— Jak ci poszło dzisiaj w szkole? — zapytała. Chwila milczenia, być może będąca wyrazem zdumienia.

— Dobrze.

— A wczoraj?

— Też dobrze.

Rachaela pomyślała o swojej matce, o jej ciągłym zrządzeniu i pouczaniu przy stole. Posiłki nie powinny mieć charakteru przesłuchania.

Powoli przewróciła steki.

Wieczorem jadały razem. Stek dla obu; tłuczone ziemniaki, pomidory

i groszek dla Ruth; sałata i awokado dla Rachaeli.

Po przygotowaniu jedzenia Rachaela zawołała Ruth do stołu. Jadły w milczeniu. Dzielił je rysunek, do którego, między kęsami, Ruth dodawała jedną czy dwie kreski. Widziany do góry nogami obrazek wyglądał złowieszczo, był to posępny krajobraz pod zachmurzonym niebem, z jamy wypełzało jakieś zwierzę.

— Co wolisz, szarlotkę czy lody?— Jedno i drugie proszę.

Ruth zawsze była grzeczna. Była również łakomym dzieckiem. Nawet po wyjeździe Emmy nie straciła apetytu, choć pozostawała szczupła. Jednakże w ciągu kilku minionych tygodni Rachaela zaczęła dostrzegać u dziewczynki rysujące się piersi. Ruth miała zaledwie dziewięć lat. Znow trzeba będzie wszystko kupować, łącznie z małeńkimi stanikami. Czy Ruth czuła się skrępowana? Rachaela nigdy nie widziała jej w kąpieli.

Po jedzeniu Rachaela zmyła naczynia i zaparzyła kawę, a Ruth wycofała się za swój parawan.

— Masz zadaną jakąś pracę domową? Znow chwila milczenia, może zaskoczenia.

— Nie.

— Przyjdź tu na chwilę, Ruth. Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Co zrobiłaby Emma? Emma, z całym swym doświadczeniem, być może nie przejmowałaby się. „Wszystkie dzieci przez to przechodzą. Nie pamiętasz, jak sama byłaś mała? Nie zwracaj na to uwagi. To mnie”.

Ruth wyszła z obrzkiem. Usiadła przy stole i zabrała się do rysowania.

— Opowiedz mi o Terryem Porterze — poprosiła Rachaela. Cisza. Wreszcie Ruth powiedziała:

— Nie lubię go.

— Dlaczego?

— Przeżywa mnie.

— Jak?

— Że nie mam taty. Że wyklulałam się z jaja.

— Oczywiście, masz ojca. Nie mieszka z nami, to wszystko. Emma mówiła ci o tym.

Imię Emmy zostało zignorowane.

Jak wstrętne pomysły był Terry Porter, mówiąc Ruth, że wylęła się z jaja. Może słyszał jakąś wzmiankę o sposobie zapłodnienia?

— Byłaś więc zadowolona — powiedziała Rachaela — kiedy Terry Porter skaleczył się w nogę. — Ruth milczała. — Dlaczego ścisłaś mu ranę? Żeby go przestraszyć? — Ruth rysowała bez słowa. Krajobraz, jak wszystkie pustkowia, wyglądał znajomo. — Powiedz coś, proszę, Ruth.

— Rana krwawiła.

— Czy to cię zainteresowało?

— Krew była bardzo czerwona.

— Widywałaś krew już wcześniej — powiedziała Rachaela. Widywała? Musiała, urodziła się we krwi.

— To była bardzo czerwona krew.

Czy w tym stwierdzeniu zabrzmiała rozkosz? Czy może było w nim pragnienie i budząca się zmysłowość?

Ruth cieniowała fragment z bestią.

— Dlaczego tata z nami nie mieszka?

— Nie chciał.

— Nie mam też babci ani dziadka.

— Nie. Przykro mi. Jesteśmy tylko my.

— Oni też mnie nie chcą? — W pytaniu nie zabrzmiała skarga. Było ono brutalnie rzeczowe.

*Nie chciałam cię. Nie chcę cię. Jesteś małym zwierzątkiem, wprowadzającym zamęt w moje życie, spodziewającym się, że zostanie nakarmione i ubrane, że będzie chodziło do szkoły i dostawało prezenty. Że należy o nim myśleć. Nie tak sympatycznym, jak kot. Skóra, włosy i głos, to wszystko.*

Ale Scarabaidzi *chcieli* Ruth. Och, jak najbardziej.

Skłamać? Starła się nie okłamywać dziecka, nawet gdy nie chciała powiedzieć prawdy.

— Sądzę, że nie mieliby nic przeciwko tobie, ale decyzja nie należała do nich.

— Mam babcię?

— Może. — Czy Anna była matką Adamusa, jak Rachaela podejrzewała? — Ale oni są bardzo, bardzo daleko.

— Jak Emma — powiedziała niespodziewanie Ruth.

— Dużo dalej.

— Nie piszą do mnie. . . .

— Nie.

— Nie sędzę, żeby im na mnie zależało — stwierdziła Ruth.

Z powodzeniem udało się jej zmienić bieg rozmowy i oderwać Rachaelę od tematu krwi.

— Wracając do Terry Portera — zaczęła Rachaela. — Nie wolno ci robić takich rzeczy. — Ruth nie zapytała, dlaczego. — Rozumiesz, prawda? Musisz uważać, żeby ludzie nie wyrobili sobie o tobie złego zdania. Nie ufaj nikomu. Nie zdradzaj się. Próbuj zachowywać się jak inni.

Ruth skubała kredkę.

Rachaela, kierowana instynktem, podniosła rysunek i obejrzała go.

Ruth narysowała wrzosowiska, wrzosowiska Scarabaidów, smocze łąki i smoka wychodzącego z jamy, aby zabić rycerza. Na zboczu wznosiła się dziwnie ukształtowana skała — czyżby stojący kamień?

— Co podsunęło ci taki pomysł? — zapytała Rachaela.

— Nie wiem.

Ruth w końcu podniosła głowę i przeszła ją ostrymi, roziskrzonymi czarnymi oczyma. Jej gładka, mlecznobiała twarz sprawiała wrażenie starożytnej maski.

— To bardzo dobry rysunek.

— Dziękuję.

Rachaela oddała wrzosowiska i smoka. Gdy szła przez to miejsce, nosiła w sobie załóżek Ruth, to coś, co stało się jej córką. Co jeszcze zobaczyło to dziecko?

— Mamusiu — zapytała nagle Ruth — możemy mieć kota?

— Nie, chyba nie. Przykro mi, ale tu nie ma ogródka, a my przez cały dzień jesteśmy poza domem.

Nie chciała, żeby Ruth miała kota. Nie wiedziała, dlaczego. Z pewnością nie zrobiłaby mu krzywdy, bowiem zawsze głaskała koty na murkach. Rachaela widziała to. Chodziło o coś innego.

Ruth nie płakała ani nie próbowała przeforsować swego zdania.

Zabrała wrzosowisko i udała się z powrotem do swego kącika.

Burza szalała nad domem.

Rachaela śniła, że pochyła się nad nią Adamus, a jego czarne włosy spływają mu na ramiona niczym kaptur. Oświeciła go błyskawica, a wtedy rozpląnął się w powietrzu.

Otworzyła oczy. Ruth siedziała przy oknie i przyglądała się burzy.

Kolejna błękitna błyskawica rozdarła niebo. Dziecko nie przestraszyło się, lecz przysunęło bliżej do szyby.

Ruth obserwowała burze od czasu, gdy miała trzy czy cztery lata.

Burza bombardowała stolicę.

Rachaela wstała i w świetle ulicznej latarni, wpadającym przez nie przysłonięte okna, podreptała do kuchni.— Chcesz się napić? Mleka? Kawy?

— Nie, dziękuję.

Rachaela nie zapaliła światła. Nalała wody do czajnika i zapaliła gaz. Szafranowo-lazurowy płomień rozbłysnął niczym gwiazda w pomarańczowej ciemności. Po niebie znów przemknęła błyskawica.

Gdy piła kawę, coś nakłoniło ją do przejścia na drugą stronę pokoju. Dziecko nie zwracało na nią uwagi. Dotarła do kącika Ruth, zobaczyła koraliki i dzwonki, zegar i rysunki, rozjarzone w kolejnym błysku. Tak wiele światła. Rachaela spojrzała na lustro, które podarowała Ruth na urodziny. Lustro uległo zmianie.

Nie wchodząc, Rachaela wyciągnęła szyję, by mu się przyjrzeć.

— Co zrobiłaś z lustrem?

— Pomalowałam je.

Kolejny wybuch błękitu. Całe szkło było zamalowane: pola i łąki, kwiaty i chmury, i odległa góra we mgle.

Lustro łazienkowe kupiła wkrótce po wprowadzeniu się do mieszkania. Wisiało na dłuższej ścianie. W czasie napełniania wanny para zaczynała osiadać na jego powierzchni. Rachaela wytarła ją. Przez szyby z mrożonego szkła przenikało światło zimowego poranka; ukośne, ostre. Rachaela obejrzała swą twarz i ciało.

Miała czterdzieści lat. Wyglądała tak samo jak wówczas, gdy miała dwadzieścia dziewięć, przed urodzeniem dziecka. Nawet ciąża nie wywarła na jej ciało niszczycielskiego wpływu. Żadnych rozstępów, brzuch i biodra jędrne, białe i gładkie, piersi pełne i jeszcze wysokie, sutki małe i różowe. Szyja, twarz, czoło i policzki bez jednej zmarszczki. Podbródek sprężysty. Ani śladu worków pod oczyma. Twarz i ciało młodej, bardzo młodej kobiety. A w czarnych włosach i w czarnym runie na łonie ani jednego siwego włosa.

Wcale nie cieszyła się z tego powodu. Próbowwała nie dopuścić do tego, by ciało wytrącało ją z równowagi. Była przyzwyczajona do niego, widziała je codziennie. Przyzwyczała się do uwag ze strony Jonquil, takich jak na przykład: „Ale z ciebie dzieciak”. Nawet Denise postarzała się nieco; mając trzydzieści parę lat stała się ociężała i otyła dzięki sutym obiadom, jakie gotowała dla wiecznie głodnego Keitha. Jonquil nie zmieniała się zbyt, jedynie jej skóra jakby stwardniała i pogrubiła, włosy nieco posiwiały, a poza tym zdjęła stalowy kolczyk i zastąpiła go kościanym.

*Prawdopodobnie zestarzeję się nagle.*

To możliwe. Tak zdarzało się w powieściach.

Ludzie nie dostrzegają zmian w wyglądzie, gdy widzą kogoś na co dzień, a kolejne następstwa wieku zachodzą niemal niezauważalnie dla najbliższego otoczenia.



— Jak ty to robisz, że wyglądasz najwyżej na jakieś dwadzieścia osiem lat? — powiedziała jej w zeszłym roku Jonquil, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią.

Dziecko oczywiście zmieniało się.

Ruth wyrastała ze wszystkich swoich ubrań z zastraszającą regularnością. Urosły jej piersi i miała teraz dwa małe staniki, które należało prać ręcznie.

Rachaela znów kiedyś poprosiła Ruth do stołu i wyjaśniła jej sprawę miesięczek, od czasu do czasu pytając, czy rozumie, podczas gdy Ruth zawzięcie rysowała. Matka Rachaeli nie powiedziała jej niczego na ten temat, zamiast tego wręczyła bardzo poważną książkę. Krew popłynęła w środku nocy, Rachaela mimo lektury i tak była przerażona. Musiała obudzić matkę; poprosiła ją o podpaski i wysłuchiwała jej narzekania. Przypominając sobie własne doświadczenia włożyła podpaski do szuflady z bielizną córki, w jej obecności.

Ruth nie okazała ani oburzenia, ani zainteresowania.

— Słyszałam o tym w szkole.

— Od nauczycielki?

— Od jednej dziewczyny.

Rachaela poczuła, że ma obowiązek powiedzieć:

— Powiedz mi, kiedy się zacnie.

— W porządku.

Jak wyglądała Ruth bez ubrania? Rachaela nigdy nie widziała jej nagiej. Dziewczynka wieczorem wchodziła do łazienki w spódniczce i bluzce, a wychodziła w nocnej koszuli.

Rachaela również spała w koszuli. Obyczajność Ruth wywarła na nią pewien wpływ.

Wanna była pełna.

Rachaela pozwoliła, by lustro znów zasnuło się parą, i weszła do wody.— Cześć, spóźniłaś się — przywitała ją Jonquil, gdy Rachaela weszła do sklepu. — Mała dezorganizuje ci życie? Jest już w szkole drugiego stopnia?

— Pójdzie w przyszłym roku, jak będzie miała jedenaście lat.

— Przypuszczam, że uwzględniłaś to w swoich planach?

— Wszystko zależy od jakichś testów — odparła niezobowiązująco

Rachaela. Była przyzwyczajona do udzielania odpowiedzi na pytania dotyczące dziecka, choć być może dla Jonquil było ono jedynie abstrakcyjnym pojęciem.

— Rozumiem — powiedziała Jonquil. — Przywykłyśmy do starego systemu, ale teraz wszystko jest inaczej. Człowiek nie zawsze o tym pamięta.

Rachaela zrobiła sobie kawę i zaparzyła herbatę dla Jonquil, która kręciła się wokół z zaferowaniem. Kiedy usiadły, Jonquil poderwała się niespokojnie.

— Jesteś tutaj już dość długo, prawda, Reach? Ile — pięć lat?

— Trochę dłużej.

— Denise także. Biedna stara Denise z tym swoim strasznym facetem! Miałam nadzieję, że zostawi ją w spokoju, ale on wie, gdzie mu będzie najlepiej. — Jonquil wypila nieco herbaty i westchnęła hałaśliwie. — Obawiam się, że musimy zamknąć sklep.

Rachaela spojrzała na nią. To było do przewidzenia od samego początku. Mogła być tylko zaskoczona, że księgarnia trzymała się tak długo.

— Przykro mi — powiedziała.

— Tak. To wstyd. Ale tutaj nigdy nie cieszyłyśmy się zbyt wielkim zainteresowaniem. Cholerna dziura. Mam okazję przenieść się z grupą kobiet do Manchesteru. Jestem więc ustawiona, ale ty i Denise znajdziecie się na bruku. Dasz sobie radę?

— Och, znajdę sobie coś innego.

— Na przykład robotę posługaczki albo latanie naokoło jakiegoś cholernego samca w biurze.

— Prawdopodobnie.

— Żałuję, że nie mogę nic zrobić.

— Kiedy zamykasz?

— Pod koniec miesiąca. To paskudna pora. Niedługo będzie Boże Narodzenie. Ale to da ci więcej czasu na zajęcie się dzieciakiem.

— Tak. Uspokojona wystrzeleniem swojej bomby, Jonquil zaczęła krzątać się po zaniedbanym sklepie, przeglądając książki.

To nie był koniec świata. Dzięki wieloletniej dobroczynności Emmy Rachaela zdołała zaoszczędzić trochę pieniędzy; odsetki pójdą na

pokrycie niezbędnych wydatków i pozwolą przeżyć może do końca roku. Utrzymanie dziecka oczywiście nie było tanie, ale chyba nie będzie musiała kupować nowych ubrań czy książek.

Lyle i Robbins znów ogłaszali, że poszukują personelu. Może dobrze byłoby załapać się u nich. Albo w tym antykwariacie na Beaumont Street; pracowała tam tylko jedna roztrzepana kobieta, która zawsze zamykała „na dziesięć minut”.

Nie ma problemu.

Rachaela przypomniała sobie zwolnienie przez pana Gerarda, które tak znacząco wpłynęło na jej losy.

Teraz wszystko będzie inaczej. A może to ona się zmieniła?

W czwartek, gdy Rachaela wróciła z pracy i siedziała w fotelu, słuchając muzyki baletowej Czajkowskiego, rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam?

— Och, pani Day, to ja, panna Barrett. Przypomina mnie pani sobie?

— Nie, niestety nie.

— Ze szkoły Ruth.

— Tak?

— Muszę z panią o czymś porozmawiać.

Rachaela przypomniała sobie spotkanie przed ponad rokiem, pannę Barrett i jej wyszorowaną do czysta twarz oraz nieodłączne okulary. Powodem najścia był wtedy Terry Porter i jego kolano.

— Niech pani wejdzie.

Panna Barrett weszła do mieszkania. Miała na sobie truskawkowo-czerwony płaszcz z białym futrzanym kołnierzem, żółty wełniany kapelusz i brązowe futrzane rękawiczki bez palców. W rękę trzymała różową parasolkę.

— Och, pani Day. Tak się cieszę, że panią zastałam.

— Proszę, niech pani siada. Panna Barrett usiadła w fotelu, a Rachaela na jednym z twardych krzeseł przy stole.

Panna Barrett zdjęła rękawiczki i kapelusz.

— Ale paskudny dzień. Nie byłabym zdziwiona, gdyby zaczął padać śnieg.

— Co Ruth zrobiła tym razem? — przerwała jej bezceremonialnie

Rachaela.

— Och, moja droga pani! Tego rodzaju rzeczy są zawsze kłopotliwe. Pan Walker doszedł do wniosku, że skoro byłam u pani wcześniej, to będzie najlepiej, gdy to ja porozmawiam z panią raz jeszcze. Nie lubimy robić tego zbyt często. Oczywiście, dopóki nie dzieje się nic niewłaściwego.

— Co Ruth zrobiła?

— Prawdę mówiąc, chodzi o to, czego nie zrobiła — czego nie robi. Nie przychodzi do szkoły, pani Day. Zakładam, że nie zatrzymuje jej pani w domu, nie zawiadamiając nas? Rozumie pani, zawsze musimy mieć usprawiedliwienie. Zdaję sobie sprawę, że o tej porze roku przeziębienia są dość powszechne.

— Ruth nigdy nie choruje.

— Nie? Wobec tego nie ma jej tutaj?

— Nie.

— Pani Walker jest przekonana, że widziała Ruth w domu towarowym Woolwortha.

Co za banalne miejsce na wagary! Dlaczego u Woolwortha? Czasami, kiedy Rachaela robiła zakupy w sobotę w porze lunchu, Ruth szła tam razem z nią, lecz nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania zabawkami, słodyczami czy hałaśliwym działem muzyki rozrywkowej.

— Pani Walker uważa, że Ruth się maluje — kontynuowała panna Barrett, która nawet nie pudrowała twarzy. Jej nie umalowane usta i oczy były szeroko otwarte ze zgorzienia.

— Możliwe — powiedziała Rachaela, przez chwilę prawie zaintrygowana. Sama robiła coś podobnego, gdy urywała się ze szkoły na wagary, ale miała wówczas trzynaście czy czternaście lat.

— Rzec w tym, pani Day, że to bardzo poważna sprawa. Musi pani koniecznie porozmawiać z Ruth i wymusić na niej przychodzenie do szkoły. W tym miesiącu ma już kilka dni nieobecności. W przyszłym roku czekają bardzo ważny egzamin i należy poświęcić mu maksimum uwagi. Ruth jest wielką marzycielką. Jest utalentowana w dziedzinie sztuk plastycznych, aczkolwiek niektóre rysunki... no cóż. Ale musi się przyłożyć do nauki. Należy zwracać na nią baczniejszą uwagę.

— Porozmawiam z nią.

— Ruth musi chodzić do szkoły. Jeżeli nie, pan Walker będzie zmuszony wyciągnąć konsekwencje.

— Rozumiem.

Panna Barrett poróżowiła z przejęcia.

— Przekreśli jej szanse na kontynuowanie nauki — dodała. — Szkoła była dla niej bardzo ważna, stanowiła osłonę przed chaosem świata. — Panna Barrett wyglądała na autentycznie przerażoną.

Rachaela nie zaproponowała niczego do picia i nie odprowadziła jej do drzwi. Patrzyła, jak naciąga śmieszne rękawiczki i upodabnia się do zabawnego, kolorowego niedźwiedzia.

— A gdyby musiała zostać w domu — powiedziała na odchodnym panna Barrett — naprawdę niezbędne jest usprawiedliwienie.

Rachaela, jedząc swój lunch — pomidory na toście — wyobraziła sobie Ruth pałaszującą kanapki na jakimś murku czy na ławce w parku.

W końcu znudziła ją szkoła. Rachaela wiedziała, że Ruth umie dobrze czytać, ale kompletnie nie radzi sobie z matematyką. Tak było w czasach Emmy i obecnie, ponieważ raz czy dwa razy Ruth prosiła Rachaelę o rozwiązanie jakiegoś arytmetycznego zadania, z którym, nawiasem mówiąc, Rachaela również nie potrafiła sobie poradzić. Ruth miała problemy nawet z dodawaniem. Niedawno Rachaela zapytała:

— Ile jabłek tu leży? Ruth wbiła oczy w paterę.

— Nie wiem, mamusiu.

Na paterze leżało siedem jabłek.

Ruth zawsze płaciła w sklepie monetą albo banknotem o dużym nominale. Drobne przynosiła Rachaeli, by ta zamieniła je na pięćdziesięciopensówki i funty.

Może pobłażanie dla Ruth tylko dlatego, że Rachaela sama chodziła na wagary, nie było rzeczą właściwą.

Mimo to, obserwując gasnący krótki dzień, z lekkim rozbawieniem czekała na córkę, która przyjdzie do domu punktualnie, jak gdyby po prostu wracała ze szkoły.

Dziecko pojawiło się na zimnej ulicy. Rachaela pomyślała o dniu, kiedy widziała ją na śniegu, o dniu, w którym Emma wyparowała z ich życia, żegnana wymuszonymi uśmiechami. Biedna, pożyteczna Emma.

Jakże odmieniona była teraz Ruth.

Już nie plotła warkoczy, rozpuszczone włosy spływały w dół pleców do podstawy kręgosłupa. Były gęste i prawie kruczoczarne, z połyskiem melasy. Nie nosiła już ani czapki, ani rękawiczek. Białe dłonie o długich palcach pianistki bawiły się guzikami ciemnoniebieskiego płaszcza. Na plecach niosła bezsensowny tornister. Mimo tego oszukańczego szkolnego rekwizytu, białych podkolanówek i dziecięcych bucików, Ruth wyglądała jak małeńka kobieta: karliczka nie tyle wdzięczna, co szybka, obdarzona dziwną, bladą twarzą elfa.

Kiedy drzwi mieszkania otworzyły się, Rachaela siedziała przy stole.

- Cześć, Ruth.
- Cześć, mamusiu.
- Odłóż tornister, zdejmij płaszcz, chodź tutaj i usiądź.
- Co jest na podwieczorek?
- Nie myślałam o tym.
- Mogę dostać frytki?
- Jadłaś je wczoraj.

Ruth podeszła do stołu. Była ubrana w ciemnoszarą spódniczkę, błękitną bluzę i szkarłatną bluzkę. Rachaela pozwalała, by Ruth sama dobierała kolory. Z pewnością dziewczynka miała lepszy gust od panny Barrett.

- Nie byłaś w szkole — powiedziała Rachaela.
- Ruth spojrzała na nią badawczo. Nie próbowała kłamać.
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie lubię szkoły.
- Lubiałaś ją wcześniej?
- Kiedyś szkoła była w porządku.
- A teraz nie? Ruth milczała.
- Czy dokuczają ci inne dzieci?
- Nie.
- Przyszła tu dzisiaj kobieta ze szkoły. Niejaka panna Barrett.
- Betty Barrett.
- Widziano cię u Woolwortha.
- Och.— Dlaczego tam?

— Padało.

— A co robisz, gdy nie pada?

— Chodzę — Ruth milczała przez chwilę, po czym powiedziała: — Chodzę na ten wielki cmentarz i oglądam nagrobki. — Po chwili dodała: — Czasami wsiadam do autobusu. I jeżdżę, nieważne gdzie. Zawsze pilnuję, żeby wrócić na podwieczorek.

— Tak, wiem.

— Czy chcesz powiedzieć, że muszę chodzić do szkoły? — zapytała Ruth. Miała beznamiętny wyraz twarzy. Nie posądzała Rachaeli o współpracę ze szkolnymi władzami, mimo pewnej obcości uważała ją za kumpla.

— To zależy od tego, czego ty chcesz.

— Nie chcę niczego — odparła Ruth.

— Jeżeli nie będziesz się uczyć, nigdy nie dostaniesz lepszej pracy. Spodziewam się, że już ci o tym mówiono w szkole.

— Pytali, kim chcemy być.

— I co powiedziałaś?

— Ze bibliotekarką.

— Poważnie?

— Nie.

— Jeżeli naprawdę ci nie zależy — powiedziała Rachaela — nie zamierzam cię zmuszać. — Wspomniała skrzywioną z wściekłości twarz matki: *weź się w garść, bo skończysz w rynsztoku. Będziesz chodziła do szkoły, słyszysz? Nie mam zamiaru wstydzić się za ciebie, ty cholerna mała bestio.*

— Ale musimy coś uzgodnić — kontynuowała. — Przez pewien czas będziesz musiała chodzić do szkoły. Kiedy będziesz chciała mieć wolny dzień, napiszę ci usprawiedliwienie.

Ruth zastanowiła się. Jej tajemnica została odkryta, prywatność pogwałcona, ale wydawała się godzić z nieuchronnością tego faktu.

— Naprawdę?

— Tak.

— W porządku — skwitowała Ruth. — Dziękuję.

Rachaela siedziała, patrząc na swe dziwne dziecko. Czy Ruth też ją lubiła?

— Chesz spaghetti na toście?

— Z serem?— Z serem.

Rachaela wstała i udała się do kuchni, by przygotować jedzenie. Ruth poszła za nią i zatrzymała się w drzwiach.

— Co mój tata powiedziałby na to, że nie chodzę do szkoły?

Rachaela znieruchomiała.

— Nie sędzę, by to go obchodziło.

— Czy zobaczę go kiedyś?

Rachaela zmusiła się do spojrzenia w bladą twarz dziecka.

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie byłby zainteresowany, Ruth. Przykro mi.

— Skąd wiesz?

— Bo go znam. Mną też nie był zainteresowany.

— Ale dziadek i babcia...

*Twój dziadek jest również twoim ojcem.*

— Nie ma dziadka i babci. Istnieje jedynie dziwaczna rodzina starych ludzi. Nie chciałabyś ich poznać. Nie spodobałoby ci się.

Czy mogła być tego pewna?

Ruth była uformowana na ich podobieństwo. Ruth zrobiła to, co oni robili.

Zmusiła się, by nie podejmować próby wyobrażenia sobie Ruth w tym domu. W domu, którego obraz przez lata spłówił, ale nadal unosił się, jak bezkształtna chmura mgły, na skraju jej świadomości. Lustra, okna.

— Może bym ich polubiła. Nie mam nic przeciwko starym ludziom — powiedziała Ruth.

— Mieszkają bardzo daleko stąd.

— Nie mogę do nich jechać?

— Nie, Ruth.

— Ale ja chcę.

Jak doszło do tej rozmowy? Rachaela odłożyła otwieracz i wysypała spaghetti do rondelka.

— Nie, Ruth.

— Śniłam o nich.

Rachaela znów znieruchomiała.



— Co masz na myśli?

— Śniłam o nich i o ich wielkim domu. Szłam korytarzem, otworzyłam drzwi, a oni tam byli. Najwidoczniej w ciągu minionych lat Rachaeli musiało wypsnąć się coś na ten temat. Musiało. Ruth miała swoje fantazje, jak każde dziecko, ale sama by tego nie wymyśliła.

— Nie chcę o tym rozmawiać, Ruth. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek znalazła się w ich pobliżu.

*Trzymaj się z daleka od Scarabaidów.*

Rachaela znów zobaczyła przekrwioną twarz swojej matki.

— Dlaczego? — zapytała Ruth.

— Są szaleni. Wszyscy są szalonymi ludźmi. I swego rodzaju wampirami. Albo przynajmniej tak im się wydaje.

*Nie mów nic więcej.*

— Wampirami? — powtórzyła Ruth. — Takimi jak Drakula?

— Nie jak Drakula. Są po prostu złymi ludźmi.

Poruszyła rondelkiem, czekając na następne pytanie, które nie padło. Kiedy obejrzała się, Ruth już wycofała się za parawan.

*Nie powinnam była tego mówić.*

Za późno.

Wyobraźnia podsunęła jej wizję Adamusa idącego krawędzią dachu w poświacie księżyca, ze wzniesioną bladą twarzą i rozchyłonymi ustami, z kącika których spływał strumyczek krwi. Zdumiała się, czując ostry ból seksualnego pożądania. Po tak długim czasie!

Drżącymi rękoma pokroiła chleb. Czowała jak stare, podobne do liści ręce wyciągają się ze splotu pajęczyn i barwionego szkła, i muskają ją.

Sklep był ogołocony, książki spakowane w kartony. Część już wysłano.

Denise płakała cicho.

— Przestań, przestań — burknęła Jonquil. — Mam jeszcze trochę wina.

Roześmiały się i piły, przycupnięte na rozklekotanych stołkach. Na zewnątrz przechodnie — już nie klienci — przemierzali wilgotny, ciemny chodnik.

— Pamiętacie tę starszą panią, która przychodziła po Roalda Dahla mówiąc, że jest on kobietą? — wyszłochała Denise.

— Albo tego człowieka, który kupował numery „Fight the Good Fight” Angeli Truebridge?

— A ten miłośnik Angeli Carter?— Albo tę dziewczynę, która nigdy nie знаła nazwiska autorki? Pokiwały głowami, rozpamiętując.

— To była śmieszna, ale dobra, stara robota — powiedziała Denise i przedmuchała nos. — Zaczynam w Co-op od następnego poniedziałku, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Keith jest wściekły. Będzie musiał sam robić sobie śniadania.

— Leniwy sukinsyn — skomentowała Jonquil. — Dobrze mu to zrobi.

— Ale robi mi taki bałagan — zawodziła Denise. — I nigdy po sobie nie zmywa.

— To z nim skończ.

— No cóż, w zeszłym tygodniu znowu spotkałam świetnego gościa na przystanku. Widuję go co wieczór.

— Z deszczu pod rynnę —mruknęła Jonquil. — Nigdy się niczego nie nauczysz.

— Co ty będziesz robiła, Rachaelo?

— Jeszcze nie zdecydowałam.

— Gdybyś chciała przyjechać do Manchesteru — powiedziała Jonquil — po prostu daj mi znać. Będziesz mogła spać u jednej z dziewczyn, póki nie znajdziesz sobie jakiegoś mieszkania.

Dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed wystawą i zerknęli na oświetlone kobiety, butelki i puszki carlsberga. Uśmiechali się szyderczo i kiwali głowami, dopóki Jonquil zdecydowanym krokiem nie ruszyła w stronę drzwi.

— Śmieci — warknęła, gdy uciekli. — Powinien być dla nich jakiś kosz.

— Muszę iść — powiedziała Rachaela, zsuwając się ze stołka. — Zrobić Ruth kolację. Uprzedziłam, że wrócę później, ale już jest siódma.

— Tak, w porządku, Reach. Leć.

Denise objęła Rachaelę, zalewając jej twarz świeżymi łzami.

— Zajrzyj do Co-op. Dam ci rabat.

Jonquil potrząsnęła ręką Rachaeli. Jej bladoszare oczy miały zrezygnowany wyraz.

— Jeżeli kiedyś będziesz w Manchesterze, zajrzyj.

Patrzyły za nią, gdy roztapiała się w czarnej i deszczowej nocy. Długie barwne strzały światła neonów odbijały się na nawierzchni. Z dala od ciągu sklepów blask ulicznych latarni rozlewał się u ich stóp niczym rozlane mleko.

Padał ulewny deszcz, próbujący przemienić się w śnieg. Wiał silny wiatr.

Oświetlone okna i toczące się za nimi życie. Jakże często je mijala, w deszczu i słońcu, w letnie ciepłe wieczory, w kurzu i smrodzie spalin, w białym śniegu, gdy każdy krok groził skręceniem nogi.

Na jednym czy dwóch drzewkach już wisiały girlandy kolorowych żarówek. Z tamtego błękitnego okna dobiegała ta sama stara melodia „Merry Christmas”, która pojawiała się uparcie rok po roku.

Wkrótce trzeba kupić urodzinowy, a potem gwiazdkowy prezent dla Ruth. Jonquil wcisnęła Rachaeli kilka książek, nieodpowiednich dla nikogo. Równie dobrze mogła oddać je do domu starców.

Czyjeś kroki za plecami.

Nieważne.

Pewnej nocy jakiś pijak, zataczając się niepewnie, brnął za nią przez całą długość Rosamunde Street. W pewnej chwili złapał ją za rękę. Wyszarpnęła się. — Co jest, kochanie? — wybełkotał, ona zaś pchnęła go mocno. Pijak stracił równowagę i upadł. — Cholerna dziwka! Pierdolona kurwa! — wykrzykiwał, ale na tym poprzestał.

Na ogół dookoła byli nieszkodliwi ludzie, może ukrywający swoją deprawację, ale nie stanowiący zagrożenia dla samotnej kobiety w drodze do domu.

Teraz zobaczyła mężczyznę z psem, idącego z przeciwnej strony. Samochody warczały w strugach wody.

Ten za nią ani jej nie wyprzedzał, ani nie skręcił.

Szedł bardzo cicho. Skądś znała taki krok, jego znaczenie.

Poczuła skurcz żołądka. Była głupia.

Mężczyzna z psem podszedł bliżej i minął ją.

Miała w zasięgu wzroku światła na skrzyżowaniu przy końcu Beaumont Street. Zielone, bursztynowe, czerwone.

Czarny śnieg wirował jej przed twarzą.

Było tak jak wcześniej. Jak wtedy, gdy na nią polowano.

Nie, to było absurdalne. Jak mogliby ją odnaleźć?

Doszła do świateł i musiała poczekać. Neony i wystawy sklepowe mrugały feerią kolorów. Mogła odwrócić się, spojrzeć na ciemną ulicę i zobaczyć, kto za nią idzie.

Był tam. Mężczyzna stojący o kilka kroków dalej. Tkwił niezdecydowanie, jak gdyby próbował odczytać doskonale widoczne numery na frontonach domów.

Serce jej przyspieszyło.

Niski mężczyzna w ciemnym płaszczu i pilśniowym kapeluszu.

To było przerażająco głupie. Przecież nikt nie nosił bez przerwy tych samych ubrań, nie przez jedenaście, dwanaście lat. Ludzie musieli się zmieniać.

Ona była taka sama. Lustro jej to mówiło.

Ale ona nie podlegała zmianom.

Pomyślała o zieleńcu przed domem i o nieoczekiwanej postaci. *Wiesz, że musisz iść.*

— Odejdź — powiedziała, ale on wrócił później i podał jej ten list, napisany na maszynie przez Adamusa, list od Scarabaidów.

Był zbyt daleko, by mogła stwierdzić, czy ma tę samą cudzoziemską twarz, na której być może nie przybyła ani jedna zmarszczka, i jakby zamrożone, niewidzące oczy.

By zyskać pewność, musiałaby przyjrzeć mu się z mniejszej odległości. Ale czy nawet wtedy będzie mogła zaufać swej pamięci?

Nieemożliwe, nie mogli odnaleźć jej tym razem. Nawet gdyby próbowali przez te wszystkie minione lata. Odrzucała od siebie taką możliwość.

Światła zmieniły się i samochody zahamowały niechętnie.

Rachaela przeszła na drugą stronę ulicy.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że mężczyzna zatrzymuje się niepewnie przed skrzyżowaniem i przecina je tuż przed ruszającymi samochodami.

Zmierzał w tym samym kierunku, co ona. Topniejący śnieg skrzył się na jego kapeluszu jak cekiny.

Rachaela szła wzdłuż Beaumont Street. Na frontonie „Pizza Eater”

płonęły jaskrawe światła. Zastanowiła się, czy nie wejść na drinka. Nie, przypomniała sobie, że w pizzerii nie serwują samych drinków. Zatem dokąd pójść? Musi gdzieś się zatrzymać, by zobaczyć, co robi ten mężczyzna.

Chyba to jednak wyłącznie zbieg okoliczności. Mężczyzna był jakimś przypadkowym przechodniem, który skojarzył się jej z agentem Scarabaidów. To wszystko.

Zbliżyła się do otwartej pralni. We wnętrzu jaśniało martwe, białe światło.

Usiadła na jednym z krzeseł i czekała, aż człowiek w pilśniowym kapeluszu zbliży się, zobaczy ją i wejdzie.

Z zakamarków pralni wyłoniła się jakaś kobieta.

— W czymś pani pomóc?

— Czekam tylko na przyjaciółkę. Kobieta podejrzliwie zmierzyła ją wzrokiem.

— Nie pierze pani?

— Nie.

— No cóż, przypuszczam, że pani wie, co robi.

Zaczęła wyjmować ubrania z otwartej pralki. Para skarpetek i majtki upadły na podłogę.

Mężczyzna pojawił się wreszcie. Przesunął się po drugiej stronie szyby, nie zaglądając do środka, i odszedł w noc.

Blask padający z pralni oświetlił go niczym lampa łukowa. Poznała człowieka, którego spotkała przed tyloma laty. Była tego pewna. *Pewna.*

Rachaela wstała.

— I co, już? — zaszczebotała kobieta, upuszczając kolejną skarpetkę.

Rachaela wyszła w połyskującą ciemność, będącą mieszaniną zacinającego deszczu oraz światła z okien, latarni i samochodowych reflektorów.

Gdzie on jest? Zniknął.

Przywołała w wyobraźni jego twarz. Był po prostu jakimś zwyczajnym, przypadkowym przechodniem. Scarabaidzi. Nie mogła przestać o nich myśleć i dlatego dopasowała nieznanego do swoich wspomnień.

Przecież to niemożliwe, żeby znów na nią polowali. Żeby nadal chcieli ją usidlić.

Sunęła ostrożnie ulicą.

Ludzie przemykali szybko w deszczu ze śniegiem.

Rachaela skręciła w lewo i przyspieszyła. Znalazłszy się z dala od światła, na pogrążonym w cieniu fragmencie chodnika, przystanęła i rozejrzała się wokoło. Na ulicy prócz niej była jedynie kobieta z parasolką i rowerzysta sunący ze zmęczeniem przykrawężniku. Za czerwonym oknem nad głową kryło się coś pospolicie przyjemnego — albo wręcz przeciwnie. Rachaela ruszyła spieszenie do domu.

Kiedy otworzyła drzwi, w mieszkaniu nie paliło się światło, ale czasami Ruth lubiła siedzieć po ciemku.

Rachaela podeszła do jednego z okien. Było otwarte, wilgotne zasłony falowały w podmuchach wiatru.

Rachaela zamknęła okno.

Stała w ciemności, wyglądając na ulicę.

Od czasu do czasu przejeżdżał samochód. Przeszedł mężczyzna, ale nie ten, którego widziała.

O ile mogła dojrzeć, nikt nie czał się w bramach, nikt nie krył się w cieniu.

Czuła się zdrętwiała; była całkowicie, niepokojąco wytrącona z równowagi.

Odwróciła się i zapaliła lampę.

Za parawanu Ruth dobiegło rozespiane westchnienie.

— Cześć, Ruth. Ruth wyszła.

Była owinięta błękitno-zielonym szalem, odsłaniającym nogi i śnieżnobiałe ramiona. Przez oczka szala prześwitywała jej biała, naga skóra. Nie miała na sobie nic poza tym. Włosy spływały jej po plecach i stroszyły się, naelektryzowane.

Na twarzy miała makijaż, nie amatorski, jak można byłoby się spodziewać, ale zrobiony bardzo umiejętnie. Przypominała wymalowaną lalkę. Czarne jak węgiel powieki, rzęsy pociągnięte czarnym jak sadza tuszem, usta bezbłędnie zarysowane i czerwone jak jagody ostrokrzewu.

Wyglądała tak, jakby została wyrwana ze snu. Jednakże emanowała z niej jakaś niesamowita energia, była jak przewód pod wysokim

napięciem. Nie spała.

Rachaela odzyskała mowę.

— Czy to taki makijaż miałaś wtedy, gdy widziano cię u Woolwortha?

— Tak — odparła uprzejmie Ruth. Nie była ani zakłopotana, ani zaniepokojona.

— Wykonałaś go bardzo starannie.

— Tak.

— Co robiłaś?

— Czekałam.

Oczywiście, że czekała. Rachaela wróciła z księgarni później niż zamierzała.

Ale czy Ruth na pewno to miała na myśli? Czy czekała na swoją matkę?

— Dlaczego otworzyłaś okno?

— Żeby wpuścić noc.

Może był to cytat z jakiejś książki. Ruth nie okłamywała Rachaeli, ale też nigdy nie mówiła całej prawdy. Jednakże prawda zawsze była oczywista.

Wampir. Ruth wymalowała się jak jakiś wampir z horroru, który być może udało się jej obejrzeć, albo skopiowała jakąś ilustrację, znaną w wypożyczonej z biblioteki książce. Odgrywała rolę.

A potem położyła się w ciemności, mając na sobie jedynie cienki szal, otworzyła okno, by wpuścić noc i czekała.

Rachaela znów wyobraziła sobie człowieka w czarnym płaszczu, wspinającego się po ścianie domu. Tym razem nie odczuła seksualnego niepokoju, a jedynie wewnętrzne zimno.

Czy o tym fantazjowała Ruth? O Drakuli wchodzącym po murze do okna, by wziąć ją w swoje posiadanie?

Zapaliła elektryczny kominek, bo pokój był okropnie wyziębiony, jak gdyby wisiały w nim setki sopli. Poszła do kuchni, umyła ręce i zaczęła szykować bekon na kolację.

Ruth w milczeniu wróciła do swego kąca.

Kiedy pojawiła się ponownie, była ubrana w nocną koszulę i szlafrok. Udała się do łazienki i Rachaela usłyszała szcęk otwieranego

pojemniczka z kremem do usuwania makijażu.

Kiedy wyszła, miała dokładnie umytą twarz. Pozostała jedynie jej naturalna czerń i biel.

— Nie musiałaś go zmywać — powiedziała Rachaela.

— Już mi nie jest potrzebny. Rachaela usmażyła jej jajko.

— Straciłam pracę w księgarni.

— Czy jutro mogę zrobić sobie wolne?

— Tak, jeśli masz ochotę. Możesz mieć kolejny atak woreczka żółciowego.— Dziękuję.

Ruth usiadła przy stole i zaczęła jeść chleb z masłem. Rachaela podała jedzenie.

Na zewnątrz zaczęły padać wielkie, grube płatki śniegu. Po kolacji Rachaela wstała i podeszła do okna. Odciągnęła zasłony i rozejrzała się bacznie po wyludnionej ulicy.

— Kiedy wychodzisz sama z domu — zaczęła — wiesz, że nie wolno ci z nikim rozmawiać. Pamiętam, jak Emma ci o tym mówiła. To nadal obowiązuje.

— Czasami pytam o drogę.

— W porządku. Ale nie wdawaj się w rozmowy. I gdy musisz o coś zapytać, pytaj kobiety, nigdy mężczyzn.

— Tak, mamusiu.

Rachaela zaciągnęła story. Popatrzyła na Ruth pijącą herbatę przy stole. Wyglądała jak przeciętne dziecko, trochę niezwykle, z cudownymi włosami, bardzo opanowane.

— Nigdy — powtórzyła Rachaela — nigdy nie rozmawiaj z mężczyznami.

Nadeszło Boże Narodzenie. Nie obchodziły świąt, chociaż z Emmą robiły to zawsze. Rachaela podarowała Ruth trzy książki i komplet farb. Ruth dała Rachaeli jeden z typowych dla siebie prezentów, tym razem długą, cynobrowopomarańczową świecę, którą spaliły wieczorem.

Na jedenaste urodziny, jakiś tydzień wcześniej, Rachaela dała jej sukienkę — taką, jaką Ruth chciała, szkarłatną i zieloną — i dziewczynka włożyła ją w dzień Bożego Narodzenia.

Zjadły kurczaka, groszek i frytki, jabłka w cieście i lody.

Za oknami lały się szare strugi deszczu, który zastąpił niedawny



śnieg.

Dzień był skądinąd normalny. Rachaela słuchała muzyki, Ruth malowała. W radio nadawano słuchowisko o Trzech Mędrkach zagubionych na autostradzie M1.

Wieczorem Ruth wykąpała się i wyszła z łazienki w koszuli nocnej.

— Mamusiu.

— Słucham?

— Kazałaś mi powiedzieć.— Co?

— Zaczęło się.

Rachaela przez chwilę nie mogła zrozumieć. Potem się domyśliła.

— Dostałaś okres?

— Tak, mamusiu.

— Poradziłaś sobie?

— Tak, dziękuję.

— Boli cię? Chcesz paracetamol?

— Nie, dziękuję.

— To dobrze.

Ruth stała w milczeniu, patrząc na nią. Rachaela mogła sobie wyobrazić, że Emma złożyłaby dziewczynce gratulacje i wyraziła radość z powodu wejścia do grona kobiet. Ruth zaczęła miesiączkować równie wcześnie jak ona, Rachaela. Bezwiednie pomyślała: *krwawienie*.

— Jestem teraz inna — powiedziała w końcu Ruth.

— Tak. — Rachaela nie mogła wymyślić nic innego. .... Ruth zniknęła za parawanem.

Pod koniec stycznia Rachaela zaczęła pracować u pani Mantini w antykwariacie na Beaumont Street. Pani Mantini chciała, by Rachaela przychodziła jedynie popołudniami i na całą sobotę.

Był to zaskakująco dobrze idący interes, chociaż głównie opierał się na sprzedaży drobiazgów, dzbanków i misek, chińskich piešków, tac ozdobionych starodawnymi fotografiami. Niektóre z nich przypominały Rachaeli albumy Scarabaidów — wyprostowane, jakby woskowe postacie upozowane na tle palm — a jednak przedstawieni na nich ludzie kiedyś żyli, podczas gdy Scarabaidzi wyglądali tak, jakby zawsze byli martwi.

Pani Mantini nie lubiła, gdy Rachaela siadała z książką i czytała w sklepie. Chciała, by zamiast tego odkurzała meble, paliła w piecu i myła okna. W wolnych chwilach dawała Rachaeli do posortowania pudełka z biżuterią czy monetami, zazwyczaj bezwartościowymi drobiazgami, które często sprzedawała za niezłą cenę.

Zarobki nie były wysokie, ale praca całkowicie zadowalająca.

Wiosna nadeszła wcześniej. Ruth przechodziła okres znoszenia do domu kwiatów: żonkili i tulipanów, zrywanych być może w parku czy podkradanych z grobów w czasie dni wagarowania.

— Nie kradnij, bo jeszcze ktoś cię przyłapie — upomniała ją Rachaela. Moda na kwiaty minęła jednak dość szybko.

W miarę wydłużania się dnia Ruth przychodziła do domu coraz później. Często nie było jej, gdy Rachaela wracała ze sklepu.

Czasami Ruth nie jadała w domu, kupując sobie w snack barze beefburgery za zaoszczędzone kieszonkowe.

Ze szkoły przyszedł list mówiący, że notoryczne nieobecności Ruth wpływają na znaczne pogorszenie jej postępów w nauce. Rachaela

wrzuciła go do kosza.

— Jakiś mężczyzna zaczepił mnie na cmentarzu — oznajmiła Ruth, gdy zasiadły do kolacji.

— Co zrobiłaś?

— Nic. Powiedział, że jestem Ruth Scarabaida, a ja oświadczyłam, że nie, nazywam się Ruth Day.

— Nie powinnaś mu odpowiadać.

— Ale on się pomylił.

— W porządku. Co potem?

— Stwierdził, że znał rodzinę mego ojca i zapytał, czy kiedyś ich widziałam. Nie odpowiedziałam, a on wtedy dodał, że nie sądzi, bym ich widziała.

— Co dalej?

— Zaproponował, że kupi mi pepsi, a ja na to, że zabroniłaś mi rozmawiać z nieznajomymi, i odeszłam.

— Poszedł za tobą?

— Nie. Po prostu stał.

— Miał ciemny płaszcz i pilśniowy kapelusz? — zapytała Rachaela.

— Tak. Pomyślałam, że musi mu być gorąco.

Rachaela próbowała uporządkować myśli. Zaczęła dygotać z przerażenia i tłumionej furii. Jak on je znalazł? Czy śledził Ruth? Jak w ogóle śmiał ją zagadnąć!

Przez kilka poprzednich tygodni rozglądała się wieczorami po ulicach, wypatrując pościgu, wyglądała z okna, szukając obserwatorów ukrytych w cieniu. A on i tak skradał się za nimi, niewidoczny. Oczywiście, teraz nie interesowała go Rachaela. Ich pragnienie kontynuacji... dziecko...

— Nie wolno ci — nigdy — zadawać się z tym człowiekiem, Ruth.— Dlaczego?

— On jest zły.

— Wyglądał jak zwyczajny mężczyzna.

— Pracuje dla Scarabaidów.

— Dla mojego dziadka?

— Nie. Dla rodziny. Mówiłam ci, oni są szaleni i niebezpieczni. Było to jak rzucanie kamieni w wodę. Po chwili znikaly, nie

pozostawiając na powierzchni najmniejszego śladu. Rachaela miała wrażenie, że ostrzegając Ruth przed Scarabaidami nie tyle ją powstrzymuje, ile coraz bardziej intryguje. Do licha, co zrobić?

— Myślę, że będzie lepiej, gdy przestaniesz się włóczyć. Albo zaczniesz chodzić do szkoły, albo będziesz zostawała w domu. — *Zamknąć ją, trzymać blisko siebie*, pomyślała.

— Mamusiu, nie chcę chodzić do szkoły.

— Będziesz musiała. Nie chcę, by znów ten człowiek cię zaczepił. Czy powinna iść na policję? Jakiś mężczyzna napastuje moją córkę... Padną dalsze pytania. On jest wysłannikiem ojca pani córki, jego rodziny. Jako ojciec ma do niej prawo. Sytuacja stałaby się jeszcze bardziej skomplikowana i niebezpieczna. Trzymać dziecko w domu. Jak długo? Musi doprowadzić do konfrontacji z tym człowiekiem, przepędzić go. Ale on nigdy nie pokazywał się, gdy Rachaela była w pobliżu Ruth.

— Musisz chodzić do szkoły. Będę cię odprowadzać.

— Nie chcę.

— Wiem. Przykro mi. Ale to poważna sprawa.

— On tylko powiedział, że postawi mi pepsi. Nie poszłam z nim.

— On mógł... nie wiem.

— Już nie będę z nim rozmawiać.

— Ruth, musisz zrobić, co powiedziałam.

*Rób, co ci mówię.* Głos jej matki, pełen złości, bezradny.

Ruth zjadła i odeszła od stołu. Udała się za parawan i wkrótce Rachaela usłyszała znajome poskrzypywanie kredek na papierze.

Rachaela wstała, podeszła do parawanu i zatrzymała się na skraju sanktuarium Ruth.

— Ruth, jeżeli on kiedyś cię zaczepi, gdy będziesz sama, masz zacząć krzyczeć — wrzeszcz tak głośno, jak zdołasz — i uciec. Zrobisz tak?

— Krzyczeć i uciekać — powtórzyła Ruth. Obrzuciła Rachaelę dorosłym, pełnym ironii spojrzeniem.— Dokładnie.

— W szkole słuchaliśmy audycji radiowej. Ten pan powiedział, że córki są podobne do ojców. Jeżeli jestem podobna do swego taty, to też muszę być paskudna.

Rachaela wytrzeszczyła oczy.

Dlaczego próbuje chronić tego potwora? Czyżby zapomniała, kim ona jest? Odgrywa nieodpowiednią rolę matki osłaniającej swoje dziecko — przed czym? Przed wszystkim, co otacza Ruth siedzącą w swym kąciku obwieszonym dziwacznymi rysunkami, kawałkami barwionego szkła, dzwonkami i draperiami. Była to klatka pełna mrocznych i stłumionych barw, a Ruth kulila się w niej niczym biały pająk, wznosząc swą piękną-brzydką twarzyczkę, przesyta czernią oczu Scarabaidów.

Rachaela przełknęła ślinę.

Chciała powiedzieć: rób co chcesz. Porozmawiaj z tym człowiekiem. Zapytaj go o to, co cię interesuje.

— Nie jesteś podobna do ojca. Twój ojciec nie chce ciebie. Rodzina jest wścibska i zaborcza. Nie jesteś im nic winna. Zrób, co ci kazałam.

— Tak, mamusiu — odrzekła ulegle Ruth i schyliła głowę nad rysunkiem przedstawiającym wiedźmę.

Rachaela mogła jedynie odprowadzać Ruth do szkoły; przynajmniej widziała, jak dziewczynka wchodzi w bramę. Po południu musiała wierzyć, że Ruth samodzielnie wróci do domu.

Jednakże czasami Ruth się spóźniała.

— Gdzie byłaś?

Ruth odpowiadała, że albo chodziła po sklepach, albo była w mieszkaniu jakiejś koleżanki, o której nigdy wcześniej nie wspominała. Prawdopodobnie tak właśnie było, ponieważ Ruth nie kłamała, najwyżej unikała odpowiedzi.

— Czy ten człowiek znów się pokazał?

— Nie widziałam go.

— Powiedz mi, gdy go zobaczysz.

Rachaela wkrótce miała dość głupiego odprowadzania dziecka do szkoły. Posyłała Ruth samą i szła za nią w pewnej odległości. Nikt poza nią nie śledził jej ani nie zaczepiał. Ogarnęła ją beżmierna apatia.

Mężczyzna zapewne będzie uparty, tak jak kiedyś, ale wokół zawsze byli ludzie. Nie ośmieli się porwać Ruth, nawet jeżeli takie ma instrukcje, co wydawało się raczej mało prawdopodobne.

Rachaela przestała się tym przejmować. *Nie obchodzi mnie to.* Wszystko zależało od Ruth. Ruth nadal była brzemieniem, a wkrótce

trzeba będzie podjąć decyzję odnośnie szkoły wyższego stopnia, pomyśleć o mundurkach i innych detalach. Ruth w miarę dorastania będzie przysparzała coraz więcej kłopotów. Jak długo Rachaela będzie musiała dzielić życie z tą istotą? Przyzwyczała się do niej, to wszystko. Nie dawało jej to szczęścia.

Na ulicy idź cicho i słuchaj.

Kto wychodzi z bramy? To tylko starszy człowiek z psem.

Skręcając na rogu zajrzyj we wszystkie wnęki i przerwy między domami. Czy ktoś tam jest?

Ruth nie ma w domu. Podejść do okna w ciemności i rozejrzyj się.

Co to?

Tylko mężczyzna w skafandrze.

Gdzie jest Ruth? Znowu u tej Lucile?

Aha, teraz wchodzi po schodach. Szczęk klucza obracającego się w zamku.

Pani Mantini mówi:

— Zamiast czyścić to okno, tylko przez nie wyglądasz.

Kto stoi po drugiej stronie ulicy, w czarnym płaszczu i może pilśniowym kapeluszu?

— Trzeba obsłużyć tego klienta, Rachaelo. Odszedł.

Ale czy na pewno nie śledzi jej, nie obserwuje?

— Ten naszyjnik kosztuje piętnaście funtów.

Drzewa pokryły się delikatną zielenią. Na niebie ociągało się światło zachodzącego słońca.

Ruth siedziała przy stole, jedząc chleb z dżemem.

— Dlaczego nie zaczekałaś? Za dwadzieścia minut będzie kolacja.

— Byłam głodna. Podwieczorki ostatnio są zawsze tak późno.—

To ty zazwyczaj się spóźniasz.

— Chodzę do Lucile. Rachaela spojrzała córce w twarz.

— Widziałaś znów tego człowieka?

— Tak.

— Mówiłam ci, żebyś mi o tym powiedziała.

— Nie zrobił niczego. Nie odzywał się.

— Gdzie on był?

— Przy bramie.

— Szkolnej?

— Tak. Po prostu stał tam, a gdy przechodziłam, **nawet się nie** poruszył. Lucile uważa, że wyglądał zabawnie.

— Nie mów jej, kim on jest.

— Nie mówię Lucile niczego. Ona tylko powiedziała: spójrz na tego śmiesznego staruszka.

Może nie zaczepił jej, bo była z koleżanką — czy to możliwe? Jeśli tak, to znajomość z Lucile przynosi coś dobrego.

Rachaela, stojąc przy oknie, omiotła wzrokiem ulicę. Był tam. Stał naprzeciwko domu, pod lampą, która właśnie w tej chwili stawała się cukierkowo czerwona. Nie próbował się kryć, pokazał się.

— Zostań tutaj — powiedziała do Ruth.

Zbiegła po schodach i wypadła na ulicę. Agent Scarabaidów zniknął. Z okna na górze patrzyła na nią obojętnie biała twarz Ruth.

Pani Mantini zdrapała lakier z paznokcia.

— Miałam zamiar z tobą porozmawiać, Rachaelo, na temat notorycznego spóźniania. Dziś po południu przyszedłeś o pół godziny za późno. To naraża mnie na straty.

— Tak — powiedziała Rachaela.

— Jestem zmuszona prosić, żeby to się nie powtórzyło.

Rachaela zgodnie z poleceniem przeceniła piętnastofuntowy naszyjnik na czternaście funtów i ostrożnie odłożyła go na miejsce, kładąc tabliczkę ceną w dół.

Pani Mantini przeciągnęła palcami po odkurzonej wiktoriańskim lustrze nad kominkiem.

— Należałoby je wyczyścić. Pani Mantini wyszła jak zwykle na dwie godziny, by wrócić w porze zamykania sklepu.

Do antykwariatu wszedł jakiś Japończyk i zapytał o kaczki z chińskiej porcelany. Po jego wyjściu Rachaela wyczyściła lustro sprajem do szkła, który zostawiał oleiste smugi, potem znów zajęła się przecenianiem zawartości szkatułki z biżuterią.

Pani Mantini niespodziewanie powróciła za kwadrans czwarta.

— Będziesz musiała zamknąć sama, Rachaelo. Muszę wyjechać do Brighton.

Po odejściu pani Mantini rozpoczął się przedwieczorny ruch, ale

Rachaela nie miała zamiaru przejmować się rolą. O wpół do piątej, godzinę wcześniej niż należało, zamknęła sklep przed nosem dwojga poważnych klientów.

W drodze do domu ogarnęło ją poczucie wolności. Wyobraziła sobie, jak pani Mantini przedziera się przez zatłoczoną autostradę. Czuła się tak, jakby zniknęła chmura przysłaniająca słońce. Przestała zawracać sobie głowę agentem Scarabaidów. On nie mógł nic zrobić — ona również nie.

Dotarła do domu i wspięła się na trzecią kondygnację. Był pochmurny dzień, zapadał wczesny zmierzch.

Otworzyła drzwi.

W mieszkaniu rozlegał się dziwny hałas. Brzmiał jak płacz dziecka. Od razu wiedziała, że to nie Ruth. Ruth nigdy nie płakała.

Weszła do pokoju i rozejrzała się po mrocznym wnętrzu. Potem zawróciła i zajrzała do kącika Ruth.

Kłęcząca na podłodze Ruth odwróciła się, by na nią spojrzeć. Jej oczy były czarne jak kosmiczna próżnia, ich głębię podkreślał cień do powiek i tusz do rzęs. Była owinięta na grecką modłę w dwa kolorowe szale, a na szyi miała należący do Rachaeli sznur koralików z zielonego szkła. Usta, ciemnoczerwone od szminki, były rozmazane. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby piła krew.

Na łóżku Ruth leżała brązowowłosa dziewczynka, również owinięta szalem. Na jej twarzy widniały ślady makijażu, łagodniejszego, mniej dopracowanego i zdecydowanie nie pasującego do dziecka.

Na jej szyi ciemniał przerażający siniak.

Dziewczynka usiadła.

— Och, pani Day — wydukała, płacząc i pociągając nosem — ona ugryzła mnie w szyję.— Na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Rachaela złapała Ruth za ramię i poderwała ją na nogi.

— Nic. Przebierałyśmy się.

— Co jej zrobiłaś?

— Ugryzła mnie — wyszlochała histerycznie dziewczynka i zaczęła krzyczeć.

Rachaela puściła Ruth. Złapała drugie dziecko, by nim potrząsnąć. Dziewczynka przytuliła się do niej kurczowo, wtulając zasmarkaną i



pomazaną kosmetykami twarz w jej bluzę.

— To była zabawa — wyjaśniła rzeczowo Ruth.

— Czy to ty zrobiłaś jej tego siniaka na szyi?

— Chyba tak.

— Mówiłam jej, żeby przestała — wyjęczała piskliwie dziewczynka, która prawdopodobnie była ową tajemniczą Lucile. — Nie chciała. Robiła to dalej. Leci mi krew?

— Nie, nic ci nie jest. Wszystko w porządku. Chodź do światła, zobaczę.

Wyciągnęła zanoszącą się płaczem Lucile zza parawanu i zapaliła lampę.

Ślad na szyi był purpurowy i dojrzały, jak miłosny pocałunek, ale prezentował się dużo gorzej. Wyglądał okropnie.

— Nie ma się czym przejmować — powiedziała Rachaela. — Przykleję ci plaster.

— Moja mamusia nie pozwoli mi się z nią bawić! — krzyknęła Lucile, a w jej pełnym przerażenia głosie zabrzmiała nuta głębokiego przekonania.

— Myślę, że będzie to bardzo mądre.

Być może zdumienie sprawiło, że wybuch Lucile ucichł do szlochu. Pozwoliła Rachaeli przemyć szyję, posmarować środkiem antyseptycznym i założyć plaster.

Przy odrobinie szczęścia „mamusia” może nie uwierzy w tę wstrętą opowiastkę, zwłaszcza że krwiał zblednie nieco, nim go zobaczy. Poza tym nigdy nie można było mieć pewności, czy dziecko nie fantazjuje. Lucile oczywiście z przyjemnością wszystko wygada.

— Teraz już jest w porządku i myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziesz do domu — poradziła Rachaela. — Znasz drogę?

— Tak, pani Day.

— Najpierw idź i umyj twarz. Lucile posłusznie poszła do łazienki, z której po chwili dobiegł szum wody.

— Nie ugryzłam jej, naprawdę. Nie mogłabym. Nie zrobiłam tego.

— Jesteś szalona. — Matka Rachaeli powtarzała jej to wielokrotnie w przypadku bardziej błahych przewinień. — Co w ciebie wstąpiło? — Głupie pytanie. Doskonale wiadomo, co w nią wstąpiło.

— To była zabawa — powiedziała jeszcze raz Ruth.

— Nie — zaprzeczyła stanowczo Rachaela. — Wiem, że to nie była zabawa.

Ruth spojrzała na nią, mały wampir w każdym calu: biała twarz, czerwone usta, czarne oczy i rozpuszczone smoliste włosy. Nie wyglądała ani na zdumioną, ani nawet na zakłopotaną. Wyglądała po prostu na zadowoloną z siebie.

Lucile wyszła z łazienki. Zdarła z siebie szal Ruth i rzuciła go na łóżko.

— Mamusia będzie wściekła.

— Spodziewam się. No, idź do domu.

Lucile wyszła, przestraszona i dotknięta. Rachaela nie zachowała się tak, jak postępują zwyczajne mamusie. Kolejne niepowodzenie.

Okna w blasku złotej lampy były błękitne. Czy on tam był, na ulicy?

Ruth usiadła na łóżku i przysunęła do siebie nie wykończony rysunek, przedstawiający lwy pożerające ludzi — prawdopodobnie chrześcijan; kolejny temat z nauki religii.

Rachaela miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Walczyła z ogarniającą ją histerią.

— Odłóż to. — Ruth posłusznie odsunęła rysunek. — Zrobiłaś coś niewiarygodnie głupiego, Ruth. Zachowałaś się w sposób, który może spowodować wiele kłopotów. Spodziewasz się, że cię ochronię. Dlaczego miałabym to zrobić?

Ruth patrzyła w okna na nadciągającą noc. Nie wyglądała na strapioną, czekała jedynie na koniec tego nużącego i bezcelowego kazania.

Wtedy Rachaela wpadła w furję.

Była to przerażająca wściekłość, będąca eksplozją odrazy i gniewu minionych dwunastu lat.

— Kim ty jesteś, ty okropna mała bestio?! — wrzasnęła. Ruth w końcu na nią spojrzała.

Biała, czarna, czerwona twarz wyrażała zaskoczenie, lecz po chwiliprzemieniła się w nieruchomą, obojętną maskę. Rachaela pamiętała to sprzed lat. Dostrzegła tę ekspresję — ten brak ekspresji — to zamykanie się, na twarzy niemowlęcia-demonia, jakim niegdyś była

Ruth.

— To nie zabawa — powiedziała. — To coś odrażającego, coś, co narodziło się w twojej wstrętnej głowie.

— Lucile nic nie będzie — rzekła bezbarwnym tonem Ruth.

— Nie obchodzi mnie Lucile, ty obrzydliwa mała idiotko. Ty też mnie nie obchodzisz. Skoro zachowałeś się w taki odrażający sposób, przypuszczam, że stało się to z wewnętrznego nakazu. Ale dlaczego tutaj? Dlaczego mnie w to wmieszałeś, ty przeklęta mała bestio?!

Ruth poruszyła się niespokojnie, jak dziecko skarcone na leką. Potem znów znieruchomiała, stała się bierna, prawie tak, jakby nie żyła.

— Spójrz na mnie — rozkazała Rachaela. Ruth skierowała oczy na matkę.

Przez sekundę Rachaela miała wrażenie, że oczy Ruth były szkarłatne, usta zaś czarne.

— Umyj się i idź do łóżka. Jeżeli chce ci się jeść, możesz zrobić sobie kanapkę. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie chcę na ciebie patrzeć!

— Tak, mamusiu.

Ruth wyjęła spod poduszki nocną koszulę i poszła do łazienki.

Rano Rachaela nie przygotowała jej śniadania. Ruth wyjęła płatki kukurydziane, zalała je mlekiem i zjadła, siedząc naprzeciwko pijącej kawę Rachaeli.

Ruth nie próbowała rozmawiać z matką.

Zabrała tornister i wyszła bez słowa.

Rachaela wstała i wyjrzała przez okno. Ruth szła w kierunku szkoły.

Dwadzieścia po dziewiątej zadzwonił telefon. Zazwyczaj nikt nie telefonował, poza zdarzającymi się niekiedy pomyłkami.

Tym razem nie była to pomyłka.

— Tu pani Keating, matka Lucile.

— Słucham.

— Przypuszczam, że pani wie, dlaczego telefonuję. — Rachaela nie odpowiedziała. Słyszała, jak na drugim końcu linii pani Keating stara się powściągnąć kipiącą w niej wściekłość. — Pani dziecko wczoraj zaatakowało moją córkę. Zastanawiam się, co w związku z tym ma pani do powiedzenia.

— Prawdę mówiąc, nic. Lucile nic się nie stało.

— Jeżeli pani nazywa ten straszny krwiał na jej szyi niczym... Czym jest pani dziecko, jakimś potworem?

*Tak, ale pani domyślna...*

Rachaela milczała.

Sfrustrowana pani Keating kontynuowała:

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Trudno uwierzyć, by dziecko mogło coś takiego zrobić. Myślę, że powinna pani zabrać ją do lekarza. Najlepiej do psychiatry. — Rachaela nadal nie reagowała na wybuch wściekłości. Pani Keating krzyknęła: — Myślę, że powinna pani wiedzieć, iż zamierzam napisać o tym do szkoły!

— Skoro ma pani ochotę...

— Co? Muszę przyznać, że to zabawne. Niech pani każe zbadać swoje okropne dziecko, pani Day, to jedyna rada, jakiej mogę pani udzielić.

— Dziękuję — odparła niewzruszenie Rachaela. Pani Keating zaklęła i odłożyła słuchawkę.

Rachaela włączyła radio. Nie chciała więcej myśleć o Ruth. Miała zobaczyć ją dopiero wieczorem.

Koncert fortepianowy Rachmaninowa wibrował w mieszkaniu, czyniąc problem Ruth nieistotnym i nieznaczącym.

O pierwszej Rachaela zjadła lunch, a pięć po drugiej, pół godziny później niż powinna, wyszła do antykwariatu.

Pani Mantini nie zgañała jej, ale z dezaprobatą ściągnęła umalowane na pomarańczowo usta i odegrała scenę wychodzenia w wielkim pośpiechu.

Popołudnie minęło bez znaczących zdarzeń. Jakaś dziewczyna próbowała wytargować dziewiętnastowieczny wazon, ale Rachaela powiedziała jej, że pani Mantini ustaliła ceny uczciwie i nigdy ich nie opuszcza. Później przystojny młody człowiek i czarująca starsza pani, może jego matka, rozglądali się po sklepie i w końcu kupili małego konia na biegunach z brązu.

Pani Mantini wróciła za kwadrans piąta.

— Och, Rachaelo. Miałam nadzieję, że rozpakowałeś tę skrzynię. Paka była pełna ciężkich przedmiotów, których przeniesienie, prawdę

mówiąc, wymagało siły mężczyzny. Rachaela postanowiła nie zwracać na skrzynię uwagi.

— Zatem zrobimy to teraz — powiedziała pani Mantini z irytacją w głosie.

Zaczęły rozpakowywać skrzynię. Pani Mantini przez cały czas sapała i czerwieniła się z wysiłku. O wpół do szóstej nadal zajmowały się paką. Pani Mantini zamknęła sklep.

— Możesz zostać i pomóc — powiedziała. — W ten sposób nadrobisz trzydziestopięciominutowe spóźnienie.

Rachaela nie protestowała. Skończyły rozpakowywanie o szóstej piętnaście.

Pani Mantini wyprostowała się i sapnęła po raz ostatni, zionąc ostrą wonią zaprawionego cebulą i czosnkiem lunchu.

— Szczerze mówiąc, Rachaelo, chcę porozmawiać z tobą o tych spóźnieniach. — Rachaela nakładała płaszcz. Pani Mantini stała niewzruszenie wśród mosiężnych pogrzebaczy i ekranów kominkowych. — Rozmawiałam z tobą o tym wczoraj, ale mam wrażenie, że nie słuchałaś. Nie płacę ci za spóźnienia, płacę ci za przychodzenie na czas.

— Ale nie płaci pani wiele, prawda?

— Jeżeli nie podoba ci się zaproponowana przeze mnie stawka, możesz poszukać lepszej gdzieś indziej.

— Dobrze. — Rachaela zapięła płaszcz. — Niech pani wypłaci mi tyle, ile mi się należy.

Pani Mantini spurpurowiała, jej oczy rozjarzyły się jak węgle.

— Oczywiście, że tego nie zrobię. Możesz przyjść w sobotę, wtedy dostaniesz pieniądze.

— Nie. Chcę teraz.

Stała i patrzyła na panią Mantini, która gasła jak nie podsycany ogień. Przeklinając Rachaelę tak, jak wcześniej pani Keating, ale bardziej dosadnie, otworzyła kasę i odliczyła należną Rachaeli sumę. Rzuciła pieniądze na ladę.

— Teraz wynocha, ty mała suko.

Rachaela wyszła na ulicę. Nogi jej drżały. Czowała, jak przepływa przez nią jednocześnie fala niepewności i ulgi.

To nie miało znaczenia. W każdym razie wszystko było winą Ruth.

A w mieszkaniu znów miała ją zobaczyć. Ma nadal milczeć, czy też przełamać ciszę, udając, że nic się nie stało? Czy milczenie kiedykolwiek miało jakieś znaczenie? Kiedy z sobą rozmawiały? Tylko wtedy, gdy dochodziło do jakichś kłopotów.

Niebo było miękkie i brudne, pozbawione światła. Gwiazdy mrugały niemrawo ponad czuwającymi czerwonymi oczyma ulicznych latarni.

Rachaela straciła pracę i będzie musiała rozejrzeć się za nową, ale była wolna. Poszukiwania potrważą jakiś czas, pozwolą zapomnieć o Ruth.

Kiedy doszła do frontowych drzwi budynku, kiedy znalazła się we wnętrzu domu, poczuła, że Ruth nie ma w mieszkaniu.

Weszła na górę. Mieszkanie było puste.

Rachaela zdjęła płaszcz. Zapaliła światło i zrobiła sobie kawę. Zmyła naczynia po lunchu i zajrzała do lodówki. Ruth miała jeść wieczorem kurczaka. Rachaela ułożyła kawałki mięsa na półmisku i otworzyła puszkę zupy pomidorowej Heinza. Wstawiła kurczaka do piekarnika, zupę postawiła na kuchence.

Radio oferowało operę albo politykę. Wyłączyła je i nastawiła kasetę ze Strawińskim.

Zapadła pomarańczowo-czarna miejska noc. Z dołu dobiegały kroki idących chodnikiem ludzi.

O ósmej trzydzieści Ruth jeszcze nie wróciła.

Rachaela zmniejszyła płomień w piekarniku.

O dziewiątej trzydzieści zupa wyparowała. Rachaela wyłączyła gaz. Siedziała w milczeniu, które nie było milczeniem w obecności Ruth.

Dziewczynka nigdy nie spóźniała się tak bardzo. Gdzie mogła się podziewać? W jakimś barze, w „Pizza Eater”?

O dziesiątej trzydzieści pięć Rachaela zapaliła górne światło i weszła za parawan.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo.

Rachaela obejrzała kącik uważniej.

Łóżko było zasłane na sposób Ruth, pod ciemnoniebieską narzutą piętrzyły się hałdy pościeli. W kącie siedział stary, подарowany jeszcze przez Emmę pluszowy niedźwiadek, który przydawał zakątkowi swoistego charakteru, ale już nie zasługiwał na uwagę. Książki piętrzyły

się w chwiejnych stosach. Na ścianie, wśród licznych obrazków, wisiało zamalowane lustro.

Na komodzie brakowało zielonego przycisku do papierów i kota z błękitnego szkła.

Rachaela przecisnęła się do komody. Otworzyła szuflady. Grzebieńi szczotka zniknęły. Przyborów do makijażu wampira także nie było. Nie dostrzegła nigdzie błękitnej bluzy i szkarłatnej bluzki. Brakowało również spodni i skarpetek, majtek, drugiego stanika, nowej paczki podpasek.

W łazience zauważyła brak szczoteczki do zębów i małego dezodorantu Ruth.

Rachaela usiadła.

Co czuła? Jak wcześniej — nic.

Nie była zdumiona. Oczywiście wiedziała, co robi Ruth. Tak samo jak wiedział ten człowiek, agent Scarabaidów. Musiał tylko zaproponować swoje usługi i czekać.

Rachaela odepchnęła od siebie Ruth, nie tak zwyczajnie, na zimno, ale w wybuchu niechęci i wściekłości. Ruth spakowała tornister i odeszła. A on zabrał ją albo powiedział, dokąd ma pójść. Do Scarabaidów.

Co ona powinna zrobić?

Nic. Nie było nic do zrobienia.

Ruth odeszła. Dwanaście lat bezsensu dobiegło końca.

Po czterech dniach Rachaela posprzątała w mieszkaniu.

Odkurzyła półki z książkami i same książki, wyszorowała kuchenkę i kuchenne szafki. Wylała lemoniadę, pepsi i sprite do zlewu. Kiedy doszła do kącika Ruth, przesunęła parawan w kąt pokoju i zdjęła z niego szale, kwiaty i dzwonki. Rozebrała łóżko i powkładała skarby Ruth — starannie opakowane szkło, jej książki i misia — do dwóch kartonowych pudeł z supermarketu, które upchnęła na dnie szafy. Ruth mogła przysłać po swoje rzeczy. Ubrania, z których i tak dziewczynka miała szybko wyrosnąć, Rachaela włożyła do toreb, z przeznaczeniem dla pomocy społecznej. Od tej pory Ruth będzie ubierana przez Scarabaidów.

Rachaela nie lubiła parawanu, ale tak jak i łóżko Ruth był zbyt wielki, by pozbyć się go od ręki. Złożyła go i postawiła w kącie za wieżą stereo.

Łóżko okryła granatową narzutą i dodała dwie czerwono-niebieskie poduszki.

Ogołoconą komodę przesunęła pod ścianę.

Pokój od razu zrobił się jakby większy, przestronniejszy. W tej chwili bez problemu można było zajrzeć we wszystkie kąty. Nie wypatrywała już tego mężczyzny. Nie było potrzeby.

Szóstego dnia poszła do Lyle i Robbinsa i zapytała o pracę, ale nie mieli wolnych miejsc. Restauracja „Pizza Eater” wyglądała tak, jakby cierpiała na nadmiar personelu, a chłopcy i dziewczęta sprawiali wrażenie zdecydowanie zbyt młodych i hałaśliwych. Nie natknęła się na ogłoszenia oferujące pracę. Będzie musiała przejrzeć lokalne gazety.

Siedemnastego dnia przyszedł list ze szkoły. Odłożyła go na bok.

Rachaela siedziała w fotelu, słuchając muzyki.

Teraz, bez Ruth, będzie o wiele taniej. Może powinna odpocząć przez pewien czas.

Na zewnątrz wznosiły się znajome dachy, kominy i anteny. Odległy park, intensywnie zielony, zdawał się półprzezroczysty.

Robiło się coraz goręcej. Przez otwarte okna do mieszkania wpadał zapach benzyny, pelargonii i spieczonej słońcem ulicy.

Po dwudziestu siedmiu dniach Rachaeli przyśniła się Ruth w domu Scarabaidów.

Miała na sobie wieczorową suknię Anny, długą, czarną, wlokącą się po podłodze, błyskającą świecidełkami. Jej długie włosy powiewały za nią w takt kroków. Scarabaidzi klaskali w ręce, zadowoleni.

Ruth była w ogrodzie. Wokół rosły białe i czerwone róże. Stryj Camillo wyskoczył zza krzaka. Jechał na koniu na biegunach, który przesuwiał się po trawniku bez najmniejszego wysiłku.

Podał Ruth list.

Rachaela — która też odnalazła się w tym śnie — zdołała odczytać jedynie trzy słowa: *Przyjdź do mnie.*

Weszła do domu. Była noc i tylko rubinowa lampa paliła się w holu. Drzwi do wieży były uchylone.

Gdy tak stała, z wieży wyszedł Adamus.

Zapomniała albo też wymazała z pamięci jego twarz, dlatego widziała ją w postaci rozmazanej plamy, ale jego ciało, nagie, było dokładnie



takie, jakie zapamiętała, złotawobiałe, muskularne i szczupłe; z czarnego gąszczu podbrzusza wyrastał ciemny, bursztynowoczerwony penis. Po plecach Adamusa spływały czarne włosy.

— To ty — powiedział.

— Tak. Nie wolno ci... — rzuciła szybko, załamując dłonie w dziwnym melodramatycznym geście.

— Ale ja muszę.

— Adamusie — ona jest tylko dzieckiem.

— Nie.

— Ma jedenaście lat — błagała Rachaela.

— Jest już kobietą.

Z ciemności wyłoniła się Ruth, spowita w długą, czarną, połyskującą suknię.

Na twarzy miała nieskazitelny makijaż, ale bardziej stonowany, subtelniejszy niż kiedyś. Jej włosy były takie same jak jego.

Nie była dzieckiem. Zaczęła miesiączkować i miała wysokie, pełne piersi.

Ruszyła ku niemu tak, jakby Rachaeli tam nie było. Wsunęła drobną białą rączkę w jego dłoń.

Adamus pochylił się i pocałował jej szkarłatne usta.

Podniósł ją i zaniósł do mrocznej wieży.

Rachaela podążyła za nimi.

Weszli do pokoju na górze.

Na kominku płonął ogień. W jego blasku Rachaela zobaczyła, że Adamus położył Ruth na fortepianie. Wspiął się za nią, uklęknął i zaczął powoli rozpinąć jej suknię.

— Boję się — wyszeptała Ruth. Chichotała jak wtedy, gdy była mała i bawiła się z Emmą.

Adamus skłonił się ku jej doskonałym piersiom, obejmował je ustami i wodził po nich językiem. Ruth przyciskała jego głowę do swego ciała. On rozsunął jej uda i przesuwiał się w dół, gładząc rękoma skórę i materiał, aż w końcu odrzucił suknię i zaczął drugi pocałunek.

W Rachaeli zapłonął ogień. Chciała krzyczeć. Była niewidzialna i niesłyszalna, jak duch.

Ruth jęknęła. Szarpnęła Adamusa. On oderwał usta od jej hebanowej

kępki i gładził ją palcami. Wsunął tam rozpalonego fallusa, a po chwili wprowadził go głębiej.

Ruth wrzasnęła.

— Ranisz mnie — powiedziała. — Znów mnie ranisz. Rachaela, nie będąc w stanie zrobić kroku, patrzyła na wznoszące się i opadające ciała, galopujące na grzbiecie dzikiego rumaka rozkoszy.

Ruth znów krzyknęła i objęła go długimi białymi nogami.

Miotana falami bólu Rachaela przebudziła się w łóżku, we własnym mieszkaniu, ze wzrokiem wbitym w ciemność. To było niemożliwe.

Ojciec i dziadek. Nie mógłby tego zrobić.

Ale dlaczego miałyby go powstrzymywać?

Rola Rachaeli była skończona, spełniła swoje zadanie. Teraz Ruth miała zostać królową roku.

Kontynuacja. Dla tych szaleńców tylko to się liczyło, a Adamus był ich narzędziem.

*Nie bądź głupia. Jeżeli tak musi być, niech się stanie.*

Próbowała przypomnieć sobie jego twarz, ale tak jak we śnie, była rozmyta i odległa.

Rachaela usiadła i zapaliła światło. Jacyś pijacy hałasowali pod oknami. Była zadowolona z ich obecności.

Wstała i poszła do domu, by zrobić herbatę. Herbata była lekarstwem Emmy na wszystko. Herbata albo kropelka sherry.

Co w takiej sytuacji zrobiłaby Emma?

*Me możesz pozwolić, by ją zatrzymali, Rachaelo. Z tego co powiedziałaś wynika, że to okropni ludzie. Szaleni, straszni. Ruth jest twoim dzieckiem. Musisz wyrwać ją z ich szponów.*

— Tak, Emmo — powiedziała Rachaela.

Wrząca woda chlusnęła do kubka, pijacy zaś radośnie wyśpiewywali na ulicy.

Kierowca taksówki numer trzy był całkiem pewny siebie. — Pitchley. Znam Pitchley. To tam, gdzie jest to nowe osiedle. To będzie kosztowało.

— Wiem.

— Zatem w porządku. Niech pani wsiada.

Patrząc na sznur taksówek na dworcu w Poorly nie była nastawiona optymistycznie, ale czas zawęził rozległą przestrzeń wsi. Dokonano inwazji na terytorium Scarabaidów.

Przyglądała się drodze i zieleni wczesnego lata. Rozpoznała szeroką autostradę, kościoły i puby.

Taka normalność była denerwująca.

Nie poznała wioski.

Zbudowano mały supermarket, pocztę i sklep warzywny, nowy pub z tęczowym znakiem „The Capenters”. Na wzgórzu rozpościerało się nowe osiedle, czekoladowobrązowe, ze stromymi dachami, talerzami anten satelitarnych, suszarkami do bielizny i modelowanymi drzewkami wiśni w ogrodach. Gdzieś w środku leżała depresja szarych kamiennych domów. Porzucone pola przemieniły się w trawniki.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział kierowca. — Gdzie pani chce wysiąść?

— Na szczycie wzgórza.

— W osiedlu.

Zawiózł ją prawie do podjazdu ostatniego brązowego domku dla lalek.

Zapłaciła mu i wysiadła. Przyglądała się, jak odjeżdża.

Kruki zniknęły. Dokąd poleciały?

Wszystko było takie inne. Ale nadal było to to samo miejsce. Punkt

wyjściowy długiego spaceru przez wrzosowiska do domu.

Jej torba tym razem była lekka, zapakowała tylko niezbędne rzeczy.

Będzie musiała bardziej uważać na drodze. Można spodziewać się większego ruchu.

Rachaela miała rację. W ciągu pierwszych trzydziestu minut minęły ją trzy samochody.

Słońce zniżało się ku zachodniemu horyzontowi, gdy minęła miejsce, w którym był kiedyś wypalony dom na farmie, teraz rozebrany.

Zobaczyła, gdzie zniknęły kruki. Przywitała ją ich delegacja.

Wspomniała gawrona czy kruka siedzącego w żywopłocie tej nocy, kiedy odeszła stąd na zawsze. Ostatecznie „na zawsze” nie trwało wcale tak długo.

Wrzosowisko oszałamiało swoimi barwami. Brązowe i złote łaty wśród zieleni, purpurowe kwiaty, słoneczne kępy janowca. Ptaki fruujące i krążące, rozkrzyczane.

Prawda, kiedyś wyglądało inaczej. W jej wspomnieniach było zbyt czarne, zbyt opuszczone, i to paradoksalnie dodawało jej siły.

Szła teraz w kierunku morza. Wyczuwała je niczym oczekującą na nią pustkę.

Po kolejnej półgodzinie marszu poczuła się straszliwie zmęczona. Przysiadła na kamieniu. Niebo gęstniało. Czy zdąży przed zmrokiem? Nie powinna odpoczywać tak długo.

Otaczały ją rysowane przez Ruth łąki, zamieszkałe przez smoki.

Mewa krzyknęła żałośnie na niebie.

Rachaela wstała i ruszyła dalej. Nie była już tak silna i sprawna jak przed laty, ale wiedziała, że musi iść. Nie chciała, by ciemność zastała ją na wrzosowisku. Nie tym razem.

Z początku dźwięk brzmiał jak przeciągłe dudnienie w uszach ze zmęczenia. Potem poznała, co to jest. Zobaczyła skałę wystającą z cienkiej pokrywy kwiatów i trawy, i nagle poszerzony horyzont. Patrzyła na zbudowane z powietrza sklepienie ponad morzem.

Podeszła bliżej. Stała i patrzyła w smoczą gardziel. Fale tłukły o bastiony klifu. Równie dobrze mogła tu być wczoraj. Ciemność sączyła się z ziemi.

Słońce zachodziło, gdy szła brzegiem oceanu.

Mroczne sosny pojawiły się jak miraż, a za nimi, nagle — dom, mały w oddali jak zabawka. Nieskazitelny. Jedno płonące szmaragdowe okno.

Zatrzymała się w zdumieniu. W zdumieniu nad sobą. Ponieważ wróciła.

O zachodzie słońca drzwi powinny być otwarte. Była właściwa pora, gdy zbliżała się od frontu do domu. Zatrzymała się raz jeszcze, by obejrzeć jego sylwetkę na tle ciemniejszego nieba, na którym widniały gwiazdy, nieco inne, ponieważ inna była pora dnia i roku. Zobaczyła wieżę. Poczowała dziwny skurcz w żołądku. Nie wolno jej zapominać, że szczególność tego domu wynika w głównej mierze z panującej w nim atmosfery. Tym razem musi postępować racjonalnie.

Drzwi ustąpiły, tak jak niegdyś. Jak niegdyś weszła do olbrzymiego holu o posadzce ułożonej w szachownicę z rdzawego i czarnego marmuru. Hol był równie szeroki, jak pamiętała, nie pomniejszyła go we wspomnieniach. W zakamarkach, niczym przyczajone niedźwiedzie, tłoczyły się cienie, a przez wysokie okno wpadały fioletowo-żółtawe strzępy światła.

Na mahoniowym stole płonęła czerwona lampa, bryzgająca na wiszący powyżej kandelabr kropelkami krwawego światła.

Dom pachniał tak samo. Kościelna woń, wilgotna, przesycona zapachem kadzidła, starego drewna i spleśniałych ubrań, pasty do polerowania, nafty i słodkiego rozkładu.

Tym razem nie zamknęła za sobą drzwi.

Zerknęła na osnutą ciemnością wieżę i ruszyła dalej.

Dzisiaj nikt jej nie przywitał.

I tak miało być. Była niepotrzebna i może nie chciana. Czy zdoła znaleźć drogę w ciemności?

Podeszła do schodów. Trzymając martwą lampę nimfa strzegła słupka poręczy. Nowy pajak utkał sieć sięgającą od jej ramienia do wzniesionej ręki; delikatna plecionka aż nazbyt dobrze pasowała do tego domu. Rachaela postawiła stopę na czerwonym perskim dywanie i ruszyła w górę, opuszczając szkarłatne otoczenie lampy. Dwadzieścia dwa stopnie.

Na podeście dostrzegła, że w ciemności korytarza jaśniej niczym wspomnienie delikatne światło. Druga lampa, tak jak wtedy.

Wspomniała, jak lampa przewróciła się na twarz i niewidzące-widzące oczy Michaela, pierwszego domownika Scarabaidów, którego zobaczyła.

Weszła na oświetlony korytarz, na zakręcie którego znajdowało się okno, ciemne jak wówczas, i mnóstwo obrazów na ścianach, malowidło pod malowidłem.

I drzwi.

Jeszcze były znajome. Tak samo dobrze, jak drzwi *jej* mieszkania.

Czy pokój będzie zamknięty?

Klamka przekręciła się z łatwością i drzwi stanęły otworem, ukazując pokój urządzonej w tonacji błękitno-zielonej.

Była wstrząśnięta, bowiem pomieszczenie było dokładnie w takim samym stanie jak wtedy, gdy je opuściła. Miała wrażenie, że wspomnienie wydostało się z jej pamięci i ożyło na jej oczach. Zielony kominek z czarnym zegarem z aniołami na okapie, toaletka ze zdobionym lustrem, łóżko z czterema kolumnkami. Róg okrycia na łóżku był odrzucony jak w hotelu, by ukazać czyste poszewki i białe prześcieradło.

Było lato, więc na kominku nie było ognia. Przed paleniskiem stał ekran haftowany w błękitne róże. Pani Mantini miałaby na niego chrapkę.

Rachaela rzuciła torbę na łóżko.

Radio stało tam, gdzie je zostawiła, na stole.

Podniosła je i dostrzegła, że baterie dawno temu wyciekły i wypaliły drewno.

Podeszła do szafy, otworzyła ją i zobaczyła wiszące w schludnym rzędzie swoje porzucone ubrania. Spowijał je lekki zapach kurzu, ale nie były nadjedzone przez mole i mimo dwunastu lat różnicy i urodzenia dziecka nadal mogłyby na nią pasować.

Popatrzyła na okno. Nawet w ciemności rozpoznała znajome ołowiane drzewo i stojące postacie, jabłka i jednorożca.

Rachaela wyszła z pokoju i udała się do łazienki. Pani Mantini tutaj również miałaby co podziwiać. W rzeczywistości cały dom byłby dla niej rajem.

W łazience leżały nowe mydélka i wisiały czyste ręczniki. A więc jednak na nią czekano.

Dlaczego? Czy myśleli, że jej instynkt macierzyński przebudzi się po zabraniu córki? Szalejąca z niepokoju, udręczona matka pędząca na ratunek dziecku. Czy wiedzieli o jej nieudanych próbach pozbycia się ciąży, o latach cierpienia? Czy Ruth powiedziała im, jak Rachaela radziła sobie z macierzyńskimi obowiązkami?

Rachaela wyjęła z szafy suknię w kolorze owsianej mąki. Bez wątpienia będzie na nią dobra.

Wróciła do łazienki i wykąpała się.

Gdy leżała w wodzie, usłyszała cichy stukot obcasów którejs z kobiet, idącej korytarzem. Unice? Miriam?

Dźwięk był taki zwyczajny. Może brakowało go jej w Londynie? Miała jedynie głośną, brzydką muzykę z dołu i kłótnie na podeście.

*Jestem w odległości kilku ścian, schodów, pokojów od niego,* pomyślała.

Dotychczas niewiele myślała o Adamusie, chociaż to on — dzięki jednej nadzwyczajnej nocy — ukształtował jej życie, każdy dzień minionych dwunastu lat. Przez te wszystkie lata czasami na pół świadomie wracała pamięcią do tej nocy. Nigdy nie pozwoliła sobie na świadome przywoływanie wspomnień. Przycisnęła je betonową płytą, którą teraz dźwignia domu stopniowo podnosiła.

Wiedziała, że skoro wróciła, musi stawić czoło Adamusowi.

Ostatecznie dlatego tu przybyła; z powodu Adamusa i Ruth.

Wyszła z wanny i wytarła się do sucha. Wróciła do sypialni i włożyła kremową suknię, która mogłaby być kupiona wczoraj, tak dobrze na niej leżała. Nie przeszkadzało jej ani to, że nieco spłowiała, ani że miała lekki odór rozkładu. Musiała przystosować się i uzbroić.

Upudrowała twarz przed lustrem i poprawiła kredką cienie na powiekach.

Czy Camillo zostawił jej kolejny prezent pod drzwiami — mysz?

Ale kiedy otworzyła drzwi, na zewnątrz nie było niczego i nikogo. Jedynie płonąca lampa zdradzała pół-życie domu.

Czy Scarabaidzi nadal jadają wspólnie kolacje, czy też zwyczajnie uległy zmianie?

Będzie musiała sprawdzić.

Rachaela ruszyła korytarzem w stronę podestu i zeszła po schodach.

Zobaczyła lampy płonące w salonie tak, jak w ową pierwszą noc przed laty.

W salonie Michael i Maria w służbowych strojach przypominali wycięte z czarnego papieru figurki.

— Michaelu, Mario — powiedziała.

Skłonili się sztywno i nieznacznie, czego się spodziewała.

— Panno Rachaelo, proszę iść wprost do jadalni — powiedział Michael.

— Chciałabym najpierw napić się czegoś, Michaelu.

— Panna Anna poleciła mi prosić, by poszła pani prosto do jadalni. Rachaela wzruszyła ramionami. Coś poruszyło się w jej brzuchu, fantom małej Ruth.

Ruszyła w stronę drugich drzwi, a Michael pospieszył, by je przed nią otworzyć.

Weszła do jadalni i zatrzymała się, nie zaskoczona, jedynie nieco poruszona widokiem, którego się spodziewała.

Wszyscy zgromadzili się przy stole, jak w dobrze zapamiętane wieczory z przeszłości.

Zobaczyła ich znane, prawie identyczne twarze, widniejące nad niegustownymi wieczorowymi marynarkami i sukniami, które ozdabiały cekiny oraz stare koronki. Czy mogłaby ich wymienić po imieniu? Tak. Alice, Peter, Jack, Livia... Brakowało Camilla, ale on nigdy nie pojawiał się przy stole. Ich twarze ujrzała i zarejestrowała jedynie mimochodem, ponieważ u szczytu stołu siedziała najdziwniejsza Scarabaidka ze wszystkich. W kopii jej sukni z ciemnozielonego woalu i koronki — a może była to ta sama, tylko przerobiona — w naszyjniku z sercem wyciętym ze szkła, z nefrytowymi kolczykami w uszach, z czarnymi włosami spływającymi na plecy i podpiętymi szylkretowym grzebieniem, z upudrowaną gładką twarzą, uczernionymi powiekami, szkarłatnymi ustami: Ruth.

Ruth siedziała wśród Scarabaidów niczym żywa roślina wśród starożytnych posągów. Kwitła, znajdując w nich podporę.

Uśmiechnęła się do Rachaeli przez całą szerokość jadalni, odsłaniając równe białe zęby, które nigdy nie wymagały opieki dentysty.— Cześć, mamusiu.



Chyba po raz pierwszy spontanicznie wyrzekła słowa powitania.

Ale nic dziwnego, tutaj była u siebie.

Rachaela nie odpowiedziała.

Wstała Anna, zajmująca miejsce po prawej stronie Ruth.

— Usiądź z nami, Rachaelo. Tak się cieszymy z twego przybycia. Mieliliśmy nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

— Musiałam wrócić — rzekła Rachaela. Dodała obojętnie: — Ukradliście moje dziecko.

— Och nie, Rachaelo. Nie ukradliśmy. Nie.

Odezwała się Ruth, ćwierkając jak bystra i pewna siebie uczennica:

— Zapytałam tego człowieka. On znał drogę. Przyjechałam tu pociągiem, sama. Spodobało mi się to. Przysłali po mnie samochód na stację.

— I ruszyłam z boczem wzgórza między drzewami — dodała Rachaela.

— Michael tam czekał. Pokazał mi drogę.

Nie bała się rozmawiać z Rachaela. Chętnie udzielała informacji. Rachaela odniosła wrażenie, że wszystko zostało zaplanowane.

Spojrzała na dziwaczną miniaturkę kobiety, jaką stała się Ruth. Nie wyglądała jak przebrane dziecko, bardziej jak córka jakiejś średniowiecznej rodziny, ubrana zawsze w pomniejszoną wersję strojów noszonych przez dorosłych; jedenasto czy dwunastoletnia kobieta.

— Wejdz i usiądź — powtórzyła Anna. Jej suknia mrugała miriadami oczu, podobnie jak wszystkie inne.

Rachaela podeszła do stołu. Jej miejsce znajdowało się naprzeciwko Ruth, jakby dokładnie, co do minuty wiedzieli, kiedy się wśród nich pojawi. Prawdopodobnie przygotowywali się na to od wielu tygodni, od czasu przybycia Ruth.

Rachaela usiadła i Cheta zbliżyła się, by ją obsłużyć.

Był królik w potrawce.

Rachaela jadła ostrożnie, niepewna, jak jej żołądek przyjmie takie jedzenie.

Było również wino, ciemnoczerwone. Cheta napełniła jej kieliszek.

Przed Ruth również stało wino, które dziewczynka popijała zachłannymi, drobnymi łykami. Żadne z nich nie zmieniło się. Ta rodzina

nie ulegała upływowi czasu.

Ruth skrzyła się między nimi niczym klejnot w pajęczej sieci.

Rodzina była zadowolona. Dostali to, na czym najbardziej im zależało. Wszyscy wygrzewali się w słońcu powodzenia, Scarabaidzi, Ruth.

Brakowało jedynie Camilla. I Adamusa.

Rachaela nie skończyła jedzenia.

— Kilka dni temu — zaczęła Ruth — mieliśmy mewę. Jack ją znalazł.

— Kot zwykł na nie polować — powiedziała Rachaela.

— Kot jest już bardzo stary — wtrąciła Anna. — Śpi przez cały dzień i przez większą część nocy.

A jednak coś się zmieniło. Kot.

Maria podała ciasto z truskawkami.

Rachaela przyglądała się, jak Ruth wsuwa je łyżką w czerwone usta. Poprosiła o dokładkę, jak w przypadku królika. Prawdziwe domowe jedzenie, takie jak przyrządzała Emma.

Rachaela wstała.

— Przepraszam. — Zabrała lampkę wina, przeszła na drugą stronę pokoju, i stamtąd obserwowała stół. Udawanie, że jest ich częścią, wydawało się jej nieprzyzwoite.

Gdyby to ona, Rachaela, została porwana jako dziecko czy nastolatka, czy zareagowałaby na Scarabaidów tak samo jak Ruth? Któż mógł to teraz wiedzieć.

Wreszcie podano sery i owoce. Ruth rzuciła się na nie łapczywie. Posiłek dobiegł końca.

Scarabaidzi wstali od stołu niczym jeden organizm, jak jakaś ameba, z Ruth stanowiącą jej rozżarzone serce. Przeszli do salonu.

Tutaj stare kobiety i starzy mężczyźni usiedli i zajęli się haftowaniem, robótkami na drutach, czytaniem i grą w szachy. Pomrukiwali cicho niczym rój owadów.

Maria i Cheta podały herbatę.

Ruth w swej książęcej sukni stanęła przed ekranem kominka. Piła spiesznie herbatę, stanowiąc centrum zainteresowania. Oczy wszystkich co rusz wędrowały w jej stronę, a starcze uśmiechy odsłaniały ostre,

odbarwione zęby.

Ruth postawiła filiżankę i spodek przy zatrzymanym zegarze.

— Czy teraz mogę iść na górę?

— Tak — odparła siedząca na kanapie Anna. — Idź. Rachaela patrzyła, jak jej dziecko przecina salon dobrze znanym, lisim krokiem. Już nie musiała słuchać Rachaeli. Nawet na nią nie spojrziała.

— Dokąd ona idzie, Anno? — zapytała Rachaela.

— Do wieży.

— Do wieży Adamusa?

— Adamus uczy ją gry na fortepianie, Rachaelo.

Serce Rachaeli przestało bić na chwilę. Odchrząknęła i powiedziała:

— Jakie to sprytne.

— Zdaje się, że Ruth ma wrodzone zdolności.

— Bez wątpienia, Anno... — Rachaela zawahała się. — Chciałabym z tobą porozmawiać.

Anna podniosła się jak dystyngowana, taktowna pani domu.

— Może chciałabyś obejrzeć pokój Ruth?

— Oczywiście.

Ich wyjścia nikt nie obserwował. Scarabaidzi już nie byli zainteresowani Rachaela. Jej dzień przeminął.

Po krótkich schodach z pokoju porannego dostały się na korytarz ozdobiony rzeźbionymi końskimi głowami. Rachaela nie mogła sobie przypomnieć, czy szła kiedyś tędy w przeszłości, ale musiało tak być, ponieważ z pewnością zbadała cały dom. Przy zakręcie korytarza zobaczyła zapamiętany obraz, statek na morzu; spod fal przezierał pędzący rydwan z poprzedniego malowidła.

Za korytarzem z dwoma oknami — poczerniałymi, niemożliwymi do rozpoznania — zaczynał się łącznik, a za nim były pojedyncze drzwi.

Anna otworzyła je i ruchem ręki zaprosiła Rachaelę do środka.

Rachaela weszła do pokoju pełnego krwi.

Był krwawoczerwony. Ściany kryte wytłaczaną tapetą, z ciemniejszym gdzieś siniakiem wilgoci, płomienny dywan, łóżko okryte narzutą w kolorze aksamitnych ust Ruth.

Rachaela stała bez słowa.

Czerwień. Krew menstruacji i rozdartego dziewictwa. Czerwień łona, które nosiło dziecko. Czerwień krwi pitej na uczcie. Którą czerwienią była ta czerwień? Może wszystkimi, zlanymi w jedno? Ten pokój również miał swoje okno.

Rachaela spojrzała na nie uważnie.

Rozpoznała scenę narodzenia, ale coś w niej było nie tak. Promień światła padający ze stojącej obok łóżka lampy ukazywał, że szata Dziewicy również jest szkarłatna, a Trzej Królowie mają zwierzęce głowy: konia, jaszczurki i kota. W pobliżu, prawie niezauważalny, stał osioł z głową brodatego mężczyzny.

— Wasz symbolizm — powiedziała Rachaela — zawsze był osobliwy.

— Mamy własne symbole, Rachaelo. To zawsze był pokój dziecienny, pokój dziewczynek. Ona jest naszym zbawcą, rozumiesz.

— Ponieważ dziewczyna może rodzić dzieci.

— Właśnie — przytaknęła niewzruszenie Anna.

— Ona jest za młoda.

— Jest już do tego zdolna, oczywiście, ale zgadzam się. Trzeba odczekać parę lat.

— Aż skończy czternaście lub piętnaście?

— Mniej więcej.

— W tym kraju to nielegalne, Anno.

— Och, w tym kraju — uśmiechnęła się Anna. — My żyjemy we własnym kraju. We wszystkich krajach i w żadnym.

— A kim jest przyszły samiec? — zapytała Rachaela. Spociła się w gorących barwach pokoju.

— Ty wiesz, oczywiście.

— Wiem, oczywiście. Dziadek, ojciec i kochanek. Nawet ty powinnaś dostrzec w tym kazirodstwo.

Anna skromnie spuściła oczy.

— To dla nas najlepszy sposób.

— A czy Ruth wie, co zamierzacie?

— Ruth wie i akceptuje, że jest dla nas ważna. Na szczęście tym razem mogliśmy powitać ją jako dziecko. Wzrośnie wśród nas, ze swym ojcem. Już jest nim zafascynowana, co nie jest niczym dziwnym. W

końcu uzna to za naturalne. Odbędzie się mała ceremonia. To pomoże jej zrozumieć, gdy stanie się starsza.

— Nie, Anno.

— To już nie twoja sprawa — powiedziała po prostu Anna.

— Moje dziecko nadal jest moją sprawą. Zabiorę ją stąd.

— Nawet gdybyś zdołała to zrobić, Ruth wróciłaby do nas tak szybko, jak tylko możliwe. Ruth bez problemów zidentyfikowała się ze Scarabaidami.

— To obrzydliwe, Anno. To, co wydarzyło się wcześniej, było wystarczająco wstrętne, ale teraz...

— Przemawia przez ciebie zazdrość, Rachaelo. Przykro mi z tego powodu. Gdybyś została, cieszyłabyś się rolą żony. Ale ty postanowiłaś inaczej. Musieliśmy przez to czekać cierpliwie kilkanaście lat.

Zazdrość. Tak, musiało tak być. Nie zależało jej na ochronie dziecka, ale na niedopuszczeniu do tego, by ciało tego mężczyzny połączyło się z ciałem innej kobiety. To było prawdopodobne.

Anna zmieniła się najmniej z nich wszystkich — o ile w ich przypadku w ogóle można było mówić o zmianie. Ale teraz była prawdziwym przeciwnikiem. Scarabaidzi już nie chcieli ani nie potrzebowali Rachaeli. Pozwolono by jej pełnić rolę pomocnicy, ale ani kroku dalej, żeby nie dopuścić do wyrządzenia dalszych szkód. Zawdzięczali jej jedynie życie Ruth, to wszystko.

— Nie, Anno, to ohydne i nie mam zamiaru patrzeć na to przez palce.

Anna uniosła dłonie i opuściła je powoli.

— Zatem walczysz z przyływem.

— Ona jest dzieckiem. Czy mam pozwolić, żebyście jej to zrobili?

— Ona sama wyrazi zgodę. Co ty mogłabyś jej zaoferować? Miałaś swoją wolność, Rachaelo, i co z nią zrobiłaś? Do ciebie należy jedynie twoje sensne życie.

— Jest moje.

— Wobec tego żyj tak, jak chcesz, i pozwól Ruth żyć na jej sposób.

— Nie zgadzam się na to, Anno.

— Spodziewam się, że nie.

Rachaela czuła się całkowicie bezradna, i jak przypuszczała, Anna

zauważyła to.

— Zatem będę widzem — powiedziała.

— Jak sobie życzysz.

Wokół nich pulsował i żarzył się krwawoczerwony pokój. Rachaela wyobraziła sobie śpiącą w nim Ruth, czekającą na służących, którzy zaścielą jej łóżko, starannie odkurzą meble. Na stole leżało pudełko z farbami i blok rysunkowy; przy łóżku stała szkatułka z biżuterią, perłami i szlifowanym szkłem. Wszystkobyło zadbane. Tutaj miała żyć Ruth: rozpieszczana istota, księżniczka z baśni, wreszcie bezpieczna w swoim zamku. I z czekającym, obiecany księciem.

— Wasz plan jest zbyt dobry — powiedziała Rachaela. — Coś się stanie. Nie znacie Ruth.

— Och, znamy. Ruth jest podobna do nas. To ty byłaś dzikim kwiatem, Rachaelo.

Rachaela leżała w swym zielono-błękitnym łóżku. Słuchała odgłosów domu i oddechu morza.

Musiała zaplanować, co powinna zrobić.

Raz czy dwa na korytarzu rozległy się ciche kroki.

Zegar stojący na szafce przy łóżku powiedział jej, że jest piąta piętnaście, czyli prawie trzecia, o ile właściwie pamiętała przesunięcie czasu. Chyba że zegar teraz chodził inaczej, ale z pewnością był taki, jak cała reszta — niezmienny.

Czy Adamus zmienił się?

Teraz powinien wyglądać staro. Jeżeli to prawda, miałby ponad siedemdziesiąt lat. Głupio było bez końca żywić wątpliwości — to na pewno było prawdą.

Lecz przecież Ruth nie uległaby urokowi starca. Z drugiej strony, nawet gdyby wyglądał jak trzydziestolatek, byłby za stary dla jedenastoletniego dziecka. Ale Ruth nie była dzieckiem.

Rachaela oczyma wyobraźni zobaczyła Ruth, królową elfów w wytwornej sukni.

Chciałaby porozmawiać z córką.

Po raz pierwszy porozmawiać z nią tak, jak powinna to zrobić matka.

Morze szumiało coraz głośniejsze, wdzierając się na plażę całą potęgą wody.

Czy Sylvian nadal tam był, unosząc się na falach wraz z galeonami i szczątkami rozbitych okrętów?

Rankiem Rachaela wykąpała się i ubrała, i pociągnęła za sznur dzwonka. Cheta pojawiła się natychmiast. Powierzchnie wszystko było jak wcześniej. Tost i herbata. Rachaela wspomniała swoją dawną hipnotyczną beczynność i szybko wyszła z pokoju.

Skręciwszy we właściwy korytarz znalazła łącznik Salome i wspięła się na strych.

Poddasze nie było takie, jak kiedyś. Koń na biegunach zniknął. Na jego miejscu pojawiła się koronka zakurzonych pajęczyn. Stojące na skrzyni brązowe butelki z winem stryja Camillo, spośród których wiele nie miało korków, oplecione były kokonami kurzu.

Camillo nie zaglądał na strych od miesięcy, może nawet od lat.

Wszystko zasnuwały girlandy pajęczyn.

Wiśniowo-zielony wypchany ptak przemienił się powoli w sopol kurzu.

Obok niego położyła kiedyś młotek, po próbie włamania się do wieży, bezużytecznej chwili przemocy. Młotka nie było. Rachaela zeszła na dół.

Zacząła wędrować po domu tak jak przed laty, zaglądając do różnych pomieszczeń i próbując otwierać drzwi zamknięte na klucz. Dwa razy niepotrzebnie się z nimi szarpała, bo okazało się, że otwierają się w drugą stronę i kryją schowki ze stosami złożonej pościeli.

Nie widziała nikogo ze Scarabaidów poza Chetą, która przyniosła jej śniadanie.

Znalazła Alice zajęłą robótką w bladej bawialni, przy oknie. Witraż przedstawiał gigantyczne oberwanie chmury i płonące miasta. Końce drutów Alice kreśliły w powietrzu skomplikowane symbole.

Czy przed dwunastu laty też zastała ją w tym pokoju?

— Alice, gdzie jest Camillo?

Druty Alice nie zatrzymały się nawet na chwilę.

— Nie wiem, Rachaelo. Może powinnaś zajrzeć do biblioteki.

— Biblioteka należała do Sylviana.

— Teraz chodzi tam stryj Camillo. Och, mieliśmy tyle książek. Całe pokoje. Pamiętam, jak stryj Camillo bawił się z nami, wyskakując zza foteli.

Rachaela zostawiła Alice i ruszyła przez dom do biblioteki. Nie zastała tam nikogo, ale na stole stał okaleczony globus, atrament i leżała linijka.

Rachaela spojrzała na linijkę, prosty kawałek hebanu. Widziała, jak Camillo wydrapał na niej szkielet, ale teraz go nie było. Zaczęła otwierać książki. Patrzyła na linie przekreślające wiersz po wierszu. Znalazła książkę, w której zachowało się jedynie kilka czytelnych słów. Z wielkim wysiłkiem złożyła zdanie, które brzmiało: *Musimy przed nimi uciekać.*

Przy północnej ścianie znajdowały się książki nadające się do czytania. Żadna nie nosiła śladów pracy Sylviana, mimo złowieszczej linijki i atramentu.

Rachaela wyszła z domu i weszła na stopnie, które prowadziły na plażę.

Morze, turkusowozielone, spienione, cofnęło się w czasie odpływu.

Zawróciła do domu i podjęła poszukiwania. Camillo był wśród nich najstarszy i zapewne znał sposób. Może nie będzie musiała iść do Adamusa.

Co robi Ruth? Śpi? Lubiła wylegiwać się w soboty i niedziele, choć czasami siadała w łóżku i rysowała.

Rachaela zgubiła się w domu, jak gdyby było to konieczne, by znaleźć Camilla. Natrafiła na kolejne nie dające się otworzyć drzwi i zapukała głośno. Gdy napała na nie ramieniem, drzwi ustąpiły nagle, jakby same postanowiły wpuścić ją do pokoju.

Był tam, w wysokim żółtym łóżku — starzec, zakryty pod samą brodę. Między łóżkiem a drzwiami na tle ochry odznaczała się plama czerwieni i bieli. Koń na biegunach.

— Camillo?

Stara twarz obróciła się w jej stronę, długie białe włosy rozsypały się po poduszce.

Wśród Scarabaidów należało ukrywać swoje zamiary. Chciała znaleźć Camilla i znalazła go, praktycznie bez własnego udziału.

— Szukałam cię — powiedziała.

Spojrzał na nią. Jego oczy były ostre jak noże.

— Pewnej nocy — zaczął — nadciągnął tłum. Krzyczeli wokół



domu i służący przybiegli do mojej matki, byli przerażeni. Ojciec wziął mnie na ręce. „Ubieraj się”, powiedział, „włóż najcieplejsze rzeczy”. Na zewnątrz stały już sanie z zaprzężonym koniem. Dzwonki zostały zdjęte. Ojciec trzasnął z bicia. Ruszyliśmy co koń wyskoczy. Pamiętam, że biały śnieg rozbryzgiwał się jak fala.

— Nie chcę tego słuchać — powiedziała spokojnie Rachaela.

— Tłuszcz dała się zwieść — kontynuował Camillo. — Potem jednak biegli za nami, kamienie dudniły wokół sań. Matka płakała. Pod obszernym futrzanym płaszczem, zarzuconym w pośpiechu na nocną koszulę, miała całą swoją biżuterię. Wyjechaliśmy za rogatki miasta. Na drogę wyskoczyli ludzie z pochodniami, ale cofnęli się przed końskimi kopytami. Byłem podniecony, zbyt młody, by w pełni rozumieć, co się dzieje. Wpadliśmy między białe drzewa. Wokół wirowały wielkie płatki śniegu, a drzewa wyglądały jak olbrzymie białe świece, płonące w poświacie księżycy. Szlochałem, wspominając sagi mówiące o wilkach, ale ojciec uciszył mnie ostro. „To ludzi trzeba się bać, nie wilków”. Potem las zamknął się wokół nas i nie było już światła.

— Camillo!

— Sanie pędziły przez całą noc. Na jednym ze wzgórz nie było drzew, a wtedy obejrzelismy się i zobaczyliśmy ogromną czerwoną lunę na horyzoncie. Moja matka rozplakała się. Mówiła, że palą naszych ludzi. Ojciec powiedział, że to płonie samo miasto. Potem znów pochłonęły nas drzewa.

— A raniem — dokończyła Rachaela — wstało słońce, a ty zakryłeś głowę i płakałeś.

Camillo wyszczerzył zęby.

— Dobrze, dobrze. Nie muszę kończyć.

— Dlaczego mi to opowiedziałeś?

— Bo tu jesteś.

— Kim oni byli, ci, którzy zginęli?

— Scarabaidami — rzekł Camillo. — Zawsze Scarabaidami.

— Zabiły ich przesady, którymi sami się wykarmili.

— Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdka — mruknął Camillo — zastanawiam się, czym jesteś.

— Boicie się światła, ponieważ zostaliście tego nauczeni —

powiedziała Rachaela. — Wierzycie, że jesteście wampirami, ponieważ to też wam wmówiono.

— Czym jest to stworzenie? Myszą? Słoniem?

— Jak mogę odebrać im Ruth?

— Ruth — rzekł Camillo — to paskudne dziecko. Rachaela wlepiła w niego oczy.

— Nie lubisz jej.

— To źmija wyhodowana na łonie rodziny.

— Wobec tego pomóż mi ją stąd zabrać, Camillo. Powiesz mi, jak to zrobić?— Nie ma nadziei — odparł Camillo z głębi żółtego pudła-łóżka. — Ona jest teraz ich pączkiem. A ty jesteś ściętą trawą, krzakiem, który nie zakwitnie. Odejdź.

— Camillo...

— Pewnej nocy — zaczął Camillo — nadciągnął tłum. Krzyczeli wokół domu...

Rachaela zobaczyła, że stara twarz zamyka się jak muszla. Ruszyła do wyjścia, a on recytował, póki nie wyszła i nie zamknęła za sobą drzwi. Potem w pokoju znów zapadła cisza.

Po kolacji i wypiciu herbaty, gdy Ruth odstawiła filiżankę i padły słowa: *Czy mogę iść teraz na górę? Tak...* Rachaela wstała.

— Poję z tobą, Ruth.

Ruth zatrzymała się, przyzwyczajona latami do niedbałego posłuszeństwa.

— Ona zna drogę, Rachaelo — powiedziała Anna.

— Jestem tego pewna. Ale chciałabym zobaczyć, jak przebiega lekcja gry na fortepianie.

Scarabaidzi lekko poruszyli się na swoich miejscach, jak liście na delikatnym wietrze. Dorian znieruchomiał z gościem wzniesionym nad szachownicą. Alice najwyraźniej zgubiła oczko.

— To mogłoby odstręczyć Ruth od grania — rzekł Stephan spod pustego kominka. — To młoda dziewczyna. Nie potrzebuje wiele czasu na naukę.

— Nie masz racji — sprzeciwiła się Rachaela. — Jestem jej matką. Przebiegło między nimi westchnienie.

— Wobec tego idź — zgodziła się Anna.

Ruth odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, ale nie tak szybko jak poprzedniego wieczoru, żeby Rachaela mogła za nią nadążyć.

W korytarzu, gdzie usta Ruth rozblęły w rubinowym świetle, Rachaela zapytała:

— Lubisz te lekcje?

— O, tak.

— Jak sobie radzisz z nim? — spytała lekkim tonem Rachaela. Ruth odparła równie niedbale:

— Mówiłaś, że nie będzie mnie chciał, ale jest inaczej.

— Tak?

- Powiedział: mam na imię Adam. Jestem twoim ojcem.
- Wierzysz mu?
- Tak.
- Ile według ciebie ma lat? Ruth położyła rękę na klamce.
- Nie wiem.
- Co o nim myślisz?

Ruth popatrzyła na Rachaelę, jej twarz była pozbawiona wyrazu jak czysta kartka papieru, czy dokładniej — kartka z przekreślonymi i nie dającymi się odczytać zdaniami, jak w jednej z książek Sylviana.

— Jest moim ojcem — powiedziała Ruth.

Upiornie banalne stwierdzenie padło między nie jak cios rzeźniczego topora. Ruth nacisnęła klamkę i drzwi do wieży stanęły otworem.

Ruth ruszyła pierwsza do pokoju na górze.

Rachaela wchodziła powoli, ciało bolało ją jak w gorączce.

Pokój.

Okno było już ciemne, nie można było zobaczyć, czy pysk lwa nosi jeszcze jakieś ślady aktu wandalizmu sprzed lat. Świece i lampy ukazywały meble, szeroką czarną sadzawkę fortepianu z brzegiem usłanym klawiszami.

Przy ciemnym i otwartym palenisku spał olbrzymi kot, kupka kości pokrytych futrem. Gdy weszły, podniósł leniwie powieki, spod których wyłoniły się rozmyte półksiężycy oczu, spoglądających na nie jakby z ogromnej odległości.

Ruth natychmiast podbiegła do kota.

Przyklękła i objęła go, przytulając głowę do jego łba, gładząc gęste futro.

Potem spojrzała na mężczyznę siedzącego w fotelu.

— Cześć, Adamie.

Nie była ani zalękniona, ani przesadnie swobodna. Czy znajdowała się pod urokiem tego tajemniczego nieznajomego, autora jej istnienia, który, jak jej wmawiano, rzekomo wcale o nią nie dbał? Teraz miało go przed sobą w całej jego okazałej męskości. Należał do niej — przez godzinę, czy ile tam czasu trwały ich wieczorne spotkania.

Miał na sobie białą koszulę. To coś nowego, Rachaela pamiętała go tylko w czerni. Albo nagiego, odzianego jedynie we własną skórę.

Długie włosy związywał na karku, jak przed laty. Ruth miała takie same, czarne i proste jak hebanowy wodospad.

Nie odwrócił się, by spojrzeć na Rachaelę, patrzył jedynie na klęczące przed nim dziecko-kobietę.

Rachaela widziała tylko jego profil. Nie postarzał się, był po prostu taki sam. Przeszywające czarne oczy. Nie uśmiechnął się do dziewczynki. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Powiedział:

— Podejdź do fortepianu.

Wstał i przeszedł przez pokój. Wtedy Rachaela ujrzała jego twarz, tę nie zapamiętaną twarz. Jego oblicze było jedyne w swoim rodzaju, niepodobne do innych. A jednak... Rachaela zobaczyła, że Ruth bardziej niż kogokolwiek innego przypomina Adamusa. Pewnie dlatego Rachaela nigdy nie mogła doszukać się niczego przyjemnego w jej twarzy.

Gdy Adamus szedł do fortepianu, stało się to, co było nieuniknione: ich oczy się spotkały. Odkryła, że nie może wytrzymać jego spojrzenia ani mu się oprzeć. Była przerażona tym, jak bardzo na nią działał.

W tej samej chwili Ruth poderwała się na nogi i ruszyła za nim; szarpnęła go za rękaw.

— Co mam zagrać?

— Przygotowałem ci Mozarta.

I Ruth znów znalazła się w centrum uwagi.

Usiadła przy fortepianie, zerknęła na nuty i rozpostarła białe palce. Zaczęła grać. Była zaskakująco zręczna. Nie fałszowała, ale raz czy dwa zwolniła, z niezadowoleniem marszcząc czoło. Odegrała zadany utwór może nie tak, jak powinien zostać wykonany, to była raczej interpretacja. Niezwykle dużo się nauczyła w niesłychanie krótkim czasie.

— Bardzo dobrze — powiedział Adamus. — Ale kiedy źle odczytasz nuty, nie improwizuj. Musisz zatrzymać się i zagrać dany fragment jeszcze raz.

— Tak, Adamie — powiedziała Ruth. I uśmiechnęła się do niego. W taki sposób uśmiechała się tylko do Emmy. Nie było w tym sztuczności, ale subtelny flirt, pewność, że zostanie przychylnie potraktowana.

Adamus odpowiedział jej uśmiechem. Był to zimny i całkowicie obojętny grymas nauczyciela, który z poczucia obowiązku okazuje sympatię zdolnemu uczniowi.

Rachaela nagle poczuła, że oddycha, jak gdyby nie robiła tego przez minionych dziesięć minut. Krew uderzyła jej do głowy.

Zmusiła się do wypowiedzenia kilku słów.

— Jak na tak krótki okres nauki, Ruth wykazuje niezwykle postępy.

— Tak — powiedział, jakby rozmawiali przez cały czas, codziennie od dwunastu lat — to godne uwagi. Ale ja byłem taki sam. Ma to po mnie.

— Mam to po tobie — powiedziała Ruth.

— Mam nadzieję, że nie.

Ruth zachichotała jak szczęśliwe dziecko z nowego żartu.

— Zagraj teraz gamę. I Ruth zaczęła grać.

Rachaela odeszła od nich i usiadła w jednym z foteli przed kominkiem. Pochyliła się i pogłaskała śpiącego kota po głowie. Był wymizerowany ze starości. Pod skórą z łatwością wyczuwało się kości czaszki.

Zatem nie zarazili kota swą długowiecznością.

Po gamach Ruth wykonała kilka prostych utworów Clementiego. Adamus rozmawiał z nią po cichu. Nie poprawiał jej podczas gry, ale dopiero po zakończeniu, czasami każąc powtarzać jakiś fragment.

Rachaela słuchała szmeru ich głosów i muzyki, dopóki nie wpadła w swego rodzaju trans, w którym wydali się jej całkiem normalni, jak gdyby ich wzajemne stosunki były najzwyczajniejsze w świecie albo w ogóle nic ich nie łączyło.

Wreszcie lekcja dobiegła końca.

— Zagraj mi coś — poprosiła Ruth. — Zagraj Chopina, jego muzykę lubię najbardziej. — Wymówiła to nazwisko *Chopping*, tworząc własną, dziecięcą grę słów.

Adamus zaczął grać.

Rachaela spięła się wewnątrz.

Gdy dźwięki pomykały po pokoju niczym srebrne sztylety, zerknęła na nich, na swego kochanka i jego dziecko.

Ruth stała przy ramieniu Adamusa. Nie dotykała go. Patrzyła na jego ręce, przechylona nieco do przodu, jak wiotka gałąź na wietrze. Mniej niż kiedykolwiek wyglądała na dziecko, w zielonej jak mech sukni i z szylkretowymi grzebieniami. Przy ramieniu Adamusa sprawiała

wrażenie ducha, złośliwej wróżki, służki demona.

Rachaela poczuła falę wzbierającej wściekłości.

*Tak, jestem zazdrosna. I mam ku temu wszelkie powody. Oto moja następczyni.*

Kiedy przestał grać, Ruth powiedziała:

— Zagraj jeszcze Prokofiewa.

— Nie teraz, Ruth. Wystarczy na dzisiaj. Ruth nie protestowała.

Zawirowała i wróciła do kominka, kucając obok kota, by znów go pogłaskać i popieścić.

— Ruth — rzekła Rachaela — powiedz kotu dobranoc, a potem idź na dół.

— Zostanę tutaj.

— Nie. Nie dzisiaj.

Ruth podniosła głowę i popatrzyła jej w oczy.

— Zawsze zostaję godzinę po lekcji.

— Powiedziałam ci, nie dzisiaj.

Czy Ruth jej posłucha? Nie miała powodu. Wszystkie stare prawa przestały obowiązywać. Ale Ruth wstała.

— W porządku.

Podeszła do Adamusa, który siedział nieruchomo przy milczącym fortepianie.

— Mamusia każe mi iść na dół. — Przerwa, może oczekiwanie na sprzeciw. Adamus nie odezwał się. — Dobranoc.

— Dobranoc, Ruth.

Ruth pochyliła się i pocałowała mężczyznę w policzek. Potem ruszyła na dół po stopniach omiatanych przez długą suknię. Rachaela usłyszała, jak drzwi na dole otwierają się i zamykają. Kot podniósł głowę, nasłuchiwał przez chwilę, po czym znów ułożył się do snu.

— Przykro mi, że zepsułam ci wieczór — powiedziała Rachaela, może zbyt ostro. — Zdaję sobie sprawę, że musisz mieć wiele do powiedzenia.

— Nie mam jej nic do powiedzenia. Uczę ją gry na fortepianie. To Ruth podtrzymuje rozmowę.

— Bronisz się? Jesteś niezdolny do obrony.

— Jestem.

— Wiesz, że nie. — Przerwała i spróbowała spowolnić oddech. —  
Czy może źle to wszystko interpretuję?  
— Prawdopodobnie nie.  
— Czy zatem to prawda, czy naprawdę zamierzasz sparzyć się z tym dzieckiem?  
— Sparzyć? — powtórzył.  
— Jak inaczej można to nazwać? Jakiś prymitywny rytuał zakończony aktem płciowym.  
— Przypuszczalnie.  
— Jesteś jej ojcem.  
— I jej dziadkiem. — Wstał i wrócił przez pokój do kominka. Stał przed nią, lampa nieznacznie oświetlała jego twarz. — Darujmy sobie te prymitywne określenia.  
— Zgoda, ale jak w ogóle możesz brać pod uwagę coś tak brudnego, obrzydliwego, absurdalnego?  
— Nie biorę niczego pod uwagę. Takie rzeczy po prostu czasami się zdarzają.  
— Jak stało się z nami. Ale ja przynajmniej byłam dorosła.  
— Ruth też będzie dorosła. Zaczekają, póki nie skończy czternastu y piętnastu lat.  
— Oni. A kim t y jesteś, Adamusie, ich robotem? Czy nie masz c do powiedzenia? Może jesteś po prostu maszyną?  
— Częścią mechanizmu Scarabaidów.  
— Nie wierzę, że godzisz się z tym.  
— Oczywiście, że tak. Jestem tutaj. Rachaela również wstała. Kot u jej stóp mruczał cicho przez sen.  
— Zabiorę Ruth — powiedziała.  
— Nie jesteś dość silna. Ani fizycznie, ani psychicznie. Ruth stała się częścią ich zbiorowej duszy na dobre i na złe.  
— Myślisz, że będę siedziała bezczynnie i czekała, co się stanie?  
— Sądzę, że nie masz wyboru. Miałaś władzę nad własnym życiem. To wszystko.— Miałam? Kiedy obarczyłeś mnie tym... tym dzieckiem — miałam zamiar je usunąć, pozbyć się go.  
— Ale tego nie zrobiłaś. Prawda?  
Rachaela zamknęła oczy. Jej słabość, jej pech — czy naprawdę były



sprzymierzeńcami Scarabaidów, mającymi nie dopuścić, by zeszła z wygodnej dla nich ścieżki?

— Co by się stało, gdybym została tutaj?

— Nosiliby cię na rękach. Byłabyś ich Madonną. Zapewniliby ci wszelką opiekę.

— I żadnych lekarzy — dopowiedziała Rachaela.

— Unice i Miriam bez najmniejszych problemów odebrały co najmniej dwadzieścioro dzieci.

Rachaela roześmiała się.

— Zostałabym zamknięta w grobowcu-łonie tego domu, z dwiema starymi kobietami, wyciągającymi ze mnie Ruth. — Pomyślała o swych halucynacjach w szpitalu, o Sylvianie na plaży. — I co jeszcze?

Ceremonialne zaślubiny z tobą, po których przychodziłbyś do mojej sypialni raz na dwa lata?

— Mniej więcej. Zostalibyśmy użyci do odnowienia rodziny. To bardzo proste.

— Bardzo. I teraz planują to samo w stosunku do ciebie i Ruth.

— Dopóki jestem użyteczny.

— I dopóki Ruth jest zdolna. Dopóki to jej nie zabije.

— Nie zabije. Ta rodzina jest bardzo silna. Nawet ty taka jesteś, Rachaelo.

— Nawet ja. Outsider.

Nie powiedział nic i narosła między nimi ściana milczenia. Chciała rozwalić ją pięściami.

— Porozmawiam z Ruth — powiedziała. — Zamierzam zmusić ją, by zrozumiała, co naprawdę planujecie. Potem zobaczymy.

— Powodzenia.

— Myślisz, że nie posłucha? Ale ja mieszkałam z twoim dzieckiem. Ona jest zainteresowana wyłącznie sobą i tym, co może ją rozerwać. Teraz wszystko jest dla niej nową i fascynującą grą, ale wkrótce się nią zmęczy. Rola królowej pszczoł w waszym ulu nie przypadnie jej do gustu.

— Może.

— Myślisz, że wasze czary są silniejsze od wszystkiego podłożem? Sam jesteś marionetką. Nie masz własnej woli. Jesteś

niczym. Ich maszyną do produkcji nasienia.

— Tyle złych słów.

Jego piękno uderzyło w nią jak śpiew wielkiego chóru. Pragnęła podejść, pochylić się, oprzeć o niego. Słowa nie miały znaczenia. Pragnęła jego ramion, jego ust i ciała tak bardzo, jak w czasie tamtego dnia i nocy absurdalnej ekstazy. Niech diabli wezmą Ruth, czym była — ziarnem piasku, pyłkiem kurzu.

Ale nie mogła pozwolić, by kiedykolwiek jej dotknął. Nie mogła też dopuścić do tego, by posiadł Ruth, zaspokajając beznamiętne pożądanie.

— No cóż, skończyłam — powiedziała. Odeszła od niego, po schodach i do drzwi, które — jak Ruth — otworzyła i zamknęła za sobą.

Minęły dwa gorące dni, nim zdołała porozmawiać z Ruth na osobności.

Rachaela widywała córkę wieczorami, przy kolacji, po której Ruth udawała się na lekcje gry na fortepianie do Adamusa. Rachaela chodziła po domu, zaglądała do ogrodu, gdzie wrzoście pięły się po cedrze, a róże kuliły się na jego konarach. Zajrzała nawet do czerwonej sypialni i obejrzała okno z karmazynową Madonną, dzieckiem w koronie i złotymi królami o zwierzęcych twarzach. Nigdzie nie było Ruth.

Trzeciego dnia Rachaela wyszła na wrzosowisko i znalazła Ruth siedzącą przy stojącym kamieniu. Dziewczynka była ubrana w suknię z przełomu wieków z krótkimi bufiastymi rękawami. Nie była wymalowana, a włosy miała związane w koński ogon.

Rachaela podeszła do niej i zatrzymała się, pozwalając, by jej cień znieruchomiał na spalonej słońcem trawie.

Motyle wirowały w paprociach. Ptaki urządziły powietrzny pokaz na tle bladoniebieskiego dachu nieba.

— Chcę z tobą porozmawiać, Ruth.

— Tak.

Rachaela usiadła na trawie naprzeciwko swego dziecka. Tej osoby w sukni.

— Przypuszczam, że dobrze się tu bawisz.— Tak, dziękuję.

— Sprawili, że jesteś tu mile widziana. Dają ci mnóstwo prezentów. Pozwalają ci robić to, na co masz ochotę. Nie musisz chodzić do szkoły.

— I uczę się gry na fortepianie — pomogła jej Ruth.

— Oczywiście, masz lekcje gry. I Adamusa.

— Powiedział, żebym nazywała go Adamem.

— Wiem. Czy zauważyłaś, Ruth, że ludzie są mili i uprzejmi najczęściej wtedy, gdy chcą, by coś dla nich zrobić?

Ruth popatrzyła na Rachaelę. Jej spojrzenie było czysto spekulacyjne. A czego ty chcesz? — pytało.

— Czasami — odpowiedziała.

— I że ludzie sprawiają ci zawód. — Rachaela odczekała chwilę i wypuściła zatrutą strzałę. — Jak Emma.

Ruth nie drgnęła. Jej oczy były czarne i niezgłębione.

— Tak.

— Chcę, żebyś nad tym pomyślała, Ruth. Scarabaidzi są dla ciebie mili, ponieważ czegoś chcą.

— Chcą, żebym z nimi została — powiedziała Ruth. — Jestem córką Adama.

— A czy zdradzili ci, czego oczekują od ciebie i od Adamusa? Ruth odparła po dłuższej chwili:

— Powiedzieli mi, że zostanę z nim zaręczona. Rachaela cofnęła się. Opanowała się z wysiłkiem.

— Czy wiesz, co znaczy to słowo?

— Oznacza związanie obietnicą małżeństwa. — Ruth **dodała:** — Anna pokazała mi wyjaśnienie w słowniku, w bibliotece.

— Czy rozumiesz, co to znaczy? — Ruth obserwowała ją uważnie.

— Czy rozumiesz, że oni chcą, byś go poślubiła?

— Oczywiście.

— Córki nie wychodzą za mąż za swoich ojców! — zawołała może nieco za głośno Rachaela.

— To się zdarza. Egipcjanie tak robili.

Rachaela przeklęła pannę Barrett, pana Walkera i szkołę, szafującą tak hojnie nieodpowiednimi okruciami wiedzy. Albo może Ruth dowiedziała się o tym z jakiejś książki.

— Nie jesteś Egipcjanką.

— Królowie tak robili. Znaczące rody. By nie dopuścić do zanieczyszczenia krwi dynastii.

— I Scarabaidzi powiedzieli ci, że właśnie na tym ma polegać twoja

rola?

Ruth uśmiechnęła się tajemniczo i popatrzyła na trawę.

— Czy zastanowiłaś się — kontynuowała Rachaela — nad tym, co będziesz musiała robić jako jego żona? Że zostaniesz wzięta przez niego, pozbawiona dziewictwa, zmuszona do przeżycia piekła rozkoszy...

— Nie, mamusiu.

— Będziesz musiała rodzić jego dzieci — wyliczała dalej Rachaela.

— A czy wiesz, co to znaczy?

— Mówiłaś mi o dzieciach.

— W porządku.

— Nie mam nic przeciwko temu. Anna mi wyjaśniła. Ród musi być kontynuowany.

— Nie masz nic przeciw, ponieważ nie ma sposobu, żebyś mogła to pojąć. Mój Boże, nie mogę sprawić, byś zrozumiała wszystko w pięć minut. To bolesne i poniżające, Ruth. To oznacza, że twoje ciało nie będzie należało do ciebie. — *Chryste*, pomyślała, *mówię jak Jonquil*. — I będziesz doświadczała tego praktycznie bez końca. Czy nadążasz za tym, co mówię?

— Anna powiedziała, że to będzie łatwe.

— Och, więc Anna wyjaśniła ci również wszystko na temat dzieci?

— My jesteśmy szczególnie — powiedziała Ruth. — Ty jesteś inna.

Nie rozumiesz.

Rachaela zebrała myśli. Znów zobaczyła Ruth klęczącą na podłodze, w szalu i ze szminką na ustach, podczas gdy Lucile pochlipywała na niebieskim łóżku.

— Masz na myśli tę rodzinną legendę o wampirach?

— Oni są wampirami. — Ruth poprawiła się natychmiast: — My jesteśmy wampirami. W domu nie ma dziennego światła. Wszyscy wychodzą na dwór tylko nocą. Poza Chetą i Carlem, służącymi, którzy nie są Scarabaidami czystej krwi, a i oni muszą się osłaniać przed słońcem.

— Zatem dlaczego siedzisz tutaj, w słońcu, Ruth?

— Jeszcze nie uległam przemianie.

— A kiedy to nastąpi?

— Jak poślubię Adama.

Ruth wijąca się, kopiająca i wrzeszcząca na czarnym fortepianie, Adamus przyciskający usta do jej szyi, maleńki strumyczek krwi.— Ja poślubiłam Adama. Nie stałam się po tym inna.

— Nie jesteś taka, jak my. Twoja matka była obca.

— Ruth, muszę spędzić z tobą więcej czasu. Chcę, żebyś wróciła ze mną do Londynu.

— Nie, dziękuję — powiedziała Ruth — mamusiu.

Rachaela zobaczyła, jak Ruth zmienia się wewnętrznie. Stała się skoncentrowana, groźna. W jej oczach zapłonęło światło, zęby wydawały się ostrzejsze, paznokcie wydłużone. Spróbuj ją teraz dotknąć, a ta kreatura zacznie cię gryźć i drapać. Mogłaby uderzyć cię w pierś, jak wtedy, gdy była niemowlęciem. W Ruth czaił się demon. Demon Scarabaidów, ale obdarzony własnym ciałem i życiem.

Plama cienia, która przysłoniła słońce, sprawiła że Rachaela obróciła głowę.

Carlo wyszedł z domu i stał między drzewami, obserwując je otwarcie.

Był ubrany w swój zwykły strój „wyjściowy”: okulary przeciwsłoneczne, kapelusz i szalik mimo upału.

Ruth odwróciła się i zerwała na nogi.

— O, Carlo! Idę robić z Marią szarlotkę.

Pobiegła w kierunku domu, podnosząc długą spódnicę. Carlo jeszcze przez chwilę patrzył na Rachaelę, po czym odwrócił się i wszedł między sosny.

Nie mogła zrobić nic innego. Musiała zostać, aby być świadkiem. W ten sposób może będzie miała jakąś szansę.

On nie stanowił już dla niej żadnego zagrożenia.

A ona chciała znów go zobaczyć.

Rozdzielanie tych dwojga mogło być sposobem na oglądanie go. Były to obecnie jedyne możliwe kontakty.

Anna przekręciła klucz w drzwiach zamkniętego pokoju. Unice podniosła lampę.

— Tam będzie bardzo ciemno.

— Musimy uważać.

Stare kobiety szeleściły jak zwoje bibułek. Były tu

wszystkie. Rachaela stała za ich plecami, jak przystało na świadka.

Ruth czekała obok Anny.

Lampa wsunęła się do pokoju i oświetliła go, budząc do życia ruchliwe cienie. Była to jaskinia bez okien, pełna czerwieni.

Miriam i Teresa wsunęły się w purpurowy mrok, z którego następnie dobiegł trzask zapalek. Rozbłysły małe języczki płomieni.

Pod ścianami zapłonęły rzędy świec.

Było to zaniedbane pomieszczenie. Wzór spłowiałej karmazynowej tapety przedstawiał wiszące głowami w dół nietoperze — jak grafiki Eschera; inne kształty zdawały się utworzone przez bladożółte pasy. Sufit był podparty belkami.

Pokój wypełniały czerwone suknie udrapowane na manekinach.

Ich czerwień nie była jednolita, miała różne odcienie i różną fakturę; miękka i ciemna, szorstka i przezroczysta, jak owoce, jedne poobijane, inne niedojrzałe, niektóre pozostawione zbyt długo na słońcu.

Te suknie nigdy nie widziały słońca.

Były stare, antyczne, w stylu z innych epok i innych krajów. W większości sprawiały wrażenie równie kruchych jak owadzie skrzydła. Kilka wyglądało solidnie, jakby zostały zamrożone w czasie. Wszystkie pokrywał kurz.

Przez zapach kurzu przebijała lekka woń perfum, wspomnienie ciała.

— Chodź, Ruth — powiedziała Anna. — Rozejrzyj się. Niektóre będą za duże. Ale wiele było szytych na młode dziewczyny, takie jak ty.

Ruth weszła do pokoju. W świetle świec jej oczy błyszczały twardo jak dżety.

Gdyby Rachaela została w tym domu z dzieckiem w swym łonie — czy Scarabaidzi przyprowadziliby ją tutaj, by wybrała sobie zaręczynową bądź ślubną suknię?

Ruth zatrzymała się obok krynoliny z obszernymi rękawami, spojrzała na nią i poszła dalej.

Na manekinach wisiały suknie obcisłe jak futerały, wyszywane różowymi kryształami. Niektóre z usztywnionymi stanikami i z trenami, inne z długimi rękawami, ozdobione fałszywymi czerwonymi klejnotami. A może były one prawdziwe?

Ruth doszła do połowy pokoju i zatrzymała się między szkarłatnymi filarami. Oglądała wszystkie stroje, starannie dokonując wyboru na swój wielki dzień.

Anna trzymała się z boku. Teresa, Unice i Miranda podążały za Ruth. Alice, Anita, Sasha i Miriam, ogarnięte wspomnieniami czy zwykłą nostalgią, rozpierzchły się po pokoju. Wyglądały tak, jakby próbowały wybrać suknie dla siebie, co być może niegdyś robiły.

Livia pozostała przy drzwiach. Jej twarz się wykrzywiła. Powiedziała do Rachaeli: — Mój Constantin — i przycisnęła suche stare ręce do twarzy. Było tak, jakby chciała, a nie mogła zapłakać. Skurcz bólu opuścił ją powoli. Opuściła ręce, podeszła do czerwonej sukni, i zaczęła wygładzać jej sztywne fałdy jedną upierścienioną ręką.

Rachaela szła sama między rzędami strojów.

Ruth podeszła do stojaka.

W suficie była szczelina, przez którą wpadało nieco mętnego światła, a pod nią stała tylko ta jedna suknia.

Była, jak sypialnia, w kolorze krwi. Odślaniała ramiona i miała głęboko wycięty stanik, ozdobiony sięgającym do talii szeregiem rubinowych guzików. Sutą spódnicę ozdobił bogaty haft, tworzący winogrona, kwiaty i liście. Szerokie rękawy spływały na podłogę, a pod nimi były drugie, obcisłe, z czerwonej koronki.

— Tę — powiedziała Ruth.

— Och, wybrała tamtą! — zawołała Miranda. — Jaka śliczna.

— Jak pięknie będzie w niej wyglądała — powiedziała Teresa. — Pamiętam... — zaczęła i zamilkła.

Kobiety poczęły ją uciszać: chór koników polnych. Suknia poruszyła się, wybrzuszyła, jak gdyby ugięły się pod nią niewidzialne nogi. Ruth cofnęła się. Wytrzeszczyła oczy.

Wszystkie kobiety wpatrzyły się w suknię. Spódnica znów zafalowała. Co się dzieje? Czy suknia budzi się do życia?

— Nie, nie — jęknęła Anna. — Nie.

Żwawo podeszła bliżej. Rachaela zobaczyła, jak sięga po suknię, podnosi spódnicę i potrząsa nią.

Nagle długi szewek pękł z trzaskiem, wzbijając kłęb czerwonego pyłu.

Wyleciał ptak. Przemknął obok Anny i zanurkował nad głowami starych kobiet, które zaczęły wrzeszczeć piskliwie.

Rachaela nigdy nie widziała Scarabaidów do tego stopnia wytrąconych z równowagi.

Ptak miotał się od ściany do ściany, a kobiety piszczały przeszywająco, odpędzając go rękoma błyszczącymi od pierścieni.

Raptem ptak wystrzelił w górę. Zniknął w dziurze w suficie i szum bijących skrzydeł ucichł.

— Strych — powiedziała Anna, wskazując na dziurę. — Stryj Camillo zostawił otwarte okno.

— Czy on ucieknie? — krzyknęła Unice.

— Czy odfrunie? — zapytały chórem pozostałe.

— Spodziewam się — odparła Anna. Spojrzała na Rachaelę. — Może Rachaela pewnego dnia pójdzie na górę i zobaczy.

— Ptak w domu zwiastuje nieszczęście — obwieściła posępnie Unice.

— Cicho — rzekła Anna. — Ptak uciekł. Ruth, wybrałaś tę suknię? Ma odpowiedni rozmiar.

— Był w niej ptak — powiedziała Ruth.

Nie zaraziła się paniką starych kobiet, ale jednak była pod wrażeniem.

— Ptak odleciał — powtórzyła Anna.

— Już jej nie chcę.

Stare kobiety zwróciły się ku niej, bezwładnie jak szmaty na kiju. Mruczały coś pod nosem, prawdopodobnie bez słów.

— To wybierz inną — zaproponowała Anna.

— Ale ja chciałam tę.

— No to zapomnij o ptaku. — Anna uśmiechała się cierpliwie.

— Nie.

Anna rozpostarła ręce i czekała.

Wszystkie kobiety czekały na decyzję kobiety-dziecka, która była ich przyszłością.

Ruth stała z głową przechyloną na bok. W końcu oświadczyła:

— W porządku, zapomnę. Wezmę tę. Ale szewek jest rozdarty.

— Naprawię wszystkie rozdarcia — zapewniła Alice. — A Cheta bardzo starannie wyczyści suknię. Zwłaszcza koronki. Koronki są takie



twarzowe.

— A co z welonem? — zapytała Ruth. — Czy będę miała welon?

— Tak — powiedziała Miriam — jak panna młoda. Piękny czerwony welon.

— A Carlo przyniesie z ogrodu czerwone róże — dodała Miranda.

— To będzie taki uroczysty dzień — zawołała radośnie Teresa. Ruth stała między nimi, w środku, jak oś stopniowo obracającego się koła. Ani razu nie spojrzała na Rachaelę.

Kiedy świece zostały zgaszone, wycofały się z pokoju. Michael i Maria mieli później zabrać wybrany manekin.

Na zewnątrz, na korytarzu, Ruth została uniesiona przez chmurę starych kobiet.

Rachaela poszła na strych.

Tam, wśród skrzyń i stojaków, wisiała jedna czerwona suknia — suknia matki Alice.

Nie mogła znaleźć dziury, która wiodła do pokoju poniżej. Ale okno faktycznie było szeroko otwarte i wpuszczało ostre słońce.

Oczywiście — oni byli wampirami, nie mogli więc tutaj przychodzić.

Ale Camillo wstał z łóżka i przyszedł tu, i otworzył okno, by zwabić ptaka, który skrył się w czerwonej zaręczynowej sukni Ruth.

Ptak zniknął.

Rachaela stanęła przy oknie, patrząc ponad dachami na wieżę.

Słońce płonęło oślepiająco na jej stożkowatym dachu, okno błyszczało.

Adamus.

Pił jej krew, ale wychodził na światło dzienne. Czy Ruth będzie rozczarowana, kiedy się dowie po swej nocnej metamorfozie, że słońce jej nie unicestwia?

Tuż przed północą po schodach zeszła narzeczona Scarabaidów.

W krwawej sukni, w welonie barwy wnętrza arbuza spływającym jej na ramiona z małego diademu, i z dwoma szkarłatnymi różami w ręku wyglądała jak panna młoda w piekle.

Zegarek Rachaeli potwierdził godzinę, ale naprawdę ważne było jedynie to, że zapadła noc, resztki letniego światła zniknęły z nieba, drzwi domu zostały otwarte.

Wszędzie stały zapalone świece, szeregi koralików ognia, wydzielające gęste i falujące ciepło.

U stóp schodów zgromadzili się starcy w swych wieczorowych ubraniach, w swym kurzu i świecidełkach. Jedynie Rachaela w bawełnianej koszulce i prostej spódnicy odcinała się od pozostałych. Stała oddzielnie, znów była jedynie świadkiem.

Wymalowana twarz Ruth była całkowicie opanowana, ale jarzyła się wewnętrznym światłem. Cała Ruth stanowiła rozżarzone centrum płomieni.

Otwarto jeden z zazwyczaj nie używanych pokoi, sprzątnięty i odkurzony przez służących. Na wysokich stojakach ustawiono świece i czerwone róże.

Naprzeciw wejścia stał stół nakryty czerwonym aksamitem, a na nim leżała otwarta wielka stara księga. Za stołem stał Dorian w wieczorowym stroju i wykrochmalonej koszuli. Przed stołem czekał Adamus.

Rachaela z przerażeniem stwierdziła, że ma na sobie smoking, białą koszulę i czarną muszkę. On także wystroił się na tę farsę. Jego twarz była wyprana z wyrazu, a oczy takie, jak pamiętała — matowe, lakierowane sadzawki bez śladu światła czy głębi. Ale to była prawda,

był ich marionetką.

Scarabaidzi rozstąpili się i Ruth weszła tym szpalerem do pokoju.

Wszyscy ruszyli za nią, zajmując miejsca za parą narzeczonych, za mężczyzną i małą kobietą-dzieckiem.

Rachaela stanęła pod ścianą, patrząc nad głowami o silnych, sztywnych jak druty włosach i jednym hełmem, bowiem stryj Camillo przybył w swej zbroi. Ona i Adamus byli najwyższymi osobami w pokoju, co zwiększało śmieszne wrażenie nierealności.

Dorian rozsznurował pomarszczone usta.

— Mieszkańcy tego domu zebrali się dzisiejszej nocy, by zobaczyć, jak dwoje jego dzieci, Adamus i Ruth, składa narzeczeńską obietnicę. Ceremonia zostanie przeprowadzona zgodnie z duchem starej tradycji. Stanie się rękojmią, że ród Scarabaidów będzie trwał i rozrastał się przez przyszłe pokolenia.

Migotliwe światło świec raziło Rachaelę w oczy. Nie mogła nadążyć za słowami Doriana, wszystko było zbyt oderwane od rzeczywistości, zbyt absurdalne. Po chwili Dorian zaczął przemawiać w jakimś obcym języku, a później chyba po łacinie.

Potem wsunął rękę Ruth w dłoń Adamusa i przewiązał je białą jedwabną wstążką, starą wstążką poźółkłą ze starości.

— Pamiętajcie teraz, że bez względu na to, co czas przyniesie, na oczach świadków złożyliście sobie obietnicę. Nie możecie wiązać się z nikim innym, musicie dochować wierności do chwili, w której zawrzecie związek małżeński.

Ruth spojrzała w twarz Adamusa. Uśmiechnęła się przebiegle.

— Musicie teraz powiedzieć, czy wyrażacie na to zgodę i czy pozostaniecie wierni tym więzom. Ruth, ty odpowiedz pierwsza.

— Zgadzam się i pozostanę wierna.

— Adamusie.

— Zgadzam się — rzekł Adamus — i pozostanę wierny. Dorian rozwiązał białą, brudną wstążkę.

— Choć ten węzeł został rozwiązany, przysięga nadal obowiązuje. Niech wszyscy będą tego świadkami.

*Jestem świadkiem, pomyślała Rachaela, zostali ze sobą związani. Ona jeszcze urośnie, nim go poślubi. Wtedy nie będzie wyglądało to tak*

*perwersyjnie. Albo może jeszcze gorzej.*

Pomyślała: *O czym on myśli? Czy jego umysł jest pusty?*

Adamus schylił się i ucałował lekko usta Ruth. Nie zamknęła oczu trzymała je otwarte i syciła się jego widokiem.

Zbliżyła się Cheta. Na tacy niosła małe ciastko. Adamus przełamał je, zjadł jedną połówkę, a drugą podał Ruth.

Podszedł Michael z kielichem czerwonego wina. Oboje wypili po łyku.

— Wpiszcie swoje nazwiska do księgi.

Adamus zanurzył pióro w kałamarzu i nakreślił podpis, Ruth zrobiła to zaraz za nim.

Czy z przyzwyczajenia podpisała się: Ruth Day?

Ale Dorian nie zakwestionował podpisów.

Adamus i Ruth, ręka w rękę, odeszli od stołu. Ruth dała mu jedną różę; on wpiął ją w butonierkę.

Jakże przerażająco wyglądali, jak sfuszerowane figurki na weselnym torcie: zimny, wysoki pan młody i jego maleńka elfia narzeczona w szkarłatach.

Anna przysunęła się do Ruth i podała jej małą paczuszkę.

Adamus puścił rękę Ruth.

Dziewczynka rozpakowała prezent w swój zwykły, zachłanny sposób.

Medalionik z kryształkami — z pewnością nie mogły to być diamenty. Ruth podała klejnocik Adamusowi, a on zapiął go na jej szyi.

Za Anną tłoczyli się inni. Dawali swoje prezenty: kolczyki, książki, sztuki materiału, ozdoby i przedmioty z barwionego szkła.

*Tylko ja nie mam nic do ofiarowania.* Rachaela wyobraziła sobie, że jest trzynastą wróżką, złą matką chrzestną, podchodzącą, by ofiarować dar śmierci.

Czy w tym momencie pragnęła śmierci Ruth? Czy ta idiotyczna ceremonia z małą dziewczynką ubraną jak panna młoda faktycznie niosła w sobie takie zło?

Mała dziewczynka zarzuciła stół swymi trofeami. Od czasu do czasu pokazywała je Adamusowi, najlepszemu trofeum ze wszystkich. On uśmiechał się obojętnie. Teraz z szeregu wysunął się Camillo. Jego prezent również był zapakowany. Ruth gorliwie rozdarła papier. Była

taka zachłanna! Nie zwróciła najmniejszej uwagi na postać ofiarodawcy w zbroi.

Z opakowania wyłoniło się dziwne urządzenie z metalu i drewna.

Adamus powiedział: — Uważaj — i pochylił się, by wyjąć jej z rąk ten przedmiot. Była to pułapka na myszy.

Camillo zachichotał.

— Stryj Camillo jest bardzo niegrzeczny, Ruth — powiedziała Anna. — Ale nie miej mu tego za złe.

— Stryj Camillo — powtórzyła Ruth.

Spojrzała na niego twardymi jak kamień i czarnymi jak smoła oczyma. Jej twarz skurczyła się nieco. Stryj Camillo próbował popsuć jej zaręczyny.

Anita podeszła do Ruth i podarowała jej poduszkę wyhaftowaną w czerwone kwiaty.

Kiedy wszyscy dali swoje prezenty, Scarabaidzi i narzeczem udali się do jadalni.

Stół wprost uginał się pod ciężarem dań, jak w czasie średniowiecznej uczy. Były tam pasztety i pieczenie, kurczęta i inne potrawy pochodzące bez wątpienia z supermarketu we wsi.

W tym pokoju również płonęły świece, a powietrze przesycone było zapachem róż.

Ruth zajęła miejsce przy jednym końcu stołu, Adamus przy drugim. Rachaela usiadła między Stephanem a Dorianem. Na Camilla również czekała zastawa, ale on oczywiście nie przyszedł. Przy stole było więcej kobiet niż mężczyzn, którzy skupili się od strony Adamusa.

Biesiadnicy poczęstowali się pokrojonym pieczywym, pasztetami i jarzynami.

Scarabaidom jak zwykle dopisywał apetyt. Rachaela z ciekawością zerknęła na Adamusa, ale on również jadł. Powoli i obojętnie, jednakże jedzenie znikowało z jego talerza. A Ruth pochłaniała jedzenie tak, jakby to sprawiało jej zmysłową rozkosz.

Rachaela ze wstrętem dziobała widelcem w talerzu. Nie chciała uczyć zaręczyn przez uczestniczenie w tym obżarstwie.

Czy ktoś wygłosi toast i wzniesie go starym szampanem? Podano wino, lecz nikt nie podniósł się, by zabrać głos. Jednakże bez wątpienia

był to zaręczynowy bankiet. Czego Ruth spodziewała się na jego zakończenie? Od czasu do czasu jej żarłoczne oczy wędrowały ku Adamusowi. Najwyraźniej czegoś się spodziewała, ale niestety, ciąg dalszy nie miał nastąpić. Może nie wyjaśnili jej tego do końca. Uczta była punktem kulminacyjnym nocy.

Kiedy Adamus wstał, Ruth spojrzała nań wyczekująco.

— Dobranoc — rzekł. — Dobrej nocy, Anno. Dobrej nocy, Ruth.

— Musisz iść tak wcześnie? — zapytała Anna.

— Spędziłem z wami dwie godziny.

Anna schyliła głowę, a Adamus wyszedł z pokoju. Ruth na wpół podniosła się z krzesła.

— Czy mogę...

— Nie, Ruth. Zostań i skończ jeść kolację.

Ruth opadła na krzesło ze szczególnym błyskiem w oczach. Już bez apetytu skubała widelcem kurczaka, ale nie pozwoliła sobie na otwarte okazanie uczuć.

Posiłek ciągnął się w nieskończoność.

Rachaela miała tego serdecznie dość, pragnęła uciec tak jak on, ale wiedziała, że musi zostać, by obserwować.

Wreszcie mięsa i owoce zostały obrane do kości i pestek.

Towarzystwo wstało.

Ruth zerwała się jak szkarłatna jętka.

— Czy teraz mogę pójść na górę?

— Nie — odparła Anna. — Jest bardzo późno. Jestem pewna, że zaraz zachce ci się spać.

Twarz Ruth stwardniała; cienie pod oczyma stały się wyraźniejsze.

— Nie jestem senna.

— Na razie nie odczuwasz zmęczenia, ale wkrótce tak się stanie. To normalne po takim ekscytującym wieczorze.

— Aha, a suknia — wtrąciła Alice — musi zostać zdjęta i założona z powrotem na manekin.

— Chcę ją zatrzymać — powiedziała Ruth. — Chcę ją nosić.

— Och, nie. Nie. Kto widział coś podobnego? Takie suknie wkłada się wyłącznie na szczególne okazje. Chyba nie chciałabyś zabrudzić takiej ślicznej sukienki? — Alice zaczęła nerwowo wymachiwać

rękoma.

Ruth spojrzała na Alice i nagle z jej oczu strzelił promień czystej nienawiści.

Oczywiście, rzucono jej kłody pod nogi. Najpierw zabrano jej Adamusa, a teraz suknię. Bezlitośnie obdzierano ją z jej roli. Inne dziecko zareagowałoby atakiem wściekłości, ale Ruth wcześniej się nauczyła, że przez zrobienie awantury niczego nie zyska.

Alice skuliła się pod siłą wzroku Ruth. Odwróciła się do Petera z próbą usprawiedliwienia:

— Zawsze tak było. Ona nie wie. Pamiętasz, jak Jessica podarła swoją suknię i trzeba było zszywać ją na niej, a potem ciąć, by mogła się rozebrać?

Peter skinął głową. Ruth oznajmiła:

— To tylko stara suknia.

Zaszokowała ich. Uważali ją za dziecko, ale otrzymywali odpowiedzi pasujące do osoby dorosłej. Nie wiedzieli, jak zareagować.

— Wszystko, co dobre, kończy się — rzuciła Rachaela.

Ruth zerknęła na nią. Nigdy nie spodziewała się niczego dobrego ze strony Rachaeli i dlatego nie znenawidziła jej za to, że nic dobrego nie dostaje.

Wszyscy wstali od stołu i kilka starych kobiet zabrało Ruth, by pozbawić ją jej świętego przydzwiewku.

Była trzecia nad ranem.

W salonie Rachaela zagadnęła Annę:

— Powinniście byli pocieszyć Ruth. Powiedzieć, że zobaczy go rano, w czasie kolejnej lekcji gry na fortepianie.

Anna haftowała pawia.

— Ale tak się nie stanie, Rachaelo. On już nie będzie jej uczył. Jack zreperował i nastroił fortepian w pokoju muzycznym. Ruth może tam ćwiczyć.

— Więc już zmęczył się nowością — skomentowała Rachaela. Gorący ból przeniknął jej ciało.

— Jest mało komunikatywny — Anna powtórzyła słowa sprzed lat. — A ostatnie tygodnie kosztowały go dużo wysiłku.

— Wykorzystaliście go, by ją uwiódł, może nie dosłownie, ale

generalnie do tego rzecz się sprowadza.

— Ruth będzie musiała być cierpliwa.

— Przez trzy lata? Teraz ma jedenaście. W tym wieku trzy lata to bardzo długo.

— Ruth jest Scarabaidem.

— To wy tak uważacie.— To fakt.

Rachaela odwróciła się i wyszła z pokoju. Ze szkarłatnej tkaniny została wyszarpięta pierwsza nić. Teraz cały przegniły materiał mógł ulec zniszczeniu.

Rachaela-świadek obserwowała Ruth-narzeczoną.

Dni stały się gorące i w zamkniętym domu panował nieznosny upał. Był jak piec. Płonące kolory strzelały z jego okien, wewnątrz przypominało duszną łaźnię barw.

Scarabaidzi, tropieni przez swego wroga, słońce, nie ruszali się ze swych omiecionych kolorami pokoi.

Ruth wiele czasu spędzała na wrzosowisku, a czasami nad samym morzem, ponieważ pewnego dnia odkryła schody wiodące na plażę. Rachaela obserwowała ją, jak zbiera skarby na skraju wody, pluska się czy siedzi pod stojącym kamieniem, pochłonięta rysowaniem. Raz czy dwa towarzyszył jej wielki czarny kot, śpiąc u jej boku. Ruth ogromnie go lubiła, co było do przewidzenia. Raz założyła mu na kark wieniec ze stokrotek. Była jak zagubiona, zbłąkana menada. Grupa bachantek poszła dalej, pozostawiając ją za sobą.

Wieczorami, nieczęsto, Ruth grała na fortepianie w pokoju muzycznym.

Grała ze złością i fałszowała.

Przez większość wieczorów po kolacji opuszczała Scarabaidów siedzących w saloniku i udawała się do swej sypialni, przypuszczalnie po to, by malować bądź czytać. Czy Anna dawała jej książki? Własne zostawiła w Londynie.

Ruth żyła w niewłaściwym tempie. Była przyzwyczajona do rutyny, z której mogła się wyłamywać. Tutaj nie miała rygorów, jedynie beczynność, od której nie mogła uciekać na wagary.

Dom może wystarczał na samym początku, ale potem miała coś lepszego — Adamusa. Teraz Adamus odwrócił się do niej plecami, a



dom, już nie widziany skroś jego blask, stracił swój urok.

Rachaela obserwowała, co się dzieje, widziała zmiany zachodzące w Ruth. Dziewczynka popadała powoli w otępienie. Stawała się znudzona.

Pewnej nocy Ruth zapytała Annę:

— Czy mogę jechać do miasta?

— Do miasta? Och, to bardzo daleko. Znajoma rozmowa.

Tym razem wtrącił się Stephan.

— W mieście nie ma nic ciekawego.

— Są sklepy — powiedziała Rachaela.

— W wiosce też są sklepy.

— Możesz pójść tam z Chetą i Carlem — zaproponowała Anna.

— To bardzo daleko — powiedziała Ruth. Była dzieckiem autobusów i ulic. Bez wątpienia wołała cmentarze, bary szybkiej obsługi i Woolwortha. Nie pociągała jej pustka wrzosowiska.

— Mogę iść do kina? — zapytała.

Rachaela zabierała ją czasami na filmy, być może chodziła też na seanse na własną rękę.

— To za daleko, Ruth — powiedziała Anna — zdecydowanie za daleko, jak na ciebie.

Ruth popatrzyła na Rachaelę, ale Rachaela nie pomogła jej.

— Tu nie ma nic do roboty — stwierdziła Ruth.

— Możesz rysować i grać na fortepianie — powiedziała Anna — a Alice nauczy cię robić na drutach.

Ruth milczała. Patrzyła na Annę przez dłuższą chwilę, lecz Anna spokojnie zajęła się haftowaniem, Stephan zaś wbił oczy w kominek, na którym zimą płonął ogień.

Rachaela mogłaby zaproponować Annie, że pojedzie z Ruth wynajętym samochodem do miasta, ale Anna z pewnością odmówiłaby, przypuszczając że Rachaela chce porwać dziecko.

Ile czasu trzeba, by wszystkie nowe zabawki straciły urok? Z pewnością niedużo.

W dodatku Scarabaidzi zaczęli zachowywać się inaczej. Już nie gromadzili się tłumnie na kolacjach, przychodzili pojedynczo bądź parami, albo za stołem zasiadali jedynie Anna i Stephan. Przestali wpatrywać się w Ruth i przyklaskiwać każdemu jej słowu. Byli pewni,

że już ją zdobyli. Dzięki zaręczynom została wpasowana w cenny schemat i teraz, chociaż nadal była źrenicą ich oczu, mogli o niej zapomnieć. Przestała być gwiazdą, wokół której się skupiali.

Ruth straciła status księżniczki, teraz była jedynie dzieckiem w domu. Książę także zniknął.

Czy Ruth próbowała dostać się do wieży? Czy znalazła drugie drzwi za łącznikiem i usiłowała je otworzyć — bez skutku? Czy pisała do niego jakieś dziecinne liściki i darła je w gniewie?

Rachaela podążała za Ruth.

Krążyła za nią długimi korytarzami, mijając rozpalone okna, których nigdy nie otwierano, okna, których rubinowe i błękitne tafle odcinały drogę niebezpiecznym promieniom słońca.

Czekała przy drzwiach, podczas gdy Ruth błąkała się po ciemnych, płonących barwami pokojach, w których powietrze było gęste od miodowego zapachu rozgrzanej wilgoci.

Przeglądała się, jak Ruth próbuje sforsować, jak ona niegdyś, pozamykane drzwi. Obserwowała, jak wchodzi do pokojów-światów Scarabaidów: Alice w bawialni; Eric rzeźbiący maskę w komnacie, której okno o barwie pączka granatu zasnuwała mleczna ślepotą. Ruth trzymała wełnę dla Alice, i towarzyszyła Erikowi w czasie rzeźbienia. A później natknęła się na Petera i Doriana w porannym pokoju z witrażem przedstawiającym Jezabel w winnicy; nawet zieleń wyglądała jak rozpalona lawa. Grali w szachy.

— Nauczycie mnie grać? — zapytała Ruth.

Dorian, który zaręczył ją z jej mrocznym księciem, odburknął:

— Może kiedyś. Nie teraz. Jesteśmy zajęci. A Peter wymijająco dodał:

— To dobra dziewczynka.

Rachaela wyczuwała, jak Ruth słucha odgłosów domu, które męczyły ucho jak monotonne granie świerszczy. Poskrzypywanie, zgrzyty i szelesty, wznoszący się i opadający szum morza, który zdawał się przenikać czaszkę, przemieniać ją w nieczułą skorupę.

Śledziła Ruth w kuchni, w mroku o barwie liści kapusty, gdzie panował taki upał, że trudno było oddychać. Na stole leżały trzy nieoprawione, śmierdzące króliki.

Ruth popatrzyła na króliki. Może po raz pierwszy utożsamiała jedzone mięso z żyjącym stworzeniem. Tam była krew.

— Czy to kot je złapał?

— Kot już niczego nie łapie — powiedziała Cheta. — Carlo ustrzelił je z procy. Jeden strzał i kark złamany. Chcesz robić ze mną pasztet? — Nie, dziękuję.

Najwyraźniej zwróciła uwagę na krew. To było nieludzkie.

Siedząc pod stojącym kamieniem Ruth próbowała rysować Adamusa. Było to jasno widać z jej starań, arkuszy, które darła i mięła. Nie potrafiła uchwycić jego podobieństwa.

Rachaela obserwowała Ruth leżącą w krwawoczerwonym łóżku; zręczne palce bawiły się ciałem w porywach młodej i częściowo nie uświadomionej żądy. Co Ruth widziała oczyma wyobraźni? Porywającego ją ojca-kochanka, nocną galopadę, bezpostaciową — ponieważ za mało wiedziała — wzmocnioną przez marzenia i obrazki z książek, prowadzącą do szalonego spełnienia w ciemności.

Jej ciało było gotowe, ale Ruth musiała czekać. Trzy lata, cztery. Anna wyjaśniła to.

Wszystko to Rachaela widziała w myślach, ponieważ tylko tak podążała za Ruth, w dzień i w nocy.

Czy matka i córka oddziaływały na siebie wzajemnie, czy każda osiągała szczyt orgazmu, milczący krzyk, by spaść z powrotem w otchłań chorobliwej samotności?

Może Ruth spała niewinnie.

Może Dorian albo Stephan, albo George uczyli ją grać w szachy.

Może nadal pomagała przy robieniu pasztetów w kuchni.

Rachaela znalazła tylko jeden rysunek przedstawiający Adamusa, gnany wiatrem po wrzosowisku. Twarz nosiła ślady podobieństwa, ale ciało nie było uformowane. Ciało pokonało Ruth.

Poniżej na plaży podskakiwał Camillo, jego białe włosy powiewały jak flaga. Zachowywał się jak pies, podbiegając do wody i odskakując przed falą.

Wyżej Rachaela dostrzegła Ruth i czarnego kota. Kot skakał z miejsca na miejsce, może polując na motyle. Z daleka sprawiał wrażenie młodego i silnego. Ruth biegła za nim w swej sukni z początku wieku,

od czasu do czasu klaskając.

Obejrawszy się, Rachaela zobaczyła Camilla wspinającego się na wysoki brzeg.

Patrzyła, jak pewnie pokonuje niebezpieczne stopnie.

On spojrzał na nią i mrugnął.

Wyszedł na wrzosowisko. Zobaczył Ruth.

— Uff — mruknął. — Splunął **na** trawę. — Ten mały potwór.

— Dlaczego dałeś *jej* pułapkę **na** myszy?

— By złapać szczura.

— Ruth jest nadzieją rodziny — powiedziała Rachaela. — Ale już nie jest ich oczkiem w głowie. Nie będzie chciała czekać latami.

— Cukier dla konia. Biedny koń. Taka daleka droga i nawet jabłka w nagrodę.

Rachaela spojrzała na Ruth. Kot położył się wśród kęp janowca. Ruth przyklękła obok i głaskała go.

— Wygląda jak normalna mała dziewczynka ze swym ulubieńcem — powiedziała Rachaela. — Przynajmniej stąd.

— Lisica, diabelskie nasienie. Wiesz, co zrobiła?

— Nie, Camillo. Co?

— Ma młotek. Poszła do pokoju, w którym są przechowywane stroje, i wyłamała zamek. Zabrała swą czerwoną suknię. Trzyma ją w swoim czerwonym pokoju. Widziałem.

Rachaela pomyślała o młotku, który zniknął ze strychu, o młotku, którym próbowała rozbić okno w wieży Adamusa.

— Lubi się przebierać — powiedziała.

— To zaręczynowa suknia.

Ruth usiadła obok kota. Wydawało się, że przemawia do niego z ożywieniem, jak rozmawiała z Emmą, kiedy była... dzieckiem.

— Kocioł wrze — rzekł Camillo. Rachaela spojrzała na niego pytająco.

— Co się stanie?

— Biedny konik i ani odrobiny cukru.

— W jakim kraju to było? — zapytała. — Tamten koń, las i śnieg, i to płonące miasto.

— W Rosji.

- Tak myślałam. W którym roku?
- Tysiąc siedemset trzecim.
- Teraz mówisz mi prawdę, a ja ci wierzę.
- To nie jest prawda — rzekł Camillo — jedynie odpowiedź.

Naucz się dostrzegać różnicę.

— W tysiąc siedemset trzecim — powtórzyła — teraz więc miałbyś prawie trzysta lat.

— Nie do zniesienia. Pamiętam moje dzieciństwo i młodość, ale reszta jest niczym.— Czy Ruth będzie żyła tak długo, jak ty?

— Jeżeli w to uwierzysz... Dłużej.

— Nie, myliłam się — powiedziała. — Wcale w to nie wierzę.

Prócz Rachaeli i Ruth jedynie Anna przyszła na kolację. Cheta pokroiła i podała pasztet.

Ruth zaczęła jeść. Nagle wypluła kęs na talerz — Rachaela wspomniała Camilla plującego na trawę — i rzuciła nóż i widelec.

— Jest wstrętny — powiedziała Ruth. — Jest okropny. Rachaela, nie zaczynając jeść, czekała.

Anna zawahała się.

— Cheto — powiedziała — kiedy został złapany ten królik?

— Wczoraj rano, panienko Anno.

— Niemożliwe, by mięso zepsuło się w tak krótkim czasie.

— Jest wstrętny — powtórzyła dziko Ruth.

— Nie bądź głupia — upomniała ją Anna. — Czy myślisz, że pozwoliłabym ci jeść coś zepsutego? Popatrz, ja jem ten pasztet.

— Ty jesz wszystko. Anna odparła:

— Oczywiście, że nie, Ruth.

— Tak, jesz wszystko. I pijesz krew. Wychodzisz o zmroku, łapiesz różne stworzenia i wypijasz ich krew.

Anna wyglądała na przestraszoną. Na jej twarzy pojawiło się oburzenie.

— Nie wiem, skąd wpadł ci do głowy taki głupi pomysł...

— Jesteście wampirami. Wszyscy Scarabaidzi.

— Nonsens, Ruth. Nie wiesz, co mówisz.

— Pijesz krew — powtórzyła dziewczynka uparcie.

Anna przypominała zwierzę złapane w sieci. Jej zwykle opanowanie

opuściło ją, jak wtedy, gdy Rachaela poruszyła temat seksu. Oczywiście picie krwi wiązało się z seksem, nie miało nic wspólnego z jedzeniem. Prawdopodobnie Anna nigdy tego nie robiła. Adamus był jedynym, w którym ujawnił się złowieszczy gen.

— Nie wiesz, co mówisz — powtórzyła Anna. — Nie spodziewałam się po tobie takiego zachowania.

— Wysysasz w kuchni krew z królików! Stary Dorian przeżuwa ich kości! Alice ma kościane druty do robótek! — krzyczała Ruth, podnosząc się w ogarniającym ją szaleństwie. — Livia robi naszyjniki z kości. Jack ma brązowe plamy na rękach, to stara, zaschnięta krew, a George płucze w krwi zęby.

— Ruth! Dość tego!

— Miriam i Unice piją krew w filiżankach i udają, że to herbata. Stephan pije krew przed obiadem. Kiedy umrzecie, wszyscy traficie do piekła.

— Ruth! — W głosie Anny brzmiał zimny i twardy autorytet, i zادیorność Ruth ustąpiła przed jego siłą. — Jesteś niegrzeczną, niczego nie rozumiejącą dziewczynką. Możesz odejść od stołu, skoro nie chcesz jeść, i iść na górę do swego pokoju.

— Chcę zobaczyć Adamusa! — wrzasnęła Ruth. Jej głos wibrował przenikliwą nutą, która zdradzała, że dziewczynka jest na skraju hysterii. Rachaela nigdy nie słyszała, by odmowa doprowadziła Ruth do takiego stanu, ale też nigdy wcześniej Rachaela nie odmawiała jej czegoś, czego tak bardzo pragnęła.

— Zobaczysz go, gdy Adamus będzie gotowy — powiedziała Anna — ale wątpię, czy zechce rozmawiać z takim niegrzecznym, pyskатыm bachorem.

— Tak, będzie chciał! — zawołała Ruth. — Lubi mnie. Chce mnie poślubić.

— Zapomnij o tym. Mówiłam ci, że jesteś za młoda na małżeństwo i musisz poczekać. Dzisiejszy wybuch jest tego dowodem.

— Jesteś wstrętna — powiedziała Ruth tak, jak wcześniej mówiła o króliku. Jej twarz, jak twarz Anny, była teraz opanowana. — Nie pozwalasz mu spotkać się ze mną.

— On nie chce cię widzieć. Ma do załatwienia własne sprawy. Jesteś

dzieckiem, i masz zachowywać się jak dziecko. Idź do swojego pokoju, jak kazałam.

Ruth odeszła od stołu. Raz, bez śladu emocji, spojrzała na Rachaelę. Rachaela równie dobrze mogłaby być meblem. Powiedziała:

— Pójdę do swego pokoju, ale i tak jesteś wstrętna. Jesteś niegodziwa i pójdziesz do piekła.

Anna poderwała się. Jej oczy iskrzyły się lodem i ciemnością.

Ruth wyszła z jadalni.

Anna usiadła i napiła się wody. Powiedziała do Rachaeli:

— Nigdy nie próbowałam narzucić jej dyscypliny.— Powściągałam ją, ale nie okiełznałam jej ducha. To z nim będziecie musieli teraz walczyć.

— Nie będę z nikim walczyć. Ona zobaczy, że takie postępowanie ma sens.

— Tu nie ma żadnego sensu. Ona chce swojego ojca, swego męża-kochanka. Jeżeli go jej nie dasz, znajdziecie się w kłopotach.

— Nie jestem jego dozorcą.

— Och, jak najbardziej jesteś. Ty i wszyscy Scarabaidzi. Możecie zmusić Adamusa, by robił to, co chcecie. Ale nie zmusicie Ruth.

— Zobaczymy.

Rachaela wzruszyła ramionami. Nie tknęła pasztetu z królika.

Anna jadła w milczeniu.

Czy Rachaela powinna skorzystać z okazji, pójść do krwawej sypialni i porozmawiać z Ruth? Nie, ponieważ Ruth jeszcze nie dojrzała. Wszystko stawało się ponure, ale nie sięgnęło szczytu. Ruth musi jeszcze znienawidzić Adamusa, dopiero wtedy Rachaela zdoła ją usidlić i zabrać z tego domu.

Rankiem po przebudzeniu Rachaela poczuła dziwne napięcie mięśni, jak gdyby przez całą noc spała zwinięta jak sprężyna, czekając aż coś się wydarzy.

Wykąpała się, ubrała, i zeszła na dół bez śniadania. Minęła pusty salonik i jadalnię, i przez szklarnię, w której płonęły olbrzymie żółte i czerwone kwiaty, wyszła do ogrodu. W porannym świetle cis zdawał się spryskany cytrynowymi cętkami, zielone liście topoli lśniły w promieniach słońca. Niebieskawy cedr stał w ogniu pnących róż. Korony

dębów rzucały szerokie łaty cienia. Rachaela słyszała uparty łoskot fal, zbyt głośny teraz, by mógł być uznany za szum w głowie.

Na trawie leżał zwinięty czarny kot, a obok niego klęczała Ruth. Nie dotykała go. Słyszając kroki Rachaeli, podniosła głowę.

— Nie budzi się — powiedziała.

Rachaela popatrzyła na kota. Wydawał się twardy i sztywny, brakowało mu rozluźnienia typowego dla snu. Niski gorący wiatr stroszył długie frędzle futra.

Rachaela podeszła do kota i dotknęła jego głowy i karku. Kot nie oddychał.

— Przykro mi, Ruth. Myślę, że on nie żyje.— Nie!

— Przykro mi. Myślę, że był bardzo stary. Był już tutaj przed dwunastu laty. Umarł we śnie, to łagodna śmierć.

— Nie chcę, żeby nie żył.

— Tak, wiem. To był kochany kot.

— Nie chcę — powtórzyła Ruth. Zaczęła głaskać kocie futro szorstko, gorączkowo. — Obudź się!

Rachaela zostawiła ją i udała się na poszukiwanie Carla. Znalazła go w ogrodzie, niedaleko. Był w szaliku i ciemnych okularach. Wrywał chwasty z trawnika. Może miał na nie oko, na Ruth i na nią.

— Carlo, Ruth znalazła kota; obawiam się, że zwierzak nie żyje. Carlo wyprostował się.

Zostawił gracę i rydel, i ruszył w stronę Ruth. Rachaela podążyła za nim. Pamiętała, jak szedł w ten sam sposób, bez słowa, do Sylviana. Carlo pochylił się nad kotem i dotknął go.

— Śpi — powiedziała Ruth.

Carlo nie odezwał się, ale podniósł kota za skórę na karku. Głowa opadła bezwładnie.

— Nie! — zawołała Ruth.

— On już nic nie czuje — powiedziała Rachaela. — Może spala ciało. Scarabaidzi palą swoich zmarłych.

Ruth rzuciła się na kota.

— Nie! Nie! Nie ośmielisz się go spalić! Rachaela zwróciła się do milczącego Carla:

— Pogrzeb kota, Carlo, proszę.



— Jeszcze nie — krzyknęła Ruth.

— Jest bardzo gorąco. Leżał tu przez całą noc. — Gardząc sobą, dodała: — Jego już tu nie ma, Ruth. Był taki zmęczony i obolały, że tylko spał przez cały czas, ale teraz jest wolny.

— Gdzie on jest? — zapytała ochryple Ruth.

— Nie wiem.

— W szkole mówili, że wszystko, co umiera, idzie do nieba.

— Zatem może on też tam jest. — Rachaela czuła do siebie wstręt.

— Z wyjątkiem niegodziwców. Oni idą do piekła. Kozły idą do piekła. On był kotem Scarabaidów. Pójdzie do piekła.

— Może ostatecznie piekło nie jest takie złe — powiedziała Rachaela, raczej żartobliwie.

Carlo odszedł, prawdopodobnie po łopatę. Ruth wstała.

— Nie wolno mu tego zrobić, póki nie wróce. Każ mu zaczekać, mamusiu.

— W porządku.

Ruth pobiegła w stronę domu.

Wróciła w czerwonej zaręczynowej sukni; Carlo, który czekał na nią na prośbę Rachaeli, zaczął kopać dół pod cisem. Ruth stała w swych szkarłatach, z jej oczu płynęły łzy. Rachaela od czasu dzieciństwa córki nie widziała jej płaczu. Było to pełne udręki zawodzenie, kończące się czkawką bólu. Rachaela nie potrafiła pocieszyć Ruth, po prostu nie umiała tego zrobić. Wreszcie ziemia przykryła kota i Carlo odszedł. Dziewczynka została nad grobem, zalewając się łzami, mnąc w rękach czerwoną starodawną suknię, niepocieszona i opuszczona, postać z greckiej tragedii.

Całe popołudnie Rachaela przeleżała na łóżku pod mozaiką witraża. Było jej tak gorąco, że nie miała ochoty się ruszać. Zastanawiała się, czy Ruth jak zwykle poszła na lunch podawany w jadalni. Sama nie lubiła jeść w taki upał, chociaż raz zadzwoniła na Chetę. Zamiast niej przyszedł Michael i przyniósł jej szklankę wody. Nie mieli soku pomarańczowego, nawet dla Ruth, ani gazowanych napojów, które kiedyś przepelniały lodówkę Rachaeli.

Nie potrafiła uwolnić się od widoku Ruth płaczącej nad grobem martwego kota.

Teraz coś musiało się wydarzyć.

Może nawet Ruth przyjdzie do jej pokoju. *Mamusiu, już nie chcę być tutaj.*

Rachaela zaplanowała ucieczkę i podróż tak, jak przed dwunastu laty. Jej plany nie sięgały poza chwilę, w której wraz z Ruth znajdzie się w pociągu jadącym do Londynu.

W Londynie coś trzeba będzie zrobić.

Nie chciała ani Ruth, ani tego, by córka zajęła jej miejsce u boku Adamusa. Jeżeli ją zabierze, będzie jej coś winna, i jak to spłaci? W Londynie czekała panika.

Zastanowi się nad tym na miejscu, z dala od tego szaleństwa, gdy będą miały do czynienia jedynie z własnym. Omdlewająco upalne popołudnie jakby nie chciało się skończyć.

Coś musiało wydarzyć się podczas kolacji, o ile nie wcześniej.

Jadali teraz bardzo późno, czekając na zachód słońca.

Gdyby tylko mogła odgrodzić się jakoś od okien. Cień węża padał na jej ciało jak płonące cegły, jabłko zarzyło się na łonie. I tu leżała z diabłem... *Nie myśl o tym.* Odepchnęła to od siebie.

Zegary tykały. Zaczęła zapadać w drzemkę.

Czy Ruth otworzy drzwi?

Nic się nie stało.

Co robi Ruth?

Rachaela zasnęła.

Gdy wstała, upalne popołudnie dobiegało już końca. Okno pogrążyło się w ołowianych cieniach, białe tafle pożółkły jak słoniowa kość. Bolała ją głowa. Zażyła dwa paracetamole i wyszła do łazienki, by wziąć zimną kąpiel.

W korytarzu zaskoczyło ją coś dziwnego. Podniosła głowę. Okno z Kainem i Ablem, podświetlone zachodzącym słońcem, znaczył dodatkowy czarny element. Na dole, nad winogronami i żytem poniżej ołtarza, widniał czarny krzyż.

Kto ze Scarabaidów go namalował? Na co się zanosilo?

Weszła do łazienki i napuściła letniej wody do wanny, a krzyż wirował w jej myślach jak burzowa chmura.

Wylegiwała się w chłodnej kąpieli przez pół godziny, po czym ubrała się niechętnie i wróciła do sypialni. Gdy mijała okno, krzyż rzucał na dywan czarne przekątne.

Nim zgasła reszta dziennego światła, coś zmusiło ją do ponownego wyjścia z pokoju. Jeszcze raz przemierzyła korytarz, zawróciła, skręciła w inny. Na wszystkich oknach widniały krzyże, zawsze na dole.

Weszła na podest. Nad schodami ciemniał nietknięty witraż przedstawiający księcia w czasie zaślubin, ale to okno było umieszczone bardzo wysoko. Świetliki nad drzwiami również były czyste.

Kiedy zrobiło się ciemno i Rachaela usłyszała, że Michael zapala lampy w korytarzu, wyszła do niego.

— Michaelu, widziałeś okna?

— Tak, panno Rachaelo.

Ale Michael nie okazał żadnych emocji. To, co robili Scarabaidzi, było wyłącznie ich sprawą, jak poczynania Sylviana w bibliotece. Rachaela odruchowo udała się do biblioteki. Lampa paliła się na stole przy globusie, wszystko wydawało się takie, jak przedtem. Podeszła do północnej ściany i wyjęła jeden z tomów. Nie był pokreślony.

Rachaela odwróciła się. Na stole leżała otwarta książka. Na obu

stronach widniały linie, przecinające się w znak krzyża.

Wszystkie poprzednie stronicie były podobnie okaleczone. Obok leżała hebanowa linijka i wilgotne pióro, z którego spadła na blat kropelka atramentu.

Rachaela poczuła strach zmieszany z podnieceniem.

Wyszła z biblioteki, wróciła po własnych śladach i zeszła na dół do holu.

Nie napotkała nikogo ze Scarabaidów. Jak cichy był dom, i jak głośnie morze.

W salonie paliło się światło.

Rachaela ruszyła powoli w tamtą stronę. Prawdopodobnie tylko Anna była na dole, Anna-matrona, prawie na pewno matka Adamusa, rzecznik Scarabaidów.

Rachaela nie chciała wchodzić do salonu.

Zawróciła, żeby odszukać Chetę, Marię... ale przecież one były tu może pół godziny wcześniej, by zapalić lampy. Michael wkrótce miał nadejść, by podać drinki. Czy Stephan był w tym pokoju... i Ruth... Nie, Ruth tam nie było.

Rachaela weszła do salonu.

Uważnie rozejrzała się po wnętrzu. Wspaniałe wyposażenie, pokryte wieloletnim kurzem, jarzące się oazy wypolerowanych stołów, szachownica przygotowana do gry, sofy i fotele przyciągnięte do białego marmurowego kominka z kolumnkami i ekranami.

Przed kominkiem na dywanie leżała Anna.

Wyglądało na to, że spadła z krzesła, ponieważ wokół wałały się przybory do haftowania, kolorowe jedwabie.

Anna leżała przyzwoicie, ciemne spódnice były schludnie ułożone, ręce wyciągnięte po bokach. Głowę miała lekko przekręconą w prawo, a na czole ciemniał ślad przypominający bryzg czerwonej farby.

Coś wystawało z lewej piersi.

Rachaela podeszła i pustym wzrokiem wpatrywała się w ten przedmiot, póki w końcu nie zrozumiała, że to zaokrąglona główka stalowego druta do robótek. Drut został wbity z taką siłą, że zatrzymał się dopiero na podłodze pod plecami Anny.

Rysy zastygły w wyrazie oszołomienia, choć twarz była prawie

spokojna. Jedyne otwarte usta — jak usta Sylviana — psuły ten wizerunek.

Rachaela usłyszała za sobą cichy szmer, a potem głośny trzask tłuczonego szkła. W powietrzu zawibrowało dzikie wycie złapanego w pułapkę zwierzęcia.

Odwróciła się i zobaczyła Marię, która upuściła srebrną tacę z karafkami i butelkami. Większość z nich potłukła się, ich zawartość tworzyła na podłodze krwawą kałużę. Maria zawyła, ale tylko raz, po czym wybiegła z pokoju.

Rachaeli zrobiło się niedobrze. Ściany przekrzywiły się i wyprostowały niechętnie. Anna nie żyła. Anna została zamordowana.

A Rachaela mogła jedynie stać tam, być może jak winowajczyni, wpatrując się bez końca w krwawy stygmat na czole Anny i drut wystający z jej piersi.

Po chwili do pokoju wsunęli się inni. Wypełzli ze swoich zakamarków i kryjówek. Scarabaidzi. Nikt nie krzyknął. Raz czy dwa rozległy się stłumione westchnienia. Rachaela nie odwróciła się. Czuła się jak sparaliżowana. Czy dlatego, że była taka jak oni?

W końcu ktoś przeszedł obok niej. Stephan stanął nad Anną, patrząc na nią i wykonując dziwne, bezcelowe gesty, jak gdyby wygładzał rękoma fale powietrza.

Potem zbliżył się Carlo. Podniósł Annę i położył ją na sofie.

Na dywan nie było krwi. Drut zaczipował ranę, ślad na czole prawie nie krwawił.

Scarabaidzi skupili się wokół sofy, na której leżała Anna, obchodząc Rachaelę tak, jakby była krzesłem. Zatem nie podejrzewali jej.

W pewnej chwili Rachaela przyłapała się na tym, że liczy ich nieświadomie, Livia, Unice, Miriam, Jack, Eric, George i Teresa, Sasha, Miranda i Stephan. I dalej Cheta i Maria jak niewyraźne duchy, i Carlo z Michaeliem. I Anna.

Stephan powiedział:

— Musiała zostać najpierw uderzona, a potem, kiedy upadła, przeszyta.

— Drutem Alice — dopowiedziała Miranda. — Numer pięć.— Jak? — zapytał George.

— Młotkiem, drut wbity młotkiem.

— Morderstwo z premedytacją — stwierdziła Miranda.

— Podeszła do niej z drutem w jednej ręce, a młotkiem ukrytym w drugiej — powiedziała Sasha.

— W tej czerwonej sukni — dodała Unice — w zaręczynowej sukni. A Anna powiedziała: — Nie wolno ci nosić tej sukni.

— I wtedy ją uderzyła — rzekła Miranda.

— Patrzcie, jak pewnie jest wbity drut — zwróciła uwagę Teresa. — Wiedziała, co robi.

— Pamiętajcie, jak stryj Camillo — zaczęła wysokim i drżącym głosem Miranda — owej nocy powalił ją uderzeniem pięści i wypił jej całą krew?

— Ciii... — syknęły stare głosy.

— Nie budź przeszłości — powiedział Stephan, po czym mruknął: — Anno, Anno.

— Na pewno nie żyje? — zapytała Miranda.

— Na pewno — odparł Stephan.

Jego oczy oderwały się od ciała i napotkały spojrzenie Rachaeli. Stephan był oszołomiony, ale jego oczy patrzyły trzeźwo. Zdawało się, że warstwa po warstwie przypalają skórę na twarzy Rachaeli.

— Twoja córka zrobiła to Annie.

— Nie możesz tego wiedzieć — rzekła spokojnie Rachaela. Ona sama wiedziała. — Każde z nas mogło to zrobić.

— Ale żadne z nas tego nie zrobiło. Nawet ty tego nie zrobiłaś. Morderca jest w każdym z nas, ale ujawnia się tylko w nielicznych.

— Jak w przypadku Camilla. Mówiliście o Camillu. Czy zabił wcześniej? Dlaczego nie mógłby teraz?

— To nie Camillo. Jemu już nie zależy na tym, by kogoś zabić. Ale ona jest młoda i samowolna.

— Musimy ją znaleźć — zaproponowała Sasha. I skupili się razem, by odbyć naradę.

— Schowa się — powiedziała Unice.

— Ale to jest nasz dom — stwierdził Jack. — Gdzie mogłaby ukryć się tak, żebyśmy nie mogli jej znaleźć?

— Musimy powiadomić Adamusa.

To Miriam wyrzekła te słowa. Inni podnieśli głowy jak nocne stworzenia, które zwęszyły ofiarę lub wroga.

— Tak... Adamusa — mruknął Stephan. Odwrócił się i spojrzał na Michaela. — Idź do wieży. Powiedz mu.

Michael zabrał lampę i natychmiast skierował się ku drzwiom.

Rachaela prawie nieświadomie ruszyła za nim.

Coś w niej próbowało ją powstrzymać, ale bez powodzenia. Nikt z pozostałych nawet na nią nie spojrzał.

Jak oczekiwała, Michael wspiał się na schody i skręcił w korytarz wiodący do łącznika Salome. Rachaela szła kilka kroków za nim. Nie odezwał się do niej, zachowywał się tak, jakby jej nie było.

Minęli okno, którego witraż przedstawiał taniec z poczerniałą w mroku głową Jana Chrzciciela, zeszli na dół i ruszyli korytarzem do drzwi wieży.

Michael wyjął klucz i otworzył je.

Wszedł na wewnętrzne schody, a Rachaela za nim.

Serce jej waliło.

Weszli do pokoju na górze. Adamus stał przy fortepianie, jak gdyby czekał na nich, na Michaela.

Może, mimo dzielących ścian, usłyszał przeszywający wrzask Marii i to go uprzedziło. Czy Anna nie krzyknęła?

Ubrany był na czarno, jakby już nosił żałobę po Annie.

— Panie Adamusie — zaczął Michael — coś...

— Anna została zamordowana — przerwała mu Rachaela. Uderzyła tymi słowami jak Ruth młotkiem i drutem.

Adamus nie zareagował. Po chwili rysy jego twarzy jakby stopiły się, po czym uformowały na powrót i zakrzepły.

— Michaelu — powiedział.

— Tak, panie Adamusie, panna Anna została zabita.

— Mówią, że zrobiło to twoje dziecko — rzekła Rachaela. — Ruth.

— Jak? — zapytał, jak wcześniej George. Michael pochylił głowę.

Rachaela powiedziała:

— Ogłuszyła ją młotkiem, a potem wbiła drut do robótek w jej pierś. Została nauczona, że w taki sposób zabija się wampiry.

Adamus odwrócił się i podszedł do kominka. Stanął plecami do nich.

— Dziękuję, Michaelu.

Michael wyszedł z pokoju. Jego oczy ślepcy nie wyrażały niczego. Adamus rzekł cicho:

— To Ruth?

— Prawdopodobnie. Oni tak uważają.

— To twoje dziecko! — krzyknął.

— A ty jesteś jej ojcem — stwierdziła chłodno.

Oderwał się od kominka i zawirował, a jego powierzchowność uległa nagłej zmianie. Płonęła w nim biała furia, przerażająca, wyrachowana, kontrolowana, śmiertelna.

— Anna była twoją matką — powiedziała Rachaela.

— To nie powinno cię obchodzić.

Ruszył w jej stronę, a ona spiesznie ustąpiła mu z drogi. Minął ją i zszedł po schodach.

Kiedy ucichł bezgłośny grzmot jego kroków, Rachaela pobiegła za nim.

Scarabaidzi zaczęli polowanie na Ruth.

Na górze, na dole, szukali w całym domu...

Cheta przyniosła klucze, i gdy tylko napotymano zamknięte drzwi, natychmiast je otwierano.

Nie znaleźli Ruth.

Znaleźli malowidła pokreślone czarnymi krzyżami.

Znaleźli Alice.

W bezbarwnej sypialni za bezbarwną bawialnią leżała na bezbarwnym łóżku w pastelowej popołudniowej sukni z kolejnym drutem numer pięć, wbitym po lewej stronie piersi. Żaden inny cios nie był konieczny, może Alice spała. Oczy miała otwarte, przepełnione zdziwieniem.

Adamus opuścił jej powieki.

Później, w pokoju z anielskim oknem, błękitnym i żółtym, znaleźli Dorian i Petera.

Peterowi zadano cios z tyłu, wokół było mnóstwo krwi. Dorian został uderzony między oczy. Obaj leżeli na podłodze, przy stoliku do gry w szachy, solennie, jeden obok drugiego, a stalowe druty przyszpilały ich do dywanu.

Wyglądało na to, że Dorian nie umarł od razu. Jego lewa ręka była



odrzucona na bok, a twarz wykrzywiona. Zabójczyni musiała działać szybko i zniemacka. Kto mógł powiedzieć, jaka siła drzemie w tych starcach? Ale Ruth też była silna. Była Scarabaidką. Przeszukiwali dom jak sfora milczących psów, prawie bezgłośnie. Miranda zapytała:

— Gdzie ukrywa się stryj Camillo?

— Nie ukrywa się — odparł Jack. — Przychodzi i mówi nam, co robi.

— Nie — powiedział George. Adamus rzekł zdecydowanie:

— Ruth nie ma u Camilla.

Wiedzieli, że nie znajdą innych ciał, bo wcześniej policzyli się.

Brakowało jedynie Camilla.

Rachaela chodziła za nimi.

Była odrętwiata i przerażona. Już na dole, gdy dostrzegła nieobecność Alice, Doriany i Petera, była pewna, że oni również nie żyją.

Oto co Ruth, w swej czerwonej jak krew sukni, robiła przez całe głupie, gorące popołudnie. I co robiła Anna wieczorem, po zapaleniu świateł.

*Mnie także mogła zabić. Ale Rachaela była dla Ruth niczym; Rachaela nie była wampirem.*

Powab przeminął. Ruth nie była już księżniczką wampirów, ale łowcą wampirów. Za każdym razem, gdy uderzała, udowadniała sobie, że są prawdziwi...

Błękitne i brązowe pokoje, pokój żółty niczym jesienny liść — nigdzie nie znaleźli Camilla. Weszli do sypialni Ruth, Adamus pierwszy. Ale Ruth nie było.

Dlaczego sądzili, że schowała się w domu? Ponieważ dla nich dom był wszystkim. Znali Ruth, która była ich odbiciem w krzywym zwierciadle.

Wykluczyli Camilla spomiędzy siebie na wszystkie te lata, na setki lat, za jego mroczne i odrażające przestępstwo. Rachaela mówiła mu: *Wierzycie, że jesteście wampirami, ponieważ wam też to ktoś wmówił.*

Wiedziała, że Ruth nie ukrywa się w pobliżu Camilla.

*Wiedziała. Czy zatem wiedziała też, gdzie Ruth się schowała?*

Tak.

Rachaela wiedziała i może wszyscy wiedzieli, te poszukiwania były

jedynie swego rodzaju rytuałem, jaki odprawiali wśród czarnych okien, które Ruth poznała krzyżami, i pod rzeźbami, malowidłami i malowanymi lustrami, które jej szminka znaczyła niczym krew. Podeszli w końcu do właściwych drzwi. Cheta wyjęła klucz i schowała go z powrotem, bowiem zamek był wyłamany.

Adamus pchnął drzwi.

I znów w świetle lamp i świec zobaczyli spleśniałe tapety w nietoperze i niezliczone czerwone suknie na stojakach.

Scarabaidzi stanęli w wejściu, oniemiałi; podnieśli stare, suche ręce do ust i gardeł, i wsparli się na ramionach sąsiadów.

Jak gdyby nie mogli przestąpić progu.

Ale Adamus wszedł.

Chyba wiedział, co się niedawno stało, może opowiedziano mu zdarzenie z ptakiem ukrytym w sukni.

Szedł pewnie, a gdy mijał manekiny, popychał je i przewracał. Stanowił centrum czerwonego wiru. Suknie spadały na podłogę, woale pękały, karmazynowe rękawy darły się, strugi paciorków wybuchały jak gejzery. On był wiatrem, a suknie rozkołysanym morzem.

Kobiety zaczęły pokrzykiwać cichutko, jak wtedy, gdy znaleziono Annę i Alice, Petera i Doriana. Teraz były świadkami śmierci innego rodzaju.

Adamus podszedł do sukni stojącej w kącie, do długiej sukni z trenem.

Nie pchnął jej.

Wyciągnął ręce i delikatnie pogładził materiał, fałdy różowej satyny zaszeleściły w jego dłoni.

A tam, w środku sukni, niczym dziecko ukryte w kwiecie w baśniowej opowieści, kuliła się Ruth.

W swej krwawej sukni, ciemniejszej i bogatszej od tej, jaka stanowiła jej kryjówkę, wydawała się niezwykle mała. Po jej ramionach i plecach spływały czarne włosy. Miała czyste ręce, na ubraniu nie było widać krwi.

Odwróciła głowę jak wąż, spojrzała w górę i zobaczyła Adamusa. A wtedy uśmiechnęła się, i był to najśłodszy uśmiech, jaki Rachaela kiedykolwiek widziała na jej twarzy. A twarz, twarz skrzata, stała się

piękna niczym gwiazda.

— Miałam nadzieję, że to będziesz ty. Wiedziałam, że tak się stanie. Adamie, oni próbowali nas rozdzielić — powiedziała Ruth jak bohaterka jakiejś trzeciorzędnej powieści.

Adamus niezwykle delikatnym, prawie wykwinnym ruchem sięgnął w głąb sukni i podniósł ją. A Ruth, widząc tylko jego, wzniosła gwiazdę twarzy ku jego ustom.

Adamus przesadził ją na lewą rękę. Obejmował ją w talii, unosząc w powietrzu.

A potem zamachnął się i uderzył ją prawą dłonią w twarz i szyję. Był to cios, po którym winna była rozpaść się na kawałki.

Siła uderzenia sprawiła, że rozluźnił uchwyt. Stanik czerwonej sukni rozdarł się i obsunął, a sama Ruth frunęła w tył i upadła na podłogę.

Leżała tam, na wpół oszołomiona: rozdarty stanik odsłaniał jej białe, doskonałe piersi z różowymi pączkami sutek. Wiła się po nich szkarłatna nitka, nie z sukni, ale z kącika ust. Przez chwilę, nim jej blada twarz zaczerwieniła się po jednej stronie i zaczęła puchnąć, wyglądała jak nieskazitelny wizerunek wykreowanego przez media wampira.

— Wstawaj — rozkazał Adamus.

— Nie — wyszeptała Ruth, ledwo otwierając już obrzmiewające usta. — Bo zrobisz to drugi raz.

— Wstań i spójrz na nich.

Wtedy Ruth wstała i zasłaniając piersi jedną ręką, popatrzyła na Scarabaidów.

Oni odpowiedzieli jej spojrzeniem.

Nie zapytali, czy ona to zrobiła ani dlaczego. Ona nie zaprzeczała niczemu ani też niczym się nie chełpiła. Ich twarze bez wyjątku były jak oblicza ikon. Być może uzgodnili to jakoś, bez słów czy znaczących spojrzeń.

Milczenie trwało bardzo długo.

Kiedy Rachaela popatrzyła na Adamusa, jego twarz upodobniła się do ich twarzy. Zostawił Ruth tam, gdzie stała, i ruszył w stronę drzwi.

Wszyscy rozstąpili się, by go przepuścić.

Tylko Rachaela złapała go za ramię.

— Nie, Adamusie. Nie możesz odejść — co oni zrobią?

— Zabierz ręce — powiedział. — Nie zmuszaj mnie, bym ja to zrobił.

Jej ręka opadła, a on minął ją i zniknął w mroku korytarza. Zwróciła się głośno do Scarabaidów:

— Co zrobicie? — w jej głosie był lęk, ale zdawało się, iż nie o Ruth, ale o siebie. — Stephanie, co zrobicie?— Musimy ją zamknąć — odparł zapytany. — Tak, jak zawsze to robimy.

— Na strychu — uzupełniła Miranda.

— Żeby nie mogła nikogo skrzywdzić — dodała Miriam.

— Na wiele lat — powiedziała Sasha.

— Jesteście obłąkani — stwierdziła Rachaela. — Ona jest tylko dzieckiem. Chorym dzieckiem. Potrzebuje pomocy...

— Zamknij ją, Carlo — wszedł jej w zdanie Stephan.

I Carlo podszedł do Ruth, po drodze zdejmując marynarkę, którą wysunął w jej stronę.

Ale Ruth odtrąciła ją pogardliwie, przysłaniając nagie piersi ramieniem.

Carlo położył na nim rękę gestem policjanta.

Podrzuciła arogancko głową i pozwoliła poprowadzić się do drzwi. A gdy przechodziła między Scarabaidami, czy może wtedy, gdy zobaczyła Rachaelę, uśmiechnęła się po raz drugi. Ale teraz był to uśmiech klauna, skrzywiony z powodu opuchlizny. Z trudnością powiedziała:

— Zasłużyliście na to.

I została zabrana na pogrążony w mroku strych.

— Stephanie — mówiła — ty nie rozumiesz.

Stephan siedział przed kominkiem, patrząc w palenisko, na którym zimą płonął ogień.

Rachaela siedziała naprzeciwko.

— Stephanie, to, co zrobiła Ruth, jest straszne. Czy nie widzisz, że jest psychicznie chora? Zamykanie jej na strychu niczego nie rozwiąże.

— Stephan obserwował widmo nie istniejącego ognia. — Ona potrzebuje pomocy. Jej miejsce jest w szpitalu.

— Anna — powiedział Stephan.

— Annie już nie można pomóc. Pozwól mi pomóc Ruth.

— Mamy własne sposoby.

— Ruth nie jest wasza. Jest moja.

— Ruth jest nasza.

Ciała leżały w swoich sypialniach, Peter i Dorian na jednym łóżku. Wkrótce, kiedy zaczną się przypliw, zostaną zabrane na plażę i spalone. Tyle powiedział jej Stephan.— Musisz mnie wysłuchać, Stephanie.

— Och, Anno.

Rachaela wstała i wyszła z pokoju.

Siedziała słuchając morza, próbując rozpoznać moment, w którym nastąpi zmiana w jego rytmie.

Stało się.

Teraz Ruth miała znienawidzić Adamusa. A on skończył z Ruth. Między nimi było tyle pasji. Dużo więcej niż między Adamusem a nią.

Ale musiała zabrać Ruth. Teraz było to możliwe. Powstrzymywały ją tylko zamknięte drzwi strychu.

Dlaczego? Dlaczego musiała uratować Ruth?

Ruth była demonem.

Lepiej umyć ręce i odwrócić się od Ruth i całej tej krwi.

Ale coś zabraniało jej tak zrobić.

Ostatecznie istniała między nimi jakaś więź. Jak nie przecięta pępowina. Nie miłość, nigdy. Ale... coś.

Nie mogła zostawić Ruth Scarabaidom.

Rytm morza uległ zmianie.

Słuchała już nie przypliwu, ale hałasów powodowanych przez Scarabaidów, którzy przygotowywali się do wyjścia na plażę, by skremować swych zmarłych. Odgłosy były ciche, jakby korniki gryzły drewno. Słyszała jak wychodzą, albo wyobraziła to sobie.

W końcu wyszła na podest i zobaczyła ich, zebranych w pokojach na dole, w letnich ubraniach, jak gdyby wybierali się na garden party o północy.

Jakież ognisko miało zapłonąć na plaży!

Czy Adamus poszedł z nimi? Rachaela odwróciła się i skręciła w korytarz po lewej stronie.

Wspięła się do drzwi wiodących na strych. Były zamknięte na glucho. Zamek musiał być mocniejszy od tego, jaki strzegł pokoju z sukniami, w przeciwnym razie nie zaufaliby mu.

Pchnęła drzwi. Zatrzęsły się, ale nie ustąpiły.

Rachaela nie wiedziała, co począć.

Co powinna powiedzieć jedenastoletniej morderczynie, która zabiła cztery osoby?

— Ruth. Ruth? To ja. Ruth, odpowiedz mi.

Rachaela miała wrażenie, że w dzwoniącej w uszach ciszy rozpoznaje niewyraźne piski nietoperzy, strzelanie iskier w wielkim, odległym pożarze.

— Ruth!

Zza drzwi dobiegł stłumiony głos.

— Cześć, mamusiu.

Głos był chłodny i spokojny, zniekształcony przez spuchnięte usta i bardzo młody. Był to głos dziecka.

— Ruth. Boisz się?

— Nie — odparł głos. A potem, poważnie: — Tak.

— Zostawili ci światło?

— Tak. Świece.

— Uważaj z nimi.

— Tak, mamusiu.

— Zmuszę ich, by cię wypuścili. Potem wrócimy do Londynu. Nie wiem, ile czasu to zajmie.

— Oni mnie nie wypuszczą — powiedziała Ruth. — Trzymali stryja Camillo przez dwadzieścia lat. To było w innym domu. Sasha mi powiedziała.

— Sasha chciała cię nastraszyć. Zrobili ci krzywdę?

— Nie, tylko boli mnie twarz. Rozciąłam sobie wargę o ząb.

— Zęby masz w porządku?

— Tak. Ale mam podpuchnięte oko.

— On mógł cię zabić.

— Był wściekły. — Zapadła chwila milczenia, po której Ruth powiedziała: — Nie chciałam tego zrobić. To było jak w książce. Oni byli źli i chciałam ich ukarać.

— Nie mówmy o tym teraz. Znajdziemy ci lekarza. Z nim będziesz mogła porozmawiać.

— Tak, mamusiu — odparła Ruth, po czym dodała: — Przynieśli

moje ubrania, blok rysunkowy i farby. Jest tu wypchany ptak. I wino, jakie zrobił stryj Camillo. Wypiłam trochę. Zabawnie się poczułam.

— Nie pij go.

— Widzę z okna wieżę Adama. Pali się lampa. Widzę żółtego lwa.

— Czy okno jest otwarte? — zapytała szybko Rachaela.

— Nie. Okno też zamknęli. Przynieśli mi kolację na tacy. Kawałek starej ryby. Ale galaretka była dobra.

Rachaela pomyślała absurdalnie: przez cały dzień nic nie jadłam.

— Ruth, spróbuj mi zaufać. Obiecuję, że wyciągnę cię stąd.

— W porządku.

Milczenie narosło po raz trzeci.

Rachaela pomyślała o zapłakanej Ruth stojącej nad grobem kota. Oślepiające, palące łzy, ostre niczym ostrza brzytw, przepełniły jej oczy.

— Nie bój się, Ruth — powiedziała. — Nie ma się czego obawiać. *Teraz to ja kłamię.*

— Czy on mi wybaczy? — zapytała Ruth.

— Nie, Ruth.

— Zrobiłam to, żeby było im przykro. Ale tak naprawdę nie chciałam tego.

— Tak, rozumiem.

— Przepraszam, mamusiu.

Kiedy wyszła z domu, niebo było jasne od ognia.

Płomienie ciepłego stosu zdawały się dotykać nieba.

Niewiele zostało z Anny i Alice, Petera i Doriana. Zniknęli w dymie.

Scarabaidzi bez modlitw czy pieśni palili swoich zmarłych na skraju wody, jak stare ubrania czy śmieci.

Daleko na morzu burzyły się białe koronki fal.

Scarabaidzi, ci, którzy pozostali, stali w dziwnym kręgu, jak stare dzieci na przyjęciu Guya Fawkesa.

Patrząc z góry, widziała wszystkich: Teresę i Anitę, Unice i Miriam, Saszę, Mirandę i Livię, George'a, Stephana, Jacka i Erika. I z boku ich pokorne sługi, nie całkiem należące do rodziny — Marię, Chetę, Michaela i Carla.

Adamusa nie było. Ani Camilla.

Ogień płonął jak wszystkie ognie świata.

Scandalous



I jedno i drugie drzwi do wieży były zamknięte.

Kobieta w koszulce i spódnicy, z kaskadą czarnych włosów spływających na plecy, stała przez chwilę przed nimi, po czym wróciła do swego zielono-niebieskiego pokoju.

Rachaela patrzyła na swe odbicie w lustrze, ozdobionym liliami, promieniami słońca i jaskółkami.

*Kim ja jestem?*

Nie wiedziała. Zawsze widziała siebie jako obcą, piękną i daleką. Patrząc na twarze innych, zapomniiała o własnej.

Łatwo będzie odejść. Zostawić ich samym sobie.

Ale oni mogli podążyć za nią.

Nie mogła zostawić Ruth, biednego obłąkanego zwierzątka, uwikłanego w ich obrzędy i ceremonie, gdzie nawet morderstwu przyznano swego rodzaju rytualne miejsce.

Rachaela zeszła do kuchni.

Cheta i Maria szorowały garnki; Michael siedział przy stole, metodycznie czyszcząc srebra.

— Michaelu, chcę porozmawiać z Adamusem. Musisz mnie wpuścić do wieży.

— Kiedy pan Adamus zamyka drzwi, to znak, że nie życzy sobie nikogo widzieć.

— Zdaję sobie sprawę. Ale to ważne. A ty masz klucz.

— Ja noszę posiłki, panno Rachaelo.

— Jeżeli nie wpuścisz mnie, pójdę z tobą.

Nie mógł jej odmówić. Była panną Rachaelą. I nie było Anny, która mogłaby sprzeciwić się rozkazowi.

Czekała do lunchu w kuchni.

Kiedy na tacy znalazła się porcja zimnego kurczaka z supermarketu i sałatka, herbatnik, ser i szklanka wina, poszła za Michaeliem, tak jak kiedyś.

Przebyli łącznik Salome, zeszli po schodach i ruszyli korytarzem do drzwi.

— Jeżeli zechce pani poczekać, panno Rachaelo, powiadomię pana...

— Nie. Pójdę z tobą. Michael nie upierał się.

Poszła za nim po wewnętrznych schodach wieży. Pokój, do którego wpadało słońce przefiltrowane przez **brązowe**, złote i bursztynowe szyby, był pusty. Michael postawił tacę na stole.

— Zostanę tutaj — powiedziała zdecydowanie Rachaelą. Michael wyszedł bez słowa.

Pół godziny minęło w zalanym złotym syropem pokoju.

Obejrzała książki na etażerce, nie znajdując ani jednej znajomej pozycji. Na fortepianie nie leżały nuty. W pokoju nie było żadnych ozdób. Na okapie kominka stał chodzący do tyłu zegar. Z belek nad głową, wyglądających jak stare, lepkie od pajęczyn cukierki toffi, wystawały haki do podwieszania nieobecnych lamp.

Rachaelą zeszła po schodach do dvojga zamkniętych drzwi na dole. Zapukała do jednych i spróbowała je otworzyć. Za nimi znajdowała się biała łazienka z oknem, którego witraż przedstawiał konika morskiego. Z wahaniem zapukała do drugich. Otwierały się na małą sypialnię, bardzo ciemną, bowiem okno ukazywało wieżę w czasie burzy. Witraż wyglądał jak ilustracja z karty do taroka. Łóżko było zwyczajne, bez kolumnienek. Na nim spoczywał Adamus. Patrzył na nią.

— Wiesz, dlaczego tu przyszłam — zaczęła.

— Nie.

— Oczywiście, że wiesz. Z powodu Ruth.

— Dlaczego z powodu Ruth. — Jego ton był zbyt płaski, by można było uznać to za pytanie.— Adamusie, muszę zabrać ją do Londynu, do jakiegoś szpitala.

— Po co?

— Ona zwariowała. Muszę jej pomóc.

— Jeszcze raz — dlaczego? Oni zaopiekują się nią i będą trzymali ją w zamknięciu. Jak myślisz, co więcej mogliby zrobić dla niej lekarze?

- Jest szansa, że może zostanie... wyleczona...
  - Nie ma najmniejszej szansy.
  - Traktowałam ją jak jakiegoś potwora, więc być może to moja wina, że się nim stała — powiedziała Rachaela.
  - Nie sądzisz, że wszyscy jesteśmy potworami?
  - Może masz rację. Gdybym powiedziała, że to Scarabaidzi doprowadzili do tego, co zrobiła, przypuszczam, że byś mi nie uwierzył.
  - Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiła.
  - Dziwi mnie, że uderzyło cię to tak mocno. Nie spędzasz z nimi wiele czasu.
  - Rachaelo, ona wzięła stalowy drut i wbiła go młotkiem w pierś Anny. Potem powtórzyła to samo z Alice, Dorianem i Peterem.
  - Tak, wiem. I dlatego powtarzam, że ona potrzebuje pomocy. Oni zamknęli ją na strychu, jak gdyby był to jakiś stary horror.
  - Zamiast w jakiejś przytulnej, higienicznej, wyściełanej celi. Czy uważasz, że Ruth pozwoliłaby ci umieścić się w jakiejś instytucji?
  - Ruth jest przerażona tym, co zrobiła. Wie, że musi...
  - Ruth niczego nie wie. Ruth jest konglomeratem instynktów i pierwotnych talentów. Pozwoliłaś, żeby rosła jak chwast. Twa gruboskórność uczyniła ją silną, a brak silnej ręki sprawił, że sama zaczęła ustanawiać dla siebie prawa.
  - Zatem to moja wina.
  - Prawdopodobnie.
  - Pozwól mi wziąć odpowiedzialność na własne barki. Oddaj mi Ruth.
- Usiadł. W burzy światła z okna wydawał się biały i twardy jak marmur.
- Gdyby to zależało ode mnie, skrzyłbym jej kark.
  - Ona jest także twoim dzieckiem.
  - Wiem.
  - Jak długo będą trzymać ją w tej klatce? Co się stanie, gdy ją uwolnią? Scarabaidzi nie potrafią sobie poradzić z tym problemem.— Radzili sobie wiele razy z tego typu rzeczami, i z gorszymi.
  - Ta historia z Camillem...
  - Jest prawdziwa. Camillo zgodnie z rodzinną tradycją ożenił się z

pewną dziewczyną, i pogryzł ją w noc poślubną. Wykrwawiła się na śmierć.

— To nie ma związku z tematem.

— Nie. Prawdopodobnie uczynek Camilla był wypadkiem.

— Ruth nie wie, co zrobiła.

Wstał. Podeszedł do Rachaeli i stanął przed nią. Powstrzymała się przed odsunięciem na bok.

— Proszę, pomóż mi, Adamusie. Pomóż mi ją stąd wydostać.

Zabiorę ją, będziesz mógł o wszystkim zapomnieć.

— To niemożliwe — powiedział.

— Wobec tego nie możesz chcieć, by została.

— Nie dbam o to. Już nie.

— Inny powód...

— Nie dbam o Ruth ani o dom, ani o nich. Czy coś z tego ma jakieś znaczenie? Nie.

Mimo wszystko uczyniła mimowolny krok w tył, a on w tej samej chwili wyciągnął ręce i złapał ją za ramiona.

— A ty — rzekł — jesteś dzielną matką walczącą o swoje dziecko.

Chciałaś, by wycięto je z ciebie jak raka.

— A ty — powiedziała z zamierzoną wulgarnością — obsłużyłeś mnie jak buhaj krowę. A potem odwróciłeś się plecami. Chciałeś zrobić to samo z Ruth.

Trzymał ją tak, że nie mogła się odsunąć. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu i przeszył ją swymi martwymi, czarnymi oczyma.

— Nic nie ma znaczenia — powtórzył — ale wiem, dlaczego tu przyszedłeś. Zatem dobrze.

Obrócił ją gwałtownie i nim zdołała zareagować, rzucił na łóżko.

Próbowała uwolnić się, ale przycisnął ją ciężarem własnego ciała, nakrył szczelnie i uniemożliwił walkę. Działo się to, czego się obawiała.

Rachaela zdołała uwolnić prawą dłoń. Uderzyła go z całej siły w bok głowy. Złapał jej rękę i przycisnął ją do prześcieradła. Próbowała podnieść kolana, lecz on był zbyt ciężki.

Jego twarz była pusta, choć zmarszczona lekko z koncentracji. Oczy miał płaskie jak dzęty — oczy Ruth. Gdy schylił ku niej głowę, zatopiła zęby w jego karku. Zacisnęła je mocno i pomyślała, że czuje smak jego

krwi.

Ogarnęło ją straszne drżenie.

On szarpnął się w tył, a wówczas ona lewą ręką strzeliła go w twarz. Gdy puścił jej prawy nadgarstek, złapała grzywę czarnych włosów. Biła go i szarpała, wbijając palce w twarde ciało, jak gdyby wspinała się na szczyt. Oplotła go nogami, rozdzierając szew spódnicy.

Raz za razem wykrzykiwała jego imię.

W ostatniej chwili pogrzyżyła twarz w jego szyi, przyciskając otwarte usta do skóry. Przez jej ciało znów przebiegło nagłe drżenie, którego nie potrafiła opanować największym wysiłkiem woli.

Euforia opuściła ją i Rachaela opadła na łóżko.

Kiedy otworzyła oczy, on stał już na tle mrocznego okna.

— I to byłoby wszystko — powiedział.

Poczuła wstyd. Wstała, drżąc i oszołomiona, z absurdalnie rozchyloną spódnicą.

Na jego karku widniał ślad jej zębów. Nie był zakrwawiony.

To, co się stało, odjęło jej mowę, ale po chwili otrząsnęła się i powiedziała:

— Już nigdy nie będę cię niepokoić.

— Wierzę.

— Nic nigdy nie zaszło między nami. Ruth była błędem.

Obserwował ją, czekając na jej wyjście.

Setki zdań wirowały jej w głowie, lecz żadnego nie potrafiła wypowiedzieć.

Wyszła z pokoju, minęła prowadzące na zewnątrz drzwi i znalazła się na korytarzu.

Rozświetlało go budzące grozę światło, czerwone i gasnące jak światło umierającego słońca jakiejś зараżonej planety.

*Dostałam to, czego chciałam.*

Było tak, jakby uprawiała miłość z trupem.

Rachaela stała, obserwując morze. Długie zielone fale atakowały klif, łamały się i cofały, pokonane.

Starania morza były jak życie. Nie kończące się, bezowocne próby, niepowodzenia i kapitalucja. Nawet kiedy morze wdzierało się na plażę, odpływ z powrotem pochłaniał drapieżną wodę. Ich kości zabrały fale.

Nie mogła wymyślić, co powinna zrobić. Opadła ją głęboka apatia. Ale skoro chciała zabrać Ruth, musiała walczyć.

Szła wzdłuż brzegu.

W ciągu dnia panował bezlitosny upał i pomyślała o strychu pod dachem, o zamkniętym oknie. Kara i uwięzienie. A jak można tam było wytrzymać zimą? Może pozwolą jej zamarznąć za to, co zrobiła?

Wyobraziła sobie Adamusa i natychmiast odepchnęła od siebie wizerunek jego twarzy.

Rachaela zawróciła i ruszyła w kierunku domu. Zbliżając się pomyślała, jak osobliwie wygląda, taki stary i zaniedbany, z szeregi okien błyszczących czerwono i szmaragdowo.

Na podłodze przed drzwiami pokoju Rachaeli siedział Camillo.

— To ja — powiedział.

— To ty.

— Nie ma konia — powiedział. — Jestem bez konia.

— Tak.

— Ale coś ci przyniosłem.

Rachaela stała nieruchomo. Camillo tarasował wejście, siedząc ze skrzyżowanymi nogami pod czarnym krzyżem na oknie.

— To bardzo miło z twojej strony.

— Tak. Chłopiec nie chciał pomóc, prawda? Adamus. Ty i on, tacy sami. Ciemne konie. — Camillo podniósł się. — To powinnaś być ty, nie to dziecko.

— Powinnam?

— Kiedyś próbowałem udawać, że jestem jak Adamus. Poderżnąłem jej gardło stołowym nożem. Ale ten gen nie ujawnił się we mnie.

— Ja nie jestem wampirem — powiedziała Rachaela. — Żadne z was nie jest. Ani nawet Adamus. To, co on robi, to choroba. I Ruth zaraziła się nią.

— To wstrętne. Zabierz ją. Tam, na strychu, spowoduje kłopoty. Strych był mój. Ale ona nie ma konia na biegunach.

— Chcę ją zabrać.

— Dobrze. Zatem weź klucz.

Wyciągnął ku niej coś, co połyskiwało matowo w blasku padającym z naznaczonego czarnym krzyżem okna.

— Klucz — powiedziała. — Klucz do strychu?

— Jeden z wielu. Pasuje.

Rachaela powoli wyciągnęła rękę i wzięła klucz.

— Dziękuję, Camillo.

— Zabierz ją — powtórzył.

— Zabiorę.

Camillo odszedł korytarzem. Na odchodnym powiedział:

— Nie sądzę, żeby to przyniosło coś dobrego. Ręka Rachaeli konwulsyjnie zamknęła się na kluczu. *Uspokój się. Teraz wszystko będzie wymagało najwyższej uwagi.*

Rachaela weszła do jadalni. Nikogo nie zastała; nikt prócz niej nie przyszedł na kolację.

Przez całe popołudnie nie napotkała nikogo ze Scarabaidów. Siedzieli w zakamarkach domu, może skrywając się przed nią.

Cheta obsłużyła Rachaelę. Podała kotlety jagnięce, marchewkę, groszek i świeże ziemniaki.

Rachaela jadła z apetytem. Wiedziała, że będzie jej potrzebny zapas energii. Michael nie pojawił się, poprosiła więc Chetę o lampkę wina.

Po głównym daniu podano galaretkę morelową, może reszkę z wczorajszego dnia.

Cheta przyniosła jej herbatę do saloniku.

Brak Anny i jej haftów zdawał się dziwny, chociaż jej śmierć praktycznie niczego nie zmieniła. Anna już wcześniej była nieobecna.

Rachaela zatrzymała wychodzącą z pokoju Chetę.

— Czy Ruth dostała jedzenie?

— Oczywiście, panno Rachaelo. Carlo zaniósł tacę panience Ruth godzinę temu.

Nie pojawią się zatem na strychu do rana, kiedy trzeba będzie zanieść nienasyconemu, uwięzionemu dziecku śniadanie.

Rachaela miała nadzieję, że Ruth będzie w stanie, mimo poobijanej twarzy, zjeść kolację. Jej również będą potrzebne siły.

Rachaela niespiesznie piła herbatę. Opuściła pokój, gdy jej zegarek wskazał prawie wpół do jedenastej. Poszła do swojej sypialni. Odczekała kolejne pół godziny, nie słysząc żadnego ze Scarabaidów i nie widząc nikogo poza Chetą. Pięć po jedenastej wyszła z pokoju i ruszyła na

strych.

Klucz z łatwością obrócił się w zamku.

Weszła powoli, przygotowana prawie na wszystko, ale strych był taki, jaki zapamiętała z ostatniej wizyty, jasno oświetlony ustawionymi na skrzyniach świecami.

Ruth siedziała w fotelu na biegunach, plecami do ciemnego okna, w którym odbijały się płomienie świec.

Miała wykrzywioną twarz klauna, a na kolanach trzymała jedną z brązowych butelek.

— Mówiłam ci, żebyś tego nie piła — powiedziała zatrwożona Rachaela.

Ruth spojrzała na nią.

— Pozwolili ci przyjść?

— Nie, Ruth. Zdobyłam klucz. Ile wypiałś?

— Troszeczkę. Jest paskudne w smaku.

— Dobrze. — Rachaela zamknęła drzwi. — Zabiorę cię dzisiejszej nocy.

Ruth skinęła głową. Wstała.

Miała na sobie suknię z początku wieku, ale mogła w niej wyjść między ludzi; w dzisiejszych czasach żaden strój nie budzi zdziwienia. Jedynie pokiereszowana twarz mogła wywołać jakieś komentarze.

— Przykro mi, ale musisz zostawić wszystkie swoje rzeczy.

— Nie szkodzi — rzuciła niedbale Ruth. — Nie potrzebuję niczego.

— Nie chcę, żebyś wchodziła do swojej sypialni. Jeżeli masz coś tutaj, mogę to ponieść.

— Nie mam nic.

— Pójdziemy przez wrzosowiska. To długa droga, wiem, ale jedyna.

Ruth spochmurniała na chwilę. Potem powiedziała:

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Teraz, gdy w wiosce są sklepy, powinniśmy bez problemu złapać samochód. — Ruth pociągnęła kolejny łyk z brązowej butelki. — Nie, Ruth. — To tylko wino.

— Nie pij go. Teraz zejdziemy na dół, do mego pokoju. Zachowuj się bardzo cicho. Gdy kogoś spotkamy, schowaj się, jeżeli będzie na to czas. Jeżeli nie, zobaczymy. Nie sądzę, żebyśmy natknęły się na



kogokolwiek.

Rachaela wspomniała noc swej ucieczki i to, jak wszyscy zgromadzili się w holu, ale rozstąpili się bez słowa protestu. Czy nie sprzeciwią się ucieczce Ruth, przestępczyni? Nie. W przeciwnym wypadku skąd byłby ten klucz, ogłuszająca cisza domu? Chcieli pozbyć się Ruth, bez względu na to, co zrobili czy powiedzieli.

Rachaela skierowała się do wyjścia, a Ruth posłusznie podążyła za nią. Rachaela zamknęła drzwi.

Zeszły po schodach, przebyły łącznik i wyszły na korytarz. Wokół panował bezruch. Scarabaidzi usunęli się z drogi.

Pokonały korytarz, minęły podest i skręciły do drzwi sypialni Rachaeli.

W domu panowała taka cisza, że równie dobrze mogłby być pusty.

Ruth rozejrzała się po błękitno-zielonej komnacie.

— Ładnie tu. Co przedstawia okno?

— Kuszenie Ewy.

Na łóżku leżała spakowana torba Rachaeli. Przy kominku stały przygotowane buty.

Ruth na szczęście nadal miała na nogach szkolne obuwie.

— Miło będzie wrócić do domu — powiedziała.

Rachaela zobaczyła mieszkanie, rozmontowany kącik Ruth i wszystkie rzeczy spakowane w kartony. Dobrze, że niczego nie oddała, nawet ubrań dla pomocy społecznej.

*Próbuje mnie kupić, pomyślała Rachaela. Wcale nie uważa tego mieszkania za dom. Może nie ma go nigdzie. Pomyślała: Chryste, co się z nią stanie?* I wyobraziła sobie wrzeszczącą Ruth, niesioną wykładanym kafelkami tunelem przez ludzi w białych kitlach.

— Ruth, teraz musisz tu zostać. Nie wychodź z pokoju. Chcesz skorzystać z łazienki?

— Nie, mamusiu.

Na miłość boską, jak oni radzili sobie z tym na strychu?

— Sprawdzę, czy jest ktoś na parterze. Wrócę za jakieś dziesięć czy piętnaście minut. A potem odejdziemy.

— Tak — powiedziała Ruth. Usiadła na krześle, które niegdyś zajmował Adamus.

— Bądź gotowa, Ruth.

Ruth skinęła głową i pomachała nogami, które nie całkiem sięgały do podłogi.

Rachaela wyszła. Ruszyła cicho korytarzami. Było jej niesamowicie lekko na duszy.

Zatrzymała się na podeście. Cisza. Dom pomrukiwał do siebie. Morze szumiało.

Scarabaidzi przycupnęli w swoich gniazdach.

Na dole paliły się wszystkie lampy, rubinowa lampa w holu, świece w salonie.

Rachaela zajrzała do salonu, do jadalni.

Otworzyła szeroko drzwi do ciepłarni, a później te wychodzące na ogród.

Powietrze pachniało różami, jaśminem i solą oceanu.

Nagle przejęło ją palące uczucie, jak gdyby nostalgia za czymś, co wkrótce miało przeminąć. Nigdy naprawdę nie rozumiała, co czuła do tego domu.

Cis ciemniał na tle nieba. Pod nim leżał kot, przemieniający się w zgniliznę i zbutwiałe kości. A dalej, w falach przyływu, kołysali się Anna i Dorian, Peter, Alice i Sylvian.

A za nią, w wieży, był Adamus.

Adamus.

Zawróciła na trawniku i ruszyła w kierunku wieży o stożkowym dachu. W tej samej sekundzie rozbrzmiał potężny akord. Uderzył w jej ciało, wprawiając je w drżenie od podeszew stóp do serca i czaszki. Czy zwiastował jakąś stratę, jakieś nieodwracalne okrucieństwo losu...?

Rachaela odrzuciła to wrażenie, które otuliło ją niczym skrzydła nietoperza.

Pobiegła do domu, potem przez szereg pokoi, hol, i szybko wspięła się na schody.

Przystanąła na podeście. Znów wszędzie panowała martwa cisza.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Pokój był pusty. Było tylko jedno miejsce, do którego Ruth mogła pójść. Do wieży. Do Adamusa.

Dla Ruth jego obrzydzenie i brutalność nie miały znaczenia. Były czymś abstrakcyjnym. Liczył się tylko jego widok.

Rachaela spróbowała opanować galopujący puls, ogarniające ją przerażenie. Ruth była z nim teraz. Co, co zaszło między nimi?

Popędziła przez podest i łącznik do schodów. Czy drzwi będą zamknięte, a Ruth czeka pod nimi? Ale Ruth nie było. A drzwi zastała uchylone.

Rachaela weszła do wieży. W pokoju na górze paliło się światło.

Wspinała się teraz powoli, jak gdyby dźwigała potężny gład.

Podeszła do drzwi, zatrzymała się w progu i zajrzała do wnętrza.

Ruth przykucnęła na środku pokoju, przy stole, na którym stały oświetlające ją jakby celowo świece. Trwała nieruchomo, z rękoma podciągniętymi pod brodę, a jej czarne włosy spływały na podłogę. Nie odwróciła się, by spojrzeć na Rachaelę. Jej uwaga była całkowicie pochłonięta czymś innym.

Z belki ponad fortepianem zwieszało się coś ciemnego, poruszającego się lekko w tę i z powrotem. Zdawało się pozbawione kształtu, ale gdy się przesunęło, można było dostrzec zmienioną nie do poznania twarz, wykręconą szyję i krótki, czarny sznur.

Jego stopy uderzyły w klawiaturę fortepianu, gdy przewrócił się kopnięty stołek. To ten dźwięk usłyszała Rachaela.

Wisiał tam odarty z kształtu, jak kokon, kołysząc się lekko, za każdym razem coraz oporniej i wolniej.

Ruth poruszyła się. Wstała.

— Nie żyje? — zapytała wysokim, słabym głosem.

Rachaela próbowała odpowiedzieć. Nie zdołała wydusić **ani słowa**.

— Chyba nie — stwierdziła Ruth.

Załkała głośno i przysłoniła usta ręką ze strachu.

Rachaela chciała poruszyć się, ale nie mogła zrobić ani kroku.

— Adam — powiedziała Ruth. Wzięła świecznik i zbliżyła się do tej wiszącej, rozkołysanej rzeczy. Podniosła świecznik w górę, by się jej przyjrzeć. Potem zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała bez przerwy, a ten straszliwie ostry sopran przeszył na wskroś mózg Rachaeli. Musiała zmusić Ruth do zaprzestania wrzasku. Zrobiła krok do przodu, a wtedy Ruth przysunęła świece do wisielca, a języki płomienia zaczęły lizać jego ciało. Adamus ożył w ogniu.

— *Nie* — Rachaela z trudem brnęła w oparach zatrutego powietrza.

Ruth odwróciła ku niej swą twarz demona.

— Palimy naszych zmarłych — powiedziała.

I rozrzuciła świece po pokoju jak płonące kwiaty.

Kotary i fotele przed kominkiem natychmiast stanęły w fontannie ognia.

Ruth miała jeszcze jedną świecę. Skoczyła ku Rachaeli, a ta odskoczyła ze strachu na bok.

Ruth minęła ją i przycisnęła płonąca świecę do drzwi. Drzwi zapaliły się.

Rachaela stała w morzu ognia.

Dom płonął.

Płonął jak las. Uciekały z niego tysiące myszy. Sufity zapadały się z trzaskiem. Gorejące drewniane przedmioty przewracały się i łamały jak kwiaty.

Było tyle światła, co w słoneczny, upalny dzień.

Rachaela zbiegła po schodach między ścianami płomieni.

Nie wiedziała, gdzie się znajduje, straciła poczucie kierunku. Ogień wyprzedzał ją. Ruth — Ruth była ogniem.

Trzeba ją było powstrzymać, ale Ruth była niepowstrzymana.

Pokoje płonęły. Pożar rozprzestrzenił się niesłychanie szybko. Dom był suchy jak proch mumii. Ogień żarłocznie pożerał kotary, meble, pękające deski podłóg.

Czy to łącznik? Olbrzymie okno z topiącym się ołowiem. Pęknięcie rozchodzące się po szkle jak zielona błyskawica.

Rachaela biegła.

Ogień ukąsił ją w ramię, po włosach zaczęły pełgać płomyczki — stłumiła je.

Była dalej od tego pieca, na podest. Mogła go jeszcze rozpoznać, chociaż ogień przeskoczył balustradę i poniżej płonęła nimfa; jej martwa lampa była wreszcie pełna światła.

Rachaela odwróciła się, rozejrzała, ale już nie była sobą. Była jednym wielkim przerażeniem. Zbiegła po schodach na dywan, na którym roily się trzaskające światełka, na szachownicę posadzki, lśniącą teraz jak jezioro — jezioro ognia.

Salon również stał w ogniu, z wejścia strzelały płomienie, coś syczało

i wzdychało.

Zobaczyła Scarabaidów przy stole, i płomienie na ich talerzach, płomienie na ich ubraniach, płomienie na ich ciałach. Nim pochłonął ich ogień, wyglądali jak średniowieczne konterfekty zmarłych.

Rachaela wrzasnęła przeraźliwie. Przebiegła przez trawione ogniem pomieszczenie, minęła dwoje drzwi i wypadła w noc.

Potykając się biegła między drzewami w ogrodzie. Skórę miała pokrytą bąblami, znów musiała gasić płonące włosy. Ręce miała poparzone, a nogi pokłute igłami ognia. Kaszłała i płakała, czarna woda płynęła z jej ust i nosa.

Zobaczyła stryja Camillo jadącego na koniu w poźodze, wymachującego mieczem, płonącego.

Zobaczyła Scarabaidów w pudłach łóżek, płonących niczym papier.

Rachaela osunęła się na kolana wśród dębów, palące łyzy zalewały jej oczy, podczas gdy dom płonął w diademie złotego światła.

Myszy uciekały pod osłonę ciemności niczym strumień atramentu wypływający ze źródła płomieni.

Dom zapadł się o trzeciej nad ranem.

Zawalił się jak przepalony komin, środek skruszył się, dachy osunęły wśród kłębów dymu i fontanny iskier. Okna eksplodowały jak fajerwerki.

Do tego czasu ci, którzy przeżyli, zebrali się na wrzosowisku.

Rachaela policzyła ich z oddali.

Miriam i Sasha, Miranda i Eric, Michael i Cheta. Nikt inny nie wyszedł z tego pogrzebowego stosu.

Nikt inny z wyjątkiem, oczywiście, Ruth. Ale Ruth odeszła już dawno, czmychając w ciemność jak chochlik. Już bez zapalanej świecy; jej praca została zakończona. Uciekła na wrzosowiska, ku smoczym łąkom, i zniknęła.

Co będzie robić to dziecko-demon na tych pustkowiach bez ulic i sklepów, bez Woolwortha i cmentarza?

Rachaela, siedząc na ziemi, oparta plecami o drzewo, mogła tylko — jak wieczny świadek — obserwować Scarabaidów.

Była poparzona, płakała z bólu, a Scarabaidzi, obwieszani strzępami nadpalonych ubrań, stali bez ruchu w rozrzuconej grupie przeddomem.

Patrzyli, jak płonie i jak się zapada; tak może obserwowali inne pożary i ruiny.

Rachaela, śmiertelnie wyczerpana, nie podeszła do nich, nawet o tym nie pomyślała. Nie obchodzili jej.

Na jej nadgarstku tykał zegarek.

Ciemność spowijała wszystko niczym kir, ale za godzinę miał nastąć świt. Wезде słońce.

Co wtedy?

Scandalous

---

# TANITH LEE

---

**Najwybitniejsza angielska autorka powieści grozy, uznana za królową *dark fantasy*.**

Lee urodziła się w 1947 roku w Londynie. Ukończyła średnią szkołę plastyczną. Zadebiutowała w roku 1968 opowiadaniem „The Betrothed”. Dziś ma w swym dorobku ponad 50 książek. Są wśród nich powieści science fiction, fantasy, horror, a także teksty dla dzieci. Tanith Lee jest również autorką słuchowisk radiowych dla BBC oraz scenariuszy do telewizyjnego serialu **Blake's Seven**. Najwyżej oceniany - choć nie zamknięty jeszcze - cykl fantasy Tanith Lee to **Opowieści z płaskiej Ziemi** (1978-87), liczący pięć tomów. Inne ważne tytuły to: **Czarnoksiężnik z Volkyanu** (1977), **Zabójca umarłych** (1970), **A Heroine of the World** (1989), **The Blood of Roses** (1990), **Red as Blood or Tales from the Sisters Grimmer** (1983). Większość utworów Tanith Lee osiągnęła ogromną popularność, a wiele z nich stało się prawdziwymi bestsellerami. Tanith Lee jest dwukrotną zdobywczynią prestiżowych nagród: World Fantasy Award oraz August Derleth Award.

Przez długie lata uważano, że specjalnością pisarki jest *high* i *dark fantasy*, jednakże w ostatnich latach autorka opublikowała kilka ważnych powieści grozy, osiągając mistrzostwo w tym gatunku, m.in. **Serce bestii** (1992) oraz cykl **Krwawa opera** (1992-94): **Mroczny taniec; Mroczne dusze; Darkness, I**.

*Krytycy wychwalają kunszt pisarski autorki, jej talent do tworzenia rozbudowanych portretów psychologicznych bohaterów oraz tempo akcji. Czytelnicy podziwiają barwną, nieograniczoną wyobraźnię, budującą fantastyczne fascynujące światy. Wyjątkowość zapewnia autorce piękny język i niepowtarzalny styl - prosty, zwięzły, a równocześnie niewyobrażalnie efektowny i sugestywny.*

---

## *Mroczne dusze // tom Krwawej opery*

---

W słynnej rodzinie wampirów, Scarabae, nowi członkowie rodzą się ze związków kazirodczych. Młoda wampirzyca, Ruth, nie boi się jasności dnia i nie musi pić krwi swych ofiar. Jest inna i dlatego zostaje odtrącona przez ojca i dziadka zarazem. Niezaakceptowanie przez głowę rodu wywołuje wściekłość Ruth. Morduje kilkoro ze swojego rodzeństwa, podpala dom rodzinny i ucieka. Przenosi się do Londynu i południowej Anglii, zabijając ludzi, według jej oceny, złych. Pozostali przy życiu członkowie rodziny Scarabae postanawiają pomścić ofiary. Ściągają z kontynentu wampira-wojownika, któremu zlecają uśmiercenie zdrajczyni.

---

## *Darkness, I /// tom Krwawej Opery*

---

W córce Racheli, Annie, amsterdamscy członkowie rodu Scarabae rozpoznają kolejne wcielenie Ruth. Podczas jednego z pobytów w Holandii Anna zostaje porwana; z trudem zorganizowana odsiecz będzie musiała zmierzyć się z mrocznymi siłami demonicznego rodu...